

ŚNIADANIE Z KANGURAMI AUSTRALIJSKIE PRZYGODY



BILL BRYSON



South Australian Basin

Gulf of St. Kangaroo
Encounter Kingst
Mount Gambie
Portland
Warrnambool
Melbourne
King Is.
Devonport
Queenstown
Eden
Bairnsdale
Wilson's Promontory
Bass Strait
Furneaux Group
Launceston

TASMA

SEA

BILL BRYSON

ŚNIADANIE Z KANGURAMI

Australijskie przygody

Przełożył
Tomasz Bieroń



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Bill Bryson
Śniadanie z kangurami. Australijskie przygody

Tytuł oryginału
DOWN UNDER

ISBN 978-83-8116-306-4

Copyright © by Bill Bryson, 2000
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2011

Redaktor prowadzący
Izabela Trońska

Redakcja
Małgorzata Kowalska

Projekt okładki i mapy
Paulina Radomska-Skierkowska

Projekt graficzny na podstawie pomysłu Janusza Grabiańskiego za zgodą spadkobierców artysty

Opracowanie graficzne i techniczne
Jarosław Szumski

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Część pierwsza

Outback

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Część druga

Cywilizowana Australia

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Część trzecia

Australia kresowa

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Bibliografia

Dla Davida, Felicity, Catherine i Sama

Podziękowania

Spośród wielu osób, którym winien jestem wdzięczność za pomoc w przygotowaniu tej książki, chciałbym szczególnie podziękować Alanowi Howe'owi i Carmel Egan za gościnność i poświęcenie mi swego cennego czasu, mimo iż wiedzieli, że trafią do jednej z moich książek; Deirdre Macken i Allanowi Sherwinowi za ich przenikliwe uwagi i dzielny udział w tym, co nastąpi; Patrickowi Gallagherowi z Allen & Unwin oraz Louise Burke z Australian National University za hojne zaopatrzenie mnie w książki i inne materiały badawcze; i wreszcie Juliet Rogers, Karen Reid, Maggie Hamilton i Katie Stackhouse z Random House Australia za rzetelną i, jak zawsze, sympatyczną pomoc.

Podziękowania należą się również Australijczykom: Jimowi Barrettowi, Steve'owi Garlandowi, Lisie Menke, Val Schier, Denisowi Wallsowi, Stelli Martin, Joelowi Beckerowi, Barbarze Bennett, Jimowi Brooksowi, Harveyowi Henleyowi, Rogerowi Johnstone'owi, Ianowi Nowakowi, personelowi Biblioteki Stanowej Nowej Południowej Walii w Sydney i nieżyjącej już, drogiej Catherine Veitch.

Poza Krajem Kangurów pragnę szczególnie podziękować profesorowi Danny'emu Blanchflowerowi z Dartmouth College za pomoc w zbieraniu danych statystycznych; mojej długoletniej przyjaciółce i agentce Carol Heaton, a także życzliwym i niezwykle utalentowanym ludziom z Transworld Publishers w Londynie, spośród których chciałbym wymienić Marianne Velmans, Larry'ego Finlaya, Alison Tulett, Emmę Dowson, Meg Cairns i Patricka Jansona-Smitha, który jest najlepszym przyjacielem i doradcą, jakiego mógłby sobie wymarzyć autor. Przede wszystkim jednak — jak zawsze — najserdeczniejsze podziękowania należą się mojej ukochanej, cierpliwej, niezrównanej żonie Cynthii.

Część pierwsza

Outback

Rozdział pierwszy

I

Podczas lotu do Australii uświadomiłem sobie, trochę zawstydzony, że znowu zapomniałem, jak nazywa się ich premier. Ciągle to robię — rejestruję jego nazwisko w pamięci, zapominam je (na ogół natychmiast), a potem mam okropne wyrzuty sumienia. Wydaje mi się bowiem, że powinna istnieć co najmniej jedna osoba spoza Australii, która wie, kto rządzi tym krajem.

Z drugiej strony bycie na bieżąco z tym, co się dzieje w Australii, wymaga sporego wysiłku. Kilka lat temu, kiedy po raz pierwszy tam leciałem, w samolocie z Londynu czytałem historię polityczną Australii XX wieku i dowiedziałem się z niej zaskakującej rzeczy: kiedy w 1967 roku ówczesny premier Harold Holt spacerował po plaży w Wiktorii, nagle wskoczył do wody i zniknął. Wszelki ślad po nim zaginął. Uznałem to za podwójnie zdumiewające: po pierwsze dlatego, że Australia może tak po prostu zgubić premiera (no bez przesady!), a po drugie, że wiadomość o tym nigdy do mnie nie dotarła.

Prawda jest taka, że poświęcamy skandalicznie mało uwagi naszym droгим kuzynom z drugiego końca świata. Ma to jednak, jak przypuszczam, swoje uzasadnienie: Australia leży bardzo daleko i w większości jest niezamieszkana. Jej liczba ludności — 19 milionów — nie rzuca na kolana (w Chinach co roku przybywa więcej ludzi), a jej gospodarka, pod względem wielkości porównywalna do gospodarki Illinois, odgrywa marginalną rolę na światowej scenie ekonomicznej. Od czasu do czasu Australia przysyła nam pożyteczne rzeczy — opale, wełnę merynosów, Errola Flynna, bumerangi — choć można się bez nich w życiu obejść. Ignorujemy ją jednak przede wszystkim dlatego, że nie chuligani. Jest stabilna, pokojowa i poczciwa. Nie organizuje zamachów stanu, nie trzebi zasobów ryb, nie uzbraja niesympatycznych despotów, nie uprawia koki w prowokacyjnych ilościach i nie rozpycha się beczelnie łokciami.

Mimo to, nawet po uwzględnieniu wszystkich tych czynników, trudno wyjaśnić, dlaczego poświęcamy Australii tak mało uwagi. Dotyczy to, rzecz jasna, zwłaszcza mieszkańców Ameryki. Zanim jeszcze wyruszyłem w swoją podróż, udałem się do miejscowej biblioteki w New Hampshire i wyszukałem Australię w *New York Times Index*, aby sprawdzić, jak dużym zainteresowaniem cieszył się ten kontynent ostatnimi laty w mojej ojczyźnie. Zacząłem od 1997 roku — głównie dlatego, że ten tom leżał akurat otwarty na stole. We wszystkich możliwych obszarach tematycznych — takich jak polityka, sport, podróże, nadchodząca olimpiada w Sydney, gastronomia, wina, sztuka, nekrologi i tak dalej — na łamach „New York Timesa” ukazało się w tym roku 20 artykułów poświęconych wyłącznie lub przede wszystkim Australii. W celach porównawczych wrywkowo sprawdziłem wyniki innych krajów, odkrywając 120 tekstów na temat Peru, około 150 artykułów poświęconych Albanii, mniej więcej tyle samo na temat Kambodży, ponad 300 dotyczących obu Korei, Izraela zaś — grubo ponad 500. Australia jako przedmiot zainteresowania Amerykanów plasowała się gdzieś na poziomie Białorusi i Burundi. Jeśli chodzi o tematy ogólne, to wyprzedzały ją balony i baloniarze, Kościół scjentologiczny, psy (aczkolwiek nie pociągowe) i Pamela Harriman, była ambasador i miłośniczka imprez, która zmarła w lutym 1997 roku — „Times” uznał za stosowne poświęcić tej katastrofie 22 osobne pozycje. Powiedzmy sobie wprost: w 1997 roku Australia była dla Amerykanów wprawdzie trochę ważniejsza niż banany, ale zdecydowanie mniej istotna niż lody.

Jak się wszakże okazuje, 1997 rok był pod względem zainteresowania całkiem niezły dla piątego kontynentu. W 1996 roku napisano o nim tylko dziewięć artykułów, a w 1998 roku zaledwie sześć. Być może w innych częściach świata media częściej zajmują się antypodami — ale przecież nikt tego nie czyta! (Niech podniosą rękę ci, którzy wiedzą, jak się nazywa obecny premier Australii, w którym stanie leży Melbourne, albo potrafią odpowiedzieć na jakiegokolwiek związane z Australią pytanie, które nie dotyczy krykieta, rugby, Mela Gibsona albo opery mydlanej *Sąsiedzi*). Australijczycy są bardzo niezadowoleni, że świat zwraca na nich tak mało uwagi, i trudno im się dziwić. W tym kraju ciągle dzieją się

pasjonujące rzeczy.

Przykładem tego jest historia z 1997 roku, która trafiła co prawda do „New York Timesa”, ale znalazła się w rubryce „Różne”. W styczniu tego roku, napisał dziennikarz tej gazety, naukowcy poważnie rozważali hipotezę, że tajemnicze zaburzenia sejsmiczne w głębi australijskiego buszu, do których doszło prawie cztery lata wcześniej, mogły zostać spowodowane przez eksplozję jądrową, wywołaną przez japońską sektę apokaliptyczną Aum Shinrikyo. O godzinie 23:03 (czasu miejscowego) 28 maja 1993 roku igły seismografów w całym regionie pacyficznym drgały, bazgrząc gwałtownie w reakcji na bardzo duże zakłócenia w pobliżu miejscowości Banjawarn Station na Wielkiej Pustyni Wiktorii w Australii Zachodniej. Paru kierowców ciężarówek i poszukiwaczy minerałów — oprócz nich praktycznie nikogo nie ma na tym pustkowiu — relacjonowało, że zobaczyli błysk na niebie i usłyszeli albo poczuli huk potężnej, ale odległej eksplozji. Jeden z nich donosił, że w jego namiocie puszka piwa zeskoczyła ze stolika.

Długo nie znajdowano żadnego przekonującego wyjaśnienia. Wykresy seismograficzne miały inny kształt niż podczas trzęsienia ziemi albo eksplozji górniczej, a poza tym wybuch był 170 razy silniejszy niż największa eksplozja górnicza, jaką kiedykolwiek zarejestrowano w Australii Zachodniej. Profil seismograficzny odpowiadał uderzeniu dużego meteorytu, ale wówczas musiałby powstać krater o średnicy kilkudziesięciu metrów, a niczego takiego nie znaleziono. Naukowcy przez parę dni głowili się nad tym incydem, po czym, swoim zwyczajem, zakwalifikowali go po prostu do kategorii „zjawisk niewyjaśnionych”.

W 1995 roku sekta Aum Shinrikyo trafiła na czołówki gazet, wpuszczając do tokijskiego metra hurtowe ilości trującego sarinu i zabijając 12 osób. W toku śledztwa ustalono, że wśród licznych posiadłości ziemskich sekty znajduje się również pustynna działka o powierzchni 200 tysięcy hektarów w Australii Zachodniej, leżąca bardzo blisko miejsca owego tajemniczego zdarzenia. Organy ścigania znalazły na terenie posesji zaskakująco nowocześnie wyposażone

laboratorium oraz dowody na to, że członkowie sekty zajmowali się wydobywaniem uranu. W innym wątku śledztwa natrafiono na informację, że Aum zwerbowało dwóch inżynierów jądrowych z dawnego Związku Radzieckiego. Jawnie zadeklarowanym celem tej organizacji było zniszczenie świata i wygląda na to, że wydarzenie na pustyni stanowiło próbę generalną przed wysadzeniem w powietrze Tokio.

Chyba już rozumiecie, do czego zmierzam. Australia to kraj, który gubi premiera, a do tego jest tak ogromny i pusty, że kiedy dochodzi tam do detonacji pierwszej na świecie bomby atomowej, z którą rząd nie ma nic wspólnego, bo odpowiada za nią banda zapaleńców-amatorów, potrzeba prawie czterech lat, żeby ktokolwiek to zauważył. Taki kraj na pewno warto poznać.

W związku z tym, że tak mało o nim wiemy, wypadałoby chyba podać kilka faktów.

Australia to szósty co do wielkości kraj świata i największa wyspa — jedyna wyspa, która jest jednocześnie kontynentem, i jedyny kontynent będący jednocześnie państwem. Jest pierwszym i ostatnim kontynentem podbitym z morza. To również jedyne państwo, które zaczynało karierę jako więzienie.

Tutaj znajduje się największy żywy organizm na świecie, czyli Wielka Rafa Koralowa, oraz robiąca największe wrażenie, najbardziej znana skała świata, Ayers Rock (lub Uluru, by posłużyć się obecną, oficjalną aborygeńską nazwą). W żadnym innym miejscu na ziemi nie żyje tak wiele stworzeń, które mogą zabić. Dziesięć najbardziej jadowitych węży świata zamieszkuje właśnie Australię. Pięcioro zwierzęcych przedstawicieli tego kontynentu — pająk atraks, kubomeduza, ośmiornica prądkowana, kleszcz *Ixodes holocyclus* i ryba szkaradnica — należy w swoich kategoriach do najbardziej śmiertelnych dla człowieka. W tym kraju nawet urocza, mechata gąsienica może cię unieszkodliwić toksycznym ukłuciem, a muszle będą cię nie tylko parzyć, ale niekiedy także zaatakują. Podnieś niewinnie wyglądający stożek na plaży w Queenslandzie — jak mają to w zwyczaju wszyscy naiwni turyści — a przekonasz się, że mieszkający w środku osobnik jest nie tylko

zdumiewająco szybki i drażliwy, ale również wyjątkowo jadowity. Jeśli nie zostaniesz śmiertelnie ukąszony lub dźgnięty, możesz zostać schrupany przez rekiny albo krokodyle, porwany przez niepohamowane prądy morskie lub spalony na śmierć przez słońce pośród odludnych pustkowi. Australia nie jest krajem, w którym żyje się łatwo.

Piąty kontynent jest strasznie stary. Od 60 milionów lat, czyli od wypiętrzenia się Wielkich Gór Wododziałowych, Australia w gruncie rzeczy nie zmieniła się pod względem geologicznym, dzięki czemu jedne z najstarszych tworów na świecie miały szansę się zachować: prastare skały i skamieliny, najwcześniejsze ślady zwierzęce i koryta rzeczne, pierwsze przejawy życia. W jakimś nieokreślonym momencie bezmiaru jej przeszłości — może 45, a może 60 tysięcy lat temu, w każdym razie dużo wcześniej, nim w Europie i obu Amerykach pojawiły się istoty zbliżone do dzisiejszych ludzi — Australia została po cichu zajęta przez tajemniczy lud Aborygenów, którzy nie wykazują żadnego wyraźnego pokrewieństwa rasowego ani językowego z jakimikolwiek sąsiadami z tego regionu. Ich obecność na piątym kontynencie wyjaśnia jedynie następująca hipoteza: co najmniej 30 tysięcy lat przed resztą ludzkości zbudowali oni statki pełnomorskie, aby dokonać masowego exodusu, po czym zapomnieli wszystko, co wiedzieli na temat morza, włączając w to sam fakt jego istnienia.

Paradoks ten jest tak deprymujący i wyjątkowy, że wprawia historyków w głębokie zakłopotanie. Z reguły poświęcają mu oni zatem zaledwie parę akapitów, by natychmiast przejść do następnej inwazji — zdecydowanie łatwiejszej do wyjaśnienia, zapoczątkowanej przez kapitana Jamesa Cooka, którego dzielny stateczek HMS „Endeavour” w 1770 roku zawinął do Zatoki Botanicznej. Mniejsza o to, że kapitan Cook nie odkrył Australii, a w czasie tej wizyty nie był nawet jeszcze kapitanem. Dla większości ludzi, nie wyłączając większości Australijczyków, od tego zaczyna się cała historia.

Świat, w którym znaleźli się pierwsi Anglicy, był kompletnie postawiony na głowie — pory roku odwrócone, konstelacje do góry nogami — i nie przypominał niczego, co wcześniej wiedzieli, nawet na zbliżonych szerokościach

geograficznych Oceanu Spokojnego. Tamtejsze stworzenia sprawiały wrażenie, jakby źle przeczytały podręcznik ewolucji. Najbardziej charakterystyczne z nich nie biegały, kicały czy galopowały, lecz podskakiwały jak upuszczone na podłogę piłki. Na kontynencie wprost roiło się od zwierzęcych dziwolągów. Zamieszkiwała go ryba, która potrafiła wspinać się na drzewa, latający lis (a tak naprawdę bardzo duży nietoperz) czy tak wielkie skorupiaki, że dorosły człowiek mógł wejść do ich pancerza.

Krótko mówiąc, była to kraina, która nie przypominała żadnej innej na świecie. I nadal nie przypomina. Osiemdziesiąt procent australijskich gatunków roślin i zwierząt występuje tylko tam. Poza tym obfitość fauny i flory kontrastuje z nieprzychylnością środowiska naturalnego. Australia jest najbardziej suchym, płaskim, najgorętszym, najbardziej nieurodzajnym i klimatycznie agresywnym ze wszystkich zamieszkanym kontynentów — w mniejszym stopniu do życia nadaje się tylko Antarktyda. Jest krainą tak jałową, że nawet glebę, praktycznie rzecz biorąc, można uznać za skamielinę. A przecież roi się tam od niezliczonych żywych istot. Naukowcy nie potrafią ocenić, czy liczba gatunków należących do samego świata owadów wynosi sto tysięcy czy dwa razy więcej. Ponad jedna trzecia tych gatunków wciąż jest dla nauki całkowitą tajemnicą. W przypadku pająków proporcje te rosną do 80 procent.

Wspomniałem o owadach między innymi dlatego, że znam pewną historię o małym insekcie, noszącym nazwę *Nothomyrmecia macrops*. Sądzę, że doskonale — aczkolwiek pośrednio — ilustruje ona wyjątkowość piątego kontynentu. Historia jest nieco skomplikowana, ale całkiem niezła, więc proszę o cierpliwość.

W 1931 roku na Cape Arid w Australii Zachodniej przyrodnicy-amatorzy, wążając się po tych krzaczastych pustkowiach, natrafili na nieznanego wcześniej okaz owada. Trochę przypominał mrówkę, ale miał nietypowy, jasnożółty kolor i dziwne, wytrzeszczone, wyraziste oczy. Złapali kilka osobników, które trafiły na biurko fachowca z National Museum of Victoria w Melbourne. Człowiek ten nie miał problemu z natychmiastową identyfikacją owada: *Nothomyrmecia*. Odkrycie to wywołało sensację, ponieważ naukowcy sądzili, że od stu milionów lat podobne

stworzenia nie występują już na naszej planecie. *Nothomyrmecia* była pramrówką, żywym reliktem epoki, w której mrówki zaczęły wyodrębnić się od os. Był to entomologiczny odpowiednik odkrycia stada triceratopsów, pasących się na jakiejś odludnej łące.

Natychmiast zorganizowano ekspedycję badawczą, ale mimo bardzo skrupulatnych poszukiwań nie udało się znaleźć kolonii owadów na Cape Arid. Członkowie kolejnych wypraw także wracali z pustymi rękami. Prawie pół wieku później, kiedy rozeszła się informacja, że zespół amerykańskich naukowców planuje urządzać nowe polowanie na mrówkę — niewątpliwie z użyciem supernowoczesnych gadżetów, przy których australijski sprzęt przypominałby narzędzia z epoki kamienia łupanego — naukowcy z Canberry zapobiegawczo postanowili podjąć jeszcze jedną próbę odnalezienia tych przeklętych mrówek. Zorganizowali więc własną ekspedycję.

Drugiego dnia wyprawy, kiedy konwój jechał przez pustynię w Australii Południowej, jeden z pojazdów zaczął dymić i prychać, co zmusiło podróżników do urządzenia nieplanowanego postoju na noc w miejscowości Poochera. Wieczorem jeden z naukowców, Bob Taylor, wyszedł z namiotu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, i błądził światłem latarki po okolicznym terenie. Możecie sobie wyobrazić jego zaskoczenie, kiedy na pniu eukaliptusa, tuż koło obozowiska, zobaczył kolonię *Nothomyrmecia macrops*.

Spróbujmy obliczyć prawdopodobieństwo tego zdarzenia. Taylor i jego koledzy znajdowali się 1300 kilometrów od miejsca zaplanowanych poszukiwań. Na ośmiu milionach kilometrów kwadratowych pustyni, jaką jest Australia, jeden z przedstawicieli niewielkiej grupy mieszkańców świata, zdolnych dokonać takiej identyfikacji, znalazł jeden z najrzadszych i najbardziej poszukiwanych gatunków owada — owada widzianego dotychczas tylko raz, niemal pół wieku wcześniej. A wszystko dlatego, że furgonetka, którą podróżowali badacze, zepsuła się akurat w tej okolicy. Nawiasem mówiąc, w miejscu pierwotnego odkrycia *Nothomyrmecia* mrówek tych dotąd nie widziano.

Chyba rozumiecie, do czego zmierzam: Australia jest krajem zarazem

oszałamiająco pustym i rojącym się od różnych stworów. Stworów ciekawych, prastarych, zagadkowych. Stworów jeszcze nieodkrytych.

Uwierzcie mi: to jest interesujący kraj.

II

Za każdym razem, kiedy lecisz samolotem z Ameryki Północnej do Australii, w momencie przekraczania międzynarodowej linii zmiany daty zabierają ci jeden dzień z życia, nie pytając cię w tej kwestii o zdanie. Wyruszyłem z Los Angeles 3 stycznia i przybyłem do Sydney 14 godzin później, 5 stycznia. 4 stycznia mnie ominął. Szerokim łukiem. Nie mam pojęcia, gdzie się podział. Wiem tylko, że przez jedną dobę nie istniałem.

Delikatnie rzecz ujmując, trochę mnie to bulwersuje. No bo powiedzcie sami — gdybyście zobaczyli na bilecie lotniczym taki oto tekst: „Przypomina się pasażerom, że podczas niektórych lotów może nastąpić utrata dwudziestu czterech godzin istnienia” (na pewno tak by to sformułowali, sugerując, że to się zdarza tylko od czasu do czasu), to chyba domagalibyście się jakiegoś wyjaśnienia, prawda? Z drugiej strony świadomość, że utrata materialnego jestestwa ani trochę nie boli, niesie z sobą pewną metafizyczną pociechę. Trzeba też uczciwie przyznać, że oddają ci ten dzień podczas podróży powrotnej, kiedy przekraczasz międzynarodową linię zmiany daty w przeciwnym kierunku i przylatujesz do Los Angeles wcześniej, niż wyleciałeś z Sydney — jeszcze sprytniejszy numer.

Z grubsza rozumiem mechanizmy tego zjawiska. Zdaję sobie sprawę, że musi istnieć jakaś umowna linia, na której kończy się jeden dzień i zaczyna drugi, i że kiedy przekraczasz tę linię, zaczynają się dziać dziwne rzeczy z czasem. To jednak nie zmienia faktu, że podróż między Ameryką a Australią pozwala na przeżycie doświadczenia, które w żadnych innych okolicznościach nie byłoby możliwe. Choćbyś nie wiadomo jak intensywnie ćwiczył, koncentrował się, pilnował diety i pedałowal na rowerku, nigdy nie osiągniesz takiej formy fizycznej, żeby się zdematerializować na 24 godziny albo znaleźć się w salonie, zanim wyjdiesz

z kuchni.

Już samo przybycie do Australii rodzi więc pewne poczucie sukcesu — odczuwasz radość i zadowolenie z faktu, że wychodzisz z budynku terminalu na oślepiające słońce antypodów i uświadamiasz sobie, że wszystkie twoje atomy, zaginione przez ostatnią dobę, znalazły się na powrót w mniej więcej niezmiennym układzie (straciłeś jakieś ćwierć kilo komórek mózgowych, oglądając film akcji z Bruce'em Willisem). W takich okolicznościach człowiek może się tylko cieszyć, że jest gdziekolwiek. Fakt, że tym miejscem jest Australia, to dodatkowy bonus.

Tu pozwolę sobie wyznać, że kocham Australię, uwielbiam ten kraj, który za każdym razem na nowo mnie powala. Jedną z konsekwencji poświęcania mu tak niewielkiej uwagi jest nieustanne przyjemne zaskoczenie, że Australia w ogóle istnieje. Wszystkie stereotypy kulturowe i doświadczenia turystyczne mówią, że jeśli ktoś podróżuje taki kawał drogi, to na miejscu powinien zobaczyć ludzi na wielbłądach, nierozszyfrowywalne litery układające się w niezrozumiałe napisy, smagłych mężczyzn w turbanach pijących kawę z filiżanek wielkości naparstka i pykających z fajki wodnej, rozklekotane autobusy, dziury w drogach i mikroby przeskakujące na człowieka z wszystkiego, czego się dotknie. Nic z tych rzeczy. Australia jest superkomfortowa, czysta i znajoma. Poza tym, że wśród mężczyzn w pewnym wieku obserwuje się skłonność do noszenia podkolanówek do szortów, to ludzie są tacy sami jak my wszyscy. Cudowne uczucie. Upajające. Dlatego uwielbiam jeździć do Australii.

Istnieją oczywiście także inne powody i z radością je wyłuszczę: ludzie są niesamowicie sympatyczni, radośni, ekstrawertyczni, bystrzy i niezawodnie pomocni; miasta australijskie są bezpieczne, czyste i prawie zawsze zbudowane nad wodą; społeczeństwo jest zamożne, dobrze zorganizowane i przepojone duchem egalitaryzmu; jedzenie jest znakomite; piwo jest zimne; słońce świeci prawie zawsze; na każdym rogu można dostać kawę; Rupert Murdoch już tam nie mieszka. Czego jeszcze można chcieć od życia?

Była to moja piąta podróż, ale po raz pierwszy miałem zobaczyć prawdziwą

Australię — ogromne, spieczone słońcem wnętrze kraju, bezkresne pustkowie między wybrzeżami. Nigdy do końca nie rozumiałem, dlaczego kiedy ludzie namawiają cię, żebyś zobaczył ich „prawdziwy” kraj, zawsze wysyłają cię w bezludne regiony, w których nikt zdrowy na umyśle nie chciałby mieszkać, ale tak to już jest. Nie można powiedzieć, że ktoś był w Australii, jeśli nie przemierzył *outbacku*.

Na dodatek miałem to zrobić w najbardziej imponujący sposób z możliwych: legendarną koleją Indian Pacific z Sydney do Perth. Jej przyjemnie wijąca się trasa o długości czterech tysięcy kilometrów, obejmująca jedną trzecią kraju, przecina trzy stany: Nową Południową Walię, Australię Południową i Australię Zachodnią. Indian Pacific to królowa linii kolejowych na półkuli południowej. Z Sydney wspina się łagodnie przez Góry Błękitne, przemierza wielką krainę owiec pod bezkresnym niebem, jedzie wzdłuż rzeki Darling do doliny Murray, a nad Murray do Adelaide, przecina wielką nizinę Nullarbor, mija kopalnie złota koło Kalgoorlie, by wreszcie z sapnięciem stanąć na zasłużony odpoczynek w Perth. Najbardziej chciałem zobaczyć Nullarbor, ten niewyobrażalnie wielki kawał zabójczej półpustyni.

„Mail on Sunday” przygotowywał kolorowy dodatek o Australii i zgodziłem się skrobnąć dla nich reportaż. Od dawna planowałem napisać książkę o tym kraju, a dzięki propozycji gazety mogłem to zrobić w wyjątkowo komfortowych warunkach na cudzy koszt — dla mnie bomba. Pierwszy tydzień miałem spędzić w towarzystwie młodego angielskiego fotografa, Trevora Raya Harta, który podróżował z Londynu. Byliśmy umówieni następnego dnia rano.

Dysponowałem zatem jednym dniem wolności, co mnie niezmiernie cieszyło. Do tej pory w Sydney bywałem wyłącznie na promocjach swoich książek, toteż moja znajomość tego miasta ograniczała się jedynie do widoków z okien taksówek na takie nieopiewane przez poetów dzielnice, jak Ultimo i Annandale. Tylko raz, wiele lat wcześniej, podczas mojej pierwszej wizyty, miałem okazję zobaczyć kawałek prawdziwego Sydney, kiedy uroczy przedstawiciel handlowy mojego australijskiego wydawcy zabrał mnie na wycieczkę samochodem, razem ze swoją

żoną i dwiema córeczkami, ale totalnie się skompromitowałem i zasnąłem. Uwierzcie mi, nie wynikało to z niewdzięczności czy braku zainteresowania. Po prostu było bardzo ciepło, a ja dopiero co wysiadłem z samolotu. W pewnym momencie — de facto prawie natychmiast — skutki zmiany stref czasowych dały o sobie znać i zapadłem w śpiączkę.

Z żalem przyznaję, że nie należę do ludzi, którzy śpią dyskretnie i ujmująco. Jeśli ktoś zaśnie, ludzie na ogół przynoszą mu koc; ja wyglądam tak, jakbym potrzebował opieki lekarskiej. Ktoś obserwujący drzemkę w moim wykonaniu nabiera poważnego podejrzenia, że wstrzyknięto mi końską dawkę środka zwiotczającego mięśnie. Moje nogi groteskowo się rozłóżą, a dłonie zwisają jak u mały. Wszystkie wewnętrzne akcesoria — język, języczek, gazy jelitowe — postanawiają zobaczyć trochę świata. Od czasu do czasu, jak u zabawkowej kacuszki, moja głowa giba się do przodu i opróżnia kwaterkę lepkiej wydzieliny, a potem odskakuje do tyłu i zaczyna się hałaśliwie napełniać jak zbiornik spłuczki toaletowej. Poza tym głośno i nieprzyzwoicie chrapię, jak postać z kreskówki: moje nadmiernie elastyczne wargi trzepoczą i z furkotem wypuszczają obłoki pary. Następnie na kilka długich chwil staję się nienaturalnie cichy, co skłania obserwatorów do wymiany zatroskanych spojrzeń i dokonania oględzin pacjenta, po czym dramatycznie sztywnieję i po kolejnej zatrważającej pauzie zaczynam szarpać i miotać całym ciałem, co przypomina spazmy osoby siedzącej na krześle elektrycznym, po naciśnięciu guzika. Potem wydaję z siebie parę przejmujących, zniewieściałych wrzasków i budzę się, by stwierdzić, że w promieniu 150 metrów ustał wszelki ruch, a dzieci poniżej ósmego roku życia panicznie trzymają się spódnic swoich mam. Strasznie ciężkie brzemię.

Nie mam pojęcia, jak długo trwała moja sjesta w samochodzie, ale na pewno nie była to chwilka. Wiem tylko, że kiedy się ocknąłem, w aucie panowała ciężka cisza — z gatunku tych, które zapadają, kiedy usiłujesz pokazać największe atrakcje swego miasta bezwładnej górze mięsa wstrząsanej nieregularnymi konwulsjami.

Rozejrzałem się wokół siebie tępym wzrokiem, przez chwilę nie mając pewności, co to za ludzie, po czym odchrząknąłem i przyjąłem trochę bardziej

pionową pozycję.

— Pomyślałem, że może zjadłby pan obiad — zaryzykował kierowca łagodnym tonem, zobaczywszy, że na razie zrezygnowałem z planów zalania jego pojazdu śliną.

— Byłoby bardzo miło — powiedziałem nikłym głosem upodlenia i w tym samym momencie odkryłem ze zgrozą, że kiedy spałem, dwustukilowa mucha skorzystała z okazji i mnie obrzygała.

Pragnąc odwrócić uwagę od mojej nienaturalnie lśniącej osoby, a jednocześnie dać świadectwo zainteresowania zwiedzaniem miasta, dodałem trochę pogodniejszym tonem:

— Czy dalej jesteśmy w Neutral Bay?

Rozległo się parsknięcie z gatunku tych, które emitujemy, kiedy jakiś napój zaleje nam nagłośnię. Potem, z wystudiowaną precyzją, wyjaśniono mi:

— Nie, to są Dover Heights. Neutral Bay była — tu mikrosekundowa pauza dla podkreślenia, że chodzi o niebagatelny okres — jakiś czas temu.

— Aha — zrobiłem poważną minę, aby wyrazić zdziwienie, że zmarnotrawiliśmy tyle czasu.

— Dosyć dawno.

— Naprawdę?

W milczeniu dojechaliśmy do restauracji. Popołudnie było bardziej udane. Jedliśmy w jednej z tych restauracji rybnych, których jest mnóstwo przy deptaku Watsons Bay, a potem poszliśmy popatrzeć na Pacyfik z wyniosłych, poszarpanych przez fale skał nad wejściem do portu. W drodze powrotnej mieliśmy wspaniałe widoki na niepodważalnie najpiękniejszy port świata: błękitna woda, sunące po niej żaglówki, żelazny łuk Harbour Bridge w oddali i przycupnięta obok niego opera. W gruncie rzeczy nadal jednak nie widziałem Sydney, a następnego dnia pojechałem do Melbourne.

Jak można sobie zatem wyobrazić, bardzo mi teraz zależało na nadrobieniu tych zaległości. Sydneysiders, bo tak osobliwie nazywają się mieszkańcy tego miasta, dyszą niepoohamowanym pragnieniem pokazania go gościom, więc znowu

zaoferowano mi usługi przewodnika. A raczej przewodniczki w osobie Deirdre Macken, uśmiechniętej i do rany przyłoż dziennikarki „Sydney Morning Herald”. Na spotkanie w moim hotelu Deirdre przysła z młodym fotografem Glennem Huntem i wyruszyliśmy pieszo do Museum of Sydney, niedawno powstałej eleganckiej placówki, która sprawia wrażenie interesującej i edukacyjnej, chociaż żadnego z tych przymiotów nie posiada. Człowiek patrzy na artystycznie niedoświetlone eksponaty — gablotę z zabytkami po pierwszych imigrantach, salę wytapetowaną stronami popularnych czasopism z lat pięćdziesiątych XX wieku — nie mając pewności, co z tego wszystkiego wynika. Wypiliśmy jednak bardzo dobrą latte w muzealnej kafeterii, gdzie Deirdre przedstawiła napięty program dnia.

Za chwilę pomaszerujemy na Circular Quay i wsiądziemy na prom, który przewiezie nas na przystanek Taronga Zoo po drugiej stronie zatoki. Nie zwiedzimy ogrodu zoologicznego, lecz zrobimy sobie wycieczkę pieszą po Little Sirius Cove, a następnie przez soczyście zielone wzgórza Cremorne Point udamy się do domu Deirdre, skąd zabierzemy ręczniki i boogie-boards, by pojechać samochodem do Manly, plażowego przedmieścia nad Pacyfikiem. W Manly coś przekąsimy, potem urządzimy sobie wzmacniającą mięśnie sesję boogie-boardingu, wytrzymamy się i...

— Przepraszam, że przerywam — przerwałem — ale co to jest boogie-boarding?

— O, to świetna zabawa. Będziesz zachwycony — rzuciła entuzjastycznie, ale dosyć ogólnikowo.

— Tak, ale co to jest?

— Sport wodny. Ubaw po pachy. Prawda, że ubaw po pachy, Glenn?

— Po pachy — potwierdził Glenn, który, jak wszyscy ludzie niemuszący płacić za kliszę z własnej kieszeni, trząsał zdjęciem za zdjęciem. „Klik, klik, klik”, śpiewał jego aparat, robiąc trzy szybkie i absolutnie identyczne zdjęcia Deirdre i mnie zatopionych w rozmowie.

— Ale na czym to dokładnie polega? — naciskałem.

— Bierze się taką jakby miniaturową deskę surfingową i wypływa w morze, gdzie łapie się wysoką falę i jedzie na niej z powrotem do brzegu. To łatwe,

spodoba ci się.

— A co z rekinami? — spytałem zaniepokojony.

— E, tu prawie nie ma rekinów. Glenn, kiedy ostatni raz rekin kogoś zabił?

— Wieki temu — rzucił Glenn i zaczął się zastanawiać. — Co najmniej dwa miesiące.

— Dwa miesiące? — pisałem.

— Co najmniej. Rekiny są zdecydowanie przeceniane jako zagrożenie — dodał Glenn. — Zdecydowanie. Najprędzej dopadnie cię rip — stwierdził i powrócił do trzaskania zdjęć.

— Rip?

— Podwodny prąd, który płynie ukośnie do wybrzeża i czasem porywa ludzi na morze — wyjaśniła Deirdre. — Ale nie martw się, tobie nic nie grozi.

— Czemu?

— Bo będziemy nad tobą czuwali.

Z anielskim uśmiechem dopiła kawę i przypominała nam, że trzeba ruszać.

Trzy godziny później, po zrealizowaniu pozostałych punktów programu, staliśmy na Freshwater Beach, plaży w odludnym miejscu koło Manly. Zatokę w kształcie litery U, otoczoną niskimi, krzaczastymi zaroślami, obmywały potwornie wielkie fale, napływające z gigantycznego morza, które najwyraźniej było w złym humorze. Na średnim planie kilku śmiałków w kombinezonach nurków surfowało w stronę pianistych rozbryzgów na skalistym cyplu. Trochę bliżej grupa pływaków była nieustannie maltretowana przez wybuchowe fale, co sprawiało im widoczną radość.

Poganiani przez Deirdre, która nie mogła się doczekać, kiedy wejdzie do tego słonego wywaru, zaczęliśmy się rozbierać — powoli i z namaszczeniem w moim przypadku, w jej przypadku z entuzjazmem — do kostiumów kąpielowych, które kazała nam wcześniej włożyć pod ubranie.

— Jeśli porwie cię rip, cały numer polega na tym, żeby nie panikować — mówiła Deirdre.

Spojrzałem na nią.

— Chcesz mi powiedzieć, żebym utopił się spokojnie?

— Nie, nie, tylko żebyś nie tracił głowy. Nie próbuj płynąć pod prąd, tylko w poprzek. A jeśli nie będziesz dawał sobie rady, pomachaj tak ręką — wykonała zamaszysty ruch, który tylko Australijczyk mógłby uznać za odpowiedni sygnał ze strony pływaka bliskiego utonięcia — i czekaj na przybycie ratownika.

— A jeśli ratownik mnie nie zobaczy?

— Zobaczy cię.

— A jeśli nie?

Ale Deirdre wchodziła już do wody z boogie-board pod pachą.

Wstydliwie upuściłem koszulę na piasek i stałem goły, nie licząc obciachowych kąpielówek. Glenn, który nigdy nie widział na australijskiej plaży tak idiotycznego i osobliwego stworzenia — a jeśli widział, to nie przeżyło — chwycił za kamerę i zaczął robić zbliżenia mojego brzucha. „Klik! Klik! Klik!”, śpiewał radośnie aparat, kiedy Glenn wchodził za mną do wody.

Zróbmy w tym miejscu krótką przerwę na dwie historie.

W 1935 roku, niedaleko miejsca, w którym się teraz znajdowaliśmy, rybacy złapali czterometrowego rekina i przetransportowali go do akwarium w Coogee, gdzie został wystawiony na widok publiczny. Rekin pływał sobie przez parę dni po swoim nowym domu, a potem, ku niemałemu zdziwieniu widzów, zwrócił ludzkie ramię. Kiedy poprzedni raz widziano to ramię, było ono przytwierdzone do młodego człowieka nazwiskiem Jimmy Smith, który — jestem o tym przekonany — zasygnalizował jego utratę przeciągłym, zamaszystym ruchem.

Historia druga. Trzy lata później, w słoneczne i bezwietrzne niedzielne popołudnie w Bondi Beach, również niedaleko od miejsca, w którym się obecnie znajdowaliśmy, zupełnie znikąd pojawiły się cztery gigantyczne, ośmiometrowe fale. Prąd powrotny porwał ponad 200 osób. Na szczęście tego dnia na służbie było 50 ratowników, którzy zdołali ocalić wszystkich z wyjątkiem 6 osób. Mam świadomość, że chodzi o wydarzenia sprzed wielu lat, ale dla mnie nie ma to znaczenia: uparcie powtarzam, że ocean jest zdrażliwy.

Z westchnieniem poczłapałem do jasnozielonej wody upstrzonej kremowymi cętkami. Zatoka była zaskakująco płytka, po 30 metrach woda sięgała mi tylko trochę powyżej kolan. Z drugiej strony był tam niezwykle mocny prąd — na tyle silny, aby przewrócić człowieka, który nie zachował czujności. Piętnaście metrów dalej, gdzie woda sięgała nam do pasa, przełamywały się fale. Jeśli odliczyć kilka godzin w lagunowatych wodach hiszpańskiego Costa del Sol i skoku do lodowatej wody w Maine, którego natychmiast pożałowałem, nie miałem żadnych doświadczeń z morzem i konfrontacja ze zwałami słonej wody całkowicie mnie rozstroiła. Deirdre piszczała z radości.

Potem mi pokazała, jak się obsługuje boogie-board. Zasada była obiecująco prosta. Kiedy przyszła fala, Deirdre wskoczyła na deskę i przejechała kilkadziesiąt metrów na grzbiecie fali. Potem Glenn dał popis i ślizgnął się jeszcze dalej. Owszem, wyglądało to na niezły ubaw. I nie sprawiało wrażenia zbyt trudnego. Zaczęło mnie kusić, żeby spróbować.

Ustawiłem się do pierwszej fali, wskoczyłem na deskę i poszedłem na dno jak kloc.

— Jak to zrobiłeś? — spytał zaintrygowany Glenn.

— Nie mam pojęcia.

Powtórzyłem całą operację z takim samym wynikiem.

— Zdumiewające — rzucił.

Przez następne pół godziny pozostała dwójka obserwowała, najpierw z dyskretnym ubawieniem, potem z osłupieniem, a na końcu ze współczuciem, jak znikam pod falami i jestem wleczony po dnie oceanu na obszarze zbliżonym pod względem powierzchni do hrabstwa Polk w stanie Iowa. W nieregularnych, ale długich odstępach czasu wynurzałem się zdyszany i zdezorientowany, w odległości od metra do dwóch kilometrów od brzegu, po czym natychmiast porywała mnie następna fala. Po kilku moich próbach wszyscy plażowicze wstali i zaczęli robić zakłady. Panowała powszechna opinia, że moje poczynania naruszają prawa fizyki.

Z mojego punktu widzenia każda podwodna przygoda była mniej więcej identyczna. Pracowicie usiłowałem powtórzyć zgrabne, kopiające ruchy nóg, które

pokazała mi Deirdre, i nie zwracać uwagi na fakt, że głównie tonę, nie posuwając się do przodu. Nie dysponując żadnymi kryteriami porównawczymi, sądziłem, że radzę sobie całkiem nieźle, ale nie będę udawał, że dobrze się bawiłem. Nie potrafię zrozumieć, jak można się dobrze bawić w tak bezlitosnym żywiole jak woda. Pogodziłem się jednak ze swoim losem, bo wiedziałem, że te męki prędzej czy później się skończą.

Byłem zatopiony w moim małym świecie — być może z powodu niedotlenienia — kiedy Deirdre chwyciła mnie za ramię, uniemożliwiając mi kolejnego nurka, i powiedziała chrapliwym tonem:

— Uwaga! Niebieszczak!

Na twarzy Glenna pojawił się wyraz zaniepokojenia:

— Gdzie?

— Co to jest niebieszczak? — spytałem przerażony odkryciem, że istnieje jeszcze jedno niebezpieczeństwo, o którym nie zostałem poinformowany.

— Aretuza — wyjaśniła i wskazała na małą meduzę. Jak się później dowiedziałem z grubej książki, zatytułowanej, jeśli mnie pamięć nie myli, *Wszystko, co może cię przyprawić w Australii o makabryczną śmierć*, tom 19, rzeczona meduza w innych krajach świata jest nazywana żeglarzem portugalskim. Przyjrzałem się jej uważnie, kiedy koło nas dryfowała: wyglądała dosyć niewinnie, jak niebieska prezerwatywa z tasiemkami.

— Czy ona jest niebezpieczna?

Zanim przekażę wam odpowiedź udzieloną osobie wystraszonej, ciężko poharatanej, dygoczącej, prawie gołej i podtopionej, pozwolę sobie zacytować artykuł Deirdre, który ukazał się trochę później w „Heraldzie”:

Kiedy fotograf robi zdjęcia, rip ciągnie Brysona i jego boogie-board czterdzieści metrów od plaży. Rip przybrzeżny płynie z południa na północ, w odróżnieniu od dalszego, ukierunkowanego odwrotnie. Bryson o tym nie wie. Nie przeczytał tablicy ostrzegawczej na brzegu¹. Nic nie wie o niesionej w jego stronę aretuzie — znajdującej się teraz nie więcej

niż metr od niego — gotowej go oparzyć i zadać mu dwadzieścia minut straszego, piekącego bólu i, być może, wywołać reakcję alergiczną, której skutki będzie do końca życia nosił na torsie.

— Niebezpieczna? Nie — odparła Deirdre. — Ale nie otrzyj się o nią.

— Czemu?

— To może być trochę niemiłe.

Spojrzałem na nią z zainteresowaniem graniczącym z podziwem. Długie podróże autobusem są niemiłe. Niemiłe jest wejście do zimnej wody. Niemiłe jest uderzenie w coś łokciem. Oparzenie przez żeglarza portugalskiego — nawet w Iowa o tym wiedzą — to czysta tortura. Zrozumiałem, że Australijczycy osaczeni przez różne zagrożenia musieli stworzyć nowy słownik, aby móc o nich mówić.

— Hej, jeszcze jedna! — zawołał Glenn.

Patrzyliśmy, jak przepływa obok nas. Deirdre wodziła wzrokiem dokoła.

— Czasem przyplływają grupami — powiedziała. — Może nie od rzeczy byłoby wyjść z wody.

Nie musiała mi tego dwa razy powtarzać.

Była jeszcze jedna rzecz, którą według Deirdre powinienem zobaczyć, aby zrozumieć australijski model życia i kulturę. Pod wieczór zatem, kiedy niebo się zaróżowiło, pojechaliśmy przez rozmigotane zachodnie przedmieścia Sydney prawie na skraj Gór Błękitnych do miejscowości Penrith. Celem naszej wyprawy był ogromny prostokątny budynek otoczony jeszcze większym i zatłoczonym parkingiem. Świeący napis informował, że mamy przed sobą Świat Rozrywki Penrith Panthers — Penrith Panthers to pierwszoligowy klub rugby, wyjaśnił mi Glenn.

Australia to kraj klubów — sportowych, robotniczych, kombatanckich, afiliowanych przy różnych partiach politycznych — które nominalnie, a czasem faktycznie działają dla dobra różnych segmentów społeczeństwa. Tak naprawdę istnieją jednak po to, żeby zarabiać kolosalne pieniądze z dwóch podstawowych źródeł: sprzedaży alkoholu i hazardu.

Czytałem w gazecie, że Australijczycy są największymi hazardzistami na kuli ziemskiej, z czym wiąże się pewna statystyczna ciekawostka: kraj, w którym mieszka mniej niż jeden procent ludności świata, jest w posiadaniu ponad 20 procent automatów do gry. Australijczycy wydają rocznie na gry hazardowe 11 miliardów dolarów (australijskich²), czyli dwa tysiące dolarów na osobę. Nie widziałem jednak niczego, co by świadczyło o tak ryzykownych pasjach, dopóki nie znalazłem się w Świecie Rozrywki. Był gigantyczny, olśniewający i nieprawdopodobnie dobrze wyposażony. Kluby odgrywają istotną rolę w australijskiej gospodarce. W samej Nowej Południowej Walii zatrudniają 65 tysięcy osób, najwięcej ze wszystkich branż, a pośrednio dają pracę jeszcze 250 tysiącom ludzi. Płacą ponad 2 miliardy dolarów pensji i odprowadzają 500 milionów dolarów podatków. Ten wielki biznes opiera się przede wszystkim na automatach, potocznie zwanych *pokie*.

Sądziłem, że wpuszczenie mnie będzie wymagało nagięcia przepisów — w końcu chodziło o klub — ale okazało się, że wszystkie australijskie kluby każdemu przyznają przywilej członkostwa w trybie natychmiastowym, nie chcąc nikomu zagradzać drogi do rozkoszy zabawy na automatach. Podpisujesz przy drzwiach tymczasową kartę członkowską i wchodzisz.

Po tłumie wyrozumiałym i pogodnym wzrokiem wodził człowiek, którego identyfikator głosił, że jest to Peter Hutton, szef zmiany. Jak prawie wszyscy Australijczycy był kontaktowy i życzliwie usposobiony wobec świata. Szybko się od niego dowiedziałem, że jego klub liczy 60 tysięcy członków, a przy szczególnych okazjach, takich jak sylwester, przychodzi ich 20 tysięcy naraz. Tamtego wieczoru liczba gości była bardziej zbliżona do dwóch tysięcy. Na terenie klubu znajdowały się niezliczone bary i restauracje, hale sportowe, plac zabaw dla dzieci, nocne kluby i teatry. Właśnie przygotowywali się do budowy kina z 13 salami i żłobka dla 400 dzieci.

— Rany — powiedziałem, bo byłem pod wielkim wrażeniem. — To na pewno jest największy klub w Sydney.

— Największy na półkuli południowej — odparł z dumą pan Hutton.

Weszliśmy do gigantycznego, rozmigotanego kompleksu. Setki pokies stały w rzędach i przed prawie każdym z nich siedziała na stołku skoncentrowana osoba, która wrzucała do środka pieniądze przeznaczone na następną ratę kredytu hipotecznego. Niby są to zwykłe maszyny wrzutowe, ale wyposażone w mnóstwo podświetlonych guzików, które pozwalają wybrać rozmaite opcje: przytrzymać jakąś linię, podwoić stawkę, odebrać część wygranej i diabeł wie, co jeszcze. Z dyskretnego oddalenia przyglądałem się kilku graczom, ale za nic nie mogłem zrozumieć, co oni robią, poza tym, że wrzucali monety do podświetlonej szpary i mieli smętne miny. Deirdre i Glenn również nie byli wtajemniczeni w zawilóści pokies. Wrzuciliśmy dwudolarówkę, żeby zobaczyć, co się stanie, i maszyna natychmiast wypłaciła nam siedemnaście dolarów. Szaleliśmy z radości.

Wróciłem do hotelu jak dziecko, które spędziło cały dzień w wesołym miasteczku — zmęczony, ale przeszczęśliwy. Przeżyłem śmiertelne niebezpieczeństwo na morzu, byłem w klubowym pałacu, przyczyniłem się do w piętnastodolarowej wygranej i zaprzyjaźniłem się z dwiema nowymi osobami. Nie mogę powiedzieć, że znałem Sydney dużo lepiej niż wcześniej, ale mogłem odłożyć to na później. Na razie czekał mnie sen, a rano pociąg.

Rozdział drugi

Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że australijski *outback* mi się spodoba, kiedy przeczytałem, że Pustynia Simpsona, obszar większy od wielu krajów europejskich, została tak nazwana w 1932 roku³ na cześć producenta pralek, Alfreda Simpsona, który sfinansował badania topograficzne z powietrza. Wzruszył mnie nie tyle prozaiczny charakter zajęcia uhonorowanej osoby, ile wiadomość, że obszar dziewięć razy większy od Belgii jeszcze 70 lat temu nie miał nazwy. Niektórzy członkowie mojej rodziny mają imię dłużej niż Pustynia Simpsona swoją nazwę.

Na tym właśnie polega cały problem z *outbackiem*: są to tereny tak ogromne i niegościnnie, że nadal pozostają w dużej części niezbadane. Słynnej Ayers Rock — obecnie Uluru — nieco ponad sto lat temu nie widział nikt oprócz aborygeńskich strażników tej skały. Nie da się nawet dokładnie powiedzieć, gdzie jest *outback*. Dla Australijczyków wszystko, co ogólnie wiejskie, klasyfikuje się jako busz. W pewnym nieokreślonym punkcie busz przechodzi w *outback*. Wal dalej jakieś trzy tysiące kilometrów, a dotrzesz znowu do buszu, potem do miasta, a później do morza. I przebyłeś całą Australię.

W towarzystwie fotografa Trevora Raya Harta, sympatycznego młodego człowieka w szortach i spranym T-shircie, pojechałem więc taksówką na Dworzec Główny w Sydney, okazały, ceglany kloc przy Elizabeth Street. Tam, pod nobliwymi, słabo oświetlonymi sklepieniami, czekał na nas pociąg.

Ciągnąc się na pół kilometra wzdłuż zakrzywionego peronu, Indian Pacific posiadał wszystkie cechy obiecywane w broszurze reklamowej: srebrzyście elegancki, błyszczący niby nowa pięciocentówka, buczący radośnie jak każda potężna maszyna przed długą podróżą i związaną z nią perspektywą nadchodzącej przygody. Wagon G, jeden z siedemnastu w składzie, znajdował się pod opieką pogodnego konduktora imieniem Terry, który zapewniał niemałą dozę lokalnego kolorytu, uzupełniając każdą uwagę optymistycznym australijskim zwrotem.

Potrzebujesz szklanki wody?

— *No worries, mate!* Nie ma problemu, stary! Zadzieram kiecę i lecę!

Właśnie dostałeś informację o śmierci twojej matki?

— *No worries, mate!* Użyźni glebę.

Zaprowadził nas do naszych jednoosobowych przedziałów sypialnych po dwóch stronach wąskiego korytarza z boazerią. Przedziały były niewiarygodnie małe — tak małe, że schylenie się groziło zaklinowaniem.

— To już wszystko? — zapytałem odrobinę zdeprimowany. — Nie zabrali kawałka?

— *No worries* — odparł Terry z promiennym uśmiechem. — Ciasnawa, ale ma wszystko, czego panu potrzeba, zobaczy pan.

I miał rację: było tam wszystko, czego człowiek potrzebuje w lokalu mieszkalnym. Przedział był po prostu bardzo zwarty, niewiele większy od typowej szafy ubraniowej, ale stanowił również cud ergonomii kolejowej. Miał chowane w ścianie wygodne siedzenie, dyskretnie ukryty kibelek z umywalką, miniaturową szafkę kuchenną, półkę, na którą można było wsunąć bardzo małą walizkę, dwie lampki do czytania, dwa czyste ręczniki i minisaszетkę z szamponem i mydłem. W ścianie schowane było wąskie odchylane łóżko, które nie tyle się odchyłało, ile spadało jak upchnięty w pośpiechu trup, o czym się przekonałem — zapewne podobnie jak wielu nieroztropnych pasażerów z zacięciem eksperymentalnym — kiedy po długiej chwili zdezorientowanego wpatrywania się w ową ścianę zadałem sobie pytanie: „Zaraz, ciekawe, co się za nią kryje?”. W każdym razie była to przyjemna niespodzianka, a uwalnianie rozmaitych wypukłości mojej twarzy z gąszczu sprężyn pozwoliło mi się nie nudzić przez ostatnie pół godziny przed odjazdem pociągu.

Aż wreszcie pociąg zbudził się do życia z serią głuchych wibracji i dostojnie opuścił dworzec w Sydney. Ruszyliśmy w drogę.

Potraktowana jednoetapowo podróż Sydney–Perth zajmuje trzy dni. Nam zlecono jednak wysiąść w starym miasteczku górniczym Broken Hill, aby zakosztować *outbacku* i sprawdzić, co nas tam pogryzie. Dla mnie i Trevora podróż

koleją miała się składać z dwóch części: nocny przejazd do Broken Hill, a potem dwa dni przez Nullarbor. Pociąg telepał się przez bezkresne zachodnie przedmieścia Sydney — Flemington, Auburn, Parramatta, Doonside i Rooty Hill — a potem trochę przyspieszył, kiedy wjechaliśmy w Góry Błękitne. Domów było tu mniej i mogliśmy się napawać późnopołudniowymi widokami na doliny o stromych zboczach i spowite mgiełką lasy eukaliptusowe, od których sinych wyziewów góry wzięły swoją nazwę.

Poszedłem spenetrować pociąg. Nasze królestwo, pierwsza klasa, składało się z pięciu wagonów sypialnych, wagonu restauracyjnego w pluszowo-aksamitnym stylu „à la secesyjny burdel” i trochę bardziej współcześnie urządzonego baru. W tym ostatnim podróżni mieli do dyspozycji wygodne fotele, na oko obiecujący kontuar i głośniki, z których dyskretnie, acz z żelazną konsekwencją płynęła kompilacja muzyczna, zatytułowana *Piosenki, których miałeś nadzieję już nigdy nie usłyszeć*. Kiedy przechodziłem przez bar, akurat leciał smętny duet z *Upiora w operze*.

Za pierwszą klasą znajdowała się trochę tańsza klasa turystyczna, która nie różniła się zasadniczo od naszej, nie licząc wagonu restauracyjnego, będącego czymś w rodzaju kafeterii z plastikowymi stolikami bez obrusów (po tutejszej klienteli najwyraźniej trzeba było wycierać stoły szmatą). Klasę turystyczną kończyły zamknięte na klucz drzwi bez okna.

— Co jest za tymi drzwiami? — zapytałem dziewczynę z kafeterii.

— Klasa ekonomiczna — powiedziała z dreszczem zgrozy.

— Drzwi są zawsze zamknięte?

— Zawsze. — Skinęła głową z powagą.

Klasa ekonomiczna stałaby się moją obsesją, nadeszła jednak pora kolacji. Głośnik obwieścił, że zaczyna się pierwsza tura. Ethel Merman wrzeszczała *There's no business like show business*, kiedy wracałem przez bar w pierwszej klasie. Mówcie, co chcecie, ale płuca to ona miała.

Mimo starannie pielęgnowanych pozorów nobliwości Indian Pacific jest

w historii kolei właściwie dziecięciem, ponieważ zbudowano ją dopiero w 1970 roku, kiedy przez cały kraj pociągnięto linię o standardowym rozstawie szyn. Wcześniej, z różnych skomplikowanych powodów, mającymi pewien związek z międzyregionalną nieufnością i zawiścią, australijskie spółki kolejowe stosowały różne rozstawy. W Nowej Południowej Walii były to 4 stopy 8,5 cala, Wiktoriana wybrała wygodniejsze 5 stóp 3 cale, a Queensland i Australia Zachodnia oszczędnie zdecydowały się na 3 stopy i 6 cali, czyli mniej więcej tyle, ile mają kolejki w naszych wesołych miasteczkach (podejrzewam, że pasażerowie wystawiali nogi za okno). Południowa Australia wykazała najwięcej fantazji i miała wszystkie trzy szerokości torów. Podczas jednej podróży ze wschodniego wybrzeża na zachodnie lub na odwrót pasażerów i towary trzeba było pięć razy przeładowywać z pociągu do pociągu — idiotyczna i męcząca operacja. W końcu zwyciężył zdrowy rozsądek i zbudowano zupełnie nową linię, drugą co do długości na świecie po transsyberyjskiej.

Wiem to wszystko, ponieważ Trevor i ja siedzieliśmy przy kolacji ze spokojnym małżeństwem nauczycieli z północnego Queenslandu, Keithem i Daphne. Przy ich nauczycielskich pensjach wyprawa stanowiła dla nich poważny wydatek, toteż Keith dobrze się przygotował od strony merytorycznej. Z zachwytem mówił o pociągu, krajobrazie, niedawnych pożarach buszu — przejeżdżaliśmy przez Lightgow, gdzie w ostatnim czasie spłonęły setki hektarów buszu i dwóch strażaków straciło życie — ale kiedy spytałem o Aborygenów (na tapecie był temat reformy rolnej), nagle zrobił się wymijający i nerwowy.

— To jest problem — powiedział ze wzrokiem utkwionym w talerzu.

— W szkole, w której uczę — zaryzykowała nieśmiało Daphne — aborygeńscy rodzice, no... biorą zasiłek, przepijają te pieniądze i znikają w buszu. A nauczyciele muszą, no... karmić ich dzieci. Z własnej kieszeni. Inaczej dzieci nie miałyby co jeść.

— To jest problem — powtórzył Keith, nadal wpatrzony w swoje jedzenie.

— Ale tak naprawdę to są cudowni ludzie — dodała Daphne. — W każdym razie kiedy nie piją.

Rozmowy nie udało się już zreanimować.

Po kolacji Trevor i ja wypuściliśmy się do wagonu barowego. Trevor podszedł do kontuaru zamówić coś do picia, a ja zagłębiłem się w fotelu i podziwiałem krajobraz o zmierzchu. Przejeżdżaliśmy przez region rolniczy, trochę jałowy. Tło muzyczne, jak zauważyłem z pewnym zainteresowaniem, uległo zmianie: *Melanż waszych ulubionych piosenek music-hallowych* został wyparty przez *Balangę w domu starców*.

— Ciekawy wybór muzyki — rzuciłem ironicznie do pary młodych ludzi naprzeciwko mnie.

— Tak, cudowna! — odparli jednym, entuzjastycznym głosem.

Z najwyższym trudem stłumiwszy w sobie krzyk, zwróciłem się do mężczyzny siedzącego obok mnie, na oko wykształconego starszego pana, który miał na sobie garnitur, co odróżniało go od reszty pasażerów, ubranych na sportowo. Gawędziliśmy o tym i owym. Mój rozmówca okazał się emerytowanym adwokatem z Canberry, który jechał odwiedzić syna w Perth. Sprawiał wrażenie rozsądnego i przenikliwego, więc konfidencyjnym tonem zrelacjonowałem mu moją zaskakującą rozmowę z nauczycielami z Queensland.

— Ach, Aborygeni... — westchnął, kiwając z powagą głową. — Wielki problem.

— Takie odniosłem wrażenie.

— Należałoby ich wszystkich powywieszać.

Spojrzałem na niego zbulwersowany: wyglądał na bliskiego apopleksji.

— Co do jednego! — powiedział z drżącą szczęką, wstał i oddalił się bez słowa.

Aborygeni to temat, który powinienem zbadać, powiedziałem sobie. Postanowiłem jednak, że zanim to zrobię, będę się trzymał w rozmowach tematów ogólnych, takich jak pogoda, krajobraz czy piosenki music-hallowe.

W porównaniu z pokojem hotelowym pociąg ma jedną, wielką, choć oczywistą przewagę, a mianowicie, że widok nieustannie się zmienia. Rano obudziłem się w innym świecie: czerwona ziemia, krzaczasta roślinność, bezkresne niebo

i nieprzerwany horyzont, tu i ówdzie urozmaicony przez drzewo eukaliptusowe. Kiedy mętym wzrokiem patrzyłem przez okno z mojego wąskiego łóżka, przed oczyma przemknęły mi dwa spłoszone przez pociąg kangury. Bardzo ekscytująca chwila. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości: naprawdę jesteśmy w Australii!

Przyjechaliśmy do Broken Hill parę minut po ósmej i, wciąż trochę zaspani, wysiedliśmy z pociągu. W powietrzu unosił się duszący upał — gorąco z gatunku tych, które uderzają cię w twarz, kiedy otwierasz piekarnik, żeby sprawdzić, czy indyk już się upiekł. Na peronie czekała na nas Sonja Stubing, urocza młoda kobieta z biura turystycznego. Wysłano ją, żeby nas odebrała i zaprowadziła do wypożyczalni po samochód, którym mieliśmy poruszać się po *outbacku*.

— Jakie są tutaj najwyższe temperatury? — spytałem zdyszany.

— Rekord wynosi czterdzieści osiem stopni.

Potrzebowałem chwili namysłu.

— To będzie sto osiemnaście stopni Fahrenheita! — wykrzyknąłem.

Skinęła po stoicku głową.

— Wczoraj były czterdzieści dwa stopnie.

Kolejne szybkie przeliczenie: sto siedem stopni.

— Bardzo gorąco!

— Tak. Za gorąco — przyznała.

Broken Hill to urocza miejscowość: czysta, schludna, z atmosferą optymistycznej zamożności. Niestety nie tego szukaliśmy. Chcieliśmy prawdziwego *outbacku*: miejsca, gdzie ludzie i owce czują się nieswojo. W Broken Hill były kawiarnie, księgarnia, agencje turystyczne proponujące wspaniałe wakacje na Bali i w Singapurze. W domu kultury wystawiali nawet sztukę Noëla Cowarda. To nie był *outback*, tylko wymarzone prowincjonalne miasteczko z termostatem ustawionym na maksimum.

Perspektywy zrobiły się nieco bardziej obiecujące, kiedy przyszliśmy do wypożyczalni Len Vodice po terenówkę, która miała nas zabrać na dwudniową wycieczkę po spieczonym słońcem pustyni. Len, właściciel zakładu, był żyłastym starszym panem, energicznym i przyjaznym, który sprawiał takie wrażenie, jakby

każdy dzień swojego życia poświęcił ciężkiej pracy na łonie natury. Wskoczył za kierownicę i udzielił nam jednego z tych szybkich i precyzyjnych instruktaży przeznaczonych dla ludzi inteligentnych i kompetentnych. Deska rozdzielcza zawierała oszałamiającą gamę zegarów, dźwigni, gałek, wskaźników i przełączników.

— Dobra, a teraz założmy, że zakopaliście się w piachu i musicie zwiększyć dyferencjał z prawej strony — mówił Len w jednej z tych rzadkich chwil, gdy udawało mi się za nim nadążyć. — Popychacie tę dźwignię do przodu, żeby wybrać ustawienie dyferencjału pomiędzy dwanaście a dwadzieścia siedem. Potem podnosicie lotki i włączacie dwa silniki odrzutowe — ale nie lewe! To bardzo ważne. Cały czas obserwujcie wskaźniki i nie przekroczcie stu osiemdziesięciu stopni w komorze spalania, bo trzaśnie i rozkraczycie się na pustyni.

Wysiadł i przekazał nam kluczyki.

— Z tyłu jest dwadzieścia pięć litrów dodatkowej ropy. Powinno wystarczyć, gdyby coś poszło nie tak. — Przyjrzał nam się ponownie, tym razem uważniej. — Dołożę wam jeszcze trochę.

— Zrozumiałeś coś z tego? — szepnąłem do Trevora, gdy nasz instruktor zaczął się oddalać.

— Tylko do momentu, w którym wkłada się kluczyk do stacyjki.

Zawołałem za Lenem:

— Co będzie, jak się zakopujemy albo zabłądzimy?

— No jak to, umrzecie!

Oczywiście nie powiedział tego, ale ja tak sobie pomyślałem. Czytałem opowieści o ludziach, którzy zgubili się albo utknęli w *outbacku*, na przykład o Erneście Gilesie. Ten nieszczęśnik błąkał się przez wiele dni ledwo żywy z głodu, bez kropli wody, i przypadkiem trafił na młode walabii, które wypadło z torby matki. „Rzuciłem się na nie — relacjonował Giles w swoich wspomnieniach — i zjadłem na żywca, surowe, konające — z futrem, skórą, kośćmi, czaszką i tak dalej”. Przytoczyłem historię, która dobrze się skończyła. Uwierzcie mi, zgubić się w *outbacku* to nie jest przyjemna rzecz.

Ogarnęły mnie złe przeczucia, które nie zniknęły, kiedy rozległ się zachwycony okrzyk Sonji na widok pająka u naszych stóp:

— Patrzcie, redback!

Dla tych, którzy nie wiedzą: redback, czyli pająk *Latrodectus hasselti*, kuzyn czarnej wdowy, to śmierć na ośmiu nogach. Kiedy Trevor i ja ze skamleniem usiłowaliśmy wejść sobie nawzajem na plecy, Sonja podniosła pająka i z chichotem podsunęła go nam pod nosy na koniuszku palca.

— Bez paniki! Nie żyje.

Ostrożnie przyjrzeliliśmy się temu, co nam pokazała: niepozorny pajączek z charakterystyczną czerwoną klepsydrą na grzbiecie. Trudno uwierzyć, że tak małe stworzenie jest zdolne przyprowadzić człowieka o szybką i potworną agonię, ale taka jest prawda: jedno dziabnięcie diabelskich szczęk redbacka po paru minutach powoduje „konwulsyjne drgawki, obfite wydzielanie płynów i, w przypadku braku szybkiej interwencji medycznej, możliwą śmierć ofiary”. Tak w każdym razie piszą w literaturze przedmiotu.

— Tam raczej nie spotkacie redbacków — uspokoiła nas Sonja. — Znacznie większym problemem są węże.

Dwie pary oczu przypatrywały się jej badawczo, a cztery wysoko uniesione brwi zachęcały ją, aby mówiła dalej.

— Gwardar, puchliniec zachodni, szczękościsk żółtogarbny, mosznokąsacz wschodni, żmija tęgoryja... — cytuję z pamięci i może coś pomieszałem, ale na pewno lista była długa. — Ale nie martwcie się — kontynuowała. — Większość węży nie zrobi wam nic złego. Jeśli zobaczycie w buszu węża, zatrzymajcie się i spokojnie pozwólcie mu przepęznąć wam po butach.

W rankingu „rad, które z najmniejszym prawdopodobieństwem zostaną wysłuchane”, tej przyznałbym pierwsze miejsce.

Kiedy dodatkowa ropa została już załadowana, wsiedliśmy do wypożyczonego pojazdu i ze zgrzytem skrzyni biegów, kilkoma wierzgnięciami i energicznym, lecz niezamierzonym machnięciem wycieraczkami na pożegnanie, ruszyliśmy w drogę. Nasza trasa prowadziła do Menindee, 110 kilometrów na wschód, gdzie miał na nas

czekać niejaki Steve Garland. Przejazd trochę mnie rozczarował: kraj był gorący i niegościnnie piękny, mieliśmy też okazję zobaczyć nasze pierwsze *willy-willy*, około trzydziestometrowy słup wirującego pyłu, który przemieszczał się przez bezkresną równinę na lewo od nas, ale do tego ograniczyła się cała przygoda. Droga była niedawno wyremontowana i dosyć uczęszczana — kiedy zatrzymaliśmy się, żeby porobić zdjęcia, minęły nas cztery samochody. W przypadku awarii nie musielibyśmy czekać na pomoc dłużej niż kilka minut.

Menindee było niewielką osadą nad rzeką Darling: dwie pozbawione cienia ulice parterowych domów, stacja benzynowa, dwa sklepy, motel Burke and Wills (nazwany tak od dwójki XIX-wiecznych podróżników, którzy padli ofiarą bezlitosnego *outbacku*) i hotel Maidens, który cieszy się pewną sławą, ponieważ wyżej wymienieni Burke i Wills spędzili tam swoją ostatnią noc w cywilizowanym świecie, zanim pomaszerowali ku swojemu tragicznemu przeznaczeniu, jakie czekało ich pośród jałowych rozłogów na północy.

Ze Steve'em Garlandem spotkaliśmy się w motelu. Dla uczczenia bezpiecznego przejazdu, a także niedawnego odkrycia piątego biegu, przeszliśmy na drugą stronę drogi, aby zatopić się w radosnej wrzawie hotelu Maidens. Większość miejsc przy długim kontuarze zajęta była przez mężczyzn w szortach, obcisłych podkoszulkach z plamami potu i kapeluszach z szerokimi rondami. Czułem się, jakbym wszedł na plan nowego odcinka *Krokodyla Dundee*. Coraz bardziej zaczynało mi się to podobać.

— Przez które okno wyrzucają trupy? — zapytałem sympatycznego Steve'a, bo pomyślałem sobie, że Trevor chciałby odpowiednio ustawić sprzęt przed tym najważniejszym wydarzeniem.

— Tutaj nie ma takich rzeczy — odparł Steve. — *Outback* nie jest tak brutalny, jak ludzie myślą. Wszystko jest całkiem cywilizowane.

Rozejrzał się wokół siebie pełnym czułości wzrokiem i wymienił pozdrowienia z paroma lumpiarskimi osobnikami.

Garland pracował w Sydney jako fotograf, dopóki jego partnerka, Lisa Menke, nie dostała posady dyrektorki Parku Narodowego Kinchege w okolicy Menindee.

On znalazł pracę jako regionalny szef turystyki i rozwoju. Podległy mu obszar miał 67 tysięcy kilometrów kwadratowych (połowa tego, co Anglia), ale mieszkało tam zaledwie 2500 osób. Jego zadanie polegało na przekonaniu sceptycznych autochtonów, że są na świecie ludzie gotowi zapłacić niemałe pieniądze za wakacje w ogromnym, suchym, pustym, dość jednorodnym i piekielnie gorącym miejscu. Drugim zadaniem było znalezienie takich ludzi.

Bezlitosne słońce i odosobnienie powodują, że nie wszyscy mieszkańcy *outbacku* są szczególnie komunikatywni. Opowiedziano nam wcześniej o pewnym sklepikarzu, którego jakiś uśmiechnięty turysta z Sydney zapytał, gdzie jest najlepsze miejsce do łowienia ryb. Sklepikarz przez chwilę przyglądał mu się z niedowierzaniem i rzucił:

— W rzece, kurwa, a niby gdzie?

Garland tylko się uśmiechnął, kiedy opowiedziałem mu tę anegdotę, ale przyznał, że uzmysłowienie miejscowym potencjału turystycznego regionu wiąże się z pewnymi trudnościami.

Potem spytał, jak nam się jechało. Odparłem, że oczekiwałem trochę bardziej terenowych warunków.

— Niech pan zaczeka do jutra.

*

Miał rację. Rano wyruszyliśmy minikonwojem — Steve i jego partnerka Lisa w jednym samochodzie, Trevor i ja w drugim — do White Cliffs, starej miejscowości górniczej (z kopalniami opali) 250 kilometrów na północ. Kilometr za Menindee skończył się asfalt i jechaliśmy po drodze gruntowej pełnej dziur, kolein i wybojów — kojarzyło się to z jazdą po podkładach kolejowych.

Wzbijając ogromne kłęby czerwonego pyłu, telepaliliśmy się w nieskończoność przez gorący i jałowy krajobraz, przez płaskowyże porośnięte łobodą i kłującą trawą spinifex, a gdzieniegdzie także sosną długoigielną i zmęczonymi, nieszczęśliwymi eukaliptusami. Od czasu do czasu mijaliśmy zwłoki kangurów i wylegające się na słońcu goanna, duże i brzydkie jaszczurki. Diabli wiedzą, jak te

stworzenia potrafią przeżyć w tak gorących i suchych warunkach. Koryta niektórych strumieni od piętnastu lat nie widziały wody.

Europejscy pionierzy potrzebowali sporo czasu, żeby się przyzwyczaić do pustki i denerwującej bezużyteczności tych ogromnych obszarów. Pierwsi podróżnicy, przekonani, że natrafiają na rozbudowane systemy wodne czy nawet morze śródlądowe, zabrali z sobą łodzie. Thomas Mitchell, który w latach trzydziestych XIX wieku badał gigantyczne obszary zachodniej Nowej Południowej Walii i północnej Wiktorii, włókł dwie drewniane łodzie przez pięć tysięcy kilometrów suchego jak pieprz buszu i ani razu nawet ich nie zamoczył, ale do końca się ich nie pozbył. „Chociaż łodzie i ich transport były dla nas pod koniec bardzo kłopotliwe — napisał odrobinę eufemistycznie po trzeciej wyprawie — nie chciałem się pozbywać tych niezbędnych akcesoriów każdej wyprawy badawczej”.

Relacje z pierwszych ekspedycji pozwalają skonstatować, że podróżnicy byli zupełnie nieprzygotowani na warunki, jakie zastali. W 1802 roku, podczas jednej z najwcześniejszych wypraw, porucznik Francis Barrallier nazwał temperaturę 27 stopni „duchotą”. Mamy prawo sądzić, że dopiero co przybył do tego kraju. Jego ludzie przez wiele dni bezskutecznie polowali na kangury, zanim przyszło im do głowy, że zwiększą swoje szanse na powodzenie, jeśli zdejmą jasnoczerwone kurtki. W siedem tygodni pokonali zaledwie 200 kilometrów, czyli średnio 4 kilometry dziennie.

Szefowie kolejnych ekspedycji wykazywali tę samą, zgoła komiczną niekompetencję, jeśli chodzi o zaopatrzenie. W 1817 roku John Oxley, naczelny geodeta, wyruszył na pięciomiesięczną wyprawę, mającą na celu zbadanie rzek Lachlan i Macquarie, i zabrał z sobą sto kul — to mniej niż jeden strzał dziennie — i tylko kilka zapasowych podków czy gwoździ. Ta amatorszczyzna fascynowała Aborygenów, którzy przychodzili popatrzeć. „Nasze utrapienia były dla nich niewyczerpanym źródłem uciechy i drwiny” — relacjonował ze smutkiem pewien kronikarz.

W tę tradycję wpisała się również nieszczęśliwa odyseja Burke’a i Willsa. Stali się oni zdecydowanie najbardziej znanymi australijskimi badaczami, co może

zaskakiwać, jeśli zważymy, że ich ekspedycja prawie nic nie osiągnęła, kosztowała krocie i zakończyła się tragedią.

Zadanie mieli proste: znaleźć drogę z południowego wybrzeża w Melbourne do zatoki Karpentaria na północy. Melbourne, w tamtych czasach znacznie większe od Sydney, należało do najważniejszych miast imperium brytyjskiego, ale pod względem komunikacyjnym było mocno upośledzone. Wysłanie wiadomości do Londynu i uzyskanie odpowiedzi w najlepszym wypadku trwało cztery miesiące. W latach pięćdziesiątych XIX wieku Instytut Filozoficzny Wiktorii postanowił sfinansować wyprawę przez „upiorną pustkę”, jak poetycko nazywano obszary w głębi lądu. Miało to umożliwić pociągnięcie linii telegraficznej, która połączyłaby Australię z Indonezją, a potem z resztą świata.

Na szefa wyprawy wybrano irlandzkiego policjanta Roberta O’Harę Burke’a, który nigdy nie widział prawdziwego *outbacku*, słynął z tego, że potrafił się zgubić nawet w Dublinie i nie miał kompetencji ani podróżniczych, ani przyrodniczych. Funkcję geodety pełnił młody angielski lekarz William John Wills, którego podstawowymi kwalifikacjami były pochodzenie rodzinne i chęć szczerą. Do największych atutów obu panów należało wyjątkowo bujne owłosienie twarzy.

Chociaż ekspedycje w głąb lądu nie były już w tych czasach żadną nowością, ta zawładnęła wyobraźnią społeczną. 19 sierpnia 1860 roku, kiedy rozpoczęła się Wielka Północna Ekspedycja Badawcza, dziesiątki tysięcy ludzi zgromadziły się przy drodze wyjazdowej z Melbourne. Konwój był tak wielki i ślamazarny, że sam wymarsz zajął grubo ponad pół dnia. Wśród przedmiotów, uznanych przez Burke’a za nieodzowne, znalazły się chiński gong, sekretarzyk, ciężki drewniany stół z kompletem krzeseł i ekwipunek masztalerski „w ilościach wystarczających do przygotowania jego koni i wielbłądów do konkursu na wystawie rolniczej”, jak napisał historyk Glen McLaren.

Zaraz po wyjeździe zaczęły się spory i niesnaski. Po kilku dniach sześć osób zrezygnowało, a drogę do Menindee zaśmiecał prowiant, który uznano za niepotrzebny, w tym 700 kilo (powtórzę: 700 kilo) cukru. Organizatorzy prawie wszystko zrobili nie tak, jak trzeba. Przede wszystkim, wbrew rozsądnym radom,

czasowo zaplanowali wyprawę w taki sposób, że jej najtrudniejszy etap miał przypaść na środek lata.

Tak objuczeni potrzebowali prawie dwóch miesięcy na przebycie dobrze wydeptanej drogi do Menindee. List z Melbourne zwykle pokonywał tę trasę w dwa tygodnie. W Menindee skorzystali z wygód hotelu Maidens, dali wypocząć koniom, uzupełnili zapasy i 19 października zagłębili się w pustkę bardziej upiorną, niż sądzili. Przed nimi rozciągały się dwa tysiące kilometrów zabójczych terenów. Cywilizowany świat już nigdy nie zobaczył Burke'a i Willsa żywych.

Jazda przez pustynię była trudna i powolna. W grudniu, po przybyciu do Cooper's Creek tuż za granicą Queenslandu, mieli za sobą zaledwie 650 kilometrów. Zdesperowany Burke postanowił zabrać z sobą trzech ludzi — Willsa, Charlesa Graya i Johna Kinga — i puścić się w stronę zatoki Karpentaria. Szacował, że z małą ilością bagażu podróż tam i z powrotem zajmie im dwa miesiące. Zostawił obóz pod opieką czterech mężczyzn, którym kazał czekać trzy miesiące.

Posuwali się do przodu znacznie bardziej mozolnie, niż się tego spodziewali. Za dnia temperatura przekraczała 60 stopni. Przebycie interioru trwało dwa miesiące — zamiast jednego — a na miejscu przeżyli rozczarowanie: szeroki pas mangrowców nie pozwolił im dotrzeć do morza, a nawet go zobaczyć. Mimo to jako pierwsi przemierzyli cały kontynent. Niestety zużyli przy tym dwie trzecie prowiantu.

Jak można było przewidzieć, w drodze powrotnej skończyła im się żywność i prawie umarli z głodu. Ku ich wielkiej konsternacji Charles Gray, największy osiłek w całej ekipie, pewnego dnia nagle padł trupem. Obdarci i nie do końca przy zdrowych zmysłach, trzej pozostali mężczyźni ruszyli w dalszą drogę. Wieczorem 21 kwietnia 1861 roku dowlekli się do obozu, by stwierdzić, że ich towarzysze odeszli właśnie tego dnia, po czterech miesiącach czekania. Na pniu drzewa coolibah wycięto następującą informację:

KOPCIE

3 STOPY P.Z.

21 KWIETNIA 1861

Kopali i znaleźli trochę żywności, a także wiadomość mówiącą o tym, co było dla nich boleśnie oczywiste: że strażnicy obozu dali za wygraną i ruszyli w drogę powrotną. Zrozpaczeni i zmęczeni, zjedli kolację i położyli się spać. Rano napisali krótką wiadomość o swoim bezpiecznym powrocie i starannie schowali ją w tej samej kryjówce — tak starannie, że kiedy jeden z członków ekipy przybył tego dnia, żeby ostatni raz rzucić okiem na obozowisko, nie zorientował się, że nieszczęśnicy wrócili i poszli dalej. Gdyby o tym wiedział, dogoniłby ich całkiem niedaleko, powłóczących nogami po kamienistym gruncie w rozpaczliwej nadziei, że dotrą do posterunku policji w oddalonej o 200 kilometrów miejscowości Mount Hopeless (Góra Bez Nadziei).

Burke i Wills zmarli na pustyni, daleko od celu. Kinga uratowali Aborygeni, którzy opiekowali się nim przez dwa miesiące, zanim znalazła go misja poszukiwawcza.

Tymczasem w Melbourne wszyscy nadal czekali na triumfalny powrót bohaterskiej wyprawy, toteż wieści o jej fiasku były jak grom z jasnego nieba. „Cała grupa podróżników rozplynęła się w powietrzu — napisał dziennikarz „Age” z nieskrywanym osłupieniem. — Niektórzy nie żyją, niektórzy wracają, jeden przybył do Melbourne, inny do Adelaide. (...) Cała ekspedycja była jednym wielkim pasmem błędów”.

Kiedy podliczono wszystkie koszty, łącznie z wyprawą, której celem miało być sprowadzenie ciał Burke’a i Willsa, okazało się, że na całe przedsięwzięcie wydano prawie 60 tysięcy funtów, czyli więcej niż na bardzo udaną ekspedycję Stanleya w Afryce.

Nawet dziś fakt, że większość Australii jest kompletnie pusta, wciąż jeszcze zaskakuje. Tereny, przez które jechaliśmy, oficjalnie nazywają się „półpustynią”, ale w życiu nie widziałem tak nagiego krajobrazu. Co 20 czy 25 kilometrów droga gruntowa i samotna skrzynka na listy sygnalizowały, że gdzieś w pobliżu znajduje

się hodowla krów albo owiec. Raz śmignęła koło nas pędząca na złamanie karku furgonetka, zrzucając nam na karoserię kilka ton żwiru i grubą warstwę czerwonego pyłu, ale poza nią jedyną ożywioną rzeczą były nieustanne wibracje kół telepiących się po straszliwie nierównej drodze. Po przybyciu do White Cliffs mieliśmy takie wrażenie, jakbyśmy spędzili dzień w betoniarce.

Widząc dzisiaj tę miejscowość, trudno uwierzyć, że White Cliffs, małe skupisko domów pod ogromnym bezchmurnym niebem, kiedyś było kwitnącym miasteczkiem z prawie 4500 mieszkańców, szpitalem, gazetą codzienną, biblioteką, centrum handlowym ze sklepami, hotelami, restauracjami, burdelami i jaskiniami hazardu. Dzisiaj centrum White Cliffs składa się z pubu, pralni, sklepu z opalami i stacji benzynowej, która pełni też funkcję sklepu spożywczego i kawiarni. Na stałe mieszka tutaj około 80 osób, które żyją w apatycznym świecie upału i kurzu. Jeśli ktoś potrzebowałby obdarzonych odpowiednimi cechami psychicznymi ochotników do skolonizowania Marsa, już wie, gdzie ich szukać!

Z powodu upału większość domów jest zagrzebana w zboczach białych wzgórz, od których miejscowość wzięła swoją nazwę. Najbardziej ambitny z tych budynków — i najsilniejszy magnes na nielicznych turystów, którzy się tutaj zapuszczają — to Dug-Out Underground Motel, dwudziestosześciorokojowy kompleks wcięty w skały zbocza Smith's Hill. Wędrując po sieci tuneli i grot, poczułem się jak we wczesnym filmie z Jamesem Bondem, jak w jednym z tych podziemnych kompleksów, w których lojalni agenci SMERSH przygotowują się do objęcia władzy nad całym światem poprzez roztopienie Antarktydy lub porwanie Białego Domu za pomocą gigantycznego magnesu. Korzyść z wkopywania się w zbocze wzgórza była jednak odczuwalna natychmiast po wejściu do środka — stała całoroczna temperatura 20 stopni. Pokoje wyglądały ładnie i całkiem normalnie, poza tym, że sufity i pozbawione okien ściany upodabniały je do jaskiń. Po zgaszeniu świateł panowała głęboka cisza i zapadały totalne ciemności.

Nie wiem, ile musiałbym dostać kasy, żeby zamieszkał w White Cliffs na stałe — rząderek zer musiałby być naprawdę spory — ale wieczorem, kiedy siedzieliśmy na wyniosłym ogrodowym tarasie z Leonem Hornbym, właścicielem, piliśmy piwo

i patrzyliśmy, jak zakrada się noc, uświadomiłem sobie, że suma jest do negocjacji. Miałem właśnie zapytać Leona, mieszcza z urodzenia — i na oko również z upodobania — co ich opętało wraz z jego sympatyczną małżonką Marge, żeby osiąść w tym zapomnianym przez Boga zakątku ziemi, gdzie na zakupy w supermarkecie trzeba jechać sześć godzin w obie strony porytą koleinami drogą, ale zanim zdążyłem zrealizować swój zamiar, stało się coś niezwykłego. W nasze pole widzenia wskoczyło nagle stado kangurów i zaczęło się malowniczo paść, a słońce opadło na horyzont jak opuszczony na drucie rekwizyt teatralny, okrywając zachodnie niebo setkami barw i odcieni — iskrzącymi różami, ciemnymi fioletami, niechlujnymi pasami czystego karmazynu — a wszystko to w niewyobrażalnej skali, ponieważ na kilkudziesięciu kilometrach rozciągającej się przed nami pustyni nic nie zakłócało tej majestatycznej panoramy. Chyba nigdy nie widziałem tak eksplodującego kolorami zachodu słońca.

— Przyjechałem tutaj trzydzieści lat temu, żeby budować zbiorniki dla owiec — powiedział Leon, jakby przewidywał moje pytanie. — Nie miałem zamiaru zostawać, ale to miejsce potrafi człowieka uwieść. Na przykład trudno by mi było się rozstać z tymi zachodami słońca.

Skinąłem głową, po czym Leon wstał i poszedł odebrać telefon.

— Kiedyś było jeszcze ładniej, dawno temu — powiedziała Lisa, partnerka Steve'a. — Wypasa się za dużo owiec.

— Tutaj czy wszędzie?

— Wszędzie. No, prawie wszędzie. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku była straszna susza. Mówią, że ziemia do tej pory się po tym nie podniosła i chyba już nigdy się nie podniesie.

Później Steve, Trevor i ja zeszliśmy na dół do White Cliffs Hotel, miejscowej gospody, i urok miasteczka stał się jeszcze lepiej widoczny. White Cliffs należał do najfajniejszych pubów, w których byłem. Nie w sensie estetycznym, ponieważ australijskie wiejskie knajpy prawie zawsze są lokalami ascetycznymi i utylitarnymi, z linoleum, laminowanymi blatami i szklanymi lodówkami, ale

w sensie towarzyskiej i gościnnej atmosfery. Przede wszystkim było to zasługą właściciela, Grahama Wellingsa, jowialnego mężczyzny z energicznym uściskiem dłoni, fryzurą w stylu młodzieżowego idola filmowego i zdolnością do wzbudzania przekonania, że osiadł tutaj w nadziei, że któregoś dnia spotka kogoś takiego jak ty.

Zapytałem go, co go sprowadziło do White Cliffs.

— Byłem wędrownym postrzygaczem owiec — wyjaśnił. — Przyjechałem tutaj w pięćdziesiątym dziewiątym strzyc owce i zostałem. Wtedy było tutaj o wiele bardziej dziko. Drogi były tak fatalne, że z Broken Hill jechaliśmy osiem godzin. Dzisiaj wystarczą trzy, ale wtedy drogi to była dziura na dziurze. Człowiek wchodził tutaj stęskniony za zimnym piwem, ale lodówek jeszcze nie było. Piwo miało temperaturę pokojową, czyli czterdzieści stopni. Oczywiście nie było też klimatyzacji. W ogóle nie było prądu, chyba że ktoś miał własny generator.

— Czyli od kiedy macie prąd w White Cliffs?

— Od dziewięćdziesiątego trzeciego — odparł po chwili namysłu.

Sądziłem, że się przesłyszałem.

— Od kiedy?

— Od mniej więcej pięciu lat. Mamy też telewizję — dodał z entuzjazmem. — Od dwóch lat.

Wziął do ręki pilota i wycelował w wiszący na ścianie telewizor. Kiedy odbiornik się rozgrzał, Graham urządził nam przegląd wszystkich trzech programów, patrząc na nas z miną, która domagała się osłupiałego podziwu. Byłem w krajach, w których nadal jeździ się furmankami i zbiera siano widłami, w krajach, w których PKB na osobę nie wystarczyłoby na spędzenie weekendu w Holiday Inn, ale nigdy wcześniej nie kazano mi patrzeć na telewizor jak na ósmy cud świata.

Graham wyłączył telewizor i z nabożną czcią odłożył pilota na półkę.

— Tak, to był inny świat — podsumował zamyślony.

Dalej jest, odparłem w duchu.

Rozdział trzeci

Następnego dnia rano w eskorcie Steve'a i Lisy pojechaliśmy mało uczęszczaną drogą gruntową do asfaltówki w Wilcannia. Oni skręcili w lewo do Menindee, Trevor i ja w prawo do Broken Hill, 197 kilometrów pustą i prostą jak strzełił drogą.

W Broken Hill mieliśmy wolne popołudnie, które poświęciliśmy na zwiedzanie atrakcji turystycznych. Pojechaliśmy do Silverton, niegdyś tętniącego życiem miasteczka górniczego, dzisiaj prawie opuszczonego. Funkcjonuje tam pub, który podobno jest najczęściej fotografowaną i filmowaną knajpą w całej Australii. Nie ma w nim niczego szczególnego poza głównym atutem: wygląda tak, jakby stał na środku pustyni, podczas gdy w rzeczywistości znajduje się o rzut beretem od klimatyzatorów w Broken Hill. Za scenografię filmową posłużył 142 razy — w *A Town like Alice*, *Mad Max 2* i w co drugiej australijskiej reklamie piwa. Lokal ten istnieje dzisiaj właśnie dzięki ekipom filmowym i turystom takim jak my, którzy od czasu do czasu tutaj zaglądają.

Ciężkie czasy nie ominęły również Broken Hill. Miejscowość ta, nawet jak na Australię, jest znacznie oddalona w zasadzie od wszystkiego — od Sydney, stolicy stanu, w której podejmuje się wszelkie decyzje, dzieli ją 1200 kilometrów — a jej mieszkańcy ze zrozumiałych powodów uważają się za zapomnianych. Jeszcze w latach pięćdziesiątych mieszkało tutaj 35 tysięcy osób, a dzisiaj już tylko 23 tysiące. Historia miasta zaczyna się w 1885 roku, kiedy to pewien kolonista, sprawdzając ogrodzenia, natrafił na obfite złoża srebra, cynku i ołowiu. Broken Hill niemal z dnia na dzień stało się kwitnącym miastem i miejscem narodzin Broken Hill Proprietary Ltd, które do dzisiaj jest największym australijskim koncernem górniczym.

W 1893 roku, czyli w okresie swojej największej chwały, Broken Hill miało 16 kopalni, zatrudniających 8700 górników. Dzisiaj została już tylko jedna kopalnia z 700 pracownikami. Warto jednak odnotować, że zakład ten wydobywa więcej rud

metali niż tamtych 16 razem wziętych. Jedyna różnica polega na tym, że zamiast tysięcy górników czołgających się ciasnymi korytarzami mamy teraz paru inżynierów, którzy za pomocą środków wybuchowych tworzą wyrobiska o wysokości katedry i powierzchni boiska piłkarskiego, a kiedy osiadzie pył i wszystkim przestanie dzwonić w uszach, przyjeżdżają gigantyczne buldożery i zgarniają minerały. Przy tak wydajnym wydobyciu za kilkanaście lat złoża całkowicie się wyczerpią i nie sposób przewidzieć, co się wtedy stanie z Broken Hill.

Na razie jest to urocze miasteczko, przesycone atmosferą krzątania i dostatku, która przywodzi na myśl sceny z kręconych w latach czterdziestych hollywoodzkich filmów z Jimmym Stewartem czy Deanną Durbin. Przy głównej ulicy stoją eleganckie domy w umiarkowanie kiczowatym stylu wiktoriańskim.

Chcąc się czegoś napić, Trevor i ja zajrzeliśmy do jednego z licznych, okazałych hoteli — przy czym należy zaznaczyć, że w Australii „hotel” może oznaczać hotel, pub albo hotel z pubem — znajdujących się na niemal każdym rogu. Ten nosił nazwę Mario's Palace Hotel i z zewnątrz prezentował się bardzo imponująco — zajmował połowę budynku i był opasany balkonem z kunsztownymi żeliwnymi zdobieniami — ale jego wnętrze było niedoświetlone i zatęchłe. Bar wyglądał na otwarty (telewizor był włączony, chociaż bez dźwięku, neony się świeciły), ale nie widzieliśmy ani obsługi, ani żadnych gości. Dalej znajdowało się kilka dużych pomieszczeń — sala balowa, restauracja i, prawdopodobnie, jeszcze jedna sala balowa — które sprawiały takie wrażenie, jakby w 1953 roku urządzono je niemałym kosztem i od tamtej pory nie wykorzystywano.

Jedne z drzwi prowadziły do holu wyposażonego w reprezentacyjne schody. Od podłogi do sufitu, znajdującego się dobre trzy kondygnacje nad naszymi głowami, ściany podzielone były drewnianymi panelami na dziesiątki prostokątów różnej wielkości, które jakiś artysta wypełnił muralami. Dzieła te przedstawiały idylliczno-romantyczne pejzaże ze stadami kangurów u wodopoju lub *swagmanów* — wagabundów, zgromadzonych w cieniu samotnego coolibah, drzewa z gatunku *Eucalyptus microtheca*. Wszystkie malowidła były niewątpliwie sentymentalne, ale

jednocześnie urocze i świadczyły o niepodważalnym talencie ich twórcy. Zafascynowani tymi obrazami, niemal wbrew swojej woli zaczęliśmy wspinać się po schodach.

— Niezłe, co? — usłyszeliśmy po chwili czyjś głos.

Odwróciliśmy się: młody człowiek obserwował nas z dołu, najwyraźniej zupełnie niezbulwersowany naszym wtargnięciem do wnętrza budynku. Wycierał przedramiona szmatą, jakby właśnie skończył jakąś grubszą robotę typu czyszczenie kotła.

— Namalował je Abo, który nazywa się Gordon Wayne. Niesamowity facet. Bez szkicu, bez planu, bez niczego. Po prostu wziął pędzel i farby i zabrał się do malowania. Po każdym dniu był jeden obraz więcej. Brał od właściciela wypłatę i znikał w buszu. Jakiś czas później — może po tygodniu, może po paru miesiącach — wracał, machał kolejny obraz, inkasował pieniądze i znowu się zmywał, aż w końcu namalował wszystkie. Wtedy zniknął na dobre.

— Co się z nim stało?

— Nie mam pojęcia. Nikt tego nie wie. A wy skąd jesteście?

— Z Ameryki i Wielkiej Brytanii — odparłem z odpowiednim gestem precyzującym.

— Kawał drogi. Pewnie macie ochotę na zimne piwo.

Poszliśmy za nim do baru, gdzie nalał nam dwa duże Victoria Bitter.

— Piękny hotel — powiedziałem, chociaż wcale tak nie uważałem.

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

— Może pan go mieć, jeśli pan chce. Jest na sprzedaż.

— Tak? Za ile?

— Milion siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Przetrawienie tej sumy zajęło mi trochę czasu.

— To kupa forsy.

Skinął głową.

— Na pewno więcej, niż ludzie tutaj mają.

Potem zniknął za drzwiami ze skrzynką piwa.

Chcieliśmy mu zadać jeszcze trochę pytań, a po kilku minutach mieliśmy ochotę na jeszcze jedno piwo, ale już się nie pojawił.

Następnego dnia wsiedliśmy w kursujący dwa razy w tygodniu pociąg Indian Pacific do Perth. W przyjemnie klimatyzowanym wagonie barowym Trevor i ja rozłożyliśmy mapę Australii i odkryliśmy ze zdziwieniem, że podczas naszych eskapad zjeździliśmy zaledwie małeńki ułamek powierzchni kraju — pieg na twarzy Australii. Do Perth mieliśmy jeszcze 3227 kilometrów. Nie pozostało nam nic innego, jak rozsiąść się wygodnie i rozkoszować podróżą.

Po skwarze i pyłe *outbacku* powrót do czystego, uregulowanego świata naszego pociągu bardzo mnie ucieszył, toteż z wdzięcznością i zachwytem poddałem się jego nieuciągliwej rutynie. Uroki kolejowego życia to coś, co ciężko przebić, uznałem. W którymś momencie przed południem, na ogół tuż po twoim wyjściu na śniadanie, łóżko w czarodziejski sposób znika, a wieczorem równie magicznie pojawia się znowu ze świeżutką pościelą. Trzy razy dziennie przyjazna i pomocna obsługa stawia przed tobą jedzenie godne najwyższej pochwały. Między posiłkami nie ma nic do roboty oprócz siedzenia i czytania, oglądania pędzącego do tyłu krajobrazu albo rozmawiania z sąsiadem. Trevor jako młody i pełen życia człowiek, który z zagadkowych przyczyn nie zabrał z sobą żadnych moich książek, aby umilić sobie mijający powoli czas, był rozdrażniony i czuł się klaustrofobicznie, ale ja smakowałem każdą chwilę słodkiej beczynności.

W sytuacji, gdy wszystkie twoje potrzeby są natychmiast zaspokajane i nie musisz podejmować żadnych istotnych decyzji, po niedługim czasie stwierdzasz, że pochłaniają cię trywialne sprawy, w których dysponujesz możliwością wyboru: wziąć poranny prysznic teraz czy za chwilę, wstać z fotela i nalać sobie jeszcze jedną filiżankę darmowej herbaty czy też zaszaleć i wypić butelkę Victoria Bitter, przespacerować się z powrotem do przedziału po książkę, której zapomniałeś zabrać czy siedzieć i wypatrywać za oknem strusi emu i kangurów. Jeśli brzmi to dla was jak śmierć za życia, nie dajcie się zwieść pozorom. Nigdy w życiu tak świetnie się nie bawiłem. W długich podróżach pociągiem jest coś cudownie

kojącego. Miałem przedsmak tego, jak będzie wyglądało życie po osiemdziesiątce. Wszystkie te rzeczy, które sprawiają radość osiemdziesięciolatkom — gapienie się tępych wzrokiem przez okno, drzemanie w fotelu, zanudzanie na śmierć wszystkich frajerów, którzy nieopatrznie usiądą obok nich — zaczęło nabierać dla mnie szczególnego znaczenia. Życie nie umierać.

Nasi nowi towarzysze drogi sprawiali wrażenie bardziej energicznych. Był wśród nich Phil, grafik z Newcastle w Nowej Południowej Walii, Rose i Bill, sympatyczne i spokojne angielskie małżeństwo, jadące w odwiedziny do syna, inżynier górnictwa z Kalgoorlie, trzech faceci z białymi włosami, którzy należeli do klubu kręglarskiego przy Neutral Bay i pili jak marynarze na przepustce, oraz urocza, chuda jak patyk, odpalająca papierosa od papierosa, wiecznie zawiana i chodząca chwiejnym krokiem starsza pani, której imienia ani nazwiska nikt nie znał i która na każdą uprzejmość typu „Dzień dobry”, „Dobrze się pani spało?” czy „Ja jestem Bill, a to jest Trevor” reagowała okrzykiem „Tak!”, śmiała się jak wariatka i wypijała łyk wina. W takiej kompanii wieczory były przyjemnie balangowe — do tego stopnia, że moje notatki z tego okresu znajdują się na pudełkach zapalek oraz podkładkach pod piwo i nie grzeszą nadmierną spójnością („G. zaatakowany przez wielbłąda w męskim kiblu. Alice Springs 1947 — super!!!”). Zapamiętałem jednak, że doskonale się bawiłem, a to przecież podstawa.

Drugiego dnia podróży wjechaliśmy na gigantyczną nizinę Nullarbor. Wiele osób, nie wyłączając części Australijczyków, sądzi, że Nullarbor to słowo aborygeńskie, ale w rzeczywistości jest to zbitka łacińskich słów, oznaczająca „bez drzew”. Trudno o trafniejszą nazwę. Ciągający się setki kilometrów krajobraz jest płaski jak spokojne morze i niewiarygodnie jałowy — jak okiem sięgnąć nic, tylko gleba w kolorze palonej czerwieni, grupki akacji i kępy trawy spinifex plus rozproszone tu i ówdzie skały w kolorze zepsutych zębów. Na terytorium cztery razy większym od Belgii nie ma ani skrawka cienia. To jeden z najbardziej niegościnnych obszarów na całej kuli ziemskiej.

Zaraz po śniadaniu wjechaliśmy na najdłuższy prosty odcinek torów na świecie

— 480 kilometrów bez najmniejszego odchylenia — a po paru godzinach przybyliśmy do Cook, miejscowości, przy której White Cliffs są łatwo dostępną metropolią. Leżące 800 kilometrów od jakiegokolwiek miasta godnego tej nazwy w kierunku równoleżnikowym, 150 kilometrów od najbliższej utwardzanej drogi na południe i grubo ponad 1500 na północ, Cook (liczba ludności: 40) istnieje tylko po to, by zapewniać wodę, paliwo i wszelką niezbędną obsługę przejeżdżającym przez tę osadę pociągom. Obok torów stał znak napisem: „Jedzenie i paliwo dostępne dopiero za 862 kilometry”. Niezbyt pocieszająca świadomość.

W Cook mieliśmy dwugodzinny postój — diabli wiedzą, dlaczego tak długi — więc wszyscy mogli wysiąść i rozejrzeć się dokoła. Przyjemnie było chodzić bez konieczności podpierania się co kilka kroków o rozkolebaną ścianę, ale uroki Cook szybko się opatrywały. Nie było ich wiele — stacja kolejowa, poczta, kilka parterowych domów z prefabrykatów na pylistym gruncie, sklepik, którego półki w większości były puste, zamknięty dom kultury, pusta szkoła (trwały ferie), mały odkryty basen (także nieczynny) i pas startowy z obwisłym wiatromierzem. Upał był straszny. Pustynia z każdej strony zalewała miasto falami gorąca.

Stałem właśnie z mapą Australii, przyglądając się wszechobecnej pustce, i próbowałem przyswoić sobie trudno wyobrażalny fakt, że gdybym ruszył na północ, do utwardzonej powierzchni dotarłbym po przebyciu ponad 1500 kilometrów, kiedy podszedł do mnie Trevor i oznajmił, że pozwolono nam przez godzinę jechać w lokomotywie, żeby mógł porobić zdjęcia. Tego niezwykłego przywileju udzielano bardzo rzadko. Tuż przed odjazdem wsiedliśmy zatem do lokomotywy z dwoma nowymi maszynistami, Noelem Coadem i Seanem Willisem, który mieli prowadzić pociąg do Kalgoorlie.

Byli sympatycznymi i wyluzowanymi facetami około trzydziestki. Mieli bardzo wygodną kabinę — jak na świat high-tech wręcz przytulną. Oprócz wielkiej deski rozdzielczej z mnóstwem guzików i przełączników, trzech krótkofalówek i dwóch monitorów komputerowych, były tam również rozmaite urządzenia AGD: czajnik, mała lodówka oraz kuchenka elektryczna. Prowadził Coad. Trzepnął parę przełączników, poruszył o ułamek centymetra jakąś dźwignią i ruszyliśmy. Po paru

minutach osiągnęliśmy prędkość przelotową 100 kilometrów na godzinę.

Siedziałem bez ruchu, starając się nie wykonać żadnego manewru, który mógłby sprawić, że trafilibyśmy do wieczornych wiadomości, i korzystałem z możliwości patrzenia z nowej perspektywy wprost na bezkresną Nullarbor. Przed nami rozciągały się pojedyncze tory — proste jak strzały dwa równoległe pręty stali, poprzecinane niezliczonymi betonowymi podkładami, błyszczące boleśnie w promieniach słońca. Gdzieś na absurdalnie odległym horyzoncie te dwie linie stykały się z sobą. Pociąg monotonnie zmierzał do przodu, ale nie potrafił zbliżyć się do tego punktu. Nie można było długo na to patrzeć — a w każdym razie ja nie mogłem — bez bólu głowy.

— Jak daleko jest następny zakręt? — spytałem.

— Za trzysta sześćdziesiąt kilometrów — odparł Willis.

— Nie wariujecie tutaj?

— Nie! — powiedzieli jednocześnie pełnym przekonania tonem.

— Widujecie coś, co przełamuje monotonię? Zwierzęta i tak dalej?

— Parę kangurów — odrzekł Coad. — Od czasu do czasu wielbłąda. Z rzadka motocykl.

— Motocykl?

— Tutaj — pokazał na drogę techniczną, która biegła wzdłuż torów. — Japończycy bardzo lubią tę trasę. Podobno trzeba nią przejechać, żeby się dostać do niektórych klubów motocyklowych.

— Parę tygodni temu widzieliśmy gościa na motorze — włączył się Willis.

— Serio?

— Japońca.

— Tak po prostu sobie jechał?

— Jak dla mnie kompletny wariat, ale chyba nie miał żadnych problemów. Pomachał nam.

— Czy tu jest bardzo niebezpieczne? — spytałem.

— Nie, byle za bardzo nie oddalać się od torów. Kursuje tędy kilkadziesiąt pociągów tygodniowo i nikt nie zostawi gościa, który ma kłopoty.

Dotarliśmy do mijanki o nazwie Deakin, gdzie Indian Pacific musiał zjechać na bocznice, żeby przepuścić pociąg towarowy, a ja i Trevor mieliśmy wrócić do naszego wagonu. Zeskoczyliśmy z lokomotywy i ruszyliśmy żwawym krokiem wzdłuż pociągu (zapewniam was, że też byście szli żwawym krokiem obok pociągu z włączonym silnikiem pośród pustyni). W drzwiach pierwszego wagonu pasażerskiego czekał na nas kierownik składu, David Goodwin.

Pomógł nam wsiąść — jeśli pociąg nie stoi na peronie, wdrapanie się po schodkach wcale nie jest takie łatwe — i wkoziółkowaliśmy do środka. Podniósłszy wzrok, ze zdumieniem zobaczyłem, że znajdujemy się w zakazanej klasie ekonomicznej. W życiu tak się na mnie nie gapiono. Kiedy przechodziliśmy za Davidem przez dwa wagony w tej strefie, 124 pary zapadniętych oczu smętnie śledziły każdy nasz ruch. Ci ludzie nie mieli wagonu restauracyjnego, wagonu barowego ani wygodnych łóżek, do których mogliby się wieczorem położyć. W takich spartańskich warunkach podróżowali od wyjazdu z Sydney: dwa dni w pozycji siedzącej i perspektywa kolejnego, zanim przybędą do Perth. Jestem prawie pewien, że gdyby nie eskorta kierownika składu, toby nas zjedli.

Do Perth dotarliśmy o świcie. Wysiedliśmy z Indian Pacific szczęśliwi, że mamy twardy grunt pod nogami, i absurdalnie zadowoleni z naszego sukcesu. Wiem, że osiągnięcie to wymagało jedynie totalnej beczynności przez 72 godziny, niemniej dokonaliśmy czegoś, czego mnóstwo Australijczyków nigdy nie zrobiło — przejechaliśmy z jednego końca Australii na drugi.

Moja konkluzja jest banalna i oczywista: Australia należy do osobnej kategorii krajów. Nie chodzi tylko o rozmiary i odległości — niewątpliwie kolosalne — ale także o niewiarygodną pustkę. Tysiąc kilometrów w Australii to nie to samo co tysiąc kilometrów gdzie indziej. Najlepszym sposobem, aby to sobie uświadomić, jest przebycie całego kraju drogą lądową.

Nie mogłem się doczekać dalszego zwiedzania.

¹ Ze stwierdzeniem tym trudno polemizować, autor pragnie jednak podkreślić, że nie miał okularów, zaufał swoim gospodarzom, wypatrywał rekinów na dużym akwenie oceanicznym i cały czas usiłował nie narobić

w portki.

² Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie sumy są podane w dolarach australijskich. Jeden dolar to obecnie ok. 2,90 zł (przyp. red.).

³ Według australijskiego historyka Geoffreya Blaineya, ale w 1929 roku według „National Geographic”. Trudno znaleźć informację na temat Australii, której ktoś w innym miejscu nie zaprzeczyłby na piśmie.

Część druga

Cywilizowana Australia

(Boomerang Coast)

Rozdział czwarty

I

To niewiarygodne, że coś tak bardzo, wręcz ostentacyjnie widocznego mogło umykać uwadze świata prawie do czasów współczesnych. Mimo to niecałe 20 lat przed założeniem Sydney Australia była w gruncie rzeczy krajem kompletnie nieznanym.

Przez niemal 300 lat odkrywcy szukali hipotetycznego kontynentu południowego, *Terra Australis Incognita*, dużej masy lądowej, która stanowiłaby przynajmniej częściową przeciwwagę dla tych wszystkich ziem na półkuli północnej. Jednak za każdym razem realizował się jeden z dwóch scenariuszy: albo znajdowali ten kontynent, nie wiedząc o tym, albo go omijali.

W 1606 roku hiszpański żeglarz Luis Vaez de Torres przepłynął przez Ocean Spokojny z Ameryki Południowej i trafił do wąskiego przesmyku (dzisiaj zwanego Cieśniną Torresa), oddzielającego Australię od Nowej Gwinei, nie mając pojęcia, że dokonał czynu, będącego nautycznym odpowiednikiem nawleczenia igły. Trzydzieści sześć lat później na poszukiwania mitycznej ziemi południowej wysłano Holendra Abela Tasmana, który zdołał przepłynąć ponad trzy tysiące kilometrów poniżej Australii, nie zauważając niemałej masy lądowej, znajdującej się przez cały czas po jego lewej ręce. W końcu wpadł na Tasmanię (którą na cześć swojego zwierzchnika z holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej nazwał Ziemią van Diemena), po czym odkrył jeszcze Nową Zelandię i Fidżi, ale ostatecznie nie była to udana wyprawa. W Nowej Zelandii Maorysi pojмали i zjedli część jego ludzi — tego rodzaju historie źle wyglądają w raportach — a on sam nie znalazł żadnych bogactw. W drodze powrotnej zobaczył północne wybrzeże Australii, ale był tak zniechęcony, że uznał to za nieistotne i pożegłował dalej.

Nie znaczy to, że na australijskim gruncie nigdy wcześniej nie stanęła europejska stopa. Od początku XVII wieku żeglarze raz na jakiś czas przybijali do północnych

lub zachodnich wybrzeży tego kontynentu, często po wpłynięciu na mieliznę. Pierwsi goście zostawili na mapach kilka nazw — Przylądek Leeuwina, Archipelag Dampiera, wyspy Abrolhos — nie widzieli jednak powodu, żeby zatrzymać się na dłużej na tych pustych i jałowych ziemiach. Wiedzieli, że coś tam jest — może duża wyspa, taka jak Nowa Gwinea, może grupa mniejszych wysp jak Indie Wschodnie — i nazwali ten twór Nową Holandią, ale nikt nie skojarzył go z poszukiwanym od dawna południowym kontynentem.

Ponieważ wszystkie te wizyty były przypadkowe i epizodyczne, nie da się jednoznacznie ustalić, kiedy europejskie spojrzenie padło na Australię po raz pierwszy. Najwcześniejsze udokumentowane odwiedziny tych ziem miały miejsce w 1606 roku, kiedy marynarze holenderscy pod wodzą Willema Jansza (bądź Janszoona) zeszli na ląd na północy (i szybko się wycofali pod gwałtownym ostrzałem aborygeńskich włóczni), ale nie ulega wątpliwości, że wyprzedziło ich wielu innych podróżników. W 1916 roku na północno-zachodnim wybrzeżu (Carronade Island) znaleziono dwa portugalskie działa pochodzące najpóźniej z 1525 roku. Ten, kto je zostawił, z pewnością figurował na liście pierwszych Europejczyków, którzy oddalili się od domu tak bardzo, że wylądowali na drugim końcu globu, ale nic nie wiemy na temat tej epokowej wizyty. Jeszcze bardziej intrygująca jest nakreślona portugalską ręką mapa, która pochodzi mniej więcej z tego samego okresu i ujawnia dobrą znajomość przebiegu wschodniego wybrzeża Australii — podobno odkrytego przez Europejczyków dopiero dwa i pół stulecia później...

Kiedy więc w kwietniu 1770 roku porucznik James Cook i załoga HMS „Endeavour” zobaczyła południowo-wschodni róg Australii i przepełnęła trzy tysiące kilometrów na północ wzdłuż wybrzeża aż po półwysep Jork, było to nie tyle odkrycie, ile potwierdzenie.

Podróż Cooka, chociaż niewątpliwie heroicznej, przyświecał bardzo prozaiczny cel: wysłano go na drugi koniec świata, na Tahiti, aby zmierzył czas przejścia Wenus przed Słońcem. W połączeniu z innymi obliczeniami, dokonanymi w tym samym momencie gdzie indziej, miało to umożliwić astronomom określenie

odległości Ziemi od Słońca. Operacja nie była specjalnie skomplikowana, ale należało wystrzegać się błędów. Akcja przeprowadzona osiem lat wcześniej, podczas poprzedniego przejścia Wenus, zakończyła się niepowodzeniem, a na następne takie wydarzenie trzeba byłoby czekać 105 lat. Szczęśliwie dla Cooka i dla nauki niebo tego dnia pozostało bezchmurne i pomiary przebiegły bez zakłóceń.

Cook mógł zatem przystąpić do realizacji drugiej części swojej misji: zbadać ziemie mórz południowych i przywieźć do kraju wszystko, co z naukowego punktu widzenia przedstawiałoby się obiecująco. W tym celu zabrał z sobą młodego i bogatego botanika Josepha Banksa. Powiedzieć, że Banks był namiętym kolekcjonerem, to nic nie powiedzieć. Podczas trzyletniej wyprawy „Endeavour” zebrał 30 tysięcy okazów, w tym co najmniej 1400 roślin, których nigdy wcześniej nie widziano — wydłużyło to listę znanych roślin o mniej więcej jedną czwartą. Banks nazwoził tego tyle, że dzisiaj, po 220 latach, w szufladach londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej wciąż znajduje się mnóstwo rzeczy czekających na skatalogowanie.

Podczas tej wyprawy Cookowi jako pierwszemu udało się również opłynąć Nową Zelandię, co potwierdziło, iż nie jest ona częścią legendarnego kontynentu południowego, jak optymistycznie sądził Tasman. Generalnie podróż była sukcesem na całej linii i można sobie wyobrazić euforię, jaka panowała na pokładzie, kiedy nareszcie obrano kurs na macierzysty port.

Nic zatem dziwnego, że kiedy 19 kwietnia 1770 roku, trzy tygodnie drogi od Nowej Zelandii, porucznik Zachary Hicks krzyknął „Ziemia!”, zobaczywszy południowo-wschodni koniuszek Australii, załoga „Endeavour” była już nieźle nabuzowana. Cook nazwał to miejsce Point Hicks (dzisiaj Półwysep Everarda) i skierował statek na północ.

Odkryta ziemia była nie tylko większa, ale również bardziej obiecująca, niż oczekiwano. Wschodnie wybrzeże okazało się bujniej porośnięte, lepiej nawodnione i bardziej przystępne niż obszary Nowej Holandii, o których wcześniej donoszono. Kraj był „bardzo ładny i obiecujący (...), z pagórkami, górami,

równinami i dolinami, porośnięty po części trawą, ale w większości lasem”, jak napisał Cook. W niczym nie przypominał jałowych i niegościnnych pustyń, napotykanych przez ich poprzedników.

Przez cztery miesiące płynęli na północ. Zatrzymali się w miejscu określonym przez Cooka mianem Botany Bay, uszkodzili statek o Wielką Rafę Koralową i po niezbędnych naprawach opłynęli przylądek Jork, najbardziej wysunięty na północ punkt Australii. Wieczorem 21 sierpnia, zupełnie jakby przypomniawszy sobie o tym w ostatniej chwili, Cook zszedł na brzeg w miejscu, które nazwał Possession Island, wbił flagę brytyjską i ogłosił, że terytorium to należy do Korony.

Był to niebywały wyczyn jak na syna robotnika z Yorkshire, który po raz pierwszy zobaczył morze w wieku 18 lat, a do marynarki wstąpił jako dwudziestosiedmiolatek. Cook odbył później jeszcze dwie, tym razem znacznie większe wyprawy na Pacyfik — podczas tej drugiej pokonał 70 tysięcy mil morskich — zanim został zamordowany (i prawdopodobnie zjedzony) przez tubylców na hawajskiej plaży w 1779 roku. Był doskonałym nawigatorem i uważnym obserwatorem, ale podczas pierwszej podróży popełnił jeden zasadniczy błąd: pomylił australijską porę deszczową z suchą i uznał ten kraj za bardziej gościnny, niż był on w rzeczywistości.

Znaczenie tej pomyłki uwidoczniło się z chwilą, kiedy Wielka Brytania utraciła swoje amerykańskie kolonie i uznawszy, że potrzebuje jakiegoś innego terytorium, na które mogłaby zsyłać swoich niepożądanych poddanych, wybrała Australię. Kiedy w maju 1778 roku kapitan Arthur Phillip na czele flotyli 11 statków, zwanej później nabożnie Pierwszą Flotą, wypłynął w morze z Portsmouth, jego celem — oraz 1500 innych osób, które wyruszyły wraz z nim — było założenie kolonii w niedorzecznie dalekim i prawie nieznanym kraju, wcześniej widzianym przez Brytyjczyka tylko raz, przed 17 laty.

Nigdy wcześniej nie poniesiono tak wielkich kosztów, by przetransportować tak wielu ludzi na tak wielką odległość — i to tylko po to, żeby ich zamknąć w więzieniu. Według dzisiejszych kryteriów (a właściwie według wszelkich możliwych kryteriów) ich kary były absurdalnie nieproporcjonalne do

popęlnionych czynów. Większość z nich należała do kategorii drobnych złodziejasków. Wielka Brytania nie próbowała pozbyć się groźnych przestępców, tylko trochę przerzedzić margines społeczny. Na ogół ludzi tych zsyłano na drugi koniec świata za kradzież różnych drobiazgów. Jeden osławiony nieszczęśnik został przyłapany na wynoszeniu dwunastu krzaków ogórkowych, a inny nieopatrznie schował do kieszeni książkę *A Summary Account of the Flourishing State of the Island of Tobago*. Większość przestępstw wynikała z desperacji albo niezdolności do oparcia się pokusie.

Zsyłka najczęściej trwała siedem lat, ale ponieważ skazanym nie zapewniano możliwości powrotu, a tylko nieliczni byli w stanie zaoszczędzić na bilet, wygnanie do Australii w praktyce oznaczało wyrok dożywotni. To była naprawdę bezlitosna epoka. Pod koniec XVIII wieku brytyjskie kodeksy puchły od przestępstw karanych śmiercią. Zawisnąć na szubienicy można było za 200 czynów, na przykład za „udawanie Egipcjanina”. W takim kontekście zsyłkę należy uznać za całkiem miłosierną alternatywę.

Podróż Pierwszej Floty z Portsmouth trwała 252 dni, czyli 8 miesięcy. Marynarze pokonali 15 tysięcy mil na otwartym morzu (część z nich zresztą zupełnie niepotrzebnie, ale dwa razy przekraczali Atlantyk, żeby złapać korzystne wiatry). Po przybyciu do Zatoki Botanicznej stwierdzili, że nie jest to tak gościnny port, jak im opisano. Nieosłonięta zatoka stanowiła dosyć niebezpieczne kotwicowisko, a zwiad, który udał się na ląd, znalazł tylko muchy i mokradła. „Nie znaleźliśmy ani śladu naturalnych łąk koło Zatoki Botanicznej, o których wspomina pan Cook” — napisał zaskoczony uczestnik wyprawy. Z opisów Cooka wyłaniało się coś zbliżonego do angielskiej posiadłości wiejskiej, miejsca, gdzie można zagrać w krokieta i urządzić piknik na trawniku. Wszystko wskazywało na to, że wielki odkrywca widział Australię w innej porze roku.

Kiedy tak stali i dumali nad swym nieszczęsnym położeniem, nastąpił jeden z tych zbiegów okoliczności, w które obfituje historia Australii. Na wschodnim horyzoncie pojawiły się dwa statki i zawinęły do zatoki. Dowodził nimi szarmancki Francuz, hrabia Jean-François de La Pérouse, stojący na czele dwuletniej

pacyficznej ekspedycji badawczej na Pacyfiku. Gdyby La Pérouse był trochę szybszy, mógłby proklamować Australię własnością francuską i oszczędzić temu krajowi 200 lat angielskiej kuchni. Zaakceptował jednak ten niefortunny układ czasowy z charakterystyczną dla tamtej epoki wielkodusznością. Ciekawe, jaką miał minę, kiedy usłyszał, że Phillip i jego załoga pokonali właśnie 15 tysięcy mil oceanu, aby stworzyć więzienie dla ludzi, którzy ukradli koronki, tasiemki, krzewy ogórkowe i książkę o Tobago. Niestety nie znalazł się nikt, kto mógłby zarejestrować wyraz jego twarzy. Odpocząwszy w Zatoce Botanicznej, La Pérouse wyruszył więc w morze i zniknął na zawsze. Niedługo potem jego dwa statki zatoniły podczas sztormu koło Nowych Hebrydów.

Tymczasem Phillip, poszukując bardziej przystępnej lokalizacji, popłynął w stronę innej zatoki, o której Cook wspomniał, ale jej nie zbadał. Za cyplami z piaskowca zobaczył jedną z najpiękniejszych przystani świata. Zakotwiczył statki tam, gdzie dzisiaj znajduje się Circular Quay, i zaczął budować miasto. Był 26 stycznia 1788 roku, do dzisiaj obchodzony jako Australia Day.

Do licznych małych tajemnic, które otaczają początki kształtowania się Australii, należy geneza jej nazw geograficznych. To Cook ochrzcił wschodnie wybrzeże Nową Południową Walią, ale nikt nie ma pojęcia dlaczego. Chodziło mu o nową Walię na południu czy o nową Walię Południową? Jeśli to drugie, to dlaczego tylko część Walii, a nie cała? Nikt nie potrafi na to odpowiedzieć. Jedno jest pewne: Cook nie miał żadnych znanych kronikarzom związków z tym zielonym regionem Wielkiej Brytanii, czy to z jego południem, czy z północą.

Ciekawa historia wiąże się również z Sydney. Phillip chciał, żeby nazwa ta odnosiła się jedynie do zatoki, miasto zaś miało być „Albionem”, ale pomysł nie chwycił. Wiemy, na czyją cześć nazwano Sydney: Thomasa Townshenda, pierwszego barona Sydney, ministra spraw wewnętrznych i kolonii, a tym samym bezpośredniego zwierzchnika Phillipa. Nie wiemy natomiast, dlaczego Townshend wybrał tytuł Sydney, kiedy go wysłachcono. Powód zabrał z sobą do grobu, a jego tytuł przetrwał niewiele dłużej, gdyż jego ród wygasł w 1890 roku. Samą przystań ochrzczono Port Jackson (oficjalnie wciąż tak się nazywa), od sędziego admiralicji

George'a Jacksona, który później zrezygnował ze swego nazwiska, aby objąć spadek po ekscentrycznym krewnym i dokończył żywota jako Duckett.

Spośród tysiąca osób, które zeszyły na ląd, około 700 było więźniami, reszta natomiast składała się z marynarzy, oficerów i rodzin oficerów oraz gubernatora i jego personelu. Dokładne liczby w poszczególnych kategoriach różnią się w zależności od źródła¹, ale nie ma to większego znaczenia: od tej pory wszyscy byli więźniami.

Była to, delikatnie mówiąc, pstrokata zbieranina. W kontyngencji znaleźli się na przykład dziewięcioletni chłopiec i osiemdziesięciodwuletnia staruszka, czyli osoby, które raczej nie spełniały wymogów stawianych przed kolonizatorami. Chociaż w Londynie skonstatowano, że w tak odległym kraju przydadzą się ludzie z pewnymi określonymi kwalifikacjami, nikt nie wziął sobie do serca tej rady. Wśród uczestników wyprawy nie było przyrodnika, kwatermistrza ani człowieka, który miałby jakiegokolwiek pojęcie o uprawie roślin w niegościnnym klimacie. Więźniowie zasadniczo nie grzeszyli umiejętnościami praktycznymi. W tak licznej grupie nie było ani jednego doświadczonego rybaka i zaledwie pięć osób, które jako tako znały się na budownictwie. Wprawdzie wszystkie źródła opisują Phillipa jako dobrego, spokojnego i z gruntu uczciwego człowieka, ale jego położenie było katastrofalne. Mając przed sobą kraj porośnięty florą, której nigdy wcześniej nie widział na oczy i o której nic nie wiedział, zanotował z rozpaczą w dzienniku: „Nie dysponuję ani jednym botanikiem czy chociaż inteligentnym ogrodnikiem”.

Koloniści dzielnie uznali, że muszą sobie jakoś radzić. Nie mieli zresztą innego wyboru. Wysyłano ekipy, których zadaniem było sprawdzać, co uda im się znaleźć (generalnie nic), władze założyły farmę na terenie położonym w pobliżu portu (dzisiaj jest tam ogród botaniczny) i podjęto próbę nawiązania przyjaznych stosunków z tubylcami. „Indianie”, jak ich początkowo nazywano, okazali się kapryśni i nieobliczalni. Zazwyczaj przychylni, od czasu do czasu napadali na kolonistów, którzy wypuścili się poza obóz na ryby czy polowanie. W pierwszym roku zabitych zostało siedemnastu, a zranionych kilkudziesięciu osadników, łącznie z gubernatorem Phillipem, który w Manly Cove podszedł do Aborygena, aby

nawiązać z nim rozmowę, i nagle, ku swemu zdziwieniu, spostrzegł, że ma bark przebity włócznią (wygrzebał się z tego).

Wszystko sprzysięgło się przeciwko kolonistom. Nie mieli nieprzemakalnych ubrań, które chroniłyby ich przed deszczem, zaprawy murarskiej ani zwierząt pociągowych nadających się do zaprzęgnięcia do pługów, których zresztą także nie mieli. Gleba sprawiała wrażenie dotkniętej „nieprzezwyyczajną jałowością”. Jeśli coś już zdołało urosnąć, z reguły było kradzione pod osłoną ciemności — nie tylko przez więźniów, ale również przez marynarzy. Przez wiele lat obu grupom brakowało żywności i wielu innych potrzebnych rzeczy: butów, koców, tytoniu, gwoździ, papieru, atramentu, płótna namiotowego, siodeł — jednym słowem wszystkiego, co trzeba było wyprodukować. Żołnierze w poszukiwaniu jedzenia próbowali wprawdzie sięgać do naturalnych zasobów, ale nie mieli pojęcia, czego szukają ani co znaleźli, jeśli już udało im się cokolwiek znaleźć. Historyk Glen McLaren cytuje raport żołnierza, któremu kazano spenetrować dolinę rzeki Hunter. „Gleba jest czarna — relacjonował — ale zmieszana z rodzajem piasku albo marglu. Ryb jest obfitość i po tym, jak skaczą, sądzą, że należą do rodziny pstrągów”.

Kolejną barierę na drodze do rozwoju miasta stanowiła konieczność korzystania z pracy więźniów, których motywacje ograniczały się do ich osobistych interesów. Co sprytniejsi szybko nauczyli się wymigiwać od trudniejszych obowiązków. Niejaki Hutchinson, natrafiwszy w jednym z luków na jakąś aparaturę naukową, przekonał swoich strażników, że wie wszystko na temat barwników i przez wiele miesięcy pozwalano mu prowadzić skomplikowane eksperymenty z użyciem zlewki i wag, zanim sobie uświadomiono, że ten typ nie ma pojęcia o tym, co robi. Kiedy więźniowie nie potrafili oszukać strażników, oszukiwali kolegów. Przez wiele lat nowo przybyłym skazańcom sprzedawano mapy, które pokazywały, jak dojść do Chin. Grupy liczące do 60 osób uciekały z niewoli w przekonaniu, że ten cudownie gościnny kraj położony jest na drugim brzegu niezbyt odległej rzeki.

W 1790 roku na państwowej farmie nie uprawiano już roli, a ponieważ z Anglii również nie nadchodziły żadne zapasy, toteż koloniści musieli posiłkować się

jedynie coraz szczuplejszym prowiantem, który z sobą przywieźli. Nie dość, że żywności brakowało, to jeszcze była stara i prawie niejadalna. W ryżu tak bardzo roiło się od robaków, że „każde ziarenko zdawało się poruszać” — notował z obrzydzeniem Watkin Tench. Któregoś ranka, w najtrudniejszym dla nich okresie, skonstatowali po przebudzeniu, że w nocy kilka ich krów postanowiło sobie pójść i już nie wrócić. Naprawdę trudno sobie wyobrazić gorzej zorganizowanych osadników.

Ich nieporadność była rozczulająca. Kiedy Aborygeni zabili więźnia nazwiskiem McEntire, gubernator Phillip, w nietypowym dla niego przyпадку furii (było to niedługo po tym, jak sam został ranny), wysłał ekspedycję karną, która miała za zadanie przynieść sześć głów tubylców — dowolnych tubylców. Marynarze przez kilka dni błąkali się po buszu, ale zdołali złapać tylko jednego Aborygena, na dodatek zaprzyjaźnionego, więc go wypuścili. W końcu wrócili z pustymi rękami i wygląda na to, że całą sprawę dyskretnie puszczono w niepamięć.

Wyczerpany permanentnym stresem Phillip po czterech latach został wezwany do Anglii i przeszedł na emeryturę w Bath. Oprócz założenia Sydney wsławił się jeszcze jednym niezwykłym osiągnięciem: w 1814 roku zabił się, spadając z wózka inwalidzkiego i wylatując przez okno na piętrze.

II

Kiedy człowiek przebywa w cappuccinowym raj, którym stało się współczesne Sydney, nie jest w stanie sobie wyobrazić, jak wyglądało życie w tamtych pionierskich czasach. Po części wynika to z oczywistego faktu, że warunki trochę się zmieniły. Tam, gdzie kiedyś stały prymitywne budy i obwisłe namioty, dzisiaj wznosi się wielka i urodziwa metropolia — trudno o bardziej radykalną transformację. Dodatkowo należy uwzględnić to, że rzeczywiste początki Australii są rozmyte, a może nawet celowo pomijane milczeniem.

W całym Sydney próżno szukać pomnika Pierwszej Floty. W National Maritime Museum czy Museum of Sydney daje się wprawdzie odczuć, że część pierwszych

mieszkańców miała pewne problemy zaopatrzeniowe — można nawet wydedukować, że ich obecność w tych stronach nie była całkiem dobrowolna — ale fakt, że przybyli skuci łańcuchami, jest już znacznie mniej eksponowany. W *The Fatal Shore*, wspaniałym studium poświęconym początkom kolonizacji Australii, Robert Hughes pisze, że jeszcze w latach sześćdziesiątych XX wieku więzienna przeszłość kraju uchodziła za niegodną zainteresowania naukowców, a już na pewno nie uczono o niej w szkołach. Dziennikarz John Pilger relacjonuje, że w latach pięćdziesiątych, kiedy był chłopcem, nawet w rodzinie nie wspominało się o „plamie”, tym osobliwie menstruacyjnym eufemizmie, określającym penitencjarne korzenie Australii. Mogę potwierdzić na podstawie własnego doświadczenia, że człowiek, który w australijskim towarzystwie pozwoli sobie na nawet najbardziej niewinny żarcik na ten temat, po chwili ma wrażenie, że podkrecono klimatyzację.

Moim zdaniem Australijczycy powinni pękać z dumy, że w tak trudnych warunkach, w niegościnniej krainie na drugim końcu świata, udało im się stworzyć zamożne i dynamiczne społeczeństwo. Po prostu mistrzostwo świata! Co z tego, że prapradziadunio za młodu miał trochę lepkie ręce? Liczy się to, co po sobie zostawił.

Znowu znalazłem się zatem na Circular Quay w Sydney, gdzie gubernator Phillip i jego banda obszarpanych, obrośniętych solą stworzeń zeszli dwieście lat temu na ląd. Wróciłem do Australii po krótkim pobycie w USA, gdzie miałem kilka spraw do załatwienia, i muszę powiedzieć, że kipiałem entuzjazmem. Słońce nie skąpiło ciepła, miasto budziło się do życia — podnoszono żaluzje, przed kawiarnie wystawiano stoliki — a mnie ogarnął zachwyty, który zawsze mi towarzyszy, kiedy wypuszczą mnie z puszki samolotu i znowu znajdę się na antypodach. Nareszcie miałem zwiedzić Sydney.

Jeśli ktoś o wpół do dziewiątej rano w letni dzień ma ochotę po prostu sobie postać i popatrzeć, to nie ma na świecie lepszych miejsc niż Circular Quay. Przed wszystkim widok należy do najpiękniejszych na całej planecie. Po prawej stoi

słynna opera roziskrzona i prawie oślepiająca, przecinająca niebo swymi zuchwałymi, bezkompromisowymi dachami. Po lewej mamy Harbour Bridge, ten ogromny, majestatyczny most. Zza wody przyzywa Luna Park, wesołe miasteczko z maniakalnie uśmiechniętą głową, pełniącą funkcję wejścia. Po zatoce pływają szerokie, staroświeckie promy, sprawiające wrażenie żywcem wyjętych z książeczki dla dzieci z lat czterdziestych, i wyrzucają z siebie strumienie opalonych, lekko ubranych pracowników biurowych, którzy następnie zapełniają betonowo-szklane wieżowce.

Wszystko spowija atmosfera radosnej pracowitości. Oto ludzie, którzy żyją w bezpiecznym i sprawiedliwym kraju, w klimacie, dzięki któremu obywatele są piękni i zdrowi, w jednym z najwspanialszych miast świata — a na dodatek dostają się do pracy promem z książeczki dla dzieci po roziskrzonej tafli wody i każdego przedpołudnia, podnosząc wzrok znad „Heraldów” i „Telegraphów”, widzą za oknem słynną operę, imponujący most i uśmiechniętą twarz Luna Parku. Nic dziwnego, że mają takie sakramencko radosne miny!

Wzrok przykuwa przede wszystkim opera, co nie powinno wcale dziwić. Jest tak niewiarygodnie znajoma, w stylu „Hej, chłopaki, jestem w Sydney!”, że nie można oderwać od niej oczu. Clive James porównał ją kiedyś do maszyny do pisania posypanej muszlami ostryg — chyba troszkę przesadził z surowością oceny. Zresztą w operze w Sydney nie chodzi przecież o estetykę, lecz o ikoniczność.

Już samo jej istnienie zakrawa na cud. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, jak zapyziałą dziurą było Sydney w latach pięćdziesiątych, zapomniane przez świat i pozostające nawet w cieniu Melbourne. W 1953 roku miasto miało zaledwie 800 miejsc hotelowych, co wystarczało na średnich rozmiarów konferencję, a wieczorami nie było co tutaj robić; knajpy zamykali o szóstej. Aby zobrazować ówczesną przeciętność tego miasta, wystarczy przypomnieć, że tam, gdzie dzisiaj stoi opera, w jednym z najpiękniejszych miejsc, jakie mogą zaoferować woda i ziemia, wtedy znajdowała się zajezdnia tramwajowa.

Potem wydarzyły się dwie rzeczy: Melbourne przyznano organizację letnich igrzysk olimpijskich w 1956 roku — trudno o bardziej mobilizujące hasło bojowe

dla Sydney — a sir Eugene Goossens, szef tutejszej orkiestry symfonicznej, zaczął agitować za budową porządną sali koncertowej, bo w całym mieście takiej nie było. Zachęczone do działania władze miasta postanowiły zburzyć przedpotopową zajezdnię i postawić na jej miejscu coś naprawdę fajnego. Ogłoszono konkurs na projekt i plejada miejscowych notabli zebrała się w celu wyłonienia zwycięzcy. Nie mogąc dojść do porozumienia, jury zasięgnęło rady urodzonego w Finlandii amerykańskiego architekta Eero Saarinen, który przejrzał oferty i wybrał projekt, który został odrzucony przez jurorów, dzieło mało znanego trzydziestosiedmioletniego architekta duńskiego Jørna Utzona. Za namową Saarinen władze miasta przystały na ten werdykt i Utzonowi zadesperowano dobrą wiadomość.

„Plan był odważny, oryginalny i genialny, ale od początku nastęczał problemów” — napisał John Gunter. Problemy te wiązały się ze słynnym dachem. Nigdy wcześniej nie zbudowano czegoś podobnego i nikt nie miał pewności, czy jest to możliwe. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że pośpiech, z jakim przystąpiono do realizacji projektu, przypuszczalnie go ocalił. Jeden z głównych inżynierów stwierdził później, że gdyby ktokolwiek sobie uświadomił, jak trudne będzie to wyzwanie, to inwestycja zapewne nigdy nie dostałaby zielonego światła. Samo wypracowanie koncepcji budowy dachu zajęło pięć lat — na cały projekt początkowo przewidziano sześć — i budowa ciągnęła się przez półtorej dekady. Koszty sięgnęły 102 milionów dolarów — czternaście razy więcej, niż pierwotnie szacowano.

Co ciekawe, Utzon nigdy nie widział swego dzieła w stanie ukończonym. Po wyborach w 1966 roku, w wyniku których zmieniły się władze stanowe, odesłano go do domu i już nigdy nie przyjechał do Australii. Nigdy też nie zaprojektował budynku choćby w przybliżeniu tak znanego. Eugene Goossens, od którego to wszystko się zaczęło, również nie zobaczył realizacji swego marzenia. W 1956 roku, podczas odprawy celnej na lotnisku w Sydney, znaleziono w jego bagażu dużą i zróżnicowaną kolekcję materiałów pornograficznych i powiedziano mu, żeby swoje obrzydliwe europejskie potrzeby zaspokajał gdzie indziej. Tym

sposobem los nieco sobie z niego zakpił, nie pozwalając mu radować oczu najwspanialszą erekcją jego życia.

Opera to niezwykły budynek i nikomu nie pozwolę tego negować, ale moje serce należy do Harbour Bridge. Prezentuje się mniej uroczyście, ale bardziej hegemonicznie — widać go z każdego zakątka miasta, wpycha się w kadr pod rozmaitymi kątami jak wujek, który chce być na każdym zdjęciu. Z oddali cechuje go wytworna powściągliwość, majestatyczna godność, ale z bliska uderza masywnością. Wznosi się tak wysoko, że można by pod nim zmieścić dziesięciopiętrowy budynek i wygląda na najcięższy obiekt świata. Wszystko — kamienne bloki czterech wież, żeliwne zdobienia dźwigarów, metalowe płyty, 6 milionów nitów (z główkami jak połówki jabłka) — jest w nim największe w swojej kategorii. Został zbudowany przez ludzi, którzy przeżyli rewolucję przemysłową, dysponujących górami węgla i piecami hutniczymi, w których można przetopić pancernik. Samo przesło waży 30 tysięcy ton. To się nazywa most.

Od jednego do drugiego końca mierzy 536 metrów. Wspominam o tym nie tylko dlatego, że przeszedłem go na piechotę, ale również dlatego, że z liczbą tą wiąże się pewna smutna historia. W 1923 roku, kiedy władze miejskie postanowiły przerzucić most ponad portem, zdecydowano, że nie będzie to byle jaki most, tylko największa jednoprzęsłowa konstrukcja na świecie. To wyjątkowo śmiałe jak na tak młody kraj przedsięwzięcie zajęło więcej czasu, niż przewidywano — prawie dziesięć lat. Tuż przed jego ukończeniem, bez wielkiego dzwonu, otwarto Bayonne Bridge w Nowym Jorku, który pobił Harbour Bridge o 63,5 centymetra (0,121 procent)².

Po długich godzinach spędzonych w samolocie pałałem chęcią rozprostowania swych zgrabnych nóg, toteż przeszedłem przez most do Kirribilli i zapuściłem się w stare, sympatyczne dzielnice północnego wybrzeża. Przepiękny zakątek! Minąłem małą zatoczkę, znad której mój bohater, lotnik Charles Kingsford Smith (na szczegóły przyjdzie pora), podjął swoją niemożliwą eskapadę, wędrowałem po

cienistych wzgórzach, pośród domów zanurzonych w kwitnących jakarandach i wonnych uroczynach (we frontowej części każdego ogrodu obowiązkowo musiała znajdować się pajęczyna wielkości trampoliny, a w środku pająk, na widok którego nawet odważnemu człowiekowi zapałoby dech). Co chwila prześwitywał błękitny port — nad murkiem ogrodu, poniżej stromej drogi zawieszony między gęsto stojącymi domami niby suszące się prześcieradło — i ulotność tego widoku jeszcze zwiększała jego atrakcyjność. W Sydney są całe dzielnice z wielkimi rezydencjami, które zdają się składać wyłącznie z balkonów i szkła, bez jednego liścia, który blokowałby palące słońce albo przesłaniał widok, ale rozległe panoramy na północnym brzegu zostały mądrze i szlachetnie poświęcone na rzecz chłodnego cienia drzew. Gwarantuję, że każdy mieszkaniec pójdzie za to do nieba.

Długo spacerowałem przez Kirribilli, Neutral Bay i Cremorne, a potem przez zamożne dzielnice Mosman, by wreszcie dotrzeć do Balmoral, z osłoniętą plażą nad Middle Harbour i uroczym nadmorskim parkiem ocienionym przez krzepkie figowce znad Moreton Bay, zdecydowanie najpiękniejsze australijskie drzewa. Nad wodą stał znak, o wymowie: jeśli zjedzą cię rekiny, to żebyś później nie narzekał, że cię nie ostrzegliśmy. Najwyraźniej ataki rekinów są bardziej prawdopodobne w zatoce niż poza nią. Nie wiem dlaczego. We wciągającej i optymistycznie nastrajającej do życia książce *Sydney* autorstwa Jan Morris przeczytałem również, że w zatoce roi się od ryb trucielek *Glyptauchen panduratus*. Co ciekawe, w obszernej literaturze przedmiotu, którą przestudiowałem, nie natrafiłem na żadną inną wzmiankę o tych żarłocznych stworzeniach. Absolutnie nie sugeruję, że pani Morris popuściła wodze fantazji. Chodzi mi jedynie o to, że nie wystarczy jednego życia, aby przeczytać o wszystkich niebezpieczeństwach, które czają się pod każdą akacją i każdą zmarszczką wody w tym niewiarygodnie jadowitym i zębatym kraju.

Przemyślenia te zyskały na aktualności kilka godzin później w suchym upale popołudnia, kiedy wróciłem do miasta wykończony i pokryty skorupą zaschniętego potu, by — wiedziony neodpartą pokusą — wstąpić do Australian Museum, ciężkiego i okazałego gmachu koło Hyde Parku. Wszedłem tam nie ze względu na znakomitą reputację tej placówki, lecz dlatego, że wariowałem z gorąca, a muzeum

wyglądało na jeden z tych starych budynków, w których panuje półmrok i przyjemny chłodek. Nie zawiodłem się w żadnej z tych trzech kwestii: znakomitej reputacji, półmroku i chłodku. W wysokich salach z galeriami znajdowało się całe mnóstwo wypchanych zwierząt, długich gablot ze starannie wyeksponowanymi owadami, okruchami świecących minerałów czy aborygeńskich artefaktów. W takim kraju jak Australia nic dziwnego, że każda sala obfituje w cudowne niespodzianki.

Jak można sobie wyobrazić, szczególnie pociągało mnie to, co może człowiekowi zrobić krzywdę, czyli prawie wszystko w tym kraju. Oczywiście Australijczycy próbują bagatelizować fakt, że za każdym razem, gdy postawisz stopę na ziemi, coś może wyskoczyć i chwycić cię za kostkę. Zblazowany autor mojego przewodnika beznamiętnie zakomunikował, że „tylko” 14 gatunków australijskich węży stwarza poważne zagrożenie dla życia, między innymi gwardar, *Acanthophis pyrrhus* z rodziny zdradnicowatych, wąż tygrysi, tajpan i pęcz dwubarwny. Trzeba szczególnie uważać na tajpana, jednego z najbardziej jadowitych węży na ziemi, tak szybkiego i obdarzonego tak silnym jadem, że twoje ostatnie słowa przed śmiercią najprawdopodobniej będą brzmiały: „Rany, to jest wąż...”.

Nawet z drugiego końca sali bez trudu można było zauważyć, w której gablocie znajduje się wypchany tajpan, ponieważ stała przed nią gromada chłopców, którzy w milczeniu i z fascynacją patrzyli w jego paciorkowate, leniwie agresywne oczy. Nawet zabity, wypchany i wsadzony do gabloty, wąż ten nie przestaje być groźny. W opisie można było przeczytać, że jad tajpana jest 50 razy silniejszy od jadu kobry, jego najbliższego konkurenta. Aż trudno uwierzyć, że według oficjalnych danych zabił tylko jedną osobę, w 1989 roku w Mildurze. My jednak wiedzieliśmy, jaka jest prawda: na zewnątrz tego budynku tajpany nie są wypchane i za szkłem.

Tajpan ma przynajmniej tę zaletę, że mierzy dwa metry i jest gruby jak nadgarstek człowieka, co daje ci spore szanse na to, że go zauważysz. Znacznie bardziej przerażyły mnie małe, śmiertelne węże, takie jak *Acanthophis pyrrhus*, który ma zaledwie 20 centymetrów i leży zagrzebany w piasku, tak że dowiesz się

o nim dopiero w momencie, gdy twoja zmęczona pupa spocznie na jego głowie. Jeszcze bardziej niepokojący jest morski wąż Point Darwin, niewiele większy od glisty, ale mający w sobie tyle jadu, że nawet jeśli cię nie zabije, na pewno mocno opóźni twój powrót na kolację.

To wszystko jednak nic w porównaniu z delikatną i półprzezroczystą kubomeduzą, najbardziej jadowitym stworzeniem na ziemi. Więcej na temat tego koncentratu śmiertelnej trucizny dowiemy się po wyjeździe w tropiki, a na razie pozwolę sobie opowiedzieć jedną krótką historię. W 1992 roku pewien młodzieniec z Cairns, ignorując wszystkie znaki ostrzegawcze, poszedł wykąpać się w Pacyfiku koło Holloways Beach. Pływał i nurkował, wołał do swoich kolegów na plaży, żeby nie byli takimi tchórzami, a potem zaczął nieludzko wrzeszczeć — podobno nie ma gorszego bólu. Wszedł z wody, słaniając się na nogach, i upadł na piasek, a w miejscach, gdzie otarły się o niego macki meduzy, był pokryty sinymi pręgami. Po paru minutach przyjechało pogotowie, napompowało go morfiną i zabrało do szpitala. Pointa jest jednak inna: chociaż był nieprzytomny i pod działaniem silnych środków przeciwbólowych, dalej wrzeszczał jak opętany.

Jakież było moje zadowolenie, gdy dowiedziałem się, że w Sydney nie ma kubomeduz. Tutejszym sztandarowym zagrożeniem jest atraks, najbardziej jadowity pająk świata. Jeśli nie udzielą ci szybko pomocy, to po jednym ukąszeniu będziesz podskakiwał, szarpany wyjątkowo energicznymi konwulsjami, potem zsiniejesz, a następnie umrzesz. Zanotowano 13 przypadków śmiertelnych, wszystkie przed 1981 rokiem, w którym wynaleziono antidotum. Inne trujące pająki to *Lampona cylindrata*, *Missulena*, pogońcowate i nasz stary znajomy redback („w każdym roku notuje się setki ukąszeń [...] i kilkanaście zgonów”), a także samotniczy, ale porywczy typ zwany pustelnikiem brunatnym. Nie potrafię z pełnym przekonaniem stwierdzić, czy widziałem któreś z tych stworzeń w mijanych tego dnia ogrodach, ale nie mogę również tego wykluczyć, bo wszystkie wyglądają dla mnie zasadniczo tak samo. Nawiasem mówiąc, nikt nie wie, dlaczego australijskie pająki są tak fenomenalnie toksyczne. Łapanie malutkich owadów i wstrzykiwanie im dawki trucizny wystarczającej do zabicia

konia sprawia wrażenie rażącej niegospodarności. Z drugiej strony dzięki niej wszyscy zostawiają pająkom dużo przestrzeni życiowej.

Ze szczególną uwagą przestudiowałem atraksa, ponieważ na ten gatunek miałem największe szanse się natknąć w ciągu najbliższych pięciu dni. Dowiedziałem się, że pająk ten mierzy cztery centymetry, jest pulchny, włochaty i brzydki. Można go rozpoznać po „narzędzie rozrodczym na czułku samca, mocno zakrzywionym dołku, błyszczącym pancerzu i krótkich, tępych kolcach sterczących z dolnej wargi”. Inna możliwość to po prostu dać się ukąsić. Przepisałem to wszystko dokładnie, zanim sobie uświadomiłem, że jeśli po przebudzeniu zobaczę, że po prześcieradle zbliża się ku mnie krabim krokiem jakieś duże, futrzaste stworzenie, to raczej nie będę tracił czasu na szczegółowe oględziny jego charakterystycznych cech anatomicznych. Schowałem więc notes i poszedłem rzucić okiem na minerały, które są może mniej ciekawe, ale za to prawie nigdy nie atakują ludzi.

Przez cztery dni wędrowałem po Sydney. Sumiennie zwiedziłem najważniejsze muzea i spędziłem popołudnie w niezwykle gościnnej Bibliotece Stanowej Nowej Południowej Walii, ale przede wszystkim łąziłem wszędzie tam, gdzie była woda. O charakterze Sydney bez wątplenia przesądza naturalny port. A właściwie jest to raczej fiord, długi na 25 kilometrów i o doskonałych proporcjach — na tyle szeroki, aby stwarzać majestatyczne wrażenie i na tyle wąski, aby móc się tam czuć po sąsiedzku. Z każdego miejsca widać ludzi na drugim brzegu. Można im nawet pomachać, jeśli ma się na to ochotę. Port przebiega ze wschodu na zachód i dzieli miasto na dwie mniej więcej równe części, zwane północnymi i wschodnimi przedmieściami (wiele przedmieść wschodnich leży na południu, a północnych na wschodzie, ale to drobiazg — pamiętajmy, że Australijczycy zaczynali jako Brytyjczycy). Stwierdzenie, że przystań mierzy 25 kilometrów, nie oddaje jej rzeczywistych rozmiarów. Liczne odnogi, które kończą się zacisznymi zatoczkami, zwiększają długość linii brzegowej do prawie 250 kilometrów. Włóczęgowska natura tego miejsca powoduje, że w jednej chwili spacerujesz koło maleńkiej, osłoniętej zatoczki, która sprawia wrażenie oddalonej od wszelkiej cywilizacji, a po

obejściu cypla widzisz przed sobą wielką tafłę wody, operę, Harbour Bridge i kępy drapaczy chmur, połyskujących w rozwibrowanym od gorąca powietrzu. Jest to zachwycający spektakl, który nigdy się nie nudzi.

Ostatniego dnia poszedłem spenetrować Hunter's Hill, idylliczną dzielnicę oddaloną o około 10 kilometrów od centrum i położoną na długim jeździe ziemi niedaleko spokojniejszych zakątków zatoki. Wybrałem się tam zachęcony entuzjastycznymi rekomendacjami Jan Morris. Podejrzewam, że ona dotarła tam drogą wodną (każda rozsądna osoba by tak zrobiła), ja jednak wybrałem spacer Victoria Road, może nie najbrzydszą ulicą w Australii, ale na pewno najmniej przyjemną do takich wędrówek.

W pełnym słońcu pokonywałem kilometr za kilometrem, mijając fabryki, magazyny, bocznicę kolejowe, składy budowlane, hurtownie i puby przyciągające klientów dosyć surrealistycznymi metodami: „Loteria fantowa: wygraj 6 kilo mięsa! 18–20”. Kiedy nareszcie dostałem do znaku, który kierował w stronę Hunter's Hill, byłem już trochę zniechęcony. Wyobraźcie więc sobie moją satysfakcję, kiedy odkryłem, że Hunter's Hill była warta każdego bolesnego kroku — urocza dzielnica z dużymi kamiennymi willami, ślicznymi wiejskimi domami i malowniczymi sklepami niekiedy o naprawdę imponującym rodowodzie. Mały, ale urodziwy ratusz datuje się na 1860 rok, jedna z drogerii zaś funkcjonuje tu od 1890 roku, co w Australii jest chyba rekordem. Każdy ogród był istnym klejnotem, a w tle prawie zawsze, choćby przelotnie, dało się dostrzec kawałek portu. Byłem zauroczony.

Nie mając ochoty wracać tą samą trasą, postanowiłem pójść trochę naokoło przez Linley Point, Lane Cove, Northwood, Greenwich i Wollstonecraft, by powrócić do znanego świata w okolicy Harbour Bridge. Nadłożyłem sporo drogi, a dzień był duszny, ale Sydney obfituje w niespodzianki, które rekompensują takie trudy, mnie zaś rozpieęła ambicja. Po jakiejś godzinie zaczęło mi świtać, że chyba jednak nieco przesadziłem z tą ambicją, bo do centralnej dzielnicy biznesowej zostało mi jeszcze wiele kilometrów, ale potem zauważyłem na planie miasta dobry skrót przez Tennyson Park.

Mniej więcej w połowie długości willowej ulicy zobaczyłem wejście do parku. Drewniana tablica informowała, że dalej znajduje się chroniony obszar buszu i uprasza się, by nie schodzić z wyznaczonych ścieżek. Świetny pomysł, powiedziałem sobie, kawałek pierwotnego buszu w samym sercu metropolii! Z entuzjazmem wszedłem za bramę.

Nie wiem, jakie obrazy wywołuje w waszych głowach słowo „busz”, ale to, co zobaczyłem, nie było spodziewaną przeze mnie brunatną półpustynią, lecz laskiem z nakrapianą słońcem ścieżką i roziskrzonym strumykiem. Najwyraźniej mało kto się tu zapuszczał — co kilka metrów musiałem się schylać, żeby nie zerwać wiszącej w poprzek ścieżki wielkiej pajęczyny — co nadawało mojej eskapadzie ekscytujący posmak wyprawy odkrywco-badawczej.

Przewidywałem, że przejście przez park — czy raczej „rezerwat”, jak to nazywają Australijczycy — zajmie mi około 20 minut. Po mniej więcej połowie tego czasu gdzieś z prawej doleciało do mnie szczekanie psa, z gatunku eksperymentalno-sondażowych typu: „Kto to jest?”. Dochodziło z daleka i nie brzmiało groźnie, ale z pewnością wydawał je z siebie duży pies. Jego tembr wskazywał, że jest to stworzenie mięsożerne, czarne, silne, genealogicznie niezbyt odległe od wilka. Prawie natychmiast rozległo się szczekanie towarzysza pierwszego psa, zdecydowanie mniej eksperymentalne. To szczekanie mówiło: „Alarm! Obcy na naszym terenie!”. Minutę później oba psy były już w niemałym amoku.

Nerwowo przyspieszyłem kroku. Psy mnie nie lubią. Jest to jedno z praw przyrody, jak grawitacja. Nie przesadzę, jeśli powiem, że nigdy nie minąłem psa, który nie zachowywałby się tak, jakbym miał ochotę poczęstować się jego Pedigree Chum. Psy, które od lat nie ruszyły się z sofy, wyczuwając w powietrzu mój zapach, natychmiast zrywają się z furią i uderzają nosem w zamknięte okno. Widywałem malutkie pieski, nie większe od puchatego bambosza, które przewracały staruszki i wlokły je za sobą na smyczy, pragnąc mnie pożreć do ostatniej kropli szpiku kostnego. Wszystkie psy na tej planecie życzą sobie mojej śmierci.

A teraz byłem sam w pustym lesie, który nagle wydał mi się bardzo duży i bardzo bezludny, i zwęszyły mnie dwa gigantyczne, rozgniewane psy. Kiedy maszerowałem dalej, dwie rzeczy stawały się dla mnie coraz bardziej oczywiste: psy obrały mnie sobie za cel i nie należą do takich, które cackają się ze swoimi ofiarami. Zbliżały się do mnie ze znaczną prędkością. Teraz ich szczekanie mówiło: „Dopadniemy cię, chłopie. Jesteś martwym mięsem w małych, zmasakrowanych kawałkach”. Zwróćcie uwagę na brak wykrzyknika. Szczekanie nie było już nacechowane żądzą krwi i szałem, tylko chłodnym wyrachowaniem. Stanowiło rzeczową deklarację intencji. „Wiemy, gdzie jesteś — mówiły. — Nie zdążysz uciec z lasu. Niech ktoś wezwie specjalistów od medycyny sądowej”.

Rzucając wystraszone spojrzenia przez listowie, zacząłem truchtać, a potem biec. Należało się zastanowić, jaką powinienem przyjąć taktykę na wypadek, gdyby psy wtargnęły na ścieżkę. Podniosłem z ziemi kamień jako narzędzie obrony, by kilka metrów dalej zamienić go na kij. Kij był o wiele za duży — miał chyba ze cztery metry — i taki zbutwiały, że złamał się na pół, gdy tylko go podniosłem. Biegając dalej, straciłem kolejny kawałek, potem jeszcze jeden, aż wreszcie został mi w ręku gąbczasty ogryzek — równie skutecznie mógłbym się bronić bochenkiem chleba — więc wyrzuciłem go, wziąłem do każdej ręki po dużym, poszarpanym kamieniu i znowu zwiększyłem tempo. Miałem wrażenie, że psy przemierzają się równoległe do mnie, jakby nie mogły się przebić, w odległości kilkudziesięciu metrów. Szalały z wściekłości. Jeszcze bardziej przyspieszyłem.

W tej panice za szybko pokonałem zakręt i dałem nura w gigantyczną pajęczynę, która zamknęła się wokół mnie jak spadochron po wylądowaniu. Zawodząc ze strachu, próbowałem się wyswobodzić, ale zapomniawszy, że mam w rękach kamienie, walnąłem się w głowę. W jakimś zakamarku mózgu, który potrafił jeszcze w miarę logicznie myśleć, pojawiła się refleksja: „To jest naprawdę nie fair”. Gdzie indziej wykwitła myśl: „Będiesz pierwszą osobą w dziejach świata, która zginie w buszu w środku miasta, ty mięczaku”. Cała reszta była lodowatą zgrozą.

Biegłem dalej, zrozpaczony i skamlący, by za kolejnym zakrętem odkryć —

z cichym piskiem niedowierzania — że ścieżka nagle się skończyła. Miałem przed sobą nieprzebytą gęstwinę — cały mur. Rozejrzałem się dokoła, zmartwiły ze strachu. Najwyraźniej zboczyłem gdzieś z trasy — pewnie wtedy, kiedy bryłami granitu zeszkrobywałem z czoła strzępy pajęczyny. Tak czy owak droga do przodu była zatarasowana, a za mną ciągnęła się jedynie wąska ścieżka, która prowadziła w kierunku dwóch bestii z piekła rodem. Rozejrzałem się jeszcze raz i na szczycie niewielkiego wzniesienia zobaczyłem róg obrotowej suszarki na ubrania. Ktoś tam mieszka! Dotarłem do granicy parku. Może od niekonwencjonalnej strony, ale co tam! Odnalazłem cywilizację, bezpieczeństwo! Wgramoliłem się na wzgórze tak szybko, jak pozwalały mi na to moje grube nóżki — psy były bardzo blisko — nadziejąc się na kolce, wdychając pajęczyny, każdą cząstką swojego jestestwa próbując zapobiec ukazaniu się w gazetach następującego nagłówka: „Policja znajduje tors pisarza. Poszukiwania głowy trwają”.

Na szczycie pagórka stał mur, wysoki na jakieś dwa metry. Stękając obficie, dźwignąłem się na jego płaski wierzch i zeskoczyłem po drugiej stronie. Zmiana scenerii była totalna, ulga nieopisana. Powróciłem do znanego świata: znajdowałem się w czyimś zadbanym ogrodzie, znajdującym się za domem. Zobaczyłem huśtawki, które wyglądały na nieużywane od wielu lat, rabaty kwiatowe, trawnik przechodzący w taras. Ogród z trzech stron zamykał mur z cegły, a z czwartej duży dom, co nie do końca przewidziałem. Nielegalnie wszedłem na teren prywatny, ale teraz nie było mowy o powrocie do lasu. Część muru zasłaniała mi altana ogrodowa: może za nią jest wyjście, którym uda mi się niepostrzeżenie wymknąć? Z drugiej strony mogłem tam zobaczyć dużego, złego psa. Cóż to byłaby za ironia losu! Mając przed oczami tę paskudną wizję, skradałem się zatem ostrożnie jak Indianin.

Teraz pozwolę sobie zmienić na chwilę punkt widzenia. Przepraszam, że każę ci wstawać, ale chcę cię umieścić pod oknem przy zlewie kuchennym, znajdującym się w tym domu na spokojnym przedmieściu. Jesteś sympatyczną gospodynią domową w średnim wieku, zajęta codziennymi obowiązkami — w tej chwili

nalewasz wodę do flakonu, do którego zamierzasz włożyć piwonie, ścięte przed chwilą na rabatce pod oknami salonu — i widzisz człowieka, który zeskakuje z tylnego muru twojego ogrodu, po czym zaczyna iść w stronę altany, kuląc się nisko przy ziemi. Skamieniała ze strachu, a jednocześnie dziwnie zaciekawiona, nie jesteś w stanie się ruszyć, tylko patrzysz, jak on skrada się przez twój ogród w pozie komandosa, by w końcu przykucnąć za wielką donicą na skraju tarasu. W tym momencie zauważa, że go obserwujesz.

— A, dzień dobry! — mówi radośnie, prostuje się i posyła ci uśmiech, który jego zdaniem jest szczery i ujmujący, ale w rzeczywistości sugeruje osobę, która zapomniała zażyć lekarstwa. Natychmiast przychodzi ci na myśl opublikowane we wczorajszej gazecie policyjne zdjęcie osobnika, który zbiegł z zakładu dla psychicznie chorych przestępców w Wollongong.

— Przepraszam za wtargnięcie — ciągnie mężczyzna — ale byłem w krytycznej sytuacji. Nic pani nie słyszała? Myślałem, że mnie zabiją!

Uśmiecha się głupkowato i czeka na twoją odpowiedź, ale ty nic nie mówisz, bo nie jesteś w stanie otworzyć ust. Twój wzrok wędruje ku otwartym tylnym drzwiom. Gdybyście jednocześnie ruszyli, dotarlibyście do nich w tym samym momencie. Przez twoją głowę przebiegają najróżniejsze myśli.

— Nie widziałem ich, ale wiem, że chodziło im o mnie.

Wygląda jak bezdomny włóczęga. Na twarzy ma smugi ziemi, a jedna nogawka spodni jest rozdarta na kolanie.

— Zawsze mnie ścigają — monologuje poważnym tonem. — Jakby istniał jakiś spisek przeciwko mnie. Idę sobie ulicą, nie wadzę nikomu i nagle wyskakują jak spod ziemi. To nie jest przyjemne — dodaje, kręcąc głową. — Czy furtka jest otwarta?

Nie słuchałaś tego wszystkiego, ponieważ twoja dłoń w sposób niemal niedostrzegalny przesuwiała się w stronę szuflady z nożami do mięsa, ale po chwili dociera do ciebie sens pytania tego osobnika i nerwowo kiwasz głową.

— W takim razie pójdę sobie. Przepraszam za najście. — Zatrzymuje się przy furtce. — Niech pani posłucha mojej rady i nigdy nie chodzi do tego lasu sama.

Może się pani przydarzyć coś strasznego. Tak przy okazji, piękne ostróżki. — Na jego twarzy wykwita uśmiech, który mrozi cię do szpiku kości. — No to do widzenia — mówi i znika.

Sześć tygodni później wystawiasz dom na sprzedaż.

Rozdział piąty

I

Kiedy Australijczycy znajdą jakąś nazwę, która im się spodoba, to z reguły jej nadużywają. Sądzę, że winę za ten niefortunny zwyczaj można zrzucić na Lachlana Macquariego, Szkota, który był gubernatorem kolonii australijskiej w pierwszej połowie XIX wieku. Do jego najważniejszych dokonań należały: budowa Great Western Highway (pierwszej drogi przecinającej Góry Błękitne), spopularyzowanie nazwy Australia (wcześniej funkcjonowały nazwy Nowa Południowa Walia albo Botany Bay) i pierwsza w dziejach ludzkości, prawie skuteczna próba ochrzczenia każdego obiektu na danym kontynencie swoim nazwiskiem.

Nie sposób poruszać się po Australii, nie natrafiając na pomniki jego rządów. Wystarczy przebiec wzrokiem po mapie, aby znaleźć Macquarie Harbour, Macquarie Island, Macquarie Marsh, Macquarie River, Macquarie Fields, Macquarie Pass, Macquarie Plains, Lake Macquarie, Port Macquarie, Krzesło Pani Macquarie (punkt widokowy nad Sydney Harbour), Macquarie Point i miasto Macquarie.

Wyobrażam go sobie, jak siedzi za biurkiem, oglądając przez lupę mapy i atlasy. Nagle woła swojego głównego asystenta:

— Słuchaj, chłopcze, nie ma jeszcze w tym kraju Bagien Macquariego! I popatrz na ten zagajniczek, tu na dole, nie ma jeszcze nazwy, jak twoim zdaniem powinniśmy go ochrzcić?

Zaznaczam, że na razie wymieniłem tylko część Macquariech. Macquarie w tej metropolii to również nazwa banku, uniwersytetu, słownika, galerii handlowej, jednej z głównych ulic Sydney i 47 innych ulic, alei, zaułków i pasaży, które, jak twierdzi Jan Morris, uwieczniają tego człowieka lub kogoś z jego rodziny. Na tym jednak nie koniec, bowiem Macquarie wykorzystał toponimicznie także swoje imię — stąd Lachlan River, Lachlan Valley i wiele innych nazw.

Można by sądzić, że po tej onomastycznej orgii następcom Macquariego niewiele już zostało do nazwania, ale gubernator Ralph Darling też obficie naniósł się na mapy i plany miast, toteż w samym Sydney znajdziemy Darling Harbour, Darling Drive, Darling Island, Darling Point, Darlinghurst i Darlington, gdzie indziej zaś jego dokonania unieśmiertelniają Darling Downs, Darling Ranges, kupa dodatkowych Darlingtonów i ważna rzeka Darling. A jeśli coś nie nazywa się Darling albo Macquarie, to na ogół nazywa się Hunter albo Murray. Łatwo się pogubić.

Nawet jeżeli nazwy nie są identyczne, to często są do siebie bardzo zbliżone. Na dalekiej północy mamy York Peninsula, a na dalekim południu Yorke Peninsula. Dwóch wybitnych XIX-wiecznych odkrywców, oczywiście godnie upamiętnionych, nazywało się Sturt i Stuart. Dojeżdżasz do ruchliwego skrzyżowania i masz cztery sekundy na decyzję: „Chciałem pojechać Sturt Highway czy Stuart Highway?”. Ponieważ obie te drogi zaczynają się w Adelaide, a kończą w miejscach oddalonych od siebie 3994 kilometry, błędna decyzja może narobić sporo zamieszania w twoich podróźniczych planach.

Rozmyślałem o tym wszystkim następnego dnia rano, ponieważ ugrzęzłem w onomastycznym gąszczu, usiłując dostać się do odległych miejsc noszących te same nazwy. Innymi słowy, wynajętym samochodem przemierzałem bezkresny labirynt przedmieść Sydney. Według książki telefonicznej w Sydney znajdują się 784 dzielnice i przedmieścia — mam wrażenie, że przejechałem przez wszystkie, nadaremno dążąc do znalezienia jakiegoś zakątka Australii, który nie byłby zabudowany parterowymi domami. Niektóre dzielnice odwiedziłem dwa razy, wczesnym i późnym przedpołudniem. W pewnej chwili miałem ochotę porzucić auto przy krawężniku w Parramatta — nazwa bardzo mi się spodobała, a mieszkańcy zaczęli mnie rozpoznawać i machać do mnie przyjaźnie, kiedy ich mijiałem — ale w końcu wystrzeliłem z miasta jak przypadkowo połknięty i wypluty owad, z zachwytem stwierdzając, że jestem na dobrej drodze do Lithgow, Bathurst i dalej położonych miejscowości. Ogarnął mnie ten upojny entuzjazm, który towarzyszy człowiekowi, który znalazł się sam pośrodku gigantycznego,

nieznanego kontynentu.

Przez następne dwa tygodnie zamierzałem spenetrować coś, co nazywam Australią Cywilizowaną — dolny prawy róg kraju, ciągnący się od Brisbane na północy do Adelaide na południu. Obszar ten stanowi około 5 procent powierzchni kraju, ale zamieszkuje go 80 procent ludności i znajdują się tam prawie wszystkie ważne miasta, z Brisbane, Sydney, Melbourne, Canberrą i Adelaide na czele. Jest to jedyna część tego ogromnego kontynentu, którą można uznać za nadającą się do zamieszkania. Swoim zakrzywionym kształtem zasłużyła sobie na przydomek „Boomerang Coast”, aczkolwiek brzeg morski nie był tym, co mnie najbardziej interesowało. Moim pierwszym celem była Canberra, ciekawa, parkowa i dziwnie lekceważona stolica kraju. Stamtąd chciałem przemierzyć 1300 kilometrów jałowego interioru, aby dostać się do Adelaide, by wreszcie dotrzeć do Melbourne, pokryty kurzem, ale wciąż nieustraszony. Planowałem się tam spotkać ze starymi znajomymi, którzy mieli spłukać mnie węzłem ogrodowym, a potem zabrać na dawno obiecaną wyprawę po rojąącym się od węży buszu stanu Wiktorii, rzadko odwiedzanym, ale wartym wszelkich trudów. Po drodze było mnóstwo rzeczy do obejrzenia. Nie mogłem się doczekać.

Najpierw jednak musiałem pokonać Góry Błękitne, malownicze i przez długi czas nieprzebyte pasmo górskie na zachód od Sydney. Z daleka nie wyglądają zbyt groźnie, ponieważ nie osiągnęły imponujących wysokości i całe zdają się pokryte miękkim płaszczem zieleni, są jednak poprzecinane zdradliwymi wąwozami i przepastnymi kanionami, ze ścianami wysokimi na kilkadziesiąt metrów i ostrymi skałami. Z kolei ta idylliczna zieleń przy bliższych oględzinach odsłania swą starannie skrywaną, nadzwyczaj splątaną naturę. Przez pierwsze ćwierćwiecze europejskiej kolonizacji Góry Błękitne uniemożliwiały ekspansję na zachód. Kolejne ekspedycje próbowały pokonać tę przeszkodę, ale zawsze zawracały. Nawet jeśli udawało im się przedrzeć przez kłujący i tnący gąszcz, labirynt niewiarygodnie stromych wąwozów całkowicie uniemożliwiał im zachowanie właściwego kierunku. Watkin Tench, szef jednej z wypraw, ze złością relacjonował, że po wielu godzinach mozolnej wspinaczki na jeden

z górskich szczytów on i jego ludzie znaleźli się dokładnie naprzeciwko pożądanego miejsca.

Wreszcie, w 1813 roku, Gregory Blaxland, William Charles Wentworth i William Lawson przebili się na drugą stronę — wyczerpani, z ubraniami w strzępach i „chorzy na dolegliwości jelitowe”, jak opowiadał Wentworth po powrocie i przy każdej okazji, jaka się nadarzyła do końca jego długiego życia. Przeprawa zajęła im 18 dni, ale kiedy udało im się osiągnąć wysmukły wierzchołek Mount York, w nagrodę zobaczyli wspaniałą panoramę, jakiej nigdy wcześniej nie widziały europejskie oczy. Jak okiem sięgnąć, rozciągał się przed nimi rozświetlony złocisty Eden, ocean trawy, który, jak się zdawało, potrafiłby wyżywić miliony mieszkańców. Australia zostanie potężnym krajem — wiadomość ta, przekazana przez nich po powrocie do Sydney, zelektryzowała tłumy. W niecałe dwa lata wytyczono drogę przez te pustkowia i rozpoczęła się kolonizacja australijskiego zachodu.

Dzisiaj Great Western Highway, jak ją pompatycznie, ale i romantycznie nazwano, przebiega dokładnie tą samą trasą, którą obrali prawie 200 lat temu Blaxland i jego towarzysze. Bez wątpienia sprawia nobliwe wrażenie. Wznosi się na zawrotnych wysokościach i miejscami przeciska się przez tak wąskie gardła, że w zasadzie nie da się jej poszerzyć i zmodernizować. Jej ciasne zakręty i skąpa szerokość bardziej pasują do czasów, kiedy automobiliści zakładali na oczy gogle i uruchamiali silniki za pomocą korby. Przejeżdżałem przez tę okolicę trochę wcześniej, w wagonie Indian Pacific, ale pociąg kiepsko nadawał się do obserwacji krajobrazu — krótki widok na doliny przez ogrodzenie z eukaliptusów, a potem ostry zakręt torów, które zanurzają się w gęstym lesie. Nie mogłem się więc doczekać, kiedy zobaczę te góry z bliska, a zwłaszcza słynne panoramy, roztaczające się z miasteczka Katoomba.

Niestety, los mi nie sprzyjał. Kiedy jechałem krętą drogą w stronę gór, na przednią szybę spadły krople deszczu, a przestrzeń pomiędzy rosnącymi po obu stronach drzewami *Ceratopetalum apetalum* i sasafrasami wypełniła zimna, skłębiona mgła, która szybko zrobiła się gęsta jak dym podczas pożaru lasu. Nigdy

wcześniej nie jechałem samochodem w takiej mgle. Przypominało to lot awionetką przez chmurę. Miałem przed sobą maskę i mur bieli. W takich warunkach utrzymanie auta na nedorzecznie wąskiej i krętej drodze granoczyło z niemożliwością, a na każdym ostrym wirażu z moich ust dobywał się okrzyk zaskoczenia.

W końcu dotarłem do Katoomby, gdzie mgła była chyba jeszcze bardziej zawieszona. Miasto składało się z upiornych kształtów, które wyskakiwały na mnie z tej zupy niby strachy w zamku duchów w wesołym miasteczku. Dwa razy, przy prędkości trzy kilometry na godzinę, o mało nie wjechałem w tył zaparkowanego samochodu. Nie mam pojęcia, po co się męczyłem, ale skoro już tutaj dotarłem, to znalazłem punkt widokowy Echo Point, zaparkowałem i wysiadłem. Oczywiście oprócz mnie nikogo tam nie było. Chwyciłem za barierkę i potoczyłem wzrokiem wkoło, tak jak się to robi w punkcie widokowym. Przede mną rozciągała się wyłącznie niezgłębiona biel, z tą swoistą nieprzyjemną ciszą, którą niesie z sobą mgła. Ku mojemu zdziwieniu z mlecznych oparów wyłoniła się nagle para starszków, o zdecydowanej, acz trochę trzęsącej się postawie. Oboje byli tak okutani, jakby szykowali się na długą zimę. Mężczyzna szczególnie niepewnie trzymał się na nogach, wsparty z jednej strony na lasce, z drugiej na żonie.

Kiedy znaleźli się na mojej wysokości, spojrzeli na mnie zaskoczony.

— Nic pan dzisiaj nie zobaczy — warknął, tak jakbym marnował nie tylko swój czas, ale również jego. Głośność jego wypowiedzi wskazywała, że jest głuchawy.

— Nie podniesie się wcześniej jak za półtora dnia — orzekł, a potem dodał konfidencyjnym tonem: — Głęboki niż nad Pacyfikiem. Często się zdarza.

Skinął głową z miną mędrca i wraz ze mną zaczął kontemplować nicość.

Jego żona posłała mi nieznaczący uśmiech, który wyrażał jednocześnie przeprosiny, rezygnację i odrobinę melancholii.

— Może się jednak niedługo przejaśni — powiedziała z nieśmiałym optymizmem.

Spojrzeli na nią takim wzrokiem, jakby zakomunikowała, że zamierza zrobić kupę na chodnik.

— Przejaśni się? W życiu! Przecież mówiłem, że jest głęboki niż nad Pacyfikiem.

Przez chwilę miałem wrażenie, że chce ją dzielić laską. Optymizm tej dzielnej kobiety był jednak niezłomny.

— Pamiętasz, jak nagle zrobiła się piękna pogoda wtedy w Bunbury?

— W Bunbury? — powtórzył z niedowierzaniem. — Bunbury? To jest na drugim końcu kraju! Inny ocean, do jasnej! O czym ty gadasz? Zwariowałaś czy co? Trzeba cię trzymać pod kluczem.

Nagle rozpoznałem akcent: ten człowiek pochodził z Yorkshire.

— Nie wyglądało, że się rozpogodzi — mówiła do mnie staruszka, spodziewając się, że znajdzie we mnie bardziej życzliwego słuchacza — a potem...

— To jest inny ocean, kobieto! Nie dość, że zwariowałaś, to jeszcze ogłuchłaś?

Nie miałem wątpliwości, że była to rozmowa, którą w ogólnych zarysach prowadzili od lat.

— Warunki meteorologiczne nad Oceanem Indyjskim są zupełnie, ale to zupełnie inne. Nawet idiota to wie. — Urwał na chwilę, po czym dodał: — Myślałem, że idziemy na herbatę.

— Tak, kochanie, ale pomyślałam, że mały spacerek dobrze nam zrobi.

Z imponującą zręcznością znowu wprawiła go w ruch.

— Spacerek? Po kiego diabła? Guzik widać. Nie dość, że zwariowałaś i ogłuchłaś, to jeszcze ośleplaś? Mgła się nie podniesie przez półtorej doby.

— Wiem, kochanie, ale...

Za moment byli głosami wypływającymi zza kotary bieli, a potem zupełnie zniknęli.

Nie mając ochoty tak szybko opuszczać tego regionu, spędziłem noc w Blackheath, uroczej miejscowości w lesie położonej kilkanaście kilometrów dalej przy krajówce. Ostatnią rzeczą, którą widziałem z okna motelu przed położeniem się do łóżka, był samochód poruszający się po drodze. Jego reflektory przypominały szperacze. Potem świat przykryła gruba pierzyna ciemności. Nie

wyglądało to zbyt obiecująco.

Możecie więc wyobrazić sobie moje zaskoczenie, kiedy po przebudzeniu zobaczyłem, że jasne światło słońca wypełnia mój pokój i igra w koronach drzew na zewnątrz. Po otwarciu drzwi ujrzałem złocisty, oślepiający świat. Ptaki śpiewały w zaroślach na egzotyczną nutę. Nie tracąc ani chwili, wróciłem do Katoomby.

Widok z Echo Point był niesamowity: szeroka dolina porośnięta bardzo zielonym lasem, urozmaicona płaskimi formacjami skalnymi i ostrymi turniami. Cała ta zachwycająca panorama była pogrążona w absolutnej ciszy. Na błękitnym niebie nie widać było prawie żadnej chmurki. Już o dziewiątej rano dało się przewidzieć, że dzień będzie bardzo gorący. Przez półtorej godziny chodziłem po skarpie, oglądając widok pod różnymi kątami. Rzuciłem okiem na wodospad i podziwiałem słupy z piaskowca, zwane Trzema Siostrami, a potem, całkowicie usatysfakcjonowany, wróciłem do miasteczka napić się kawy.

W latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku Katoomba była miejscowością wypoczynkową dla ludzi wymagających, znacznie bardziej kulturalną niż Bondi i inne plażowiska, gdzie zawsze istniało niebezpieczeństwo, że młody Bruce i młoda Noelene zobaczą za dużo nagiego ciała i usłyszą za dużo dosadnych słów — wyrażen typu „Jezuuu!” i „Rany boskie!”. Katoomba oferowała bardziej wyrafinowane sposoby spędzania wolnego czasu: spacery po lasach, terapeutyczne kąpiele w gorącej wodzie, wieczorne dansingi przy dźwiękach orkiestry. Dzisiaj Katoomba trochę desperacko trzyma się swojej dawnej renomy. Ozdobę głównej ulicy stanowią budynki w stylu art déco, przede wszystkim piękne stare kino, ale większość z nich, łącznie z kinem, była zamknięta.

Kupiłem gazetę i znalazłem kawiarnię. Zawsze mnie zaskakiwało, jak niewielu przyjezdnych czyta miejscową prasę. Osobiście znam niewiele bardziej podniecających rzeczy — w każdym razie z tych, które można robić publicznie, pijąc kawę — niż lektura dziennika z regionu, o którym prawie nic nie wiem. Co za przyjemność znaleźć naród zaprzątnięty sprawami, które nie mają absolutnie żadnego wpływu na moje życie! Kocham czytać o skandalach z udziałem

ministrów, o których nigdy nie słyszałem, poszukiwaniach morderców z miejscowości, których nazwy wydają mi się zakurzone i odległe, o cenionych artystach i myślicielach, których dokonania nigdy nie dotarły do moich uszu i w których talent muszę uwierzyć na słowo. Przede wszystkim uwielbiam zagłębiać się w kolorowe dodatki i dowiadywać, co w tej części świata jest ostatnim krzykiem mody na plaży albo jaki proponowany sprzęt kuchenny mógłbym kupić, gdybym miał 400 tysięcy dolarów australijskich na zbyciu i powód, żeby mieszkać w Dubbo lub Woolloomooloo. Wszystko to ma posmak zakazanego owocu, jak grzebanie w szufladach obcej osoby. Gdzie można kupić tyle przyjemności za parę groszy?

W tamtym czasie namiętnie śledziłem pewien proces o naruszenie dóbr osobistych. Dwóch ministrów pozwało wydawcę książki, która zawierała ordynarne i — jak się później okazało — bezpodstawne zarzuty dotyczące seksualnych zachowań obu panów w dawnych czasach. Z każdym dniem proces coraz bardziej nabierał charakteru groteskowej farsy. Parę dni wcześniej, z niedocieczonych dla nikogo powodów, głos w sprawie postanowił zabrać były lider opozycji, który opowiadał barwne historie o nieobyčajności innych ministrów, niemających nic wspólnego z książką ani procesem. Ja jednak zainteresowałem się tą sprawą przez pewien niezwykły i rozweselający zbieg okoliczności, a mianowicie, że ministrowie nazywali się Abbott i Costello, czyli tak samo jak słynny duet amerykańskich komików.

Siedziałem więc w kawiarni zaabsorbowany lekturą, kiedy usłyszałem znajomy głos, mówiący niezadowolonym tonem:

— To nie jest dżem truskawkowy, tylko porzeczkowy.

Podniósłszy wzrok znad gazety, zobaczyłem małżeństwo poznane poprzedniego dnia. Po zdjęciu czapek, płaszczy i szalików sprawiali wrażenie dużo mniejszych i bardziej słabowitych. Wspomniane elementy garderoby, starannie złożone, leżały obok nich na krzesłach, jakby czekały na transfer do szafy garderobianej. Zadałem sobie pytanie, czy przypadkiem nie noszą tych ubrań nie ze względów pogodowych, tylko po to, żeby móc wypełnić dni ich wkładaniem i zdejmowaniem.

— Nie mają truskawkowego, kochanie — powiedziała staruszka cierpliwie. — Kelnerka nam wyjaśniła. Mają tylko porzeczkowy albo marmoladę pomarańczową.

— Nie chcę ani jednego, ani drugiego.

— To nie bierz ani jednego, ani drugiego — tym razem w jej głosie pojawił się cień znużenia.

— Ale to jest na mojej grzance.

— Nie, kochanie, to mój tost. Tobie zamówiłam pączka z dżemem.

— Pączka z dżemem? Pączka z dżemem? Zwariowałaś? Nie lubię pączków z dżemem. Herbata jest zimna.

Powróciłem do gazety, ale wychodząc, zatrzymałem się, żeby ich pozdrowić. Mężczyzna wyraźnie nie miał pojęcia, kim jestem. Zauważyłem, że pączek z dżemem został zjedzony; na talerzu zostało po nim tylko fioletowe maźnięcie.

— To ten młody człowiek z Echo Point — wyjaśniła staruszka, ale jej mążonek nie zwracał na mnie uwagi, bo był za bardzo zajęty próbami uprzątnięcia dżemu za pomocą łyżeczki.

— No i się rozpogodziło! — powiedziałem radosnym tonem.

— Często tak bywa! — krzyknął staruszek, nie podnosząc wzroku. — Mówiłem, że to nie potrwa półtorej doby.

— Kiedyś przeżyliśmy coś takiego w Bunbury — powiedziała jego małżonka. — Straszna mgła, a po chwili słońce na bezchmurnym niebie. Pamiętasz, kochanie?

— No pewnie! — odparł z roztargnioną miną; nagarnął dżem palcem na łyżeczkę i włożył ją do ust z rozanieloną miną. — No pewnie!

Ruszyłem w dalszą drogę. Za Blackheath krajówka zaczęła stromą i krętą wspinaczkę do Lithgow, gdzie poleciała skrajem gór i rzuciła się przez trawiaste równiny w stronę Bathurst. Znalazłem się pośród wiejskiego krajobrazu, w regionie nazywanym przez geografów niecką Murray-Darling. Wysoka trawa kołysała się leniwie na wietrze. Jaskry zdobiły pobocza. Wszystko było skąpane w roziskrzonym świetle słońca. Tu i ówdzie dostojne drzewa ocieniały biały dom jakiegoś farmera. Nie było widać żadnych eukaliptusów. Poczujęm się jak na

amerykańskim Środkowym Zachodzie.

Bukoliczny świat, który mnie otaczał, nie był tak dziewiczy, jak sądzili Blaxland i jego kumple, kiedy po raz pierwszy na niego spojrzeli z wierzchołków za moimi plecami. Kiedy pierwsi osadnicy zeszli z lesistych gór, ze zdumieniem zobaczyli wielkie, liczone w setkach stada krów, które pasły się spokojnie na zielonych łąkach. Było to potomstwo bydła, które przed laty uciekło z Sydney Cove. Okazało się, że krowy obeszyły Góry Błękitne dokoła, korzystając z przełęczy na południu. Dlaczego ludzie przez 25 lat na to nie wpadli — pytanie to jest rzadko zadawane i nie uzyskano jeszcze na nie zadowalającej odpowiedzi.

Żyzne równiny również nie były aż tak rozległe, jak początkowo sobie wyobrażano. Dobre pastwiska ciągnęły się tylko kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu, ale nawet ten region zdany był na pastwę przygnębiających kaprysów natury. Mniej więcej sto kilometrów od miejsca, które teraz przemierzałem, na skraju prerii znajdowało się nieduże miasteczko Nyngan. W 1989, 1990, 1992, 1995, 1996 i 1998 roku nawiedziły je gwałtowne powodzie, zostawiając po sobie wielkie spustoszenia. W tym samym okresie, w którym Nyngan było wielokrotnie zalewane, w mieście Cobar, położonym trochę ponad sto kilometrów na zachód, przez pięć lat nie spadła ani kropla deszczu. Jeśli z moich dotychczasowych rozważań nie wynika to dostatecznie jasno, to powtórzę: w tym kraju panują sakramencko ciężkie warunki.

A przecież krajobraz wokół mnie wydawał się uroczy i gościnny. Farmy były porządne i zadbane, a mijane miejscowości otoczone były aurą dostatku i wygody. Nikt by nie uwierzył, że zaraz za górami znajduje się czteromilionowa metropolia. Poczulem się tak, jakbym wstąpił w jakiś zapomniany, magicznie samowystarczalny i niezależny świat. Odnalazłem tu rzeczy od lat niewidziane: stacje benzynowe ze staroświeckimi pompami i bez wiaty, dzięki czemu benzynę nalewa się w pełnym słońcu, czyli jak Pan Bóg przykazał; wiatraki z metalowymi skrzydłami, które kiedyś stały na każdym polu gospodarskim w Kansas; małe miasteczka z ludźmi, którzy krzatali się przy swoich sprawach, pozdrawiając się nawzajem uśmiechem i skinieniem głowy. Wszystko to miało dla mnie charakter

odległego, mglistego wspomnienia. W końcu mnie olśniło: tak, to jest Środkowy Zachód, tylko sprzed lat. Innymi słowy, dokonałem cudownego i podnoszącego na duchu odkrycia: poza wielkimi miastami w Australii wciąż jest 1958 rok. Wydaje się to niemożliwe, ale przed faktami nie ma ucieczki: jechałem przez krainę mojego dzieciństwa.

Po części wiązało się to ze światłem — czystym, nierozproszonym światłem, które może spływać tylko z naprawdę gorącego, błękitnego nieba, sprawiając, że nawet na betonową szosę trudno jest patrzeć, a wszystkie odległe powierzchnie odbijające światło zamieniają się w błyski płomienia. Na pewno znacie tę szczególną intensywność słońca, która w wyjątkowo pogodne dni otacza wszystko niezwykłą aureolą, toteż budynki i konstrukcje, które na co dzień mijamy obojętnie, nagle stają się frapujące i piękne. W Australii niemal bez przerwy mają takie światło. Minęło trochę czasu, zanim sobie uświadomiłem, że to światło z czasów mojego dzieciństwa w Iowa, czyli sprzed szokująco długiego okresu...

Istotna była również kwestia drogi. Prawie wszystkie australijskie drogi krajowe mają tylko dwa pasy i tak jest znacznie lepiej. W przeciwieństwie do autostrady, człowiek nie jest tu odcięty od świata, lecz organicznie w niego wrasta. Miliony szczegółów krajobrazu, zamiast ginąć w odległym, monotonnym tle, znajdują się dokładnie w zasięgu wzroku. To całkowicie zmienia punkt widzenia. Nie ma sensu się spieszyć, skoro osiągniesz w ten sposób tylko tyle, że będziesz się włócił w pióropuszu spalin ciężarówki z kurami. Lepiej się odprężyć i podziwiać scenerię. Na australijskich drogach nie ma więc tej obsesji prędkości — muszę wyprzedzić tego gościa, muszę pędzić, muszę nabić jak najwięcej kilometrów — która powoduje, że jeżdżenie autostradami jest tak męczące i frustrujące. Kiedy docierasz taką drogą do jakiejś miejscowości, to jest to wydarzenie. Nie przelatujesz przez nią na pełnym gazie, tylko zwalniasz i poruszasz się z dostojną prędkością defilady, pozwalającą pozdrawiać przechodniów skinieniem głowy i obejrzeć towary wystawione w oknach sklepów przy głównej ulicy. „O, te męskie dziergane koszule są całkiem niedrogie”, mówisz zamyślonym tonem, albo: „Leżaki w Bathurst były tańsze”. Bo oczywiście zaczęłeś gadać do siebie.

Czasem — a nawet całkiem często — zatrzymujesz się, aby wypić kawę i rozejrzeć się po sklepowych witrynach. Potem znowu ruszasz i z początku jedziesz trochę za szybko — taki odruch warunkowy — ale za pierwszym zakrętem szybko zbliżasz się do zderzaka wywrotki, która pluje dymem i mozolnie wspina się pod górę. Zdejmujesz więc nogę z gazu i mówisz sobie, że czas nie zając. Z łokciem w oknie i palcem na kierownicy suniesz przed siebie jednostajnym tempem. Od lat tak nie jechałeś. Od czasów młodości. Zapomniałeś, że jazda samochodem może sprawiać przyjemność. Byłem w siódmym niebie.

Jakby dla wzmocnienia tego motoryzacyjnego poczucia retro, odkryłem, że prowincjonalne rozgłośnie radiowe specjalizują się w starych kawałkach. Nie mam na myśli piosenek z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, lecz znacznie wcześniejsze. Być może jest to ostatni kraj na świecie, w którym włączasz radio i masz niemalą szansę usłyszeć Peggy Lee, Julie London, a może nawet Gisele McKenzie, której popularność w latach pięćdziesiątych można przypisać ujmującemu uśmiechowi i tej szczęśliwej okoliczności, że debiutowała w mało wymagającej muzycznie epoce. Wystrzegam się pochopnych uogólnień — w końcu podczas mojego pobytu w Australii słuchałem radia tylko przez sześć, siedem tysięcy godzin — ale powiem jedno: kiedy nasze współczesne zabytki obrócą się w pył, kiedy bezduszna ręka czasu zatrze wszelkie ślady po XX stuleciu, gdzieś na australijskiej prowincji prezenter lokalnej stacji radiowej powie: „A teraz Doris Day z jej klasycznym przebojem *Que sera, sera*”.

Nawet tym byłem zachwycony.

Mniej więcej przez tydzień.

Tak oto, cały szczęśliwy, jechałem przez Lithgow, Bathurst, Blayney i Lyndhurst, by wreszcie, koło trzeciej po południu, dotrzeć do Cowry, zwartej i zadbanej miejscowości z 8207 mieszkańcami w Lachlan Valley nad Lachlan River — znowu widzimy tutaj wpływy naszego starego znajomego, pana Macquariego. Nic nie wiedziałem o Cowrze, ale szybko się zorientowałem, że większość Australijczyków słyszała o tym miasteczku jako miejscu, gdzie doszło

do „osławionej próby ucieczki”.

Podczas drugiej wojny światowej pod Cowrą znajdował się duży obóz jeniecki. Po jednej stronie trzymano 2000 Włochów, a po drugiej 2000 Japończyków. Włosi byli wzorowymi jeńcami. Pokonawszy frustrację wywołaną faktem, że odebrano im przywilej walki na froncie i przetransportowano do rozświetlonej, cichej krainy daleko od huku armat, postanowili podporządkować się losowi i podejść do sprawy filozoficznie. Tak skutecznie ukrywali swoje niezadowolenie, że można było pomyśleć, iż podoba im się ich nowa sytuacja. Pracowali na miejscowych farmach i nie byli zbyt usilnie pilnowani. Oficerowie zaś — coś pięknego! — w ogóle nie byli pilnowani. Mogli sobie chodzić, gdzie im się żywnie podobało, proszono ich tylko o zamykanie za sobą drzwi, żeby muchy nie wlatywały. Regularnie ich widywano, jak spacerowali do Cowry po papierosy i gazety, a czasem na aperitif w hotelu Lachlan.

Z Japończykami sprawy miały się inaczej. Stanowczo odmawiali podejmowania pracy i jakiegokolwiek kooperacji. Większość podawała fałszywe nazwiska, ponieważ hańba jeniectwa była dla nich nie do zniesienia. W sierpniu 1944 roku, w środku nocy, zorganizowali samobójczą ucieczkę, niedorzeczną i tragiczną próbę, podczas której 1100 jeńców wypadło z baraków, by z okrzykami *banzai!* na ustach i kijami bejsbolowymi, nogami od krzeseł i innymi przedmiotami w garści przypuścić szturm na wieżę strażniczą. Zaskoczeni strażnicy zasypali tłum kulami, ale wszystkich nie udało się zatrzymać. W ciągu paru minut 378 jeńców uciekło. Diabli wiedzą, jakie mieli plany. Wyłapanie ich wszystkich trwało dziewięć dni. Nikomu nie udało się oddalić od obozu na więcej niż 25 kilometrów. Liczba japońskich ofiar wyniosła 231 zabitych i 112 rannych. Australijczycy stracili trzech ludzi w noc ucieczki, a jednego podczas poszukiwań.

Historię tę upamiętnia złożona ze zdjęć i innych eksponatów wystawa w centrum turystycznym w Cowrze, bardzo interesująca, ale w sali audiowizualnej z tyłu zobaczyłem rzecz absolutnie niezwykłą, zwłaszcza jak na prowincjonalne miasteczko pośród głuszy.

Za szybą, na czymś w rodzaju małej sceny, znajdowały się przedmioty

pochodzące z obozu jenieckiego: książki i pamiętniki, kilka oprawionych w ramki fotografii, kij i rękawica bejsbolowe, buteleczka z lekarstwem, japońska gra planszowa. Kiedy wszedłem do środka, światło automatycznie przygasło. Rozległ się wstęp muzyczny, po czym — to jest właśnie ta niezwykła część — z jednej z fotografii wyszła około piętnastocentymetrowa młoda kobieta, zaczęła spacerować między eksponatami i opowiadać o Cowrze w latach czterdziestych, a przede wszystkim o próbie ucieczki z obozu. Szczęka mi opadła. W ramach swojej prezentacji kobieta nie tylko się przemieszczała, ale również dotykała przedmiotów czy opierała się o rogowe etui. Nie muszę chyba mówić, że wstałem i podszedłem, żeby przyjrzeć się bliżej, a nawet przycisnąłem twarz do szyby (tak jak to robią dzieci, kiedy chcą mieć śmieszoną minę). Kobieta była perfekcyjnie uformowana, bardzo realistyczna pod względem kolorystycznym, uroczo wygadana — jednym słowem, całkiem pociągająca piętnastocentymetrowa babka. Było oczywiste, że jest to film w jakiś sposób wyświetlany z dołu, nie pojawiały się jednak żadne zakłócenia, zająknięcia czy zakręcone włosy. Idealny mały hologram. Oglądałem pokaz trzy razy z niesłabnącym zachwytem.

— Niezłe, co? — rzuciła pani z punktu informacyjnego na widok mojej przejętej miny.

— Genialne!

Uprzedzając moje pytania, wręczyła mi zafoliowaną kartkę, zawierającą wszystkie wyjaśnienia. Pokaz stworzyła firma z Sydney, opierając się na optycznej sztuczce, znanej doskonale od ponad stu lat. Obraz wyświetla się na szklanej szybce, umieszczonej tak sprytnie, że jest niewidoczna dla publiczności. Poza tym potrzeba było tylko precyzji, żeby aktorka idealnie trafiała w wyznaczone punkty. Opracowanie spektaklu z pewnością zajęło wiele miesięcy. Po prostu coś genialnego.

Dodam jeszcze jedno: kiedy wymyślą sposób na to, żeby taka hologramowa dziewczyna zrobiła striptiz na kontuarze barowym, zostaną multimilionerami.

Zakończyłem dzień w Young, miejscowości rolniczej, leżącej w krainie śliwek

i wiśni, 60 kilometrów od Cowry przy Olympic Highway w stronę Canberry. Wziąłem pokój w hotelu przy bocznej uliczce niedaleko centrum. Właściciel, wysportowany facet w szortach i koszulce z krótkim rękawem, odczytał moje nazwisko z wypełnionego przeze mnie formularza, powiedział: „*G'day*, Bill. Witamy w Young” i tak energicznie uścisnął mi dłoń, jakby wprowadzał mnie do tajnego stowarzyszenia. Przyjazność Australijczyków — na moje oko zawsze szczerza i spontaniczna — nie przestaje mnie zdumiewać i cieszyć. Nigdy wcześniej właściciel motelu nie zmiażdżył mi dłoni i nie wyrażał takiego zadowolenia z faktu, że los skrzyżował nasze drogi.

— Jestem szczęśliwy, że pana widzę — ciągnął, nie wypuszczając mojej ręki ze swojej. — Jestem Bruce.

Nie gwarantuję, że rzeczywiście miał tak na imię, ponieważ byłem zbyt poruszony (także w sensie dosłownym), żeby go uważnie słuchać.

— *G'day*, Bruce — wyjąkałem. — Ja jestem Bill.

— Tak, Bill, to już ustaliliśmy — powiedział i nagle puścił moją dłoń. — Ma pan pokój numer sześć.

Pokój, w każdym najdrobniejszym szczególe, pochodził z roku 1958. Nie chcę przez to powiedzieć, że od tamtego czasu go nie malowano ani w żadnym innym sensie go deprecjonować. Mam na myśli to, że w tym pokoju czas się zatrzymał na 1958 roku. Na ścianach boazeria z sękatej sosny. Telewizor z pokrętłem UHF. Deska klozetowa zapakowana jak prezent w materiał z napisem „Zdezynfekowane dla Twojej higieny”. W szufladzie komody dwie kartki pocztowe z widokami motelu oraz papierowa torba, do której miałem, również dla własnej higieny, wkładać wszystkie przedmioty, których nie da się spłukać do muszli klozetowej. Widniał na niej obrazek kobiety, przypuszczalnie gwoli informacji, że torba jest przeznaczona na damskie przedmioty osobiste, a nie na przykład na kolby kukurydzy czy małe części silnika. Moje szczęście nie miało granic.

Zostawiłem bagaże i poszedłem na spacer po miasteczku w późnopołudniowym upale. Teraz wszędzie miałem wokół siebie lata pięćdziesiąte. W Australii nawet na znakach „Uwaga: dzieci!” przy szkołach

uczniowie mają na sobie stroje z tamtego okresu — dziewczynka odświętną sukienkę, chłopiec krótkie spodnie.

Z wierzchu Young niezbyt przypominało miasteczka, w których dorastałem. Wyjątkowo szerokie ulice (na australijskiej prowincji kochają szerokie ulice), dachy z czerwonej blachy, metalowe markizy biegnące jak rondo kapelusza wokół każdego komercyjnego budynku — wszystko to było niepodważalnie australijskie, ale mimo to Young wydawało mi się dziwnie znajome. Kiedy w takim miejscu ma się coś do załatwienia, jedzie się do miasta, a nie poza miasto, i parkuje ukośnie na Main Street. Samo to wystarczyło, aby wprawić mnie w kilkuminutowy trans. Zapomniałem, że istniały czasy, kiedy wystarczał mały parking przy głównej ulicy. Chodziłem po miasteczku w stanie głęokiego podziwu. Poza bankami i supermarketem wszystkie sklepy i zakłady miały miejscowych właścicieli, toteż mogły się pochwalić wszystkimi tymi osobliwościami asortymentowo-estetycznymi, które się z tym wiążą. Niektórych zakładów nie widziałem od lat: naprawa tego czy tamtego, sklep elektryczny, piekarnia, szewc, herbaciarnia i sklepy z przedziwnymi kombinacjami towarów.

Na końcu głównej ulicy natrafiłem na takiego dziwoląga, że stanąłem w miejscu jak wryty. Był to sklep, w którym sprzedawano karmę dla zwierząt i pornografię. Nie żartuję. Odstąpiłem na krok, aby sprawdzić szyld, zajrzałem przez okno i w końcu wszedłem do środka. Sklep był niewielki, a ja byłem w nim jedynym klientem. Obok kasy, mniej więcej na środku podwyższenia, siedział jakiś mężczyzna, pogrążony w lekturze gazety. Nie pozdrowił mnie słowem ani gestem, co mnie zaskoczyło i wydało mi się bardzo nieaustraljskie. A potem zrozumiałem: chciał być dyskretny. Wyobrażam sobie, że większość jego klientów robi to, co ja teraz robiłem: okazuje niecodzienne zainteresowanie karmą dla kotów i proszkami na wszy, od czasu do czasu przystaje, żeby przeczytać napisy na pudełkach chrupek rybnych i tym podobnych, po czym zupełnie przypadkowo ląduje w tylnej części sklepu, w sekcji ciężkiego dyszenia. O dziwo, coś takiego stało się i ze mną.

Część dorosła była oddzielona od reszty sklepu. Prowadziły do niej drewniane drzwi wahadłowe zaopatrzone w fotokomórkę, jedną z tych, która w miejscach

publicznych w cudowny sposób otwiera przed tobą drzwi, wydając z siebie prowokacyjne piknięcie. Rozejrzałem się dokoła zaskoczony. Sprzedawca sprawiał wrażenie nieświadomego, że jestem w jego sklepie, a tym bardziej że stanąłem na progu pornograficznego raj. Uśmiechnąłem się głupkowato i pomyślałem, że podejść do niego, aby wyjaśnić, że właśnie popełniłem zupełnie zrozumiałą, ale mimo to komiczny błąd — że nie jestem zboczeńcem potrzebującym obrazkowej pożywki dla swoich fantazji, tylko porządnym człowiekiem i autorem książek podróźniczych, którego przyciągnęło do jego sklepu nietypowe zestawienie asortymentowe. Potem byśmy się zdrowo uśmiali i być może zaczęli z sobą korespondować.

Przyszło mi jednak do głowy, że gdybym mimo wszystko coś kupił — nie wchodziłem do sklepu z takim zamiarem, ale nie miałem jeszcze prezentów dla dzieci — to raczej nie chciałbym, żeby przypiął moją wizytówkę do swojej tablicy informacyjnej. Z drugiej strony czułem się zobligowany do sprawdzenia, czy nie istnieje jakiś nieoczekiwany związek między dwiema gałęziami jego działalności. Na przykład podwójna konotacja przymiotnika „zwierzęcy” czy dwuznaczność zawarta w określeniu „miłośnik psów”. Kto wie, a może na półkach za przegrodą jest wiele czasopism o animalistycznych tytułach: „Poradnik ogiera”, „Pejcz i obroża” czy „Samice w rui”? Miałem obowiązek dowiedzieć się tego, więc na powrót przybrałem minę dziennikarza śledczego i wszedłem do środka.

Nigdy wcześniej nie byłem w tego rodzaju przybytku — to znaczy nie tylko w sklepie zoologiczno-pornograficznym, lecz w ogóle w porno-shopie. Przeżyłem szok. Wszystkie stworzenia zaangażowane w prezentowane praktyki były ludźmi, nie zwierzętami, ale więcej nie mogę zdradzić. Dość na tym, że w tylnej części sklepu zoologicznego w Young czas z całą pewnością nie zatrzymał się w 1958 roku. Nic więcej nie powiem.

II

Chociaż ucieszyło mnie odkrycie w Young (zresztą w każdej innej miejscowości

ucieszyłoby mnie tak samo) pet-shopu połączonego z seks-shopem, to jednak cel mojej wyprawy miał trochę bardziej podniosły charakter. Przyjechałem tutaj zobaczyć słynne Lambing Flat Museum, upamiętniające epokę, w której Young było miasteczkiem poszukiwaczy złota. Tego popołudnia było już za późno na zwiedzanie, ale stawiłem się przy wejściu następnego dnia punktualnie o dziewiątej — by dowiedzieć się, że muzeum jest otwarte od dziesiątej.

Nie chcąc marnować ani minuty życia, postanowiłem udać się do kafeterii w centrum na śniadanie i lekturę uzupełniającą. Dziesięć minut później siedziałem w prawie pustym lokalu przy głównej ulicy, piłem kawę, czekałem na jajka na bekonie i czytałem historię Australii pióra znanego historyka Manninga Clarka — gruby tom w miękkiej oprawie, który nabyłem kilka dni wcześniej w Sydney.

Historia złota w Australii to barwna i generalnie optymistyczna opowieść. Zaczyna się od niejakiego Edwarda Hargravesa, który w 1849 roku wyprawił się z Sydney do Kalifornii w poszukiwaniu szczęścia. Po dwóch latach kopania nie znalazł ani grama złota, ale zauważył niezwykle podobieństwo między złotonośnymi terenami Kalifornii a obszarem Nowej Południowej Walii za Górami Błękitnymi — obszarem, przez który właśnie jechałem.

Hargraves czym prędzej wrócił więc do Australii, żeby nie ubiegł go ktoś mający podobne skojarzenia, i zaczął kopać w korytach wyschniętych rzek między Orange i Bathurst. Bardzo szybko znalazł złoto w rentownych ilościach. Po miesiącu od jego odkrycia zjechały tam tysiące ludzi, którzy przewracali kamienie i walili w ziemię oskardami. Okazało się, że złoto jest wszędzie. Australia opływała w ten kruszec. Pewien aborygeński robotnik rolny potknął się na grudzie, która zawierała czterdzieści kilo cennego minerału — swoisty rekord, a w każdym razie ilość pozwalająca na to, by Aborygen do końca swoich dni żył w książęcych luksusach. Oczywiście gdyby nie fakt, że grudę skonfiskował właściciel ziemi.

Poszukiwania w zasadzie ledwie się rozpoczęły, gdy w nowo utworzonej kolonii Wiktorii znaleziono jeszcze obfitsze żyły cennego kruszcu. Australię ogarnęła prawdziwa gorączka złota, przy której ta kalifornijska wypadała blado i apatycznie. Miasta i miasteczka wyludniały się, bo ludzie wyruszali szukać szczęścia. Sklepy

traciły wszystkich sprzedawców. Policjanci odchodzili z posterunków. Żony po powrocie do domu zastawały kartkę na stole i pustą wozownię. Pod koniec roku mniej więcej połowa mężczyzn z Wiktorii kopała za złotem, a z pozostałych kolonii napływały tysiące innych.

Gorączka złota całkowicie odmieniła losy Australii. Wcześniej ciężko było kogokolwiek nakłonić, aby osiedlił się na tych ziemiach, teraz ściągali tam rzesze ludzi ze wszystkich zakątków świata. W niecałą dekadę liczba przybyszów przekroczyła 600 tysięcy, co więcej niż podwoiło liczbę ludności. Przyrost ten koncentrował się głównie w Wiktorii, gdzie złoża były najobfitsze. Melbourne udało się prześcignąć Sydney i w tamtym okresie było ono prawdopodobnie najbogatszym miastem świata w przeliczeniu na jednego mieszkańca. Przed wszystkim jednak odkrycie złota położyło kres deportacjom. Kiedy w Londynie uświadomiono sobie, że zsyłki są traktowane jako życiowa szansa, a nie kara, że skazańcy chcą pojechać do Australii, koncepcja tego kraju jako więzienia legła w gruzach. Jeszcze do 1868 roku wysyłano statki z więźniami do zachodniej części kraju, ale tam również odkryto bardzo satysfakcjonujące ilości złota. Australia przestała być kolonią karną, a stała się państwem z prawdziwego zdarzenia.

Pomimo obiecujących perspektyw wzbogacenia się, kopacze nie mieli lekkiego życia. Ziemi musiało starczyć dla wszystkich, dlatego przyznawano im bardzo małe działki, po kilka metrów kwadratowych, co stało się przyczyną poważnych problemów. W kwietniu 1860 roku odnaleziono złoto w Lambing Flat — jak wówczas nazywano Young — i poszukiwacze szczęścia tłumnie zaczęli ściągać na te tereny. W 1861 roku 22 tysiące ludzi, w tym 2 tysiące Chińczyków, kopało w najlepsze, każdy na obszarze o powierzchni dywanika przed kominkiem. Jak można było przewidzieć, większość nie znajdowała w tych warunkach zbyt wiele kruszcu. Wielu górników zaczęło patrzeć zawistnym okiem na Chińczyków, którzy znosili upał i trudy lepiej od Europejczyków i współpracowali z sobą, co dawało im — zdaniem innych nieuczciwą — przewagę. Poza tym wydawało się, że znajdują oni więcej złota. No i do tego byli Chińczykami.

Biali konkurenci w końcu postanowili spuścić im manto, które, jak powszechnie

wiadomo, jest sprawdzonym lekarstwem na wszystkie problemy. W połowie 1861 roku duża grupa białych (dwa do trzech tysięcy) zdecydowała się urządzić zamieszki. Całe przedsięwzięcie zorganizowane zostało w dosyć osobliwy sposób. Najpierw górnicy sprowadzili orkiestrę, która grała *Rule Britannia*, *Marsylianę* i inne utwory o działaniu mobilizującym. Uszyli też wielki transparent, który zyskał rangę swoistej relikwii australijskiej historii. Do wtóru melodii, które normalnie słyszało się podczas niedzielnego koncertu w parku, maszerowali oni przez obóz Chińczyków, walili ich trzonkami oskardów, okradali i podpalali ich namioty. Potem, żeby godnie dopełnić swego dzieła, poszli podpalić budynek sądu. Jedenastu z nich wytoczono później proces, ale żaden nie został skazany. Epizod ten z pewnością nie należy do najbardziej chlubnych momentów w dziejach Australii.

Jakie były bezpośrednie konsekwencje zamieszek? Tego nie potrafię powiedzieć. Manning Clark, wyjątkowo frustrujący historyk — musiałem to z siebie wyrzucić — podaje, że zginął jeden europejski górnik, ale o liczbie zabitych i rannych po stronie chińskiej nie wspomina ani słowem. Nie mówi też, co się z nimi później stało: wypędzono ich czy też powrócili do pracy, kiedy opadł kurz. Jedno jest pewne: zamieszki w Lambing Flat doprowadziły do przyjęcia tak zwanej polityki białej Australii, która w praktyce do lat siedemdziesiątych XX wieku zakazywała imigracji nieeuropejskiej i przez ponad stulecie zabarwiała — przyznaję, że nie jest to wybitny kalambur — prawie wszystkie aspekty życia w Australii.

Laming Flat Museum mieści się w dużym, starym, parterowym budynku przy bocznej ulicy. Przyszedłem na otwarcie drzwi — operację, która wymagała od osoby wewnątrz odciągania licznych zasuw i długotrwałego manipulowania przy pęku kluczy. Szybko nabrałem podejrzeń, że nie jest to tak popularna i ważna instytucja, jak sądziłem, bo kiedy drzwi się otworzyły, pani o mało nie wyskoczyła ze skóry.

— Och, ale mnie pan przestraszył! — powiedziała i zaśmiała się wesoło, jakbym jej zrobił sztubackiego psikusa, co skłaniało do wniosku, że zwiedzający są tam rzadkim zjawiskiem. W każdym razie pani sprawiała wrażenie zachwyconej moim

widokiem i kiedy przyjęła ode mnie trzy dolary za bilet wstępu, zachęcała mnie, żebym się nie spieszył i nie wahał się zadawać pytań.

Muzeum jest dość obszerne i zawiera bardzo eklektyczne zbiory eksponatów: żelazka, szewskie kopyta, wózek dziecięcy, stare lampy, rozmaite elementy maszyn. Gdyby nie brak pajęczyn, poczułbym się jak w stodole mojego dziadka. W rogu głównej sali znalazłem gwóźdź kolekcji: słynny transparent niesiony podczas zamieszek w 1861 roku. Wyszyto na nim następujące słowa: „Trzymajmy się razem! Trzymajmy się razem! Precz z Chińczykami!”. W książce *A Secret Country*, którą przeczytałem tuż przed przyjazdem do Australii, australijski dziennikarz John Pilger potępia Lambing Flat Museum za gloryfikację tego wydarzenia i brak jakiegokolwiek wyrazu skruchy. Być może było tak, kiedy pisał książkę (ukazała się w 1991 roku), ale teraz już nie jest. Opis zastąpiono obiektywną i wyważoną notą, chociaż nadal zdumiewająco dyskretną w kwestii liczby ofiar.

Muzeum ciągnęło się bez końca i najwyraźniej zawierało wszystko, czego mieszkańcy Young chcieli się pozbyć: maszyny do szycia, liczydła, strzelby, albumy ślubne, ubranka do chrztu. Na jednym ze stołów stał słój z tysiącami błyszczących czarnymi kuleczek. Nachyliłem się, próbując zgadnąć, co to jest.

— Nasiona rzepaku! — rozległ się czyjś głos, tak blisko mojego ucha, że aż podskoczyłem.

Była to pani, która mnie wpuściła.

— Och, ale mnie pani przestraszyła!

Jej uśmiech wskazywał, że taka była jej intencja. Może w Young ludzie zabijają w ten sposób czas, pomyślałem.

— Znalazł pan wszystko, czego pan szukał?

Spojrzałem na nią z zaciekawiony. Skąd miałbym to wiedzieć? Odparłem jednak, że tak, i dodałem uprzejmie:

— To bardzo interesujące.

— Tak, Young jest bardzo bogate w pamiątki historyczne.

Rozejrzała się wokół siebie z taką miną, jakby uważała, że może jest ich wręcz

za dużo.

Mój wzrok ponownie skierował się na słoń z nasionami.

— Uprawiacie w tym regionie rzepak?

— Nie — odpowiedziała krótko.

Zaskoczony tą węzłowatością, zastanowiłem się, jak rozwinąć temat.

— Jeśli postanowicie uprawiać, to macie nasiona — rzuciłem optymistycznie.

— Niektórzy mówią na nie... *rape*³.

To ostatnie słowo wymówiła prawie szeptem i uniosła znacząco brwi.

— Tak — przyznałem jej rację zatroskanym tonem.

— Ja wolę *canola*.

— Ja też.

Nie wiem, czemu tak powiedziałem. Nie mam żadnego stanowiska w kwestii nazewnictwa nasiennego, ale uznałem za roztropniejsze zgodzić się z panią.

Na szczęście zadzwonił dzwonek — z rodzaju tych, które anonsują klienta w małych sklepach — i pani mnie zostawiła. Oczekałem chwilę i poszedłem za nią, bo widziałem już wszystko, czego potrzebowałem, i chciałem ruszać dalej.

W holu para w średnim wieku kupowała bilety. Było tam tak ciasno, że musiałem poczekać, aż mnie przepuszczą. Podziękowałem siwowłosej pani.

— Podobało się panu? — zapytała.

— Bardzo! — skłamałem.

— Na wakacjach? — spytała klientka, która prawdopodobnie domyśliła się tego dzięki mojemu akcentowi.

— Tak — skłamałem powtórnie.

— Podoba się panu w Australii?

— Kocham ten kraj! — Tym razem powiedziałem prawdę, ale ona spojrzała na mnie podejrzliwie. — Przysięgam!

A potem stała się dziwna rzecz — w każdym razie mnie zdziwiła. Klientka położyła mi dłoń na ramieniu i powiedziała z nutką szczerego zatroskania:

— Mam nadzieję, że wszyscy będą dla pana mili.

— Ależ oczywiście! Australijczycy zawsze są mili.

Popatrzyła na mnie z powagą.

— Naprawdę pan tak myśli? — zapytała niemal błagalnym tonem.

Nie zrozumcie mnie źle: Australijczycy to wspaniali ludzie, ale kiedy ogarną ich filozoficzne zapędy, robi się trochę dziwnie.

Skinąłem energicznie głową.

— Naprawdę. Australijczycy zawsze są mili.

— Pewnie, że tak, Maureen! — warknął jej mąż. — Sól ziemi. A teraz puść tego biednego człowieka. Na pewno ma inne miejsca do odwiedzenia.

Jegomość ten był najwyraźniej przykładem innego australijskiego archetypu, a mianowicie jowialnego człowieka, który uważa, że każdy facet, który nie miał szczęścia urodzić się Australijczykiem, jest głęboko upośledzony przez los, a na dodatek, przypuszczalnie, ma mikroskopijnego fiuta.

Naturalnie miał rację. To znaczy w kwestii innych miejsc do odwiedzenia. Nadszedł czas, aby ruszyć do Canberry.

Rozdział szósty

Canberra

I

Zanim sześć kolonii w 1901 roku postanowiło się sfederować, były w absurdalnym stopniu niezależne od siebie. Każda wydawała własne znaczki pocztowe, nastawiała zegary według swojego czasu, miała osobny system podatków i danin. Właściciel pubu w Wodonga (Wiktoria), który chciał sprzedawać piwo warzone w Albury, na drugim brzegu rzeki Murray w Nowej Południowej Walii, płacił takie samo cło, jak za piwo sprowadzone z Europy. Było to ewidentne szaleństwo, więc w 1891 roku sześć kolonii (plus Nowa Zelandia, która później się z tego wycofała) spotkało się w Sydney, aby przedyskutować projekt stworzenia prawdziwego państwa, które miało nosić nazwę Commonwealth of Australia. Dopracowanie szczegółów zajęło 10 lat i 1 stycznia 1901 roku hucznie obchodzono powstanie nowej jednostki terytorialnej.

Ponieważ Sydney i Melbourne miały podobny potencjał i znaczenie, w duchu kompromisu uzgodniono, że budowę stolicy powinno się zacząć od zera gdzieś w buszu. Funkcje tymczasowej stolicy pełniło Melbourne.

Spory o lokalizację trwały wiele lat i w końcu zdecydowano się na małą miejscowość rolniczą u stóp Tidbinbilla Hills na południu Nowej Południowej Walii. Nazywała się Canberra, co czasem zangielszczano do postaci Canberry. W zimie mróz, w lecie nieznośny upał, setki kilometrów od wszystkiego — dziwny wybór miejsca na stolicę kraju. Nowa Południowa Walia scedowała obszar o powierzchni około 2300 kilometrów kwadratowych, w gruncie rzeczy bezużyteczny, na utworzenie Australijskiego Terytorium Stołecznego, strefy federalnej wzorowanej na amerykańskim Dystrykcie Kolumbii.

Teraz nasze młode państwo miało już stolicę. Następnym wyzwaniem było

znalezienie dla niej nazwy, co znowu wymagało długiego okresu namiętnych i wściekłych sporów. King O'Malley, urodzony w Ameryce polityk i jeden z głównych działaczy na rzecz procesu federalizacji, chciał nazwać nową stolicę Shakespeare. Padło wiele propozycji, między innymi Myola, Wheatwoolgold, Emu, Eucalypta, Sydmeladoerbrisho (pierwsze sylaby stolic stanów), Opossum, Gladstone, Thirstyville, Kookaburra, Cromwell i kompletnie odjechane Victoria Defendera Defender. W końcu została Canberra. Żona gubernatora generalnego wystąpiła na zgromadzeniu dygnitarzy i oznajmiła z żalem, że wygrała nazwa używana do tej pory. Niestety, nikt jej nie poinstruował w kwestii wymowy i zaakcentowała drugą sylabę zamiast pierwszej. Ale co tam. Australia miała więc stolicę i nazwę dla tej stolicy. Dotarcie do tego etapu zajęło tylko 11 lat. Przy tym tempie można było realistycznie liczyć na to, że w jakieś pół stulecia powstanie wreszcie miasto godne miana stolicy. W rzeczywistości potrwało to trochę dłużej.

Chociaż Canberra należy dziś do największych aglomeracji australijskich i najważniejszych sztucznych miast na świecie, nie figuruje na większości szlaków turystycznych. Przede wszystkim, jak na stolicę, jest trudno dostępna. Leży ponad 60 kilometrów od głównej drogi z Sydney do Melbourne, a magistrale kolejowe również ją omijają. Główna droga prowadząca z Canberry na południe wiedzie właściwie donikąd, a od zachodu można tam dotrzeć tylko drogą gruntową z miasteczka Tumut.

W 1996 roku świeżo wybrany premier, John Howard, wywołał miniskandal, oznajmiając, że nie będzie mieszkał w Canberze, tylko zostanie w Sydney, a do stolicy będzie dojeżdżał. Jak można sobie wyobrazić, wzbudziło to poruszenie wśród mieszkańców Canberry, zapewne dlatego, że sami o tym nie pomyśleli. Pikanterii dodaje tej historii fakt, że John Howard jest zdecydowanie najnudniejszym facetem w Australii. Wyobraźcie sobie bardzo rzetelnego dyrektora domu pogrzebowego, który od jedenastego roku życia marzył o tej funkcji, a jego największym osiągnięciem w wieku dorosłym było skuteczne kandydowanie na urząd prezesa Stowarzyszenia Dyrektorów Domów Pogrzebowych w powiecie Queanbeyan, po czym podzielcie jego charyzmę przez

cztery, a otrzymacie w wyniku Johna Howarda. Kiedy człowiek do tego stopnia bezbarwny kręci nosem na jakieś miasto, to wiadomo, że warto rzucić na nie okiem. Drżałem z niecierpliwości.

Do Canberry dojeżdża się drogą ekspresową przez lasy, stopniowo przechodzącą w trochę bardziej miejski bulwar, aczkolwiek nadal w lesie, po czym dociera się do strefy okazałych, chociaż niezbyt gęsto rozstawionych budynków i już wiemy, że jesteśmy „na miejscu” — cokolwiek to znaczy w tak rozproszonym i nieokreślonym mieście jak Canberra. Stolica Australii właściwie nie jest miastem, tylko dużym, zamieszkanym parkiem, z trawnikami, drzewami, żywopłotami i dużym sztucznym jeziorem. Wszystko bardzo przyjemne, ale niezgodne z potocznymi wyobrażeniami o stołeczności.

Wynająłem pokój w hotelu Rex, bez jakiegoś szczególnego powodu poza tym, że akurat na niego trafiłem i pomysł zamieszkania w hotelu nazwanym tak od imienia rodzinnego pieska wydał mi się zabawny. Chyba umiecie sobie wyobrazić, jak wygląda duży, betonowy hotel, który został tak ochrzczone. Mnie to jednak nie przeszkadzało. Chciałem rozprostować kości i połączyć po tych wszystkich zielonych przestrzeniach. Zameldowałem się, zostawiłem w pokoju bagaż i od razu wyszedłem. Jadąc z hotelu, minąłem biuro turystyczne i postanowiłem teraz się tam udać, bo pamiętałem, że to niedaleko. Okazało się jednak, że szedłem długo, a nawet bardzo długo, jak zawsze w Canberze.

Już prawie zamykali, kiedy doszedłem na miejsce, ale nie miało to większego znaczenia: był to rodzaj dużego kiosku z ulotkami i broszurami na temat atrakcji turystycznych, noclegów i restauracji. W bocznej salce wyświetlano niezwykle optymistyczne filmy promocyjne o takich tytułach jak *Canberra — wszystko, czego dusza zapagnie!*, z których wynikało, że w tym samym dniu możesz pojeździć na nartach wodnych, kupić suknię wieczorową i zjeść pizzę, ponieważ jest to miasto, które... ma wszystko, czego dusza zapagnie! Wicie, o co mi chodzi. Ale obejrzałem film z przyjemnością, bo rozkosznie było odpocząć w klimatyzowanej sali po tak długim marszu.

Na szczęście nie miałem ochoty pojeździć na nartach wodnych, kupić sukni

wieczorowej ani zjeść pizzy, bo nigdzie nie mogłem znaleźć oferujących takie możliwości placówek. Gdybyście wybrali się kiedyś do Canberry, to mam dla was radę: nie wychodźcie z hotelu bez dobrego planu miasta, kompasu, prowiantu na kilka dni i telefonu komórkowego z numerem służb ratowniczych. Przez dwie godziny przemierzałem zielone, sympatyczne i jednakowe dzielnice, nie mając pewności, czy nie krążę w kółko. Od czasu do czasu trafiałem na rondo z promieniście rozchodzącymi się ulicami, przy czym wszystkie te ulice były identycznymi podmiejskimi rajami z antypodów. Zapuszczałem się w tę, która na moje oko stwarzała największe szanse na zaprowadzenie mnie do cywilizacji, by po dziesięciu minutach trafić na kolejne identyczne rondo. Przez całą drogę nie widziałem ani jednego pieszego, ani jednej osoby podlewającej trawnik, czasem tylko mijał mnie samochód — kierowca zwalniał na każdym skrzyżowaniu ze zdesperowaną miną, która mówiła: „Gdzie jest kurde mój dom?”.

Wyobrażałem sobie, że znajdę fajną knajpę z gatunku tych, które widziałem w Sydney — pełną pracowników biurowych odreagowujących stresy po długim dniu pracy, tak popularną o tej godzinie, że ludzie będą się wysypywali na chodnik. A po wizycie w pubie kolacja w restauracji z sympatyczną atmosferą i sążnistymi porcjami. Tego rodzaju rozrywki — inne zresztą też — były jednak totalnie niedostępne na sennych ulicach Canberry.

Skręciłem w jakiś róg i nagle znalazłem się w centralnej dzielnicy biznesowej. Tu przynajmniej otaczały mnie jakieś sklepy, restauracje i kawiarnie, ale wszystkie zamknięte. Centrum Canberry zasadniczo składało się ze skwerów rozmieszczonych między lokalami handlowymi. Panowała tam absolutna cisza poza stuknięciami i kłapnięciami, w których rozpoznałem odgłos jazdy na deskorolkach. Nie mając nic lepszego do roboty, poszedłem za tymi dźwiękami na plac, na którym kilku wyrostków w założonych daszkami do tyłu czapkach bejsbolowych i workowatych szortach ćwiczyło swoje umiarkowane talenty skejterskie na metalowej poręczy. Usiadłem na ławce, żeby z chorobliwym zainteresowaniem popatrzeć, jak ryzykują wielokrotne złamania i poważne uszkodzenia jąder dla ulotnej przyjemności ślizgnięcia się po metalowej rurce na

odległość od zera do 50 centymetrów, po czym grawitacja i nieumiejętność utrzymania równowagi rzucają ich w kierunku bezlitosnego chodnika. Całe to przedsięwzięcie wydawało mi się wyjątkowo debilne.

Ja jednak zrobiłem coś jeszcze bardziej debilnego: poprosiłem sześciu nastolatków w założonych tyłem do przodu czapkach bejsbolowych o polecenie mi jakiegoś lokalu gastronomicznego.

— Jest pan Amerykaninem? — zapytał jeden z nich zaskoczonym tonem, którego nie spodziewałbym się po mieszkańcu stolicy dużego kraju.

Przyznałem się do zarzucanego mi czynu.

— Za rogiem jest McDonald's.

Wyjaśniłem życzliwie, że żywienie się wyłącznie hamburgerami nie jest warunkiem posiadania obywatelstwa mojego kraju.

— Myślałem raczej o restauracji tajlandzkiej.

Zrobili wytrzeszczone miny, które w swoim szczerym wariancie mogą się pojawić tylko u czternastolatków.

— Indyjska? — Znowu tępy wytrzeszcz. — Indonezyjska? Libańska? Grecka? Meksykańska? Karaibska? Malezyjska?

Wraz z długością mojej listy zwiększało się zakłopotanie mojego audytorium, które zaczynało mieć obawy, że pociągnę je do odpowiedzialności za braki w lokalnej ofercie kulinarnej.

— Włoska?

— Przy Lonsdale Street jest Pizza Hut — zgłosił się jeden z nich z triumfalną miną. — We wtorki mają bufet — można zjeść, ile się chce.

— Dzięki — powiedziałem, uświadomiwszy sobie, że ta rozmowa prowadzi donikąd.

Ruszyłem, ale potem się odwróciłem:

— Ale dzisiaj jest piątek.

— No — potwierdził chłopak, kiwając poważnie głową. — W piątek nie ma bufetu.

Wróciłem do Reksa, ale tuż przy wejściu uświadomiłem sobie, że nie mam

ochoty jeść kolacji w swoim hotelu. To takie nieoryginalne i samotne — przyznajesz w ten sposób, że nie masz życia osobistego. Owszem, nie miałem życia osobistego, ale nie w tym rzecz. Wiecie, co jest najsmutniejsze, kiedy człowiek je sam w hotelu? Moment, w którym kelner przychodzi zabrać wszystkie pozostałe nakrycia, tak jakby chciał powiedzieć:

— Dziś wieczorem nikt się do pana nie przysiądzie, więc uwolnimy pana od tego wszystkiego i posadzimy pana twarzą do słupa, a za chwilę przyniesiemy panu wielki kosz z jedną bułką. Smacznego!

Stojąc w wejściu do hotelu Rex, zawahałem się więc przez chwilę, po czym wróciłem na ulicę. Znalazłem się na szerokim bulwarze, o tej godzinie prawie pustym. Stały przy nim wielkie, zanurzone w zieleni biurowce z ciemnymi oknami. Kilkaset metrów dalej trafiłem na hotel bardzo podobny do Rekxa. Mieściła się w nim restauracja włoska z osobnym wejściem — uznałem, że niczego lepszego nie znajdę. Wszedłem i zobaczyłem ze zdziwieniem, że pełno tam miejscowych ubranych w stroje wieczorowe. Ich zażyłość z kelnerami i swobodne zachowanie sugerowały, że są stałymi bywalcami tego lokalu. Kiedy nawet miejscowi jadają w restauracji wielkiego hotelu z betonu i szkła, to wiadomo, że ich miasto ma poważne braki.

Kelner zabrał wszystkie pozostałe nakrycia, ale przyniósł mi sześć paluchów chlebowych — miałbym się czym podzielić, gdybym zawarł tu jakąś znajomość. Atmosfera była rozluźniona, wszyscy wokół mnie toczyli skuteczną walkę z odwodnieniem — trzeba uczciwie przyznać, że Australijczycy lubią się napić — a jedzenie było wyśmienite, ale nie dało się uciec przed faktem, że jedliśmy kolację w hotelu. W Canberze takie panują zwyczaje: ludzie jedzą i piją w wielkich, mdłych hotelach albo innych pozbawionych charakteru lokalach, toteż człowiek zaczyna się czuć tak, jakby był w hali jakiegoś gigantycznego lotniska międzynarodowego.

Trochę później, z brzuchem wzdętym od spaghetti, trzech butelek włoskiego piwa i sześciu paluchów chlebowych (ostatecznie nie zawarłem z nikim znajomości), wyruszyłem na kolejną wyprawę badawczą, tym razem

w przeciwnym kierunku, przekonany, że w Canberze musi istnieć choć jeden normalny pub i choć jedna sympatyczna restauracja (na następny wieczór), ale na nic takiego nie natrafiłem i w końcu znowu znalazłem się przed wejściem do Rekxa. Spojrzałem na zegarek: dopiero wpół do dziesiątej. Poszedłem do baru, gdzie zamówiłem piwo i zagłębiłem się w fotelu. Oprócz mnie w barze było tylko pięć osób: trzech mężczyzn i jedna pani przy stoliku (hałaśliwie weseli) oraz samotny jegomość przy barze, z nosem w szklance.

Popijając piwo, wyjąłem mały notes i długopis — na wypadek, gdybym poczynił jakąś ważną obserwację — a następnie książkę zakupioną w antykwariacie w Sydney. Było to dzieło zatytułowane *Inside Australia* (1972), napisane przez Johna Gunthera, niegdyś bardzo znanego autora książek i artykułów podróżniczych, a dzisiaj prawie zapomnianego. Była to jego ostatnia książka: biedak umarł, kiedy nad nią pracował.

Otworzyłem ją na rozdziale o Canberze, ciekaw, co autor miał do powiedzenia na temat tego miasta w tamtych czasach. Opisywana przez niego Canberra jest liczącym 130 tysięcy mieszkańców małym miastem z „sielską atmosferą prowincjonalnego miasteczka” — spokojnym, z niewielką ilością świateł sygnalizacji ulicznej, ubogim życiem nocnym, umiarkowaną liczbą barów i „kilkoma dobrymi restauracjami”. Jednym słowem, stolica najwyraźniej cofnęła się w rozwoju od 1972 roku. Z dumą stwierdziłem, że hotel Rex został wyróżniony jako godzien polecenia — to zawsze satysfakcjonuje, kiedy nasze wybory zyskują potwierdzenie, nawet jeśli rekomendacja pochodzi sprzed 30 lat — a bar określono jako „jeden z najbardziej ożywionych w mieście”. Podniosłem wzrok znad książki i zadrzałem na myśl, że te słowa do dzisiaj pozostają w mocy.

Przeszedłem do rozdziału o australijskim życiu politycznym — przede wszystkim po to kupiłem tę publikację. Poza systemem punktacji w futbolu australijskim i przyczynami popularności potrawy zwanej *pie floater* (wyobraźcie sobie coś nieapetycznego i brązowego — pasztecik — pływającego w czymś nieapetycznym i brązowym — zupie grochowej — a będziecie mniej więcej wiedzieli, jak to wygląda) w rzeczywistości australijskiej nie istnieje nic bardziej

skomplikowanego i niezrozumiałego dla osoby z zewnątrz niż polityka. Parę razy próbowałem zgłębić poświęcone temu zagadnieniu dzieła napisane przez Australijczyków, lecz wszyscy autorzy wychodzili od oryginalnej przesłanki, że temat jest interesujący — stanowisko bez wątpienia odważne, ale nie ułatwiające czytelnikowi zadania. Tym razem miałem więc nadzieję, że pozbawione emocji obserwacje mojego rodaka więcej mnie nauczą. Muszę przyznać, że Gunther bardzo się postarał, aczkolwiek temat chyba nieco przerósł jego niewątpliwy talent do upraszczającej syntezy. Oto na przykład próba wyjaśnienia australijskiego systemu wyborczego, zwanego jednomandatowym:

Jeśli po dodaniu głosów drugiej preferencji do pierwszej nadal nie ma kandydata z większością oddanych głosów, cały proces jest powtarzany. Głosy na kandydata zajmującego na tym etapie ostatnie miejsce dzieli się między pozostałych na podstawie drugiej preferencji. Jeśli przejął jakieś głosy drugiej preferencji po pierwszym wyeliminowanym kandydacie, to rozdysponowuje się je według trzeciej preferencji i tak dalej.

Szczególnie podobało mi się to pełne dezynwoltury „i tak dalej”. Zmyśla konkluzja, która sugeruje: „Ja to wszystko doskonale rozumiem, ale nie chcę zanudzać was szczegółami”, podczas gdy w rzeczywistości sens jest zupełnie inny: „Nie mam zielonego pojęcia, jak to wszystko działa i, szczerze mówiąc, mam to głęboko gdzieś, ponieważ kiedy piszę te słowa, siedzę sobie wygodnie w czymś w rodzaju mauzoleum pośród buszu, które nazywa się hotel Rex, jest piątek wieczór, ja już trochę się nawaliłem, nudzę się jak mops i zaraz pójdę po następne piwo”. Doskonale go rozumiałem.

Spojrzałem na zegarek, by z przerażeniem skostatować, że jest dopiero dziesięć po dziesiątej. Zamówiłem kolejne piwo, a potem wziąłem do ręki długopis i po chwili namysłu napisałem w notesie: „Canberra: straszna dziura. Ale piwo zimne”. Po dłuższej chwili rozmyślań dopisałem: „Kupić skarpetki”. Potem odłożyłem długopis i bez większych sukcesów próbowałem podsłuchać rozmowę hałaśliwej

czwórki po drugiej stronie sali. Następnie postanowiłem wymyślić nowe hasło reklamowe dla Canberry. Najpierw napisałem: „Canberra: naprawdę nic specjalnego!”, następnie: „Canberra: po co czekać na śmierć?” i wreszcie: „Canberra: brama do wszystkiego innego!”, co mi się najbardziej spodobało. Później zamówiłem jeszcze jedno piwo i narysowałem humorystyczny rysunek. Dwa łososie podczas tarła odpoczywają między dwoma wodospadami w niewielkim, spokojnym akwenu. W pewnym momencie samiec mówi do samicy: „Co byś powiedziała na małe ruchanko?”. Bardzo mnie to rozbawiło. Włożyłem rysunek do kieszeni, gdzie miał czekać na czasy, kiedy nauczę się rysować rzeczy rozpoznawalne dla innych ludzi. Potem jeszcze trochę popodsłuchiwałem i kiedy miałem wrażenie, że ktoś sobie zażartował, kiwałem głową i uśmiechałem się w nadziei, że mnie zauważą i zaproszą do swojego stolika, ale nie zrobili tego. Później kupiłem jeszcze jedno piwo.

Był to chyba fatalny błąd, ponieważ nic więcej nie pamiętam, poza uczuciem niezmierniej życzliwości wobec wszystkich, którzy przechodzili przez salę, łącznie z filipińską staruszką, która przyszła z odkurzaczem i poprosiła mnie o podniesienie nóg, żeby mogła odkurzyć pod moim krzesłem. W moim notesie pojawiły się tego wieczoru jeszcze dwa wpisy, oba trochę rozbiegane. Pierwszy: „Victoria Bitter — skąd ta nazwa??? Wcale nie gorzkie. Bardzo dobre!!!”. Drugi: „Mówię ci, Barry, pierdział iskrami!”. Sądzę, że zacytowałem podsłuchany australijski zwrot, który wydał mi się wyjątkowo egzotyczny i malowniczy, ale nie mogę tego zagwarantować — niewykluczone, że po tylu piwach rzeczywiście nastąpiły u mnie jakieś elektryczne wyładowania gastryczne.

Rano, tuż po przebudzeniu, zobaczyłem Canberkę skąpaną w uporczywej mżawce. Planowałem przejść na nogach przez główny most nad jeziorem Burley Griffin do dzielnicy muzeów i ministerstw. Nie był to najlepszy dzień na spacer, zwłaszcza że, jak sobie powoli uświadomiłem po wyjściu z hotelu, czekała mnie jeszcze bardziej heroiczna ekspedycja niż poprzedniego dnia. Canberra jest zadziwiająco rozległym miastem. Na planie wygląda to bardzo zachęcająco —

jezioro, które wije się jak wąż, zadrzewione aleje i 4 tysiące hektarów parku (dla porównania: Hyde Park ma niecałe 90 hektarów) — ale w rzeczywistości jest to ogromny obszar zieleni, urozmaicany widzianymi w oddali skupiskami budynków.

Warto przypomnieć, jak do tego doszło. W 1911 roku, kiedy uzgodniono, gdzie powstanie stolica, rozpisano konkurs na projekt, którego zwycięzcą został Walter Burley Griffin z Oak Park w Illinois, uczeń Franka Lloyd Wrighta. Projekt Griffina był niezaprzeczalnie najlepszy, co jednak nie stanowi żadnej rekomendacji. Inny potencjalny laureat, Francuz Alfred Agache, niedokładnie przeczytał warunki konkursu (całkiem możliwe, że w ogóle ich nie przeczytał) i umieścił parlament plus wiele innych ważnych budynków na terenach zalewowych, co oznaczało, że ustawodawcy przez część roku musieliby debatować z nogami w wodzie. Ponadto, z niewyjaśnionych przyczyn, Agache postawił w samym sercu miasta oczyszczalnię ścieków, czyniąc z niej centralny element kompozycyjny. Mimo tych zabawnych niedoskonałości jego projekt zajął trzecie miejsce. Druga nagroda przypadła w udziale Elielowi Saarinenowi, ojcu Eero — człowieka, który później przekonał jurorów do wybrania odważnego projektu opery w Sydney autorstwa Jørna Utzona. Propozycja starszego Saarineny była jak najbardziej do zaakceptowania, ale miała w sobie pewne brutalne dostojeństwo — prototyp architektury Trzeciej Rzeszy — które nieco zaniepokoiło australijskich jurorów.

Tymczasem projekt Griffina natychmiast ich uwiódł. Przewidywał miasto-ogród przeznaczone dla 75 tysięcy ludzi, poprzecinane alejami wysadzonymi drzewami i ozdobione jeziorem w centrum. Eleganckie i dumne, majestatyczne, ale bezpretensjonalne, doskonale spełniało potrzebę nieostentacyjnej reprezentacyjności, która pasowała do australijskiego charakteru narodowego. Ponadto Griffin należał do pierwszych architektów, którzy zdawali sobie sprawę ze znaczenia dobrej prezentacji. Nie przysłał skromnych szkiców, kojarzących się z pospiesznymi bazgrołami na serwetce, lecz serię starannie wykonanych panoramicznych rysunków na płótnie. Pomogła mu w tym — a tak naprawdę wszystko sama zrobiła — jego świeżo upieczona małżonka, Marion Mahony

Griffin, bez wątpienia należąca do najbardziej utalentowanych architektów swojej epoki.

Dzieło Marion ukazuje piękne sylwety — tutaj kopuła, tam ziggurat — lecz zaskakująco niewiele wiążących szczegółów. Są to kuszące impresje — eteryczne, sprytnie odległe. Można się nimi rozkoszować godzinami, ale jak tylko się odwrócisz, nie będziesz w stanie przypomnieć sobie niczego poza ogólnym wrażeniem estetycznej kompozycji. Chociaż Griffin i jego żona nigdy nie byli w Australii (pracowali na podstawie map topograficznych), ich rysunki emanują głębokim wyczuciem krajobrazu, szacunkiem dla jego dzikiego piękna i rozległości horyzontu. Niczego nie ujmując Walterowi (był zdolnym, a momentami nawet wybitnym architektem), geniuszem w tym związku była Marion.

Griffinowie mieli wyraźne zacięcie artystowskie — on lubił kapelusze z szerokimi rondami i aksamitne krawaty, ona lubiła tańczyć w lesie, odziana w przeświecające suknie à la Isadora Duncan — co z pewnością nie przemawiało na ich korzyść w twardym i pragmatycznym świecie australijskiej polityki na początku XX wieku. Tak czy owak, kiedy w 1913 roku przybili do brzegów Australii, raczej nie mogli liczyć na zbyt wiele środków finansowych i entuzjazmu, a wybuch pierwszej wojny światowej jeszcze bardziej uszczuplił zasoby jednego i drugiego. Na miejscu budowy Griffin nie umiał zapanować nad sprawami organizacyjnymi. Nie miał doświadczenia z kierowaniem dużymi projektami i wyraźnie nie odpowiadało to jego temperamentowi. Do 1920 roku nie zrobiono nic poza prowizorycznym wytyczeniem głównych ulic. Pod koniec roku, za porozumieniem stron, Griffin zrezygnował z udziału w projekcie.

Uczeń Franka Lloyda Wrighta został w Australii jeszcze przez 15 lat i zyskał rangę jednego z najbardziej renomowanych architektów w tym kraju, ale prawie wszystkie zaprojektowane przez niego budynki albo w ogóle nie powstały, albo zostały później zburzone. Popadał w coraz większe kłopoty finansowe i w 1935 roku postanowił emigrować do Indii. Dwa lata później spadł z rusztowania, zachorował na zapalenie otrzewnej i zmarł w wieku 60 lat. Pochowano go w bezimiennym grobie. Dzisiaj po jego długiej i pracowitej karierze nie pozostało

prawie nic, oprócz Newman College Uniwersytetu w Melbourne, paroma spalarniami śmieci i Canberrą — choć Canberra tak naprawdę wcale nie jest jego dziełem.

Griffinowi można przypisać wyłącznie autorstwo planu ogólnego — aleje, ronda, jezioro przecinające miasto na pół. Resztę wykonały dziesiątki innych rąk, często nieskoordynowanych z sobą. Na jego ogólnym schemacie powstało zupełnie inne miasto, pozbawione spójności pierwotnego projektu. Canberra jest w gruncie rzeczy skupiskiem budynków rządowych pośród stworzonej przez człowieka natury. Nawet jezioro, które wije się jak wąż między częścią handlową i parlamentarną stolicy, ma w sobie coś sztucznego i mdłego.

Na pochyłym cyplu, wcinającym się w lesisty północny brzeg, stoi średniej wielkości budynek National Capital Exhibition. Postanowiłem tam pójść w pierwszej kolejności, bardziej po to, żeby się wysuszyć, niż licząc na znaczące poszerzenie stanu mojej wiedzy. Panował tam spory ruch. W holu siedziały dwie życzliwe panie i rozdawały wszystkim darmowe zestawy powitalne — duże żółte reklamówki — przyjmowane przez gości z wdzięcznością i zachwytem na twarzach.

— Interesują pana nasze darmowe materiały? — zapytała mnie jedna z rzeczonych pań.

— Tak, bardzo proszę! — odparłem tak podniecony, że aż wstyd przyznać.

Pobieżne oględziny wykazały, że reklamówka zawierała wyłącznie broszury — dzieła zebrane biura turystycznego, które odwiedziłem dzień wcześniej. Torba była tak ciężka, że uchwyty się rozciągnęły i po chwili dotykała podłogi. Przez jakiś czas wlokłem ją za sobą, a potem postanowiłem dyskretnie porzucić ją za donicą. Niestety, nie było tam już miejsca na kolejną żółtą reklamówkę. Leżało ich tam chyba z dziewięćdziesiąt. Rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem, że prawie wszyscy pozbyli się swoich toreb. Oparłem moją o ścianę koło donicy. Kiedy się wyprostowałem, zobaczyłem mężczyznę, który szedł w moją stronę.

— Tutaj idą torby? — zapytał z powagą.

— Tak, tutaj — odparłem, również śmiertelnie poważnie.

Jako pełniący obowiązki samozwańczego magazyniera żółtych reklamówek, przyglądałem się, jak ostrożnie opierał torbę o ścianę. Potem staliśmy przez chwilę razem, zadowoleni ze swojego udziału w ważnej operacji przeniesienia setek żółtych reklamówek z holu wejściowego do punktu odbioru w sali ekspozycyjnej. Przez ten czas podeszły do nas jeszcze dwie osoby.

— Tutaj postawcie — poleciliśmy prawie unisono i pokazaliśmy, w którym miejscu uszczelniamy ścianę.

Potem wymieniliśmy zadowolone z siebie skinienia głowy i wróciliśmy do zwiedzania.

National Capital Exhibition to znakomite muzeum, podobnie jak wiele tego typu placówek w Australii. Nie jest zbyt duże, ale daje dobre wyobrażenie o historii i rozwoju Canberry. Zaskoczyło mnie, że większość tego wszystkiego jest całkiem nowa. Na wielu ścianach wisiały powiększone fotografie Canberry z dawnych czasów, jaskrawo kontrastujące z jej obecnym kształtem. Odkryłem na przykład, że Jezioro Burleya Griffina⁴ wypełniono wodą dopiero w 1964 roku. Wcześniej było tylko mulistym zagłębieniem między dwiema połówkami miasta. Na innej ścianie dwie fotografie z powietrza pokazywały Canberkę w 1959 roku (39 tysięcy mieszkańców) i Canberkę dzisiaj (330 tysięcy). O dziwo, poza tym, że dobudowano przez ten czas kilka dużych gmachów w tak zwanej Strefie Parlamentarnej i nalano wody do jeziora, miasto wyglądało bardzo podobnie.

Po takim wprowadzeniu pałałem chęcią obejrzenia tego wszystkiego na własne oczy. Wyszedłem z budynku i skierowałem się wzdłuż lesistego brzegu jeziora ku mostowi Commonwealth Avenue, aby zwiedzić odległą i, by tak rzec, urzędową część Canberry. Deszcz przestał padać, ale Jezioro Burleya Griffina jest wyposażone w ten zdumiewający cud inżynierii (zdumiewający dlatego, że nie wiadomo, po co się tak męczyli), zwany Captain Cook Memorial Jet. Chodzi o fontannę, która oszałamiająco nieciekawie wystrzeliwuje wodę na wysokość grubo ponad stu metrów, a potem włącza się w to wszystko wiatr, który skrapia most drobnym, acz wyjątkowo przeszywającym deszczykiem. Z westchnieniem wszedłem w tę mżawkę i wyłoniłem się po drugiej stronie pośród gigantycznych

trawników, z rzadka urozmaicanych odległymi od siebie budynkami państwowymi i muzeami — miałem wrażenie, jakbym patrzył na to wszystko przez szkło pomniejszające.

Nawet w oficjalnych tekstach promocyjnych władze przyznają, że „w opinii wielu osób Strefa Parlamentarna sprawia wrażenie pustej i niedokończonej, a wielkie odległości między instytucjami a innymi budynkami nie sprzyjają ruchowi pieszemu i innej aktywności”. Dobrze powiedziane. Czułem się tak, jakbym zwiedzał kolosalną wystawę światową, której nie zdążono uruchomić.

Najpierw zajrzałem do Biblioteki Narodowej, bo chciałem zobaczyć dziennik pokładowy „Endeavour”, słynne wspomnienia z podróży kapitana Cooka. Po swojej epickiej wyprawie odkrywczej Cook zabrał go do domu, ale po śmierci kapitana dziennik zaginął i przez prawie 150 lat nie było po nim śladu. W 1923 roku nieoczekiwanie pojawił się na aukcji w londyńskim Sotheby’s. Ówczesny rząd australijski wykupił go pospiesznie za pięć tysięcy funtów (niemal dwa razy więcej, niż był gotów zapłacić za koncepcję miasta, w którym ten dokument obecnie przebywa) i dzisiaj dziennik jest traktowany w Ameryce z nabożną czcią, zarezerwowaną dla takich drogocennych relikwów narodowych, jak Konstytucja i Nancy Reagan. Niestety, jak się dowiedziałem w informacji, można go oglądać tylko raz w tygodniu, po wcześniejszym zgłoszeniu takiego zamiaru. Byłem zdruzgotany.

— Ale ja pokonałem trzysta tysięcy kilometrów, żeby go zobaczyć! — błagałem.

— Bardzo mi przykro! — odparł i miałem wrażenie, że mówi to szczerze.

— Spędziłem noc w Reksie — dodałem w nadziei, że to przesądzi sprawę, ale nie ugiął się.

Wskazał mi jednak broszurę, w której mogłem zobaczyć zdjęcie dziennika, a także zachęcał mnie do obejrzenia sal otwartych dla publiczności. Dobrze, że go posłuchałem, bo zbiory były znakomite. W jednej z sal wystawiano portrety sławnych Australijczyków (to znaczy sławnych w Australii), a w innej oryginalne rysunki opery w Sydney — nie tylko zwycięski projekt Utzona, ale także szkice

zdobywców drugiego i trzeciego miejsca, oba oszałamiająco nudne. Drugie miejsce przypadło grubemu cylindrowi ze stali nierdzewnej, pomalowanemu jak arlekin, a trzecie wyglądało jak wielki supermarket. W jednej z gablot stała wykonana przez Utzona makieta, pokazująca, że wbrew temu, co zewsząd słyszymy, żagle dachu opery nie są replikami żagli statków, lecz po prostu wycinkami sfery.

Potem pocwałowałem przez kilka hektarów sawanny do Galerii Narodowej, imponująco wielkiego muzeum mieszczącego się w budynku podobnym do twierdzy. Zbiory były zróżnicowane i generalnie bardzo ciekawe. Szczególnie zafrapowały mnie obrazy *outbacku* namalowane przez Arthura Stretona, o którym wcześniej nie słyszałem, a także złożone z barwnych kropek i zawijasów malarstwo Aborygenów, w większości wykonane na pomarszczonej korze i innych naturalnych materiałach. Często zapominamy, że kultura Aborygenów sięga czasów prehistorycznych. Wyobraźmy sobie, że nadal żyją we Francji ludzie, którzy mogą nas zaprowadzić do jaskiń w Lascaux i wyjaśnić znaczenie wszystkich szczegółów (dlaczego żubr oddala się od stada, co znaczą te trzy faliste linie), ponieważ ich sens ani trochę się dla nich nie zatracił. Taki jest właśnie przypadek Aborygenów i sądzę, że warto o tym przypominać.

Zamierzałem odwiedzić parlament, ale kiedy wyszedłem z Galerii Narodowej, skonstatowałem, że popołudnie już prawie minęło. Musiałem odłożyć wizytę na następny dzień. Ruszyłem łagodnym zboczem z powrotem w stronę jeziora i mostu. Niebo nareszcie się przejaśniało i odległe wzgórza pokryte były plamami srebrnego światła. Teraz, kiedy chmury zaprzestały swoich pikujących ataków i uciekły na nieco bardziej pierzastą wysokość, widok był naprawdę uroczy. Canberra jest miastem pomników, w większości okazałych i prawie bez wyjątku wyposażonych we własny szpaler drzew. Z miejsca, w którym się znajdowałem, mogłem je wszystkie ogarnąć jednym ruchem głowy. Nie przypominało to miasta, raczej odrobinę zaaranżowane pole bitwy. Doznałem tego poczucia przestrzeni i pełnej szacunku zieloności, które spodziewamy się znaleźć pod Gettysburgiem czy Waterloo.

Trudno było uwierzyć, że upakowano tam 330 tysięcy ludzi. Myśl ta — która

wprawiła mnie w osłupienie, kiedy mnie naszła — całkowicie zmieniała moją opinię o Canberze. Krytykowałem to miasto za coś, co w istocie było jego największym osiągnięciem: od lat pięćdziesiątych bez większych stresów zwiększyło liczbę ludności dziesięciokrotnie, a mimo to nadal było parkiem.

Wyobraziłem sobie jakąś uroczą amerykańską miejscowość typu Aspen w Kolorado, które próbuje w ciągu 40 lat wchłonąć dodatkowe 300 tysięcy mieszkańców, i pomyślałem o kilometrach chaotycznie i niedbale dokładanej infrastruktury, której wymagałby tak gwałtowny wzrost liczby ludności — galerie handlowe, parkingi, ośmiopasmowe drogi pośród lasu neonów i tablic reklamowych, hektary identycznych osiedli (żegnaj, lesie, żegnaj, farmo!), supermarkety, pudełkowate sklepy, splątane zwoje moteli, stacji benzynowych i fast foodów. W Canberze prawie tego nie ma. Co za sukces! Nabrałem wielkiego szacunku do tego miasta.

Mimo wszystko parę porządnych pubów by nie zaszkodziło.

II

A teraz wam wyjaśnię, dlaczego nigdy nie zrozumiecie australijskiej polityki. W 1972 roku, po 23 latach rządów konserwatywnej Partii Liberalnej, Australia wybrała rząd laburzystowski pod kierunkiem eleganckiego światowca Gougha Whitlama. Rząd natychmiast wdrożył program ambitnych reform — między innymi dał Aborygenom prawa, których wcześniej nie mieli, zaczął wycofywać wojska australijskie z Wietnamu i wprowadził darmowe studia wyższe. Ale, jak to czasem bywa, rząd stopniowo tracił większość i od 1975 roku w parlamencie był pat, z którego ani Whitlam, ani przywódca opozycji Malcolm Fraser nie zamierzali wyjść.

Do akcji wkroczył gubernator generalny, sir John Kerr, oficjalny przedstawiciel królowej brytyjskiej. Wykorzystując przywilej, na który nigdy wcześniej się nie powoływano, Kerr rozwiązał gabinet Whitlama, postawił Fräsera na czele rządu tymczasowego i rozpiął wybory powszechne. Trudno opisać wściekłość

i oburzenie Australijczyków z powodu tej bezczelnej ingerencji. W całym kraju zawrzało. Zanim jednak Australijczycy zdążyli samodzielnie rozstrzygnąć swoje wewnętrzne spory, wmieszał się w nie niewybrany przez nikogo przedstawiciel rządu z drugiego końca świata i uregulował sprawę za nich. Było to upokarzające przypomnienie, że Australia w gruncie rzeczy nadal jest kolonią, ustrojowo podporządkowaną Zjednoczonemu Królestwu.

Niemniej, tak jak wymagało tego prawo, Australijczycy poszli do urn wyborczych i przytłaczającą większością głosów przychyliłi się do pomysłu odwołania Whitlana, oddając władzę w ręce Frasera. Innymi słowy, elektorat z całym spokojem zatwierdził nominację, która miesiąc wcześniej tak go rozsierdziła. Dlatego, jak powiadam, nigdy nie zrozumiecie australijskiej polityki.

Problem częściowo polega na tym, że praktycznie nie sposób śledzić australijskiego życia politycznego zza granicy, ponieważ przedostaje się stamtąd do nas bardzo niewiele wiadomości. Ale nawet kiedy ktoś jest na miejscu i sumiennie stara się za tym wszystkim nadażyć, szybko gubi się w gąszczu zawikłanych sporów, skomplikowanych argumentów, zagmatwanych stosunków i animozji, które przekraczają wszelkie pojęcie. Dajcie Australijczykom jakiś temat, a zaczną o nim dyskutować tak namiętnie, tak szczegółowo, poruszając problem z tylu rozmaitych punktów widzenia i wplatając weń taką liczbę wątków pobocznych, że osoba z zewnątrz błyskawicznie się w tym pogubi.

W czasie mojej wizyty przedmiotem wielkiej debaty była kwestia, czy Australia powinna stać się republiką — przeciąć ostatnie powiązania kolonialne z Wielką Brytanią i podjąć kroki niezbędne do tego, aby żaden John Kerr już nigdy nie upokorzył Kangurów. Dla mnie sprawa była bezdyskusyjna: przecież każdy naród chce mieć kontrolę nad własnym losem. Decyzja wydawała się oczywista.

A jednak Australijczycy przez dwa lata dzielili włos na czworo i wymyślali najróżniejsze obiekcje. Kto będzie prezydentem w nowym ustroju? Jak zagwarantować, że nie zrobi czegoś, czego zrobić nie powinien? Co z tymi wszystkimi instytucjami, które mają w swojej nazwie słowo „królewski”? Co napiszemy w preambule do konstytucji? Czy odniesiemy się do australijskiego

pojęcia „kamraterii”, tak jak sobie tego życzy John Howard, czy też uznamy, że jest to pozbawione większego sensu i trochę kompromitujące? O rany, jakie to wszystko skomplikowane! Może byłoby lepiej nic nie zmieniać i liczyć na to, że Brytyjczycy będą dla nas dobrzy.

Nie chcę bagatelizować wyżej wymienionych kwestii, ale śledzenie tej debaty jest męczące i skłania do dwóch powiązanych z sobą wniosków: Australijczycy lubią dyskutować dla samej przyjemności dyskutowania i zasadniczo woleliby zostawić wszystko po staremu. Ostatecznie i tak zagłosowali oczywiście przeciwko republice, chociaż kiedy tam byłem, taki rezultat wydawał się bardzo mało prawdopodobny. Oto kolejny dowód na to, że osoba z zewnątrz nigdy nie zrozumie australijskiej polityki.

Z drugiej strony Australijczycy mają najlepsze i najbardziej rozrywkowe debaty parlamentarne na świecie, co wiele rekompensuje. Amerykańskie, a nawet brytyjskie wiadomości telewizyjne wiele by zyskały, gdyby zawierały codzienny materiał z australijskich sal parlamentarnych. Nie trzeba byłoby wyjaśniać, o co chodzi (zresztą to przekracza ludzkie pojęcie), żeby telewidzowie mogli smakować prawdziwe bogactwo przytyków i rozkoszować się wigorem inwektyw politycznych na antypodach.

W książce *Among the Barbarians* pisarz Paul Sheehan rejestruje wymianę zdań w parlamencie między niejakim Wilsonem Tuckeyem a ówczesnym premierem Paulem Keatingiem. Oto krótki fragment:

TUCKEY: Jest pan idiotą. Jest pan żalonym niedorajdą...

KEATING: Zamknij się! Siadaj i zamknij się, ty świni! Zatkaj gębę, błaznie! Ten człowiek ma intelekt przestępcy. Ten błazen ciągle przeszkadza!

Dialog ten to dosyć umiarkowany przykład wirtuozerii słownej pana Keatinga. Pośród epitetów, jakie wyfrunęły skrzydlatym słowem z jego ust i które można znaleźć w parlamentarnych protokołach, znajdują się takie pojęcia jak „szuja”, „kryminalny śmieć”, „szmata”, „głupia glista z niewyparzoną gębą”, „zasraniec”, „parszywa larwa”, „perfumowany żigolo”, „tchórzliwy kombinator”, „mongoł”,

„niemoralny oszust” i „śnięty cefal”. A przytaczam wyłącznie określenia zaadresowane do matki oponenta (to oczywiście żart!). Nie wszystkie parlamentarne obelgi są aż tak jędrne, ale poniżej pewnego poziomu nie schodzą.

Podczas moich wcześniejszych wizyt z żywym zainteresowaniem śledziłem tego rodzaju oratorskie popisy, możecie więc sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością zostawiłem samochód na parkingu parlamentu, aby udać się na krótkie zwiedzanie przed wyjazdem do Adelaide.

Parliament House to nowy budynek, który w 1988 roku zastąpił poprzedni, skromniejszy. Gmach jest dosyć ohydny, zwieńczony groteskową strukturą falliczną, która przypomina bardzo duży stojak choinkowy. Przed wejściem do środka zatrzymałem się przy jeziorku, żeby spojrzeć na tego dziwołaga.

— Największa struktura aluminiowa na półkuli południowej! — zakomunikował z wyraźną dumą człowiek z aparatem fotograficznym na szyi.

— A dużo jest struktur aluminiowych, które ubiegają się o ten tytuł? — wypaliłem, zanim zdążyłem się powstrzymać.

— No, nie wiem — odparł, nieco zakłopotany. — Ale jeśli są, to mniejsze. Nie chciałem go urazić.

— W każdym razie jest bardzo... efektowna.

— Tak — zgodził się ze mną. — To chyba najwłaściwsze słowo: efektowna.

— Ile jest tego aluminium? — spytałem.

— Nie mam pojęcia, ale na pewno dużo, mogę pana zapewnić.

— Dałoby się w to zawiąć mnóstwo kanapek! — dodałem żartobliwym tonem. Spojrzał na mnie jak na niebezpiecznego wariata.

— Tego to nie wiem — odparł zażenowany i po chwili wahania się oddalił.

Ponieważ była niedziela rano, sądziłem, że parlament będzie zamknięty dla publiczności, ale się pomyliłem. Musiałem się poddać kontroli bezpieczeństwa, w wyniku której skonfiskowano mi scyzoryk. Dwadzieścia minut później piłowałem w kafeterii bułeczkę za pomocą znacznie bardziej śmiercionośnego narzędzia. To dobrze oddaje klimat parlamentu: z pozoru poważny i zatroskany o bezpieczeństwo, jak przystało na legislaturę ważnego państwa, ale jednocześnie

wyluzowany, tak jakby zdawano sobie sprawę, że międzynarodowi terroryści nie zamierzają wdzierać się do budynku przez okna, a goście to zwykli ludzie, którzy chcą zobaczyć, jak się uchwała prawo, a potem wypić herbatę i zjeść coś słodkiego w kafeterii.

W środku było znacznie ładniej, niż sugerowała to banalność gmachu od zewnątrz. Podłogi i ściany pokrywało mnóstwo rodzajów rodzimego drewna. Na dodatek gości nie organizowano w grupy, tylko pozwalano im na własną rękę penetrować budynek. Nigdy nie byłem na amerykańskim Kapitolu, ale założę się, że tam nie ma takiej możliwości. Miałem wrażenie, że mogę pójść, gdzie tylko chcę — na przykład gdybym wiedział, gdzie są drzwi do gabinetu premiera, mógłbym tam pójść i napisać mu jakąś wiadomość na bibułce albo zostawić mój żart rysunkowy z łososiami, żeby osłodzić mu dzień pracy. Parę razy ukradkowo naciskałem nawet klamki. Wszystkie drzwi były zamknięte, ale ani razu nie uruchomił się alarm i ochroniarze nie wpadli przez okno, żeby rozciągnąć mnie na podłodze i zabrać na brutalne przesłuchanie. Wszyscy pracownicy ochrony, których spotkałem, byli przyjaźni i z radością odpowiadali na moje pytania. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie.

Australijski parlament dzieli się na dwie izby, Izbę Reprezentantów i Senat (ciekawa rzecz, że całą instytucję Australijczycy nazywają po brytyjsku, a jej części po amerykańsku), i obie sale były widoczne z galerii dla publiczności. Wydały mi się małe, ale ładniejsze, niż oczekiwałem. W telewizji zieleń Izby Reprezentantów ma odcień żółciowy, jakby posłowie debatowali we wnętrzu czyjejś trzustki, ale na żywo wyglądało to znacznie gustowniej i zdecydowanie bardziej powściągliwie. Senat, którego nie miałem okazji zobaczyć na ekranie (przypuszczalnie dlatego, że senatorowie nic nie robią, ale sprawdzę to u Johna Gunthera i poinformuję was, jak się sprawy mają), pomalowano na stonowany kolor ochrowy.

W dużym holu na piętrze wisiały olejne portrety wszystkich premierów, które z zainteresowaniem obejrzałem. Dużo czytałem o Australii, toteż z wielką przyjemnością — „Ach, tyle o was słyszałem!” — nareszcie zobaczyłem twarze

tych polityków. Oto poczciwy Ben Chifley, laburzystowski premier tuż po wojnie i do tego stopnia człowiek ludu, że kiedy przebywał w Canberze, nocował w skromnym hotelu Kurrajong (co kosztowało podatnika tylko sześć szylingów dziennie) i co rano szedł w szlafroku do wspólnej łazienki, żeby się ogolić i umyć razem z innymi gośćmi. Potem był dostojny lew salonowy Robert Menzies, który premierował przez 20 lat, uważał się za „brytyjskiego aż po sznurówki” i marzył o tym, żeby po przejściu na emeryturę zamieszkać na angielskiej wsi i już nigdy nie musieć oglądać swego rodzinnego kraju. Nie zapominajmy też o nieszczęsnym Haroldzie Holcie, który swoim feralnym skokiem do oceanu w 1967 roku zasłużył sobie na moją dozgonną sympatię.

Klub australijskich premierów nie jest duży, od 1901 roku było ich zaledwie 24, ale uświadomiłem sobie, że o 6 prawie nic nie wiem, a o 8 — czyli jednej trzeciej — w ogóle wcześniej nie słyszałem. Do tej ostatniej kategorii należeli sir Earle Christmas Grafton Page, który rządził przez niecały miesiąc w 1939 roku, oraz William McMahon, pełniący funkcję premiera na początku lat siedemdziesiątych — mimo jego prawie dwuletniego urzędowania także nie miałem wcześniej pojęcia o jego istnieniu.

Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym dzień wcześniej nie przeczytał artykułu w gazecie, z którego wynikało, że sami Australijczycy są w tych kwestiach nie mniejszymi ignorantami ode mnie — na przykład, że więcej z nich potrafi wymienić osiągnięcia George’a Washingtona niż ich pierwszego demokratycznie wybranego szefa rządu, sir Edmunda Bartona.

Z tym smutnym materiałem do refleksji opuściłem stolicę kraju i wyruszyłem w drogę do Adelaide.

Rozdział siódmy

Z Canberry do Adelaide jedzie się 1300 kilometrów, głównie zagubioną pośród głuszy i na poły zapomnianą Sturt Highway. Drogę tę nazwano tak na cześć kapitana Charlesa Sturta, który badał ten region podczas serii ekspedycji w latach 1828-1845. Oprócz tego, że wykreślił na mapie leniwy bieg rzeki Murray i jej dopływów, Sturt wyróżnił się przede wszystkim tym, że jako pierwszy z wczesnych badaczy Australii wykazał się pewnym poziomem profesjonalizmu. Wiedział na przykład, że trzeba przywiązywać konie na noc. Może się to wydawać więcej niż oczywiste dla kogoś, kto obozuje setki kilometrów od cywilizacji, ale jego poprzednicy nie zawsze pamiętali o tej konieczności. Johnowi Oxleyowi, szefowi trochę wcześniejszej wyprawy, zdarzało się o tym zapominać, toteż pewnego ranka stwierdził po przebudzeniu, że wszystkie jego wierzchowce zniknęły. Ich znalezienie zajęło ludziom pięć dni, ale jakiś czas później konie znowu bryknęły. Mimo to Oxleya także upamiętniono drogą nazwaną na jego cześć, na północy Nowej Południowej Walii. W odniesieniu do przeszłości Australijczycy są bardzo wielkoduszni.

Sturt Highway zaczyna się w pobliżu Wagga Wagga, około 150 kilometrów na zachód od Canberry, i przecina szeroką, płaską, pylistobrązową krainę owiec, zwaną Riverina, po której kapryśnie meandruje rzeka Murrumbidgee. Szosa ta doskonale ilustruje, jak szybko w Australii można się znaleźć na kompletnym odludziu. Minutę wcześniej jechałem przez krajobraz padoków, łąk i jasnozielonych wzgórz, z dogodnie oddalonymi od siebie prowincjonalnymi miasteczkami, a teraz byłem sam na skrajnie monotonnym pustkowiu — tarcza brązowej ziemi pod kopułą błękitnego nieba, urozmaicana gdzieniegdzie samotnymi eukaliptusami. Mijane przeze mnie miejscowości nie zasługiwały nawet na miano wsi — parę domów i stacja benzynowa, plus w niektórych pub. Po jakimś czasie nawet one się skończyły. Pomiędzy Narranderą, ostatnim przyczółkiem cywilizacji, a Balnaraldem, następnym bastionem, rozciągało się 300 kilometrów

szosy bez choćby jednej osady ludzkiej. Mniej więcej co godzinę mijalem *roadhouse*, stację benzynową, w języku autochtonów zwaną obrazowo *chew and spew* („żujesz i tryskasz”). Od czasu do czasu na trasie pojawiał się zjazd na drogę gruntową, prowadzącą do niewidocznej fermy owczej. Poza tym nic.

Jakby dla podkreślenia tego osamotnienia, stacje radiowe zaczęły mnie jedna po drugiej porzucać. Sygnał był coraz słabszy i wszechobecne w australijskim eterze przepalone głosy — Vic Damone, Mel Torme, Frank Sinatra w bezmózgiej fazie *du-bi-du* — gasły i znikwały, tak jakby wzmożona siła grawitacyjna wciągała je z powrotem do dziury, z której uciekły. W końcu moje radio częstowało mnie już tylko elektrostatycznym szumem i kawałkiem ciszy pod koniec skali. Z początku myślałem, że trafiłem na stację, która złożyła śluby milczenia, ale potem uświadomiłem sobie, że słyszę odgłos siadania na krzesłach. Po kilku sekundach rozległ się spokojny, refleksyjny głos:

— Pilchard zaczyna swój długi bieg od krótkiego słupka. Rzuca i... och, został wyautowany! Tak, załatwili go. Longwilley złapany na wykroku w środkowym bajorze przez Grattana. Co o tym wszystkim myślisz, Neville?

— To się absolutnie nadaje do annałów, Bruce! Nie widziałem takiego boczno-średnio-wolno-szybkiego rzutu, odkąd Baden-Powell zapodał Rangachangabandze sześć piłek bez biegu podczas słynnego spotkania w Bangalore w 1948 roku...

Zupełnie przypadkiem udało mi się trafić do surrealistycznego i pasjonującego świata krykieta w radio.

Po wielu latach cierpliwych i pracowitych studiów (z krykietem nie da się inaczej) doszedłem do wniosku, że ta dyscyplina sportu wiele by zyskała na wprowadzeniu wózków golfowych. To nieprawda, że Anglicy wymyślili krykieta po to, aby wszystkie inne formy ludzkiej aktywności wydawały się ciekawe i dynamiczne — to był jedynie niezamierzony skutek uboczny. Nie chcę postponować sportu, który sprawia radość milionom — część z nich ma otwarte oczy i patrzy we właściwą stronę — ale to naprawdę dosyć dziwaczna gra. Krykieta to jedyny sport, w którego regulamin wpisana jest przerwa na herbatę. Mało tego, krykieta to jedyny sport, w którym kibice spalają tyle samo kalorii co zawodnicy (a

nawet więcej, jeśli są prawdziwymi pasjonatami). To chyba jedyna konkurencja na świecie — może poza konkursami pieczenia — w której można się ubrać od stóp do głów na biało i wieczorem być tak samo czystym jak rano.

Wyobraźmy sobie wariant gry w bejsbol, w którym miotacz po każdym rzucie odbiera piłkę od łapacza i powoli idzie z nią na pole centralne, by tam, po chwili odpoczynku, odwrócić się, pobiec na pełnym gazie w stronę pagórka miotacza i rzucić piłką w kostki człowieka, który stoi przed nim w czapce jeździeckiej, ciężkich rękawicach używanych do przenoszenia izotopów radioaktywnych i materacu przymocowanym do każdej nogi. Wyobraźmy sobie ponadto, że jeśli pałkarz nie uderzy piłki na tyle skutecznie, aby zmobilizowało go to psychicznie do dwudziestometrowego sprintu z materacem u każdej nogi, formalnie nie jest do tego zobowiązany. Może sobie tak stać przez cały dzień, i na ogół rzeczywiście stoi. Jeśli jakimś cudem zupełnie nie trafi w lecącą powoli piłkę i zostanie wyeliminowany, wszyscy gracze znajdujący się w polu triumfalnie wyrzucają ramiona do góry i ściskają się. Potem ogłaszają przerwę na herbatę i wszyscy radośnie podążają do odległego pawilonu, aby się wzmocnić przed następną próbą sił. I wreszcie wyobraźmy sobie, że to wszystko trwa tak długo, że po zakończeniu meczu jest już jesień i trzeba zapłacić wysoką karę za przetrzymanie książek z biblioteki. Tak właśnie wygląda krykiet.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że krykiet w radio ma w sobie coś nieporównanie kojącego. Do wszystkich zalet komentowanego w eterze bejsbolu — niespieszne tempo, przywiązanie do szczegółowych danych statystycznych i wnikliwych rozważań historycznych, pasjonujące mikromomenty prawdziwej akcji — dochodzi fakt, że ciągnie się to godzinami, a pod względem bogactwa terminologicznego i elegancji stylistycznej nawet bejsbol nie może się z tym równać. Słuchanie dziennikarzy komentujących mecz krykieta przypomina słuchanie dwóch wędkarzy, siedzących w łodzi wiosłowej na dużym, spokojnym jeziorze w dniu, w którym ryby nie łapią. Inne porównanie: drzemka bez utraty świadomości. Nawet lepiej, jeśli nie do końca się rozumie, co jest grane, ponieważ w tym ekskluzywnym świecie ukontentowania i bezczynności zrozumienie

zepsułoby całą przyjemność.

— A zatem mamy Stovepipe'a, który będzie rzucał w to piękne letnie popołudnie w Melbourne Cricket Ground — mówił jeden z komentatorów. — Ciekawe, czy zaryzykuje swój słynny boczny opadający, czy też wybierze szybki numer spod nóżki. Stovepipe ma nietypową metodę, a mianowicie bierze rozpęd poza stadionem, na wysokości browaru Carlton & United w Kooyong.

— Masz absolutną rację, Clive. Nie słyszałem o nikim, kto by rozpoczynał rzut tak daleko, od czasu, kiedy Stopcock zaczepił rękawem o lusterko wsteczne autobusu numer 11 podczas trzeciego testu w Brisbane w 1957 roku i wylądował cztery dni później w Goondiwindi w związku z potwornym zamieszaniem, spowodowanym przez zmianę rozkładu jazdy w Toowoomba...

Po długiej ciszy, podczas której komentatorzy rozmyślali o tej historii, a może nawet wyszli pozałatwiać jakieś drobne sprawy, podjęli niespieszną analizę krykietowych niuansów. Panowie przy mikrofonie byli zgodni, że Neasden pokazał solidny przyrzut, a Packet dał popis dryblunku, ale najbardziej rozplýwali się nad grą młodego Hugh'a Twain-Buttocksa i jednomyślnie stwierdzili, że po raz ostatni ktoś z takim animuszem odprawił przeciwnika w 1961 roku, kiedy Tandoori pomylił Rogana Josha ze słupkiem w Vindaloo. Stovepipe w końcu znalazł drogę na drugą stronę nasypu kolejowego w okolicy Flinders Street — kładka dla pieszych była w remoncie — wrócił na stadion i rzucił do Hasty'ego, który zręcznie wyekspediował piłkę na róg. Operację tę powtórzono cztery razy przez następne dwie godziny, po czym jeden z komentatorów zakomunikował:

— Przed przerwą na drugie śniadanie zostało 11 200 piłek, Australia ma 962 na dwa nie pół, a Anglia ma cztery na kaczkę i liczy na deszcz.

Może tu i ówdzie pomyliłem terminy, ale sądzę, że dobrze oddałem atmosferę. Australia tradycyjnie spuściła Anglii niezłe baty. Zresztą Australia pokonuje większość krajów w większości dyscyplin. Weźmy pierwszy z brzegu, ale przemawiający do wyobraźni przykład: na Igrzyskach Olimpijskich w Atlancie w 1996 roku Australia, pięćdziesiąty piąty kraj świata pod względem liczby ludności, zdobyła więcej medali niż wszystkie inne kraje oprócz czterech, a licząc

per capita, pobiła wszystkich na głowę (gra słów zamierzona). Australijczycy zdobyli 3,78 medali na milion mieszkańców, czyli ponad dwa i pół razy więcej niż następne w tej klasyfikacji Niemcy i prawie pięć razy więcej niż Stany Zjednoczone. Ponadto rozmaitość sportów, w których brylowała Australia, była doprawdy imponująca: 14 dyscyplin — tylko Stany Zjednoczone dorównywały pod tym względem krainie kangurów. Niewiele jest sportów, w których Australia się nie wyróżnia. Wiedzieliście, że 40 Australijczyków gra w bejsbol na profesjonalnym poziomie w Stanach Zjednoczonych, w tym 5 w pierwszej lidze? A przecież Australijczycy nie uprawiają bejsbolu, w każdym razie robią to bez zbytniego zaangażowania. Na dodatek mają swoje własne sporty, przede wszystkim luźno skodyfikowaną szarpaninę o nazwie futbol australijski. Aż dziw bierze, że w takim energicznym i aktywnym społeczeństwie ma kto kibicować.

Tajemnica australijskiego krykieta nie polega więc na tym, że grają dobrze, tylko że w ogóle grają. Zawsze mi się wydawało, że ta powściągliwa gra nie pasuje do ich brawurowego temperamentu. Australijczycy generalnie wolą sporty, w których skąpo odziane osiłki nawzajem rozkwaszają sobie nosy. Jestem przekonany, że gdyby reszta ludzkości nagle zniknęła i rozwój krykieta wpadłby w ręce Australijczyków, za kilkanaście lat zawodnicy nosiliby szorty i walili się pałkami po głowie.

I prawdę powiedziawszy, krykiet wiele by na tym zyskał.

Późnym popołudniem, kiedy zawodnicy poszli na herbatę, piątą przekąskę czy coś tam — w każdym razie intensywność wydarzeń na boisku przeszła z poziomu „bardzo niskiego” na „zerowy” — zatrzymałem się na stacji benzynowej na tankowanie i kawę. Przystudiowałem atlas drogowy i postanowiłem przenocować w Hay, mikroskopijnej kropeczce na pustyni, kawałek od drogi krajowej parę godzin jazdy dalej. Jako że była to jedyna miejscowość w promieniu 300 kilometrów, nie miałem większych problemów z podjęciem decyzji. A potem, nie mając nic lepszego do roboty, przeglądałem indeks atlasu i zabawiałem się wyszukiwaniem idiotycznych nazw, których w Australii nie brakuje. Dzięki temu

mogę wam zaprezentować niniejszą listę autentycznych toponimów: Wee Waa, Poowong, Burrumbuttock, Suggan Buggan, Boomahnoomoonah, Waaia, Mullumbimby, Ewlyamartup, Jiggalong i wyśmienite Tittybong.

Kiedy płaciłem rachunek, właściciel zapytał, dokąd zmierzam.

— Do Hay — odparłem, po czym wpadłem na zabawny pomysł. — Chciałbym dojechać do Hay, póki świeci słońce⁵.

Spojrzał na mnie tępym wzrokiem.

— Chciałbym dojechać do Hay, póki świeci słońce — powtórzyłem z większym naciskiem i zachęcającym uśmiechem.

Po chwili uświadomiłem sobie, że tępy wyraz twarzy jest permanentną miną tego człowieka.

— O, na pewno pan zdąży — powiedział w końcu, po dłuższej chwili wyteżonego namysłu. — Jeszcze przez kilka godzin będzie jasno.

Hay to gorąca i pylista, ale zaskakująco sympatyczna miejscowość niedaleko Sturt Highway, za starym mostem łączącym brzegi mulistej rzeki Murrumbidgee. W motelu położyłem torbę na podłodze i odruchowo włączyłem telewizor. Znowu krykiet. Usiadłem na łóżku i przez kilka minut oglądałem mecz z nietypowym dla siebie zaangażowaniem. Nie muszę chyba dodawać, że na boisku niewiele się działo. Sędzia w białej kurtce gonił za kartką papieru porwaną przez wiatr, a kilku zawodników oglądało grunt wokół słupków, ewidentnie czegoś szukając. Nie wiem czego, ale jeden z komentatorów powiedział, że Anglia właśnie odstrzeliła bramkę, więc pewnie szukali słupka. Po jakimś czasie patykowaty młodzieniec, który wycierał piłkę o spodnie, jakby zamierzał ją zjeść, zaczął biec kangurzymi skokami. W końcu rzucił piłkę w stronę odległego pałkarza, który nonszalancko uniósł pałkę o kilka centymetrów i odbił piłkę. Ruchy te skrupulatnie powtórzono trzy razy, po czym komentator powiedział:

— Na tym kończymy serię czterysta pięćdziesiątą drugą i przed przerwą na popołudniową drzemkę Anglia zwiększyła swój wynik do siedemnastu. Mają zatem całkiem dużo do zrobienia, jeśli chcą dogonić Australię przed czwartą przekąską.

Poszedłem na spacer po płycie grzewczej, jaką jest śródlądowa Nowa Południowa Walia latem. Upał trudno opisać. Każdy liść zwisał bezwładnie jak wywieszony jęzor psa. Przeszedłem obiema stronami Lachlan Street, głównej ulicy, a potem oddaliłem się trochę od miasteczka, żeby popodziwiać zachód słońca — w buszu zawsze spokojny, złocisty i majestatyczny — z nadzieją, że nareszcie zobaczę kangury, malowniczo wskakujące w kadr. W Australii jest dzisiaj więcej kangurów niż przed przybyciem Europejczyków, ponieważ zmiany na wsi — na przykład wysiew traw i tworzenie stawów — przysłużyły się tym torbaczom nie mniej niż owcom i krowom. Nie wiadomo dokładnie, ile ich jest, ale szacuje się, że ponad sto milionów, czyli niewiele mniej niż owiec. Ale czy uda mi się zobaczyć chociaż jednego? Mrzonki.

Wróciłem więc do miasteczka i spędziłem wieczór w typowym dla mnie wyrafinowanym stylu: koktajl chmielowy w prawie pustym pubie, stek w sąsiedniej restauracji i kolejny spacer na skraj miasteczka, aby spróbować zobaczyć — bez powodzenia — kangury w świetle księżyca. Koło wpół do dziesiątej byłem z powrotem w swoim pokoju. Włączyłem telewizor i stwierdziłem, że gra trwa nadal, co mi zaimponowało. Trzeba oddać krykieciom sprawiedliwość: robota nie jest może zbyt ciężka, ale dzień pracy trwa bardzo długo. Mężczyzna w białej kurtce nadal gonił za kartką papieru, ale nie umiem powiedzieć, czy za tą samą. Anglia, poinformował komentator, zgubiła kolejne trzy słupki, co świadczyło o karygodnym roztargnieniu. Pomyślałem, że w tym tempie niedługo stracą cały sprzęt i będą zmuszeni ogłosić fajerant.

A może właśnie na to liczą, uznałem, wyłączając telewizor.

Rano zjadłem duże śniadanie, żeby się wzmocnić przed kolejnym długim dniem za kierownicą. Śniadanie jest oczywiście najbardziej barbarzyńskim wydarzeniem w cywilizacji zachodniej (jeśli ktoś się ze mną nie zgadza, niech przytoczy mi jakąś inną okoliczność, w której z chęcią pożera się zarodki) i Australijczycy brylują w tej dziedzinie. W dużym stopniu wynika to z mistrzowskiego opanowania sztuki przygotowywania bekonu. W odróżnieniu od zawiniętych języków butów, które

spożywa się w Wielkiej Brytanii, i nużąco chrupkich, zglajchsztalowanych plastrów, które konsumujemy w Ameryce, australijski boczek cechuje szczerą i dziarską mięsistość, prostolinijna autentyczność, która każe sądzić, że bekon wykrojono ze świni próbującej uciekać. Przy każdym gryzie słyszy się kwik zarzylanego zwierzęcia. Pyszne! A chleb tostowy grubo kroją. Krótko mówiąc, Australijczycy nie uznają śniadaniowych półśrodków.

Na rzadko uczęszczaną drogę wróciłem zatem, pełen zadowolenia i cholesterolu. Za Hay krajobraz wydawał mi się jeszcze bardziej płaski, brązowy, pusty i monotony. Monumentalną australijską pustkę niełatwo opisać. Jest to zdecydowanie najrzadziej zaludniony kraj na świecie. W Wielkiej Brytanii średnia gęstość zaludnienia wynosi 244,8 mieszkańca na kilometr kwadratowy, we Francji 109,1, a w Stanach Zjednoczonych 29,8 (absolutny rekord, 28 748, należy do Makao, kraju, w którym chyba nikt nie może się skarżyć na samotność). W Australii wartość ta wynosi zaledwie 2,5 osoby na kilometr kwadratowy. Nawet ta mizerna liczba nie daje jednak prawdziwego obrazu sytuacji, ponieważ Australijczycy mieszkają w kilku aglomeracjach na wybrzeżu, a resztę kraju zostawiają w spokoju. Współczynnik urbanizacji wynosi 86 procent, czyli jest mniej więcej taki jak w Holandii i niewiele niższy niż w Hongkongu. Gdyby poza miastami udało się komuś znaleźć dwa i pół człowieka na jednym kilometrze kwadratowym, byłby to zjazd rodzinny albo spotkanie sekty Aum Shinrikyo.

Od czasu do czasu przejeżdżałem przez zarośla *Eucalyptus curtisii*, krzewów na tyle wysokich i gęstych, aby skutecznie zasłonić widok, a z rzadka widziałem na horyzoncie po prawej intensywnie zieloną linię — uznałem, że jest to nawadniana strefa nad rzeką Murrumbidgee. Poza tym miałem wokół siebie pustkę — nic, oprócz twardej ziemi, z której z najwyższym trudem wyrastało trochę trawy i kilka kolczastych akacji albo rachitycznych eukaliptusów.

Nie zawsze tak było. Chociaż wewnątrz Australii nigdy nie rozkwitało soczystą zielenią, na znacznej części ziem zdarzały się okresy — czasem kilkuletnie, czasem kilkudziesięcioletnie — relatywnej bujności, roślinność zaś była na tyle odporna, że potrafiła się odrodzić po suszach. Aż w 1859 roku niejaki Thomas Austin,

właściciel ziemski z Winchelsea w stanie Wiktorii — kawałek na południe od miejsca, w którym teraz się znajdowałem — popełnił wielki błąd, sprowadzając z Anglii 24 dzikie króliki i puszczając je wolno, żeby móc sobie do nich postrzelać. Nie odkryję Ameryki, jeśli powiem, że króliki rozmnażają się w błyskawicznym tempie. Po paru latach całkowicie zawładnęły posesją Austina i zaczęły rozprzestrzeniać się na sąsiednie okręgi. Po 50 milionach lat całkowitej izolacji Australia stała się bez jednego drapieżnika lub pasożyta, który potrafiłby rozpoznać królika, nie mówiąc już o zjedzeniu go, toteż powiedzieć, że w Australii króliki mnożyły się jak króliki, to nic nie powiedzieć.

Ich apetyt był praktycznie nienasycony. Przez 20 lat wyczyściły do cna łącznie dwa miliony hektarów ziemi w Wiktorii, po czym, w tempie ponad stu kilometrów rocznie, zaczęły się przesuwac na południe i do Nowej Południowej Walii. Przed ich przybyciem terytorium, które teraz przecinałem, porastały bujne zagajniki *Eremophila*, krzewu, który osiągał dwa metry wysokości i przez większość roku był okryty kwieciami. Jak zaświadcza większość kronikarzy, była to zachwycająca roślina, a jej liście były wprost uwielbiane przez wszystkie stworzenia skubiąco-pogryzające. Króliki spadły na *Eremophila* jak szarańcza i pożarły wszystko — liście, kwiaty, korę, łodygi — aż do ostatniego krzewu. Te niewinnie wyglądające zwierzaki jadły tak dużo, że trzeba było powiększyć powierzchnię pastwisk dla owiec i zdywersyfikować ich dietę, wyniszczając przy okazji jeszcze większe obszary. Kiedy zyskowność hodowli owiec spadła, farmerzy rekompensowali to sobie zwiększeniem pogłównia, co pogłębiło ogólną dewastację.

Problem już i tak był poważny, ale w ostatniej dekadzie XIX wieku, po 40 wyjątkowo mokrych latach, przyszła zabójcza, dziesięcioletnia susza, najgorsza w dziejach Australii. Ziemia pękała i zamieniała się w pył. Wierzchnią warstwę gleby, już wcześniej najcieńszą na świecie, porwał wiatr i nigdy nie została ona uzupełniona. Zdechło 35 milionów owiec (połowa całkowitego pogłównia), z tego 16 milionów w samym 1902 roku.

Tymczasem króliki kicały sobie w najlepsze. Zanim nauka znalazła rozwiązanie, minęło prawie stulecie, odkąd Thomas Austin wypuścił z worka 24 gryzonie.

Bronią, której użyto przeciwko nim, była choroba zwana *myxomatosis*, wywoływana przez pochodzący z Ameryki Południowej wirus *Leporipoxvirus*. Nieszkodliwy dla ludzi i innych zwierząt, na króliki działa piorunująco, osiągając fenomenalny współczynnik śmiertelności 99,9 procent. Prawie natychmiast w Australii zaroilo się od ciężko chorych, targanych konwulsjami królików, a potem dziesiątków milionów zwłok. Chociaż przeżył tylko jeden królik na tysiąc, te, które nie uległy wirusowi *myxomatosis*, uodporniły się na niego i przekazały gen tej odporności swojemu potomstwu. Trochę to trwało, ale populacja królików wróciła do poziomu 300 milionów i szybko rośnie.

Zresztą szkody dla środowiska i tak w większości były nieodwracalne. A wszystko po to, żeby jakiś kretyn miał sobie do czego postrzelać z werandy.

W Australii człowiek zaskakująco szybko wpada w pustkowia, ale jednocześnie z nie mniejszą gwałtownością z niego wypada. Tego popołudnia, niedługo po wjeździe do Australii Południowej, znalazłem się pośród pagórków porośniętych gajami pomarańczowymi. Widok ten zdziwił mnie tak bardzo, że się zatrzymałem i wysiadłem. Za plecami miałem suche jak pieprz pustkowia, coś w rodzaju naciągniętej juty z rzadkimi kępami skrubu, a z przodu, aż po horyzont, biblijną ziemię obiecaną — gaje cytrusowe, winnice, uprawy we wszystkich odcieniach zieleni. Im dłużej jechałem, tym bardziej proporcje między cytrusami a winoroślą zmieniały się na korzyść tej drugiej. Kiedy już miałem wokół siebie wyłącznie winnice, uświadomiłem sobie, że zbliżam się do doliny Barossa, przepięknego śródziemnomorskiego zakątka Australii Południowej, z falującymi wzgórzami obfitującymi w zieleń.

Tereny te zasiedlili przede wszystkim rolnicy niemieccy, którzy zbudowali tutaj podwaliny australijskiego winiarstwa. Dzisiaj Australijczycy należą do największych koneserów wina na świecie, ale jest to zjawisko stosunkowo nowe. Często opowiada się anegdotę o znanym brytyjskim ekspercie od wina Lenie Evansie, który w latach pięćdziesiątych zamówił kieliszek wina w hotelu na australijskiej prowincji. Hotelarz spojrział na niego podejrzliwie i powiedział:

— Kto pan jest, pedał jakiś czy co?

Nawet gatunki, z których słynie Barossa — chardonnay, cabernet sauvignon i shiraz — produkuje się tutaj od niedawna. Jeszcze w latach osiemdziesiątych państwo płaciło winiarzom za wykopywanie szczepu shiraz i produkcję obrzydliwie słodkich rieslingów. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego zamożniejszych turystów tak bardzo pociągają obszary uprawy winorośli. O ile mi wiadomo, nie próbują obejrzeć bawełny, zanim trafi do spodni firmy Gap, ani nie domagają się demonstracji z podkradania ikry jesiotrom, ale jeśli zawieźć ich w miejsce, gdzie pnie się winorośl, mają takie miny, jakby trafili do nieba. Z drugiej strony — dolina Barossa jest naprawdę urocza, zwłaszcza po dwóch długich dniach jazdy Sturt Highway.

Zatrzymałem się na noc w Tanundzie, ładnym miasteczku turystycznym, skoncentrowanym głównie przy bardzo długiej ulicy, przyjemnie ocienionej drzewami. Wiedząc o popularności i germańskich korzeniach Tanundy, obawiałem się nadmiernej eksploatacji tego wątku, ale jeśli nie liczyć kilku restauracji z „Haus” w nazwie i paru wzmianek o „Wurst” w witrynach sklepowych, prób wykorzystywania teutońskiego dziedzictwa na szczęście nie podejmowano. Zbliżał się Dzień Australii i do Tanundy przyjechały tłumy ludzi mających zamiar spędzić tutaj długi weekend.

Znalazłem pokój — nie bez trudności — i przed kolacją wybrałem się na przechadzkę główną ulicą. Kręciło się tam mnóstwo ludzi takich jak ja, którzy usiłowali wypełnić czymś martwą godzinę między zamknięciem sklepów a porą, kiedy bez naruszenia zasad savoir-vivre’u można już wypić pierwszego drinka. Spacerowałem pośród nich szczęśliwy, że wróciłem na łono cywilizacji — a przede wszystkim, że mogę podsłuchiwać rozmowy, które nie dotyczą kąpieli dezynfekcyjnych owiec, kapryśnych maszyn rolniczych, nowych studni albo karczunku ziemi. Treść dobiegających mnie rozmów wyraźnie wskazywała, że trafiłem do Yuppieville. Większość przechodniów oddawała się ulubionej mieszczańskiej rozrywce, czyli rozpoznawaniu na witrynach sklepowych przedmiotów podobnych do posiadanych przez ich znajomych lub członków

rodziny. Na każdym kroku słyszałem teksty typu: „Patrz, Sarah ma dokładnie taką samą miskę” albo „Twoja matka miała kiedyś taki serwis do herbaty. Ciekawe, co się z nim stało. Nie dała go przypadkiem Samancie?”. Niektóre małżeństwa uprawiały bardziej agresywną wersję tej gry, z takimi zaangażowanymi emocjonalnie komentarzami, jak: „Nie, ten, który rozbiłeś, był dużo ładniejszy”, „Na litość boską, ile par kolczyków z perłami ci potrzeba?” albo „Jeśli dała go Samancie, to będę ciężko wkurzona, bo obiecała go mnie. Musisz z nią porozmawiać”. Zgadywałem, że ci turyści mieli za sobą najdalszą drogę i najbardziej potrzebowali się napić. Albo po prostu byli najbardziej wredni.

Podobało mi się w Tanundzie i spędziłem tam naprawdę przyjemny wieczór, ale ponieważ doświadczenie to nie miało w sobie niczego godnego uwagi, opowiem wam za to krótką historię o uroczej kobiecie nazwiskiem Catherine Veitch.

Catherine Veitch była moją najstarszą znajomą w Australii, i to w dwóch znaczeniach tego słowa: była pierwszą poznaną przeze mnie Australijką, a do tego osobą wiekową. Spotkałem ją na festiwalu literackim w Melbourne w 1992 roku, choć w tej chwili nie pamiętam już przyczyny, z jakiej podeszła do mnie tuż po moim wystąpieniu. Prawdopodobnie uczyniła to albo po to, by zasygnalizować jakiś błąd gramatyczny, który popełniłem w jednej z moich książek — była osobą o zacięciu akademickim i perfekcjonistką — albo żeby oświecić mnie w kwestii jakiegoś aspektu australijskiego życia, który nieopatrznie pozwoliłem sobie skomentować podczas sesji pytań i odpowiedzi. W każdym razie skończyło się na tym, że wypiliśmy herbatę w kafeterii, a następnego dnia pojechałem tramwajem do jej domu w St Kilda na obiad i poznałem większość jej rodziny. Jej dzieci, których miała dużą, ale bliżej nieokreśloną liczbę, były dorosłe i już z nią nie mieszkały, ale większość z nich zajrzała do matki tego popołudnia, aby pożyczyć jakieś narzędzie, sprawdzić, czy nie ma dla nich jakichś wiadomości albo pogrzebać w lodówce. Była to rodzina, w której sam chętnie bym się wychowywał — szczęśliwa, ciepła, trochę bałaganiarska, z rozmowami typu: „A patrzyłeś w szafie koło schodów?”. Bardzo polubiłem Catherine, miłą, dowcipną, troskliwą i bezpośrednią kobietę.

Nawiązała się między nami wielka przyjaźń, aczkolwiek miała ona prawie wyłącznie korespondencyjny charakter. Catherine nigdy nie była w Ameryce, a ja jeździłem do Australii najwyżej raz do roku i nie zawsze do Melbourne. Trzy, cztery razy w roku przysyłała mi jednak długie, cudownie wyczerpujące listy wystukane na rozklekotanej i kapryśnej maszynie do pisania. Ich lektura rzadko zajmowała mniej niż godzinę. Jedna strona obejmowała całą galaktykę tematów — dzieciństwo w Adelaide, słabości niektórych polityków (a dokładnie większości polityków), brak pewności siebie Australijczyków, co porabiają dzieci. Z reguły dołączała plik wycinków z „The Age”, gazety codziennej z Melbourne. Wiele z tego, co wiem o Australii, zawdzięczam właśnie Catherine.

Uwielbiałem te listy. Samo przyjście koperty z tak daleka miało dla mnie posmak niezwykłości, a poza tym Catherine opisywała wydarzenia i doświadczenia, które dla niej były zwyczajne, a dla mnie fascynująco egzotyczne: wyprawa tramwajem do centrum, fala upałów w grudniu, wykład w Royal Melbourne Institute, zakup zasłon w wielkim domu handlowym David Jones. Nie umiem tego wytłumaczyć, ale chciałem mieć to wszystko w życiu, nie wyrzekając się własnego. Listy Catherine utrwaliły moją fiksację na punkcie Australii.

Zawsze były radosne, ale ostatni szczególnie wyróżniał się pod tym względem. Catherine i jej mąż John planowali sprzedać dom w St Kilda i przenieść się na półwysep Mornington, na południe od Melbourne, aby spędzić emeryturę nad morzem, o czym od lat marzyli. Niedługo po wysłaniu tego listu Catherine zmarła na zawał serca. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, na pewno odwiedziłbym ją podczas tej podróży, a tak mogę tylko zaproponować moją ulubioną z licznych historii, które mi opowiedziała.

W latach pięćdziesiątych znajoma Catherine wprowadziła się z rodziną do domu stojącego obok pustej działki. Pewnego dnia przyjechali budowlańcy, żeby postawić na tej działce dom. Znajoma Catherine miała trzyletnią córeczkę, która z naturalną dziecięcą ciekawością bardzo zainteresowała się całą tą krzątaniem za miedzą. Kręciła się koło placu budowy i w końcu pracownicy zrobili z niej swego rodzaju maskotkę. Rozmawiali z nią, dawali jej drobne zlecenia i pod koniec

tygodnia wręczyli jej kopertę z zapłatą w wysokości pół korony.

Z dumą zanosła zarobek matce, która wyraziła swój zachwyt i podziw, a następnie zaproponowała, żeby następnego dnia pójść z pieniążkiem do banku i wpłacić go na konto. Kasjer również był pod wrażeniem i zapytał dziewczynkę, jak jej się udało zarobić taką sumę.

— Budowałam w tym tygodniu dom — odparła z dumą.

— Jejku! — zakrzyknął kasjer. — A czy w przyszłym tygodniu też będziesz budowała dom?

— Tak, jeśli w końcu przywiozą te zasrane cegły.

Rozdział ósmy

Mieszkańcy Australii Południowej są dumni z faktu, że ich stan jako jedyny nigdy nie przyjmował skazańców. Rzadziej wspominają, że został wymyślony przez osobę należącą do tej kategorii. Na początku lat trzydziestych XIX wieku Edward Gibbon Wakefield, rentier o nieapetycznych skłonnościach, siedział w londyńskim więzieniu Newgate za uprowadzenie dziewczynki w zdrożnych celach. Za kratami przyszedł mu do głowy pomysł, aby założyć w Australii kolonię wolnych ludzi. Plan polegał na tym, aby sprzedawać ziemię pracowitym, praworządnym obywatelom — rolnikom i kapitalistom — a za pozyskane w ten sposób środki sprowadzać wyrobników, którzy by dla nich pracowali. Wyrobnicy mieliby godziwą pracę, a inwestorzy siłę roboczą i rynek zbytu. Wszyscy by na tym skorzystali. Koncepcja ta nie sprawdziła się za dobrze w praktyce, ale doprowadziła do powstania nowej kolonii, Australii Południowej, i pięknego nowego miasta Adelaide.

Canberra jest parkiem, Adelaide zaś ma dużo parków, a to wielka różnica. W Canberze czujesz się tak, jakbyś był w wielkiej zielonej przestrzeni, z której trudno znaleźć wyjście, w Adelaide natomiast niezaprzeczalnie znajdujesz się w mieście, ale masz też przyjemną możliwość opuszczenia go na chwilę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza w otoczeniu zieleni. Rzeka Torrens rozdziela miasto na dwie odrębne części, obie otoczone parkami. Na mapie Adelaide przypomina pękatą, trochę nieregularną ósemkę — zieleń tworzy samą cyfrę, a dwie strefy miejskie ją wypełniają. Genialne.

Nie miałem sprecyzowanego programu zwiedzania, ale następnego dnia przed południem, po podróży z Tanundy, wjechałem w północne dzielnice Adelaide, czyli urodziwą i zamożną górną część ósemki, zauważyłem sympatyczny hotel i depnąłem po hamulcu. Byłem na O'Connell Street, w dzielnicy dobrze zachowanych starych budynków z mnóstwem modnych restauracji, pubów i kawiarni. Po Canberze nie miałem zamiaru przepuścić takiego kawałka

wielkomijskiego raj, toteż wynajętem pokój i bez chwili zwłoki wróciłem na ulicę.

Adelaide to najmniej znane z wielkich miast Australii. Można spędzić w tym kraju wiele tygodni i nie dowiedzieć się o jego istnieniu, bo rzadko trafia do gazet i raczej nie pojawia się w zwykłych, codziennych rozmowach. Jest dla Australii tym, czym Australia dla reszty świata: miejscem o dobrej renomie, ale tak odległym, że się o nim zapomina. A przecież temu miastu nie sposób odmówić wielkiego uroku. Każdy wam to powie, łącznie z milionami ludzi, którzy nigdy tam nie byli.

Ja byłem raz, podczas promocji jednej z moich książek kilka miesięcy wcześniej. W pamięci zostało mi ogólne wrażenie piękna i elegancji, połączonych z osobliwie pogodnym fatalizmem mieszkańców. Jeśli powiesz do któregoś z nich, że Adelaide to niezwykle piękne miasto, odrzeknie z głęboką powagą:

— Tak, ale umierające!

— Naprawdę? — mówisz tonem uprzejmego zatroskania.

— Tak! — potwierdza twój informator, kiwając głową z ponurą satysfakcją.

Potem, jeśli pechowo trafisz, usłyszysz historię upadku Bank of South Australia, przykładu finansowej nieodpowiedzialności, która ciągnęła się latami, czyli prawie tak samo długo, jak sama relacja.

Problemy Adelaide podobno wynikają z jej położenia geograficznego. Miasto jest usytuowane na złym końcu cywilizowanej Australii, daleko od azjatyckich rynków i z jedną wielką pustką za progiem. Na północy i zachodzie rozciągają się miliony kilometrów kwadratowych spalonej słońcem pustyni, a na południu morze, aż po Antarktykę. Tylko na wschodzie są jakieś miasta, ale oddalone o spory kawał drogi: 700 kilometrów do Melbourne i prawie 1500 do Sydney. Po co ktoś miałby budować fabrykę w Adelaide, tak daleko od potencjalnych rynków zbytu? Ktoś powie, że Perth, znajdujące się 3000 kilometrów dalej nad Oceanem Indyjskim, jest jeszcze bardziej odizolowane, a mimo to tamtejsza gospodarka kwitnie. Mieszkańców Adelaide taki argument jednak nie przekona — ich miasto jest nieszczęśliwie położone i kropka.

Tymczasem postronnemu obserwatorowi Adelaide wydaje się równie zamożna jak inne metropolie australijskie, a może nawet bardziej. Centrum jest nie mniej atrakcyjne i co najmniej tak samo zatłoczone jak w Sydney i Melbourne, a puby, restauracje i kawiarnie pękają w szwach. Adelaide może się poszczycić wieloma wiktoriańskimi budynkami, obfitością parków i urodziwych placów, a rozmaite oryginalne akcenty — tu kunsztownie zdobiona latarnia, tam kamienny lew — dodają miastu szlachetnej godności, z której Melbourne i Sydney w wielu miejscach zrezygnowały na rzecz tandetnego blichtru drapaczy chmur. Adelaide przypomina urbanistyczną wersję klubu dla dżentelmenów: wygodna, staroświecka, powściągliwie dostojna, trochę senna koło trzeciej, odrobinę trącająca inną epoką.

Idąc w dół ulicą i mijając po drodze Pennington Gardens, stopniowo sobie uświadomiłem, że podobny do rzeki tłum pieszych zmierza właściwie tylko w jednym kierunku. Tysiące osób wybierały się na znajdujący się w parku owalny stadion. Zapytałem dwóch młodych ludzi, co się dzieje, i usłyszałem, że Anglia i Australia grają w krykieta.

— Co? Tutaj? W Adelaide? Dzisiaj? — wyrzuciłem z siebie osłupiały.

Spojrzał na mnie z całym politowaniem, na jakie zasługiwały moje pytania.

— No chyba że trzydzieści tysięcy ludzi cholernie się pomyliło — odparł ironicznym tonem i uśmiechnął się dla pokazania, że nie ma wobec mnie agresywnych zamiarów.

Widać było, że on i jego kumpel zatrzymali się gdzieś po drodze, aby zatankować parę galonów paliwa.

— Nie wiecie, czy zostały jeszcze jakieś wolne miejsca? — zapytałem.

— Niestety, stary, wszystko wysprzedane. Sorry.

Skinąłem głową i odprowadziłem ich wzrokiem. Oto kolejna cecha charakteru Australijczyków, którą odziedziczyli po Brytyjczykach: przepraszają za rzeczy, za które nie ponoszą winy.

Ulicą North Terrace, głównym deptakiem Adelaide, dotarłem do Muzeum

Południowej Australii, okazałego gmachu ze zbiorami przyrodniczymi i antropologicznymi. Chciałem sprawdzić, czy wystawiają skamieniałość zwaną *Spriggina*, nazwaną tak na cześć niezbyt znanego, lecz bliskiego memu sercu bohatera Reginalda Sprigga. W 1946 roku Sprigg, w tamtym czasie młody geolog pracujący w urzędzie państwowym, kręcił się po upalnych i mało gościnnych wzgórzach Edikary w Górach Flindersa, około 500 kilometrów na północ od Adelaide, i dokonał jednego z tych nieprawdopodobnych odkryć, w które obfituje historia Australii. W jednym z wcześniejszych rozdziałów opowiedziałem o przypadku dawno zaginionej pramrówki *Nothomyrmecia macrops*, niespodziewanie znalezionej na pustkowiu. Znajezisko Sprigga należy do zbliżonej kategorii i jest równie niezwykle.

Wielka chwila nadeszła w porze lunchu. Młody geolog wspiął się akurat po skalnej ostrodze, aby znaleźć trochę cienia i wygodne miejsce na oparcie dla pleców. Jedząc kanapki, odwrócił butem kawałek piaskowca. Sprigg nie sporządził fabularnej relacji z tego wydarzenia, ale możemy z dużą dozą pewności założyć, że na dłuższą chwilę przestał poruszać ustami, które pozostały lekko rozchylone, i gapił się na to, co przed sekundą odwrócił, a następnie podszedł bliżej, żeby przyrzeć się temu dokładniej. Znalazł bowiem coś, co w powszechnym mniemaniu nie istniało.

Od prawie stulecia, czyli od czasów Charlesa Darwina, naukowcy zachodzili w głowę nad pewną osobliwą ewolucyjną anomalią: 600 milionów lat temu nagle pojawiły się na ziemi złożone i nieprawdopodobnie zróżnicowane formy życia (słynna eksplozja kambryjska), nie było natomiast żadnych śladów wcześniejszych, prostszych form, których istnienie powinno było poprzedzić to rewolucyjne wydarzenie. Sprigg znalazł właśnie brakujące ogniwo, kawałek skały opływający w delikatne prekambryjskie formy. Miał przed oczyma początki makroskopowego życia — coś, czego nikt wcześniej nie widział i nie spodziewał się zobaczyć. Był to kamień milowy w historii geologii. Gdyby Sprigg usiadł w dowolnym innym miejscu gigantycznego australijskiego *outbacku*, odkrycie to nie zostałoby dokonane — na pewno nie wtedy, a być może nigdy.

Tak to już jest z Australią: roi się tam od niezwykłych rzeczy, ale potrzeba mnóstwo szczęścia, żeby je znaleźć w tak gigantycznym, pustym i niegościnnym kraju.

Niestety w 1946 roku światowe środowiska naukowe nie zwracały większej uwagi na wiadomości docierające z Australii i znaczenie odkrycia Sprigga, dokładnie opisanego na łamach „Transactions of the Royal Society of South Australia”, doceniono dopiero 20 lat później. Ale mniejsza o to. W końcu zasługi Sprigga zostały uznane: unieśmiertelniono go w nazwie skamieniałości, a odkryty przez niego okres geologiczny nazwano ediakaryjskim od wzgórz, po których łązikował.

Muzeum niestety było zamknięte, zapewne z powodu święta narodowego, toteż prysły moje nadzieje na zobaczenie początków życia. Spacerując zacienionymi bocznymi uliczkami, trafiłem jednak na otwarty antykwariat i z radością potraktowałem to jako nagrodę pocieszenia. Przypuszczalnie dlatego, że nowe książki są w Australii bardzo drogie, można w tym kraju znaleźć mnóstwo świetnych antykwariatów. Zawsze można w nich znaleźć dział „Australiana”, który dobitnie pokazuje, do jakiego stopnia Australijczycy są zaabsorbowani sobą. Nie mówię tego w sensie krytycznym. Skoro reszta świata nie zwraca na nich uwagi, to ktoś musi to robić, prawda? Wymaga tego elementarna sprawiedliwość. Książki z tego działu miewają przedziwne tytuły. Oto dwa pierwsze z brzegu przykłady: *Tam poznałem moją żonę: historia pierwszego basenu w stolicy kraju Canberze* i *W jedności siła: historia uniwersyteckiego klubu piłkarskiego w Sydney*. Była też historia pogotowia ratunkowego w stanie Australia Południowa. Mógłbym wymienić setki takich tytułów: książek o rzeczach, które mogą zainteresować najwyżej garstkę ludzi. Fakt, że takie książki istnieją, jest zachęcający, ale jednocześnie trochę niepokojący.

Z drugiej strony wyniuchałem na tych półkach kilka prawdziwych skarbów, na przykład bogato ilustrowaną fotografiami historię Surfers Paradise, słynnej miejscowości plażowej w Queenslandzie. Album ten wpadł mi w oko, ponieważ wkrótce wybierałem się do rajy surferów. Historia tego kurortu zaczęła się w latach

dwudziestych XX wieku, gdy był on jedynie zapyziałą i zapadłą wioską. 50 lat później wioska ta zyskała nagle rangę swoistego Miami Beach półkuli południowej. Najbardziej zafascynowały mnie zdjęcia z fazy pośredniej, czyli lat czterdziestych i pięćdziesiątych, kiedy miejscowość ta z ducha i wyglądu bardziej przypominała Coney Island czy Blackpool. Nostalgia za miejscem, którego się nie znało, może zaskakiwać, ale tak właśnie było ze mną w kontekście Surfers Paradise i tamtejszych urlopowiczów. Zauroczony oglądałem czarno-białe fotografie przedstawiające szczęśliwych ludzi pochłoniętych różnymi rozrywkami: spacerowali grupkami po Esplanade, gibali się w tancbudach, sączyli drinki, przesiadując w barach na plaży. Jakże im zazdrościłem odjazdowych ciuchów! Zdaję sobie sprawę, że prawdopodobnie należę w tej kwestii do zdecydowanej mniejszości, ale bardzo chciałbym żyć w epoce, w której mógłbym paradować w dwukolorowych butach, czerwonych skarpetkach, bawełnianej koszuli z pstrokatymi motywami (na przykład naklejek na walizki), workowatych brązowych spodniach podciągniętych aż po sutki i w filcowym kapeluszu na głowie, a ludzie odwracaliby się za mną i mówili: „Ten facet to ma styl!”.

Świat z tamtych czasów miał w sobie jakąś cudowną niewinność, która już na zawsze gdzieś się zatraciła. Można ją dostrzec w swobodnym, pewnym siebie kroku i rozświetlonych uśmiechach urlopowiczów: ci ludzie byli szczęśliwi. Nie zadowoleni, tylko naprawdę szczęśliwi. Żyli w pomyślnych czasach, w pobłogosławionym przez niebiosa kraju, i o tym wiedzieli. Mieli dobrą pracę, dobre domy, dobre rodziny, dobre perspektywy życiowe, dobre wakacje w sympatycznych, słonecznych miejscowościach. Absolutnie nie sugeruję, że dzisiaj Australijczycy nie są szczęśliwi, wręcz przeciwnie, ale tego szczęścia nie widać już na ich twarzach. I w ogóle na niczyich twarzach.

Trzeba jednak przypomnieć, że była to również epoka niezwyklej pruderii. W latach pięćdziesiątych w Australii panowały przypuszczalnie najbardziej ascetyczne obyczaje w całym świecie anglojęzycznym. Kraj znajdował się bowiem tak daleko od wszystkiego, że władze nie wiedziały, co jest dopuszczalne, i na wszelki wypadek na nic nie pozwalały. Na jednym ze zdjęć w albumie o Surfers

Paradise widać sklep z pamiątkami, z wielką tablicą reklamową na dachu. Była to słynna reklama kremu do opalania Coppertone, na której psotny piesek ściąga małej dziewczynce kostium kąpielowy, odsłaniając kawałek pupy. W Surfers Paradise ktoś wszedł na drabinę z kubelkiem farby i domalował dziewczynce majteczki (przecież nie można dopuścić do tego, żeby ludzie się onanizowali na Esplanade!).

Cenzurowano nie tylko reklamy kremów do opalania, ale także filmy, sztuki teatralne, czasopisma i niewiarygodną liczbę książek. W australijskich antykwariatach nie znajdziemy na przykład pochodzących z lat pięćdziesiątych lub wcześniejszych wydań takich lektur, jak: *Buszujący w zbożu*, *Pożegnanie z bronią*, *Folwark zwierzęcy*, *Miasteczko Peyton Place*, *Inny kraj*, *Nowy, wspaniały świat* i setki innych. Powód jest prosty: znajdowały się na indeksie. W szczytowym okresie jego funkcjonowania do Australii nie wolno było sprowadzać pięciu tysięcy tytułów. W latach pięćdziesiątych liczba ta spadła do kilkuset, ale nadal zawierała zdumiewające pozycje, na przykład *Poród bez bólu* — zbyt dosłowne informacje o tym, którędy wychodzą dzieci, mogłyby się bowiem okazać nazbyt szokujące dla australijskiej wrażliwości. Wspomniana liczba nie obejmuje oczywiście książek zbereźnych, podlegających osobnemu, bardziej surowemu zakazowi. I jeszcze jedno: Australijczycy nie tylko nie mogli kupić pewnych książek, ale też nie wiedzieli, których lektur nie wolno im czytać, ponieważ lista była tajna.

Co ciekawe, kres temu wszystkiemu położyła Adelaide. Przez wiele dziesięcioleci było to jedno z najbardziej reakcjonistycznych miast australijskich. Winę za to w dużym stopniu ponosił sir Thomas Playford, premier Australii Południowej w latach 1938-1965. Playford był człowiekiem tak zaściankowym, że podczas kryzysu zbożowego zasugerował możliwość „importu pszenicy z Australii”, a przy innej okazji powiedział do wicerektora Uniwersytetu Adelaide, że nie rozumie, do czego są potrzebne uniwersytety. Jak można sobie wyobrazić, Playford nieszczególnie stymulował życie umysłowe w swoim stanie. W 1967 roku Australia Południowa wybrała na premiera młodego, charyzmatycznego laburzystę Dona Dunstana i z dnia na dzień Adelaide oraz cały stan radykalnie się zmieniły.

Do miasta zaczęli przyjeżdżać artyści i intelektualiści. Adelaide Festival urósł do rangi najważniejszego australijskiego wydarzenia kulturalnego. Książki nadal zakazane w innych regionach Australii — na przykład *Kompleks Portnoya* i *Nagi lunch* — w Adelaide można było kupić bez problemu, zezwolono na otwieranie plaż dla naturystów i zalegalizowano homoseksualizm. Przez jedną upojną dekadę Adelaide była najbardziej hipisowskim miastem w kraju, San Francisco antypodów.

W 1979 roku Dunstan owdowiał i wycofał się z polityki. Adelaide wytraciła impet i zaczęła powoli popadać w marazm. Artyści i intelektualiści zniknęli. Sam Dunstan przeprowadził się do Wiktorii. Za Playforda Australia Południowa była zacofana, ale interesująca, a za Dunstana kipiała energią. Prawdziwy problem z Adelaide polega dzisiaj na tym, że przestała być ciekawa.

Nie zmienia to jednak faktu, że bardzo przyjemnie jest przespacerować się po tym mieście w letni dzień. Kupiłem w antykwariacie dwie książki — *Australian Paradox*, która miała fajną okładkę i jeszcze fajniejszą cenę: dwa dolary, oraz nowszą pozycję zatytułowaną *Crocodile Attack in Australia*, prawie dziesięć razy droższą, ale za to zawierającą mnóstwo makabrycznych anegdot — a potem łąziłem po rozległych śródmiejskich parkach.

W centrum Adelaide jest ponad 700 hektarów terenów zielonych, mniej niż w Canberze, ale dużo więcej niż w większości miast podobnych rozmiarów. Odzwierciedlają one częste w dawnej Australii dążenie do odtworzenia na antypodach znajomej brytyjskiej scenerii. Po przyjeździe do Australii tego właśnie ludziom najbardziej brakowało. Ową tęsknotę widać doskonale we wczesnym malarstwie — oglądając obrazy, nie sposób nie zwrócić uwagi na to, jak sztuczne i jak bardzo nieaustralijskie są przedstawione na nich krajobrazy. Nawet eukaliptusy wyglądają zbyt soczyście i bujnie, zupełnie jakby artyści pragnęli nadać im bardziej angielski charakter. Australia rozczarowała pierwszych osadników. Tęsknili za angielskim powietrzem i angielskimi widokami. Kiedy budowali miasta, zakładali w nich angielskie parki z dębami, bukami, kasztanowcami i wiązami, usiłując odtworzyć w ten sposób rozmarzony bukoliczny

klimat dzieł takich architektów krajobrazu jak Humphry Repton czy Capability Brown. Chodząc po tamtejszych parkach, trudno się domyślić, że Adelaide jest najbardziej suchym miastem w najbardziej suchym stanie najbardziej suchego kraju na świecie. Tutaj wiecznie jest Sussex.

Niestety stosowane wcześniej rozwiązania wyszły już z mody w ogrodniczym świecie. Ponieważ wiele spośród zasadzonych na początku roślin dobiega kresu swego żywota, władze miejskiego przedsiębiorstwa zieleni postanowiły wypłenić przywleczone ze Starego Kontynentu gatunki i przywrócić nadrzeczny krajobraz z czasów przed przybyciem Europejczyków, zdominowany przez skrub i eukaliptusy kamaldulskie. To chwalebne, że Australijczycy są dumni z rodzimej flory, ale wspomniany projekt wydaje mi się, delikatnie mówiąc, niefortunny. Zaczniemy od tego, że Australia ma parę milionów kilometrów kwadratowych obszarów porośniętych skrubem. Trudno uznać ten ekosystem za zagrożony. Co gorsza, likwidacja tych wyjątkowo pięknych parków byłaby tragedią. Poza tym, jeśli pójdziemy dalej tym tropem i uznamy, że należy usunąć wszystko, co ma europejskie korzenie, to trzeba będzie się pozbyć większości ulic, domów i gmachów w Adelaide, a także sporej części mieszkańców. Niestety świat jest krótkowzroczny i nikt mnie nie zapytał o zdanie.

Na razie jednak parki istnieją, piękne jak zawsze, i wtedy z radością po nich spacerowałem. Korzystając z dnia wolnego od pracy, rodziny urządzały na trawie pikniki i grały w krykieta piłkami tenisowymi. Na zachodnich przedmieściach Adelaide rozciąga się wiele kilometrów świetnych plaż, więc zaskoczyło mnie, że tylu ludzi zrezygnowało z nadmorskich rozkoszy i przyjechało do centrum. Nadawało to temu świętu staroświecki klimat: tak samo obchodziliśmy 4 lipca w Iowa, kiedy byłem dzieckiem. Przyjemnie mnie zaskoczyło, że w kraju z tak rozległymi przestrzeniami ludzie tłoczyli się w celach rozrywkowych. Ale z drugiej strony może właśnie ta przytłaczająca pustka powoduje, że Australijczycy są tak bardzo towarzyscy. W parkach panował taki tłok, że czasem trudno było powiedzieć, komu kibicuje dana grupa widzów, a nawet w którym meczu bierze udział dana grupa zawodników. Kiedy piłka leciała do sąsiadów, co zdarzało się

całkiem często, jedni przepraszaali, a drudzy odrzucali ją ze zwyczajowym *No worries!*. Miałem wrażenie, że uczestniczę w jednym gigantycznym pikniku, co sprawiało mi wręcz niedorzeczną radość.

Przejście przez parki zajęło mi około trzech godzin. Ze stadionu od czasu do czasu dobiegał głośny ryk, co dowodziło, że na żywo krykiet jest mniej apatyczną dyscypliną niż w wydaniu radiowym. W końcu wyszedłem na Pennington Terrace, zabudowaną domami z niebieskiego kamienia ulicę z widokiem na stadion. Jedna rodzina przeniosła się z całym salonem na trawnik przed domem. Może przesadzam, ale naprawdę miałem podejrzenie, że wszystko przetransportowali — lampy stojące, stolik, dywan, stojak na gazety, pojemnik na węgiel. Na pewno wynieśli sofę i telewizor, przed którym się rozsiedli, by obejrzeć krykieta. Za odbiornikiem, kilkaset metrów dalej, stał Oval, więc każdej dramatycznej sytuacji oglądanej na ekranie towarzyszył ryk widowni dobiegający ze stadionu.

— Kto wygrywa? — zawołałem, przechodząc obok.

— Zakichani Angole! — odparł mężczyzna tonem zachęcającym do tego, abym podzielił jego rozczarowanie.

Poszedłem dalej, mijając wielką katedrę świętego Piotra. Ogólnie kierowałem się w stronę hotelu, zamierzając wziąć prysznic i zmienić ubranie przed wyjściem do pubu i na kolację. Poza parkowym cieniem popołudnie było nieznośnie gorące, a mnie zaczynały boleć nogi, ale nie potrafiłem się oprzeć urokowi ulic mieszkalnych północnej Adelaide. Zamożne dzielnice pogrążone były w niedzielnej błogości. Stare domy tonęły w różach i uroczynach, zadbane ogródki mogły służyć za wzór sztuki ogrodniczej.

W końcu dotarłem na Wellington Square, duży plac z nobliwym pubem, do którego wszedłem zdecydowanym krokiem. W środku było chłodno i gwarno, a mosiężno-drewniany wystrój w niczym nie przypominał ascetycznych pubów z buszu. Tutaj piło się ekskluzywne drinki, dyskutowano o portfelach inwestycyjnych. Klientów było sporo, ale większość z nich jadła, a nie piła — czy raczej jadła i piła jednocześnie. Przy prawie każdym stole ludzie siedzieli nad stekami albo rybami, a porcje były tak duże, że wystawały poza talerze. Na dużym,

rozwijanym ekranie pokazywali krykieta, ale bez dźwięku. Na ten wieczór znalazłem swój dom! Zamówiłem duże Cooper's Draught i udałem się z nim do stolika z widokiem na plac. Siedziałem tam przez dobre kilka minut i nic nie robiłem, nawet nie piłem, tylko smakowałem przyjemność siedzenia w dalekim kraju ze szklanką piwa, krykietem w telewizji i salą pełną ludzi, którzy spożywali owoce zamożnej epoki. Moje szczęście było bezgraniczne.

Po jakimś czasie przypomniałem sobie o moich nabytkach z antykwariatu i wyciągnąłem książki z torby. Najpierw otworzyłem *Australian Paradox*, relację z pobytu w Kraju Kangurów w latach 1959-1960, napisaną przez angielską dziennikarkę Jeanne MacKenzie. Bardzo mnie ciekawiło, jak dzisiejsza Australia ma się do tej sprzed 40 lat.

Otóż był to zupełnie inny świat. Australia, którą opisuje pani MacKenzie, to kraj bezgranicznego dostatku, pełnego zatrudnienia, zdrowej prężności i nieskończonego optymizmu. W latach 1959-1960 Australia była trzecim najbogatszym krajem świata — nie wiedziałem o tym — po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Szczególnie zaintrygowało mnie jednak, jak skromne były materialne przejawy tego dostatku. Z podziwem i fascynacją pani MacKenzie odnotowuje, że pod koniec lat pięćdziesiątych trzy czwarte mieszkańców Australii miały lodówkę, a prawie połowa pralkę (na większości obszarów wiejskich nie starczało prądu dla dużych urządzeń AGD, więc tej populacji nie uwzględniano w statystykach). W prawie każdym gospodarstwie domowym było „co najmniej jedno radio” — ja cię kręcę! — a „w większości domów są inne urządzenia elektryczne, takie jak odkurzacze, żelazka i czajniki elektryczne”. Wyobrażacie sobie? Życ w świecie, w którym posiadanie czajnika elektrycznego jest powodem do dumy!

Spędziłem dobrą godzinę na przeglądaniu książki, urzeczony prostotą opisywanej epoki. W 1960 roku telewizja wciąż była ekscytującą nowością (do Australii dotarła w 1956 roku, początkowo tylko do Sydney i Melbourne), a telewizja kolorowa odległym marzeniem. W niedzielę w Melbourne nie ukazywały się gazety, a puby i kina były zamknięte z mocy prawa. Do Perth

jeszcze przez wiele lat prowadziła tylko bardzo długa droga gruntowa. Liczba ludności Adelaide wynosiła połowę obecnej, a słynny festiwal dopiero raczkował. Queensland był zapadłą prowincją (to się akurat nie zmieniło). Nawet w najlepszych restauracjach kurczak Maryland i strogonow uchodziły za dania wykwintne i egzotyczne, a ostrygi podawano z keczupem. Dla większości ludzi zagraniczna kuchnia sprowadzała się do spaghetti z sosem z puszki. Żółty ser istniał w dwóch odmianach: pikantnej i łagodnej. Supermarkety były zjawiskiem nowym i fascynującym. Pięć procent absolwentów szkół średnich szło na studia — gigantyczny postęp, zważywszy na fakt, że 20 lat wcześniej było to 1,56 procent. Pod każdym względem był to inny świat.

Najbardziej jednak zafrapowało mnie w tym wszystkim nie to, że Australijczycy są dzisiaj znacznie bogatsi, ale że mają znacznie gorsze samopoczucie. Jako obserwatora z zewnątrz zawsze bardzo zaskakiwała mnie opinia, jaką mają oni o sobie samych. Australijczycy są niezwykle samokrytycznym narodem. Z gazet, telewizji i radia przebija przekonanie, że choćby w Australii było bardzo dobrze, to gdzie indziej musi być dużo lepiej. Zdumiewająco duży odsetek książek o Australii nosi poważne, pesymistyczne tytuły: *Wśród barbarzyńców*, *Pożeracze przyszłości*, *Tyrania odległości*, *Ta zmęczona brunatna ziemia*, *Zgubne konsekwencje*, *Tragiczne wybrzeże*. Nawet neutralne tytuły (pozytywnych nie ma) zawierają przedziwne, karkołomne wnioski. Pod koniec swojej historii Australii Geoffrey Blainey zauważa, że jego kraj prawie zakończył swoje pierwsze stulecie jako pokojowa federacja. A potem, ni stąd, ni zowąd konkluduje: „Czy przetrwa kolejne stulecie? Nie ma takiej pewności. Pośród historycznych burz żadna struktura polityczna nie jest wieczna”.

Kuriozalne, nie sądzicie? Można by zrozumieć, gdyby napisał tak Kanadyjczyk, Belg czy mieszkaniec RPA, ale Australijczyk? Błagam. To jest kraj, który nigdy nie zaznał poważnego konfliktu wewnętrznego, nigdy nie wsadził do więzienia dysydenta, nigdy nie wykazywał żadnych tendencji odśrodkowych. Australia jest Norwegią półkuli południowej. A tymczasem jeden z najwybitniejszych historyków tego kraju sugeruje, że jego przyszłość jako suwerennego państwa jest

daleka od zagwarantowanej. Zadziwiająca.

Jeśli Australijczykom czegoś brakuje w ich osamotnieniu na antypodach, to jest to poczucie perspektywy. Od czterech dekad obserwują z milczącą zgrozą, jak kolejne kraje — Szwajcaria, Szwecja, Japonia, Kuwejt i wiele innych — wyprzedzają ich pod względem PKB na mieszkańca. Kiedy w 1996 roku dotarła do nich wiadomość, że Hongkong i Singapur wysforowały się do przodu, komentarze prasowe były utrzymane w takim tonie, jakby azjatyckie armie wylądowały w okolicach Darwin i maszerowały przez kraj, konfiskując po drodze dobra trwałe. Ani słowa o tym, że różnice były niewielkie i w dużym stopniu wynikały ze zmian kursów wymiany walut. Ani słowa o tym, że jeśli uwzględnić takie wskaźniki jakości życia, jak koszty utrzymania, wykształcenie ludności, poziom przestępczości i tak dalej, Australia nadal lokuje się w ścisłej czołówce (zgodnie z oenzetowskim wskaźnikiem rozwoju społecznego Australia zajmuje na świecie siódme miejsce, plasując się tuż za Kanadą, Szwecją, Stanami Zjednoczonymi i trzema innymi krajami, ale wyraźnie przed Niemcami, Szwajcarią, Austrią, Włochami i wieloma innymi krajami z silnymi gospodarkami i wyższym PKB). W czasie mojej wizyty Australia przeżywała bezprecedensowy boom. Stopa wzrostu gospodarczego należała do najwyższych w świecie rozwiniętym, inflacja prawie nie istniała, a bezrobocie było najniższe od wielu lat. Mimo to, jak pokazywało badanie Australian Institute, 36 procent Australijczyków oceniało, że żyje im się coraz gorzej i zaledwie jedna piąta widziała nadzieję na poprawę.

To prawda, że pod względem dochodu narodowego *per capita* Australia nie jest już w światowej czołówce (zajmuje dwudzieste pierwsze miejsce), ale powiedzcie szczerze, co byście woleli: mieszkać w trzecim najbogatszym kraju i być zachwyconym, że macie elektryczny czajnik i co najmniej jedno radio, czy mieszkać w dwudziestym pierwszym najbogatszym kraju i móc sobie pozwolić prawie na wszystko, czego rozsądna dusza zapragnie?

Z drugiej strony, w bardzo niewielu spośród tych konkurencyjnych krajów istnieje ryzyko zostania zjedzonym przez krokodyla różańcowego. Myśl ta przyszła mi do głowy, kiedy wyjąłem mój drugi nabytek, *Crocodile Attack in Australia*

Hugh Edwardsa, i zanurzyłem się po samą szyję w 240 stronach makabrycznych opisów agresji tych wyjątkowo cwanych stworzeń, mających w głębokiej pogardzie zasady *fair play*.

Krokodyl różańcowy to zwierzę, które potrafi wystraszyć nawet Australijczyka. Ludzie, w innych sytuacjach ze stoickim spokojem strzepujący z przedramienia skorpiona albo rechoczący radośnie, zobaczywszy stado przyczajonych psów dingo, drżą jak osiki na widok wygłodniałego krokodyla. Nie musiałem się zagłębiać zbyt mocno w zatrwazające kroniki dzieła pana Edwardsa, aby zrozumieć, skąd się to bierze. Weźmy na przykład tę historię o wycieczce w północno-zachodniej Australii.

W marcu 1987 roku pięć osób płynęło jachtem motorowym wzdłuż wybrzeża Kimberley, skręciwszy następnie w rzekę Prince Regent, aby zobaczyć Kings Cascade, cud natury na odludziu, czyli tropikalny wodospad, rozpryskujący się malowniczo o granitowe skały. Po dotarciu na miejsce zacumowali jacht i część wspięła się na górę, a część poszła popływać. W grupie pływaków była młoda amerykańska modelka, Ginger Faye Meadows. Razem z inną młodą kobietą stały po pas w wodzie na skalnej półce pod wodospadem. Nagle jedna z nich zauważyła zimne, spokojne oczy i zanurzony do połowy pysk krokodyla, sunący w ich stronę. Wyobraźcie sobie tę sytuację: stoicie plecami do prawie pionowej, śliskiej ściany, nie macie gdzie się cofnąć i płynie ku wam jedno z najbardziej niebezpiecznych stworzeń na ziemi — zwierzę tak doskonale zaprogramowane do zabijania, że od 200 milionów lat nie miało potrzeby ewoluować. Innymi słowy, za chwilę pożre was relikw z epoki dinozaurów.

Jedna z kobiet zdjęła klapka i rzuciła nim w krokodyla. Odbił się od głowy zwierzęcia, które mrugnęło i zawahało się. W tej samej chwili Meadows postanowiła podjąć próbę ucieczki. Skoczyła na główkę w nadziei, że uda jej się przepłynąć 25 metrów, dzielących ją od bezpiecznego brzegu. Jej przyjaciółka została. Modelka płynęła szybko, ale krokodyl, który dobrze wyliczył trajektorię, w połowie drogi chwycił ją w pól i wciągnął pod wodę.

Zgodnie z relacją kapitana jachtu Meadows spędziła pod wodą kilka chwil, po

czym „wynurzyła się z rękami w powietrzu i kompletnym zaskoczeniem na twarzy. (...) Patrzyła mi prosto w oczy, (...) ale nie powiedziała ani słowa”. Potem znowu poszła pod wodę i już więcej jej nie zobaczyli. Następnego dnia skończyłaby 25 lat.

Był to chyba najsłynniejszy atak krokodyla w dziejach Australii, ponieważ chodziło o znaną atrakcję turystyczną, luksusowy jacht i bardzo atrakcyjną, młodą ofiarę z Ameryki, ale takich przypadków zanotowano całe mnóstwo. Co więcej, historia Meadows była nietypowa: ofiara widziała, że krokodyl się zbliża, a w większości przypadków atak jest zupełnie niespodziewany. Kroniki ataków ze skutkiem śmiertelnym obfitują w historii ludzi, którzy stoją w kilku centymetrach wody, siedzą na brzegu albo spacerują po plaży, aż nagle woda się rozstępuje i zanim zdążą krzyknąć, a tym bardziej rozpocząć negocjacje, są zabierani daleko od brzegu i niespiesznie zjadani. Właśnie to budzi największy strach.

I w związku z tym zapytuję: kogo obchodzi, ile zarabiają ludzie w Hongkongu czy Singapurze, kiedy ktoś ma u siebie w kraju tego typu zmartwienia?

Rozdział dziewiąty

I

Z miłą chęcią zostałbym w Adelaide jeszcze parę dni, ale czas mnie naglił. Przyszła pora, by odwiedzić znajomych w Melbourne, ale najpierw musiałem spełnić obietnicę złożoną samemu sobie już dawno temu i zobaczyć półwysep Mornington, piękny i uroczy zakątek zaraz na południe od Melbourne. Trasa — jak zawsze w Australii — była długa. Wyjechałem z Adelaide wcześniej rano i mniej więcej po godzinie uświadomiłem sobie, że znowu czeka mnie cały dzień za kierownicą na pustych drogach, pośród nużąco jednostajnego, monotonnego krajobrazu. Uznałem to za rażącą niesprawiedliwość, ponieważ, po pierwsze, sądziłem, że wracam na łono cywilizacji, po drugie, już tego wszystkiego doświadczyłem, i po trzecie: celowo wybrałem trochę dłuższą trasę nadmorską, żeby uniknąć monotonii w głębi lądu.

Droga nazywała się Princes Highway. Z mapy wynikało, że biegnie po zgrabnym łuku skrajem ogromnej zatoki przylegającej do Younghusband Peninsula i rzeczywiście — po mojej lewej stronie rozciągała się przybrzeżna panorama, ale ponieważ był odpływ, morze jawiło się jako niebieski pasek za wieloma kilometrami oślepiającego słończaka. Po drugiej stronie drogi znajdowało się tak samo monotonne pustkowie, porośnięte jednym gatunkiem niskiego krzewu. Przez 146 kilometrów droga była zupełnie pusta.

Dla zabicia czasu śpiewałem nieoficjalny hymn narodowy Australii, *Waltzing Matilda*. Interesująca piosenka. Napisał ją Banjo Paterson, najwybitniejszy XIX-wieczny poeta australijski, a zarazem jedyny literat, którego imię było nazwą instrumentu strunowego. Tekst jest następujący (pragnę podkreślić, że dokładnie cytuję Patersona):

Oh, there once was a swagman camped in the Billabong

Under the shade of a Coolibah tree
And he sang as he looked at his old billy boiling
Who'll come a-waltzing Matilda with me.

Prawdopodobnie już zauważyliście, że wyróżniającą cechą *Waltzing Matilda* jest brak sensu. Ktoś powie, że piosenka nie ma sensu dla osoby nieznającej slangu australijskiego buszu i że hermetyczność tekstu jest zamierzona przez autora, ale nawet jeśli ktoś rozumie wszystkie słowa, sens nadal się nie pojawia. Na przykład *billabong* to wodopój. Już przy lekturze pierwszej linijki rodzi się zatem pytanie, jak *swagman* mógł obozować w wodopoj. Osobiście rozbiłbym obóz koło wodopoj. Widzicie zatem, z jakimi kłopotami interpretacyjnymi trzeba się zmierzyć. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wyjaśnienie: Paterson wypił kilka głębszych, zanim zanurzył pióro w kałamarzu. Dobra, żebyście byli w pełni poinformowani, to powiem wam, że *swagman* oznacza wagabundę. Słowo to pochodzi od *swag*, zrolowanego koca, który ci ludzie nosili z sobą. Synonimem *swag* było *Matilda* (nie pytajcie mnie dlaczego, moje zainteresowanie tą sprawą nie sięga tak daleko). *Billy* to kociołek do gotowania wody, a *coolibah* to *coolibah*, gatunek drzewa. Wszystkie trudne terminy zostały zatem wyjaśnione. Dlaczego *swagman* tańczy walca ze swoją pościelą i dlaczego chce, żeby ktoś lub coś (na litość boską, w drugiej zwrotce jest mowa o owcach!) mu towarzyszyło w tej groteskowej — i być może perwersyjnej — czynności? To pytania, na które nie ma, rzecz jasna, odpowiedzi.

Z drugiej strony melodia jest bardzo ładna (zapożyczona od starej szkockiej ballady *Thou Bonnie Wood O' Craigielea*), a moja interpretacja, nie chwaląc się, powala finezją, zwłaszcza kiedy śpiewam z głową wystawioną przez okno pędzącego samochodu, co daje wyjątkowy efekt tremolo. Problem w tym, że kiedy ktoś zna tylko jedną zwrotkę, śpiewanie piosenki może się stać trochę nużące. Możecie więc sobie wyobrazić, z jak wielką radością uświadomiłem sobie, że zamiana *billy* na *willy*, fiutka, przenosi tekst w zupełnie inne rejony semantyczne. Zdołałem skomponować 47 nowych zwrotek, dzięki czemu piosenka nie tylko

nadaje się na długie podróże autobusem, ale również zyskała wymiar znaczeniowy, którego przez prawie stulecie jej brakowało.

Myślę, że osiągnąłbym jeszcze lepszy wynik, gdyby nie to, że kiedy po objechaniu zatoki zagłębiłem się w krzaczaste zarośla, zobaczyłem przy drodze tablicę z napisem „Wielki Homar”, co tak mnie podekscytowało, że muzyczne ambicje wyleciały mi z głowy. Bo widzicie, Wielki Homar był czymś — a raczej reprezentantem pewnej kategorii czegoś — co gorąco pragnąłem zobaczyć, odkąd ruszyłem w drogę.

Jednym z bardziej ujmujących dziwactw Australijczyków jest upodobanie do budowania dużych rzeczy w kształcie innych rzeczy. Dajcie im rolkę drutu kolczastego, trochę waty szklanej i parę kubelków farby, a zrobią wam gigantycznego ananasa, truskawkę albo, tak jak tutaj, homara. Potem urządzają w środku kawiarnię i sklep z pamiątkami, stawiają dużą tablicę koło szosy (dla ludzi na tyle mało spostrzegawczych, że są w stanie nie zauważyć piętnastometrowego owocu koło zupełnie pustej drogi), a potem siadają za kasą i czekają na pieniądze.

Na terenie kraju stoi około 60 takich obiektów, niby zapomniane rekwizyty z planu jakiegoś horroru kręconego w latach pięćdziesiątych. Jeśli ktoś ma pieniądze na benzynę i bardzo mu się w życiu nudzi, to może obejrzeć Wielką Krewetkę, Wielkiego Koala, Wielką Ostrygę (podobno z reflektorami zamiast oczu), Wielką Kosiarkę, Wielkiego Marlina, Wielką Pomarańczę, Wielkiego Merynosa i mnóstwo innych olbrzymów. Z patriotyczną dumą informuję, że zwyczaj ten zapoczątkował Amerykanin nazwiskiem Landy, który zbudował w Coff's Harbour (Nowa Południowa Walia) Wielkiego Banana, który tak magnetycznie działał na przejeżdżających kierowców, że pan Landy stał się Wielką Szychą tej branży.

Generalnie obiekty te są sprytnie stawiane przy tak pustym i nudnym odcinku drogi, że zatrzymałbyś się pod każdym pretekstem — czego nie omieszkałem zrobić, kiedy zza zakrętu wyłonił się monstrualnie wielki, czerwonaworóżowy, imponująco realistyczny homar w takiej pozie, jakby zamierzał zjeść kilku

pasażerów przejeżdżających samochodów. Ze względu na swoisty kształt homara właściciele postanowili — zapewne po długim namyśle — nie urządzać kawiarni i sklepu z pamiątkami w jego wnętrzu, toteż homar stał sobie na trawniku, zabezpieczony odciągami, natomiast placówki gastronomiczne i handlowe mieściły się w osobnym budynku z tyłu. Wysiadłem, żeby się przyjrzeć temu potworowi z bliska. Rzeczywiście był wielki. Później się dowiedziałem, że od ziemi do końca czułek mierzy 17 metrów — całkiem nieźle, nawet jak na świat gigantycznych zwierząt.

Oglądałem go z różnych stron i w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że wlażłem komuś w kadr.

— O, przepraszam! — zawołałem.

— *No worries, stary* — odparł fotograf-amator wyluzowanym tonem. — Z panem na zdjęciu widać skalę.

Podszedł do mnie. Miał około 30 lat i smutną, głupkowatą minę człowieka, który nie jest zadowolony ze swojej pracy i dalej mieszka z rodzicami. Ubrany był wakacyjnie, w szorty i T-shirt z napisem „Noosa”. Noosa to miejscowość letniskowa w Queenslandzie. Przez dłuższą chwilę staliśmy razem i bez słowa podziwialiśmy homara.

— Duży, nie? — powiedziałem w końcu, ponieważ nie należę do wspomnianej powyżej kategorii ludzi mało spostrzegawczych.

— Nie zrobiłby mi pan zdjęcia, jak przed nim stoję? — poprosił na tę typowo australijską okrężną modłę.

— Oczywiście.

Stanął obok homara z ręką czule wspartą na jego przednim odnózu.

— Może pan mówić ludziom, że to jest zdjęcie zaręczynowe — zasugerowałem.

Pomysł wyraźnie mu się spodobał.

— No! Pozwólcie, że przedstawię wam moją narzeczoną! Może nie jest zbyt piękna i wygadana, ale za to jaka świetna na raczka!

Facet zaczął mi się podobać.

— Lubi pan oglądać te rzeczy? — zapytałem, oddając mu aparat.

— Tylko kiedy przejeżdżam obok. Ale ten jest niezły. Lepszy niż Wielki Koala w Moyston. — Nie czułem się uprawniony tego komentować. — W Wauchope jest Wielki Byk. — Uniosłem pytająco brwi. Pokiwał głową z entuzjazmem. — Jądra kołyszają mu się na wietrze.

— Ma jądra?

— Jeszcze jakie. Gdyby na pana spadły, nieprędko by się pan podniósł!

Chwila milczenia na wyobrażenie sobie tej sceny.

— Ciekawe, jak by to potraktowała firma ubezpieczeniowa — powiedziałem w końcu.

— No! — Ten pomysł też mu się spodobał. — I te nagłówki w gazecie: „Mężczyzna zmiażdżony przez jaja byka”.

— „Tragiczne jaja w Australii” — zaproponowałem.

— No!

Rozumieliśmy się jak łyse konie. Od dawna nie przeprowadziłem z nikim tak długiej rozmowy. Co ja gadam — od wielu dni tak doskonale się nie bawiłem! Niestety, żaden z nas nie miał już nic do dodania, więc na chwilę zapadła niezręczna cisza.

— Miło było pana poznać — powiedział w końcu i oddalił się z zakłopotanym uśmiechem.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparłem najzupełniej szczerze.

Wszedłem do środka, kupiłem magnes na lodówkę i około 15 widokówek z Wielkim Homarem, po czym ruszyłem w dalszą drogę w doskonałym nastroju. Zmierzałem w kierunku Warrnambool i słynnej Great Ocean Road. Przez jakiś czas jechałem pogrążony w zadumie, po czym wystawiłem głowę przez okno i zaintonowałem melodyjnym, ale mocnym głosem:

Niepomny, że wynaleziono łyżeczki

Swagman zanurzył swą męskość w herbacie

I westchnął na widok fiuta we wrzątku:

Czymże cię teraz wydymam, bracie?

II

Spędziłem noc w Port Fairy i następnego dnia wjechałem na Great Ocean Road, krętą, wyjątkowo malowniczą drogę zbudowaną po pierwszej wojnie światowej w ramach programu robót budowlanych dla kombatantów. Jej ukończenie zajęło 14 lat i od razu widać dlaczego: na 300 kilometrach szosa wije się niemiłosiernie, omija skaliste cyple i wczepia się w pionowe ściany skalne. Jazda serpentynami wymaga od kierowcy takiej koncentracji, że trudno się rozkoszować widokiem, ale uznałem, że lepszy widok z rzadka rejestrowany niż żaden. Tu i ówdzie z wody wystawały skalne słupy, świadczące o potężnej sile erozyjnej morza. Kiedyś istniał tu naturalny most, zwany London Bridge, po którym można było przejść na swoisty nadmorski punkt widokowy, ale zawalił się w 1990 roku, zrzucając do spienionej wody dwie tony gruzu i zostawiając na samotnej skalnej wysepce dwóch oszołomionych turystów, którym jakimś cudem nic się nie stało. Od tej pory London Bridge nazywa się London Stacks.

Trasa była tak spektakularna, jak obiecywały przewodniki. Po jednej stronie strome, lesiste, półtropikalne zbocza Otway Range, po drugiej wzburzone morze, obmywające długie, kręte plaże z formacjami skalnymi po obu stronach. Ten odcinek wybrzeża Wiktorii słynie z dwóch rzeczy: surfingu i katastrof statków. Mocne prądy morskie i legendarne mgły powodowały, że marynarze od dawna bali się południowego wybrzeża Wiktorii. Gdyby wypompować wodę, oczom obserwatorów ukazałoby się 1200 wraków spoczywających na dnie, co jest światowym rekordem. Od czasu do czasu zatrzymywałem się, żeby pooglądać widoki, zaglądając przy okazji do kilku uroczych, staroświeckich miejscowości mijanych po drodze. Jak na środek lata i dzień po święcie narodowym było tam zaskakująco mało ludzi. Nie po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że w Australii jest znacznie więcej atrakcji turystycznych niż turystów, którzy mogliby je wszystkie obejrzeć.

W Torquay Great Ocean Road łączy się z główną drogą do Melbourne. Trzydzieści kilometrów na zachód leży Winchelsea: to tam Thomas Austin

wypuścił na wolność 24 króliki, które przeobraziły australijski krajobraz. Okolica sprawia wrażenie dosyć jałowej — przypominała mi Oklahomę albo zachodnie Kansas — ale nie wiedziałem oczywiście, w jakim stopniu można to przypisać żarłoczności królików. Można by sądzić, że ludzie wyciągnęli wnioski z doświadczeń Austina, ale najwyraźniej tak się nie stało. Kiedy króliki zjadały kraj, wpływowi ludzie wprowadzali inne gatunki zwierząt na masową skalę — do celów łowieckich, przez przypadek, ale przede wszystkim po to, żeby było ciekawiej. Ten sam impuls, który kazał pierwszym kolonizatorom zakładać w Adelaide parki angielskie, stał również za retuszowaniem naturalnego ekosystemu. Ludzie uznali, że Australia jest biologicznie zbyt uboga, jej półpustynne równiny zbyt monotonne, a jej lasy zbyt ciche. Powstawały stowarzyszenia aklimatyzacyjne, które z entuzjazmem wprowadzały dziesiątki nowych gatunków, aby ukoić tęsknotę za przyrodą ojczystego kraju. Po jakimś czasie przyszło im do głowy, że nie ma powodu ograniczać się do fauny brytyjskiej czy nawet europejskiej. Zamarzyła im afrykańska sawanna, z żyrafami, antylopami i bawołami pasącymi się na rozświetlonych równinach Australii.

Niektóre z tych przedsięwzięć wydają się dzisiaj trochę surrealistyczne. W 1862 roku gubernator Wiktorii sir Henry Barkly zaproponował, żeby ściągnąć do tamtejszych lasów mały „dla rozrywki podróżnych, którzy zachwycaliby się ich figlami”. Zanim projekt ten został wcielony w życie, Barkly’ego zastąpił na fotelu gubernatora sir Charles Darling, który powiedział, że nie chce w lasach małą, tylko boa dusiciele. Jego życzenie również nie zostało spełnione, ale marzenia dziesiątków innych ludzi doczekały się realizacji.

„Aklimatyzacja była jedną z najgłupszych i najbardziej niebezpiecznych koncepcji, które zatręły umysły XIX-wiecznych ludzi”, napisał Tim Low w pasjonującej książce *Feral Future: The Untold Story of Australia’s Exotic Invaders*. Z jakiegoś powodu najbardziej podatni na to zatrucie byli mieszkańcy Wiktorii. Mimo niezbyt zachęcających doświadczeń z królikami podjęto dziesiątki równie idiotycznych prób. W latach sześćdziesiątych Stowarzyszenie Aklimatyzacyjne z Ballarat wypuściło do lasów lisy, które szybko stały się istną

plagą i do dzisiaj zasługują na to zaszczytne miano. Inne zwierzęta, zbiegłe lub porzucone, zdziczały. Wielbłądy zatrudnione przy budowie linii kolejowej z Adelaide do Alice Springs po jej ukończeniu puszczono wolno. Dzisiaj około stu tysięcy tych zwierząt żyje na centralnych i zachodnich pustyniach. Australia jest jedynym krajem, w którym jednogarbne dromadery istnieją w stanie dzikim. Jest też do pięciu milionów dzikich osłów, co najmniej milion dzikich koni (*brumbies*) i duża liczba wodnych bawołów, krów, kóz, owiec, świń, lisów i psów. Dzikie świnie widuje się nawet na przedmieściach Melbourne. Gatunków przywleczonych spoza Australii jest tak wiele, że kangur czerwony, niegdyś największe zwierzę na kontynencie, teraz zajmuje dopiero trzynaste miejsce.

Skutki dla przedstawicieli rodzimej fauny bywają katastrofalne. Zagrożonych jest około 130 australijskich ssaków. Szesnaście wymarło — więcej niż na jakimkolwiek innym kontynencie. Zgadnijcie, kto jest największym zabójcą. Według urzędu do spraw parków narodowych i fauny — kot domowy. W stanie dzikim żyje 12 milionów kotów zamieszkujących najróżniejsze nisze ekologiczne, od najbardziej jałowych pustyń po najwyższe góry. Do spółki z lisami doprowadziły one wiele spośród najmniejszych, najbardziej uroczych zwierząt australijskich na skraj wymarcia — mrówkożery workowate, kanguroszczury, niełazy wielkie, poturu, jamraje, kangury skalne, dziobaki i wiele innych. Większość z tych stworzeń prowadzi nocny tryb życia, toteż ludzie nie zauważają, że ich nie ma, choć znikają one w zatrważającym tempie.

To samo dotyczy roślin. W połowie XIX wieku Wiktoria miała wielkiego pecha, ponieważ jej naczelnym botanikiem był zagorzały zwolennik aklimatyzacji, baron Ferdinand Jacob Heinrich von Müller. Podobnie jak aklimatyzatorzy fauny, von Müller nie mógł znieść tego, że australijska flora jest tak uboga i w czasie wolnym od pracy jeździł po kraju, wysiewając dynie, kapustę, melony i inne rośliny, które, jego zdaniem, miały szansę się przyjąć w tutejszych warunkach. Szczególnie przywiązany był do jeżyn, sadząc je na każdym dostępnym kawałku ziemi. Dzisiaj jeżyna jest najbardziej uciążliwym chwastem w Wiktorii, prawie niemożliwą do wyplenienia zmorą rolników. Tam, gdzie się z nią nie walczy, zagarnia wszystko

i świadectwa tej ekspansywności mijalem po drodze.

Wiele importowanych gatunków zdumiewająco dobrze sobie radzi w australijskich warunkach. Przyswojenie sobie tej prawdy zajęło Australijczykom dziwnie dużo czasu. *Cylindropuntia* — amerykański gatunek kaktusa z mięsistymi owocami — sprowadzona na początku XX wieku do Queenslandu jako potencjalna karma dla bydła, zaczęła się rozprzestrzeniać w oszałamiającym tempie. W 1925 roku nieprzenikniony gąszcz tych dwumetrowych roślin porastał 12 milionów hektarów. Ich karczowanie to prawdziwy koszmar — z jednego hektara trzeba usunąć 300 ton kaktusa, podczas gdy pszenica zebrana z jednego hektara waży 6 ton. Przez jakiś czas wyglądało na to, że Queensland z przyległościami stanie się grządką *Cylindropuntia* wielkości Europy. Na szczęście roślina ta nie jest odporna na pestycydy i larwę pewnego gatunku ćmy, ale walka była zacięta, a koszt zwycięstwa niemały.

W sumie, jak szacuje Low, Australię porasta dzisiaj ponad 2700 gatunków sprowadzonych chwastów. Co ciekawe, wśród największych winowajców znajdują się ogrody botaniczne. Trzech zbiegów z ogrodu w Darwin — *Vachellia farnesiana*, *Leucaena* i *crutch tree* — zagraża Parkowi Narodowemu Kakadu, wpisanemu na Listę Światowego Dziedzictwa. Tego rodzaju przykładów można podać wiele.

Pochodzenie intruzów często pozostaje zagadką. Jak pisze Low, agresywna mrówka *Iridomyrmex* kilka lat temu oblaźła Brisbane. Jej ukąszenie jest bardzo nieprzyjemne. Nikt nie wie, skąd przyszła ani jak się tam dostała. Pewnego dnia po prostu się zjawiała. Naukowcy nie umieją przewidzieć, jakie wyrządzi szkody. Jedno jest pewne: australijski klimat bardzo jej sprzyja.

*

Półwysep Mornington znajduje się kawałek na południe od Melbourne. Można go nazwać australijskim Cape Cod, bo jest to piękny nadmorski zakątek z mnóstwem domów letniskowych. Ma nawet podobny kształt: ogon skorpiona otaczający zatokę Port Phillip, za którą, 50 kilometrów dalej, leży Melbourne.

Półwysep pociągał mnie z dwóch powodów: Catherine Veitch bardzo zachęcająco opisywała go w swoich listach, a tragicznie zatapialny premier Australii Harold Holt właśnie tam wybrał się na ostatnią kąpiel w życiu.

Feralne miejsce znajduje się w Portsea, na końcu półwyspu, po nocy spędzonej w miasteczku Mornington skierowałem się zatem w tamtą stronę. Rano zapowiadał się pogodny dzień, ale Portsea spowijała nadmorska mgła, a temperatura była niższa niż w Mornington. Zauważyłem, że większość ludzi ma na sobie swetry albo kurtki.

Portsea jest bardzo małe — kilka sklepów i restauracji na tle dużych rezydencji, które, zanurzone w kosmykach mgły, wyglądają wyniośle i romantycznie — ale ekskluzywne i potwornie drogie. Właśnie sprzedano tam kabinę plażową za 185 tysięcy dolarów. Nie dom na plaży, tylko kabinę plażową — zwykłą drewnianą budę bez prądu i bieżącej wody, której jedynym atutem była nadwodna lokalizacja. Szczęśliwy nabywca nie został nawet właścicielem, tylko wieczystym dzierżawcą budy, czyli za 185 tysięcy dolarów zyskał prawo do płacenia gminie kilkuset dolarów czynszu rocznie. Kabin, które mogą kupować tylko miejscowi, są bardzo poszukiwane. Niedawno sprzedana, od 50 lat należała do tej samej rodziny.

Wypiłem kawę, żeby się rozgrzać przed wyprawą do parku narodowego na półwyspie. Park zajmuje nadmorski teren koło pagórkowatego Point Nepean, za którym pienia się wody słynnego Rip, wąskiego przesmyku prowadzącego do zatoki Port Phillip. Tereny te dopiero niedawno udostępniono zwykłym śmiertelnikom. Przez sto lat cały ten obszar był własnością wojska, które wykorzystywało go jako poligon artyleryjski. Chciałbym, żebyście docenili całą absurdalność tej sytuacji: mamy kraj o powierzchni prawie pięciu milionów kilometrów kwadratowych, w większości pusty i doskonale nadający się do ostrzeliwania; z drugiej strony, parę godzin jazdy od drugiego co do wielkości miasta w kraju, mamy piękny półwysep o znacznych walorach przyrodniczych i nie wpuszczamy na niego ludzi, bo chcemy go rozwalić na kawałki. Logiczne, prawda? W końcu, po wielu latach wytężonych negocjacji, wojsko zgodziło się oddać część tych terenów na rzecz parku narodowego, ale zatrzymało dla siebie dwie trzecie

półwyspu i od czasu do czasu urządza tam sobie ostre strzelanie. W konsekwencji, kiedy w punkcie informacji turystycznej na skraju Portsea zakupisz bilet wstępu, musisz przemierzyć trzykilometrową strefę wojskową drogą biegnącą między wysokimi ogrodzeniami z tablicami ostrzegającymi przed niewybuchami i innymi niebezpieczeństwami grożącymi szaleńcowi, który postanowiłby przeskoczyć przez ogrodzenie. Do parku można dotrzeć specjalnym autobusem albo na nogach. Wybrałem tę drugą opcję, żeby zażyć trochę ruchu, i szedłem w gęstej mgle. Wyglądało na to, że miałem cały półwysep dla siebie.

Uszedłem nie więcej niż kilka metrów, kiedy przyłączyła się do mnie mucha, mniejsza i ciemniejsza od domowej. Bzyczała mi przed twarzą i próbowała usiąść na mojej górnej wardze. Odgoniłem ją, ale natychmiast wróciła. Po chwili nadleciała druga, która na miejsce lądowania wybrała sobie mój nos. Ta też nie chciała się ode mnie odczepić. Niedługo później lądowisk tych było na mojej głowie około 20 i błyskawicznie staczałem się w stan upodlenia, które ogarnia każdą ofiarę długotrwałego kontaktu z australijską muchą.

Z reguły muchy nie są uciążliwe, ale odmianę australijską cechuje wyjątkowa zawziętość. Jeśli australijska mucha chce ci usiąść na nosie albo wlecieć do ucha, to nic jej nie odwiedzie od tego zamiaru. Możesz się przed nią opędać, ale po chwili wróci jeszcze bardziej zdeterminowana niż przedtem. Gdzieś na nieosłoniętym obszarze twojego ciała znajduje się bowiem miejsce, z grubsza wielkości guzika od koszuli, które mucha koniecznie chce polizać i połechtać, pokrążywszy wcześniej nad nim jak obłąkana. Obok wytrwałości należy również wymienić wybór celów: australijska mucha spróbuje zlizać płyn zwilżający twoją gałkę oczną, dotrzeć do zakamarków ucha, o których pałeczka kosmetyczna może tylko pomarzyć, i gotowa jest umrzeć za rozkosz desantu na koniec twojego języka. Jeśli kilkadziesiąt tych stworzeń zacznie odprawiać wokół ciebie swój upiorny taniec, niechybnie trafisz do domu wariatów.

Zmierzając do parku, spowity bzyczącym obłokiem cierpienia, z coraz większą rozpaczą i zniechęceniem wymachiwałem rękami wokół swojej twarzy (to się nazywa salut z buszu), prychałem, rzucałem głową na wszystkie strony z furją

szaleńca i od czasu do czasu zaskakująco mocno waliłem się w policzek albo w czoło. W końcu, zgodnie z oczekiwaniami much, dałem za wygraną i spadły na mnie jak na trupa.

Wreszcie muchy i ja przebrnęliśmy przez strefę wojskową do parku. Tablica informowała o ścieżce prowadzącej na wzniesienie o nazwie Cheviot Hill. Taki był cel mojej wyprawy, albowiem po drugiej stronie znajdowała się Cheviot Beach, plaża, z której Harold Holt wskoczył do wody na kąpiel niewymagającą ręcznika. Ruszyłem ścieżką przez spowite mgłą zagajniki niskich, krzaczastych drzew: melaleuka lancetowata, zanokcica gniazdowa i *Leptospermum laevigatum*, jak można było przeczytać na rozstawionych tu i ówdzie tablicach informacyjnych. Na szczycie wzgórza wiał tak mocny wiatr, że aż mną zachwiało, ale przynajmniej muchy trochę mi odpuściły. Przez moment stałem z twarzą smaganą wiatrem, zachwycony, że te utrapione stworzenia zostawiły mnie w spokoju.

Widok z Cheviot Hill uchodzi za jeden z piękniejszych na wybrzeżu Wiktorii, ale nie mogę tego potwierdzić, ponieważ widoczność była bliska zeru. Za szarzieloną doliną, w odległości około półtora kilometra wznosiło się inne wzgórze na Point Nepean, przykryte leniwą chmurą. Za nią szalał niewidoczny z tego miejsca Rip. Pode mną świat był podobnie nieprzenikniony. Znajdowałem się kilkadziesiąt metrów nad Cheviot Beach, ale miałem wrażenie, jakbym zaglądał do wielkiego kotła z zupą. Przez ruchome kłęby widziałem tylko niewyraźne zarysy skał i nieokreślonej wielkości połać piasku. Tylko odgłos niewidocznych fal chłupoczących o niewidoczny brzeg potwierdzał, że znalazłem morze.

Mimo to przeszył mnie dreszcz satysfakcji, że dotarłem na miejsce feralnej kąpieli Holta. Próbowałem wyobrazić sobie tę scenę, ale bez większego powodzenia. W dniu, w którym Holt wszedł do wody, było wietrznie, ale świeciło słońce. Holtowi nie wiodło się zbyt dobrze jako premierowi. Miał talent do całowania małych dzieci i wprawiania w trzepot serc niewieścich — podobno ostry był z niego babiarz — natomiast sterowanie państwem nie należało do jego mocnych stron. Możemy zatem bezpiecznie przyjąć, że z radością wyniósł się z Canberry podczas przerwy bożonarodzeniowej. Holt przyszedł na tę plażę,

ponieważ miał dom letniskowy w Portsea i armia pozwoliła mu spacerować po swoim terenie, gdzie nikt nie zakłócał mu prywatności. Nie było więc ratowników, plażowiczów ani nawet ochroniarzy, kiedy 17 grudnia 1967 roku w towarzystwie paru znajomych Holt łąził pośród skał, o które tuż poniżej rozpryskiwały się fale. Chociaż morze było niespokojne, a przyływ niebezpiecznie wysoki i chociaż Holt o mało się nie utopił pół roku wcześniej, kiedy on i jego kumple nurkowali z rurkami, postanowił popływać. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, zdjął koszulę i dał nura do wody. Oddalił się o kilkadziesiąt metrów, po czym zniknął, bez wielkiego dzwonu, bez wołania o pomoc, bez wywołania dodatkowej fali. Miał 59 lat, a funkcję premiera sprawował przez prawie dwa lata. Jego ciała nigdy nie znaleziono.

Na Cheviot Beach nie ma wstępu, a zresztą i tak nie byłbym w stanie dotrzeć tam z klifów, więc przez kilka minut penetrowałem zespół betonowych bunkrów, relikty drugiej wojny światowej. Potem wlałem w wielką pajęczynę i wydawszy z siebie zwielokrotniony przez echo wrzask oraz poodbijawszy się nieco od ścian, niskich nadproży i rozmaitych innych przeszkód, w mniej energicznym nastroju wróciłem na świeże powietrze. Pomasowałem sobie głowę, wezwałem do siebie muchy i zacząłem wracać. U stóp wzgórza znajdował się duży, zarośnięty cmentarz, pozostałość czasów, kiedy była tutaj stacja kwarantanny. Chciałem się rozejrzeć, ale muchy za bardzo mnie nękały. Zamierzałem zwiedzić XIX-wieczny fort na samym cyplu, ale nie wyobrażałem sobie, że miałbym spędzić kolejną godzinę w towarzystwie much, nie pozostało mi więc nic innego, jak wrócić tą samą, pustą drogą, którą przyszedłem.

Zatrzymałem się na chwilę koło punktu informacji turystycznej, żeby obejrzeć witrynę i pogadać ze strażnikiem parkowym. Zapytałem go, czy ten odcinek wybrzeża jest niebezpieczny.

— Bardzo! — odparł ożywionym tonem.

Pokazał mi na mapie, gdzie płyną prądy: wszędzie. Z tego, co zrozumiałem, jeśli jeden z nich cię porwie, to pozostałe będą się tobą przerzucały jak przesyłką pocztową, której nikt nie chce. Nawet najbardziej wytrzymały pływak szybko

straciłby siły. Źródłem problemu jest przede wszystkim Rip, kilkusetmetrowy przesmyk, przez który podczas przyptywu i odpływu przetaczają się potężne masy wody. Zanim zobaczyłem mapę, nie miałem świadomości, jak blisko tych zawirowań znajduje się Cheviot Beach.

— Czyli to nie był dobry pomysł, że Harold Holt poszedł tam popływać?

— Ja bym nie ryzykował — odparł strażnik. — Wie pan, tylko na tym odcinku jest około stu wraków — dodał, pokazując absurdalnie krótki kawałek wybrzeża w okolicy Cheviot i Rip. — Nie trzeba być geniuszem, żeby wymyślić, że akwen, który potrafi zatopić sto statków, nie jest najlepszym miejscem na kąpiel.

— Czy to nie dziwne, że nigdy nie znaleźli jego ciała?

— Nie — stwierdził kategorycznym tonem.

— Dlaczego?

Nie jestem specjalistą od morskiej hydrodynamiki, ale jeśli sądzić po kawałkach drewna i puszkach coli zaśmiecających plażę, każdy obiekt, który ma ciężar właściwy mniejszy od słonej wody, prędzej czy później wyląduje na brzegu.

— Nie chcę być brutalny, ale jeśli ktoś tutaj utonie, bardzo szybko trafia do łańcucha pokarmowego.

— Aha.

— Trzeba pamiętać — dodał z poważną miną — że w utonięciu Harolda Holta nie było niczego wyjątkowego poza tym, że chodziło o premiera. Inaczej już dawno by zapomniano o tym zdarzeniu. Zresztą prawie zapomniano.

— Czyli ludzie nie przyjeżdżają tutaj na pielgrzymki?

— Nie. Mało kto o tym pamięta, a większość ludzi poniżej trzydziestki w ogóle o tym nie słyszała.

Opuścił mnie, żeby sprzedać bilety nowym przybyszom, a ja skierowałem się ku witrynie prezentującej algi i życie w sadzawkach podpływowych. Kiedy się oddalałem, zawołał za mną:

— W Melbourne nazwali coś na jego cześć. Wie pan co?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

Uśmiechnął się nieznacznie.

— Miejski basen!

— Poważnie? — Uśmiech zrobił się szerszy, ale skinienie głową było szczere.

— Zwariowany kraj!

— No! — zgodził się ze mną radosnym tonem. — Ma pan absolutną rację!

Rozdział dziesiąty

W dzieciństwie, kiedy mojego ojca nie było w domu, co zdarzało się często, ponieważ jako dziennikarz sportowy dużo podróżował, moja matka i ja ustanowiliśmy pewien rytuał: jechałem autobusem do centrum, żeby się z nią spotkać (też pracowała w lokalnej gazecie), i szliśmy na kolację do kafeterii Bishop's, a potem do kina.

Nie posunę się do sugestii, że mama nadużywała mojego zaufania przy procesie selekcji repertuaru, ale jakoś zawsze tak się składało, że filmy, które ja chciałem obejrzeć, właśnie zeszły z afisza, i oglądaliśmy film o morderstwie, namiętności i zdradzie, najczęściej z Jeffem Chandlerem w roli głównej (mama miała do niego dziwną słabość), na ogół wymagającej od niego paradowania w wielu scenach z obnażonym torsem.

— Och, jaka szkoda! — mówiła tonem sugerującym, że podziela moje rozczarowanie. — Właśnie przestali grać *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*. Ale w Orpheum jest nowy film z Jeffem Chandlerem, *Oswojona żądza*.

Nie wiem, czy upływ czasu spowodował zlanie się tych filmów w jeden w mojej pamięci, czy też rzeczywiście wszystkie były identyczne, ale w każdym razie zawsze zawierały te same składniki: o wiele za dużo dialogów, mnóstwo całowania się z Laną Turner albo inną blondynką o bezwzględny spojrzeniu, okazjonalne strzelaniny kończące się ręką na brzuchu, kilkoma chwiejnymi krokami i śmiesznie małym upływem krwi oraz obowiązkową sekwencję, w której Chandler płynął motorówką albo stał na wieżyczce dla ratownika odziany w same kąpielówki (nawet bez patrzenia na ekran można było rozpoznać, kiedy zaczęła się sekwencja kąpielówkowa, bo moja mama w przyspieszonym tempie ssała dropsy cytrynowe). Jeśli w danym tygodniu nie było filmu z Jeffem Chandlerem — to zaskakujące, ale zdarzało mu się nie nakręcić niczego nowego przez wiele tygodni — to musieliśmy iść na coś innego.

W takich właśnie okolicznościach, o dziewiątej wieczorem, poszliśmy na

Przybyszów o zmierrchu, epopeję w technikolorze z Robertem Mitchumem i Deborah Kerr o sympatycznej i odważnej parze, która zaczyna nowe życie w australijskim buszu. Film był godny uwagi z dwóch względów: Robert Mitchum ujmująco próbował naśladować australijski akcent i akcja toczyła się w Australii, rzecz bodaj bezprecedensowa w annałach Hollywood. Po 40 latach nie pamiętam szczegółów fabuły, ale przypominam sobie, że Mitchum i Kerr od świtu do nocy przepędzali stada owiec z miejsca w miejsce i walczyli z kolejnymi niemiłymi niebezpieczeństwami, w które obfituje życie na antypodach — przede wszystkim pożarami buszu, burzami piaskowymi, suszą, szarańczą i knajpianymi burdami. Poza tym w Australii najwyraźniej było bardzo gorąco: każdą swoją kwestię Mitchum poprzedzał zdjęciem zakurzonego kapelusza i przejechaniem ręką po spoconym czole. Ponieważ już wtedy, jako dziewięcioletek, miałem sprecyzowane plany życiowe — będę jeździł sportowymi kabrioletami po Europie z Jean Seberg u boku — doszedłem do wniosku, że Australia nie ma mi nic do zaproponowania i przez następne 30 lat w ogóle o niej nie myślałem.

W konsekwencji, kiedy wreszcie wybrałem się na antypody — żeby wziąć udział w festiwalu literackim w Melbourne w 1992 roku — byłem trochę zaskoczony, że taki kraj naprawdę istnieje. Dokładnie pamiętam, jak stałem na Collins Street świeżo po wyjściu z samolotu — tak świeżo, że nadal byłem pokryty kropelkami środka owadobójczego, którym stewardesy spryskały wszystkich pasażerów przed lądowaniem — patrzyłem na pobrzdkujące tramwaje oraz tłum ludzi i myślałem sobie: „Rany boskie, tu naprawdę jest jakiś kraj!”. Poczułem się tak, jakbym osobiście odkrył życie na innej planecie albo równoległy wszechświat o rozpoznawalnym, ale zupełnie innym sposobie istnienia.

Nie potrafię opisać mojego entuzjazmu. Jeśli zbudowałem sobie wcześniej jakieś wyobrażenia o Australii, to myślałem o niej raczej jak o odpowiedniku Kalifornii na półkuli południowej: kraju wiecznego słońca z radosną banalnością plażowego stylu życia, ale zalatującego trochę z brytyjska — powiedzmy *Słoneczny patrol* plus krykiet. Tymczasem przed oczyma miałem coś zupełnie innego. W Melbourne panowała spokojna i kulturalna atmosfera, która była znacznie bardziej europejska

niż północnoamerykańska, a poza tym padało przez cały tydzień, co mnie niezmiernie ucieszyło, ponieważ całkowicie rozmijało się z moimi wyobrażeniami.

Wreszcie — i tutaj dochodzimy do sedna sprawy — Australia natychmiast mi się spodobała: prawdziwa miłość od pierwszego wejrzenia. Ten kraj po prostu mi leżał. Może w jakimś stopniu wiązało się to z faktem, że spędziłem pół życia w Ameryce i pół w Wielkiej Brytanii, Australia stanowi natomiast przyjemną mieszankę obu tych krajów. Miała w sobie luz, witalność, brak powściągliwości i otwartość na obcych, czyli cechy typowo amerykańskie, ale wpisane w brytyjskie ramy. Ze swoim optymizmem i bezpośredniością Australijczycy mogliby udawać Amerykanów, ale jeździli po lewej, pili herbatę, grali w krykieta, ozdabiali miejsca publiczne pomnikami królowej Wiktorii, ubierali swoje dzieci w mundurki szkolne, które tylko ludy brytyjskie mogą nosić, nie czując się idiotycznie. Czuję się z tym wszystkim wyjątkowo dobrze.

Od razu też uświadomiłem sobie, nie bez osobliwego zadowolenia, jak niewiele wiem o Melbourne. Nie znałem tytułów tutejszych gazet ani nazw uniwersytetów, plaż i przedmieść. Nie znałem historii miasta ani osiągnięć mieszkańców. Nie umiałem odróżnić policjanta od listonosza. Nie umiałem nawet zamówić kawy. Trzeba było sprecyzować długość (długa albo krótka), kolor (czarna albo biała) i geometrię (płaska albo nie), co dawało osiem podstawowych kombinacji — „długa czarna płaska”, „krótka biała płaska” i tak dalej — plus dziwne warianty typu „długa krótka czarna”. Po wielu godzinach radosnych eksperymentów odkryłem, że najbardziej lubię „płaską białą”. Był to dla mnie moment bezbrzeżnego szczęścia.

Moje obowiązki na targach książki były dosyć ograniczone — parę występów na estradzie, a potem po sobie pozamiatać — mogłem więc wałęsać się po mieście, co czyniłem z ogromnym entuzjazmem i zaangażowaniem, podsłuchując rozmowy, przesiadując w kawiarniach z poranną prasą i kilkoma napitkami (wciąż znajdowałem się w fazie eksperymentowania), żarłocznie konsumując jedno i drugie, czytałem etykiety, ogłoszenia na parkanach i szyldy sklepowe, zadawałem obcym osobom pytania typu: „Przepraszam, co to jest Jacky Howe? Co

to znaczy *norks*? Co to jest Hill's Hoist? ⁶”.

Zakochałem się w australijskich głosach — ta miłość do dzisiaj nie wygasła — w intonacji i rytmie mówienia, w ich bezpośrednim spojrzeniu na świat. Na przyjęciu po uroczystości przyznania jakiejś nagrody — przypuszczalnie nagrody za debiutancką powieść dla młodego farmera z East Gippsland czy coś w tym guście, na które poszedłem, ponieważ bardzo mnie ucieszyło, że zostałem na coś zaproszony, a poza tym obiecali napoje wysokokowe — stałem akurat z dwiema pracowniczkami działu marketingu u mojego wydawcy, kiedy do sali wszedł jakiś wyraźnie zakochany w sobie krykiet. To znaczy palant.

— O, patrzcie, Bruce Dazzling! — powiedziała jedna z dziewczyn i dorzuciła z lekceważeniem, które doskonale wszystko podsumowywało: — On by poszedł nawet na otwarcie koperty.

Ktoś inny opowiedział mi historię swojego angielskiego znajomego, który polecał do Australii. W pewnym momencie stewardesa podała mu szczypcami ciepły ręczniczek, który po zastosowaniu okazał się zimny. Anglik poinformował ją o tym — nie po to, żeby się uskarżać, tylko żeby dać jej szansę naprawienia błędu, gdyby miała taką ochotę. Stewardesa spojrzała na niego z uroczym uśmiechem i powiedziała z leciutką nutką sarkazmu:

— Może pan ma nim chwilę posiedzi? Powinien trochę się rozgrzać.

Jak tylko usłyszałem tę historię, wiedziałem, że polubię ten kraj. Nie pomyliłem się.

Ponieważ mój pierwszy kontakt z Australią odbył się za pośrednictwem Melbourne, narodziła się we mnie szczególna emocjonalna więź z tym miastem. Zawsze przyjeżdżałem tam podekscytowany — niewiele osób podziela to uczucie, ale taka jest prawda — i kiedy jechałem przez dzielnicę biznesową z rozmigotanymi wieżowcami, miało to w sobie coś z powrotu do domu. Oto pierwszy australijski hotel, w którym się zatrzymałem, oto pierwsza kawiarnia, w której prowadziłem moje eksperymenty, oto słynny stadion krykietowy, na którym spędziłem kiedyś trzy radosne godziny, próbując zrozumieć zasady futbolu

australijskiego, i zjadłem mój pierwszy i ostatni *four-and-twenty-pie*, pasztecik „z prawdziwych kosów”, jak mnie z humorem zapewniono. Mógłbym pokusić się o odrobinę patetyczne wyznanie, że Melbourne było moim australijskim domem.

Większość ludzi (kiedy mówię o większości ludzi, mam oczywiście na myśli siebie podczas swojej pierwszej wizyty) nie zdaje sobie sprawy, że Melbourne długo było najważniejszym miastem w kraju. Chociaż Sydney od stulecia jest trochę większe (liczba ludności Melbourne wynosi dzisiaj około 3,5 miliona wobec 4 milionów w Sydney), w Melbourne jeszcze stosunkowo niedawno więcej się działo, zwłaszcza w obszarze finansów i kultury. Sydney pocieszało się wymyślaniem okrutnych, ale na ogół świetnych dowcipów na temat rzekomej apatii Melbourne, na przykład:

— Masz dzieci?

— Tak, trójkę. Dwójka jeszcze żyje, a jedno mieszka w Melbourne.

Dzisiaj Sydney dalej żartuje z Melbourne i kładzie je na łopatki we wszystkich dziedzinach, co dla mieszkańców Melbourne jest trudne do przełknięcia. Zmianę układu sił najlepiej ilustruje olimpiada: w 1956 roku odbyła się ona w Melbourne, a w 2000 roku w Sydney, co stanowi wyraz pewnej ogólnej tendencji. W 1956 roku Melbourne miało u siebie centrale 50 największych przedsiębiorstw australijskich, a Sydney 37. Dzisiaj proporcje są prawie dokładnie odwrotne. Pokolenie temu koncerny międzynarodowe na swoją siedzibę wybierały z reguły Melbourne, dzisiaj dwie trzecie z nich wolą Sydney. Ale najbardziej bolesny dla metropolii, która zawsze oceniała, że życie intelektualne Sydney lokuje się mniej więcej na poziomie porannych bloków telewizyjnych, był fakt, że Melbourne przez lata musiało bezradnie obserwować, jak rywal kawałek po kawałku odbiera mu hegemonię w kulturze — w wydawaniu książek, modzie, filmie i telewizji, we wszystkich sztukach scenicznych. Kiedyś odwiedzałem moich wydawców w Melbourne. Dzisiaj jeżdżę do Sydney.

Jeśli jednak pominiemy powyższe i uwzględnimy ogromną przewagę widokową, jaką zapewnia Sydney posiadanie naturalnego portu, miasta te niewiele różnią się od siebie pod względem jakości życia i oferty kulturalnej. Przewaga Sydney nad

Melbourne jest o wiele mniejsza niż Nowego Jorku nad Los Angeles czy Londynu nad Birmingham.

Melbourne nie ma wprawdzie Harbour Bridge ani takiej opery jak Sydney, ale ma coś bardzo oryginalnego: najdziwniejsze na świecie prawoskręty. Jeśli ktoś w centrum Melbourne chce skręcić prawo (czyli przeciąć linię samochodów jadących w przeciwnym kierunku), to nie zjeżdża na środkowy pas, tylko przyciska się do krawężnika po lewej, czeka przez bliżej nieokreślony czas (w moim przypadku oznaczało to porę zamknięcia klubów i restauracji, kiedy samochody zniknęły z ulic) i wykonuje desperacki manewr na żółtym świetle. Chodzi o to, żeby nie blokować tramwajów — innej specjalności Melbourne — które jeżdżą środkiem ulicy. Jest to system bardzo uciążliwy, nie tylko dla gości zza granicy, ale także dla innych Australijczyków, a nawet, ośmielę się powiedzieć, dla wielu mieszkańców Melbourne.

Melbourne szczególnie wyróżnia się jednak swoją miłością do futbolu australijskiego, sportu mało popularnego w Sydney czy Nowej Południowej Walii, gdzie najbardziej pasjonują się rugby. Co ciekawe, w Melbourne ludzie nie opowiadają dowcipów o Sydney, tylko o swoim ukochanym *footy*. Oto przykład.

Facet przychodzi na finał rozgrywek w Melbourne i widzi zaskoczony, że miejsce obok niego jest puste. Bilety na finał zawsze są wyprzedane z wielotygodniowym wyprzedzeniem, więc kibic pyta człowieka, który siedzi po drugiej stronie pustego krzeselka:

— Przepraszam, nie wie pan, czemu tutaj nikt nie siedzi?

— To jest miejsce mojej żony — odpowiada tamten odrobinę smutnym tonem — ale niestety zmarła.

— Och, to straszne! Tak mi przykro!

— Tak, nigdy nie opuściła meczu.

— Nie mógł pan oddać jej biletu znajomemu albo komuś z rodziny?

— Nie, wszyscy są na pogrzebie.

Zmierałem na spotkanie z Alanem Howe'em, starym znajomym, a zarazem

człowiekiem, który wprowadził mnie w fascynujące zawilności futbolu australijskiego. Poznałem go prawie 20 lat temu, kiedy pracowałem w Londynie w dziale gospodarczym „Timesa”, a on był świeżo zatrudnionym młodzieniaszkiem z drugiej półkuli. Ja miałem za sobą kilka miesięcy pracy. Nie powiem, że Alan miał mleko pod nosem, ale nadal nosił mundurek zuchowy.

Wziąłem go pod swoje skrzydła jako bratniego przybysza z kolonii brytyjskiej i nauczyłem go wszystkiego, co wiedziałem, czyli trzech rzeczy: że nazwę ubezpieczyciela Lloyd’s pisze się z apostrofem, a nazwę banku Lloyds bez, że dywiz w nazwie firmy Rio Tinto-Zinc jest dziwnie zlokalizowany oraz że stołówka znajduje się w podziemiu. W tamtych czasach to wystarczało, żeby pracować w dziale gospodarczym gazety.

Alan Howe szybko się uczył i po krótkim czasie wszystkich nas prześcignął. Pamiętam, że spierałem się kiedyś z kolegą, czy „c/z” znaczy „całkiem zacne” czy „całkiem złe”. Kiedy Howe nam wytłumaczył, że chodzi o wskaźnik cena/zysk, czyli powszechnie stosowany miernik wartości akcji notowanego na giełdzie przedsiębiorstwa wyliczany przez podzielenie aktualnej ceny łącznej kapitalizacji spółki przez jej zysk z ostatnich 12 miesięcy, wiedziałem, że ten facet daleko zajdzie. I się nie zawiodłem. Po udanym okresie pracy w „Timesie” wrócił do Australii, gdzie został wschodzącą gwiazdą na firmamencie Murdocha. W 1990 roku mianowano go redaktorem naczelnym „Sunday Herald Sun” i do dzisiaj kieruje tą wysokonakładową gazetą. Kiedy go sobie przypominam, jak siedzi w „Timesie” w niebieskiej koszuli i chuście pod szyją, moje stare serce pęcznieje z dumy.

Alan i jego żona Carmel Egan, urocza i spokojna kobieta, mieszkają w południowym Melbourne w cudownym, starym domu, w którym kiedyś mieściła się rzeźnia. Spóźniłem się na spotkanie z powodu małego eksperymentu, który niechcący przeprowadziłem — sprawdziłem mianowicie, czy można znaleźć określony adres w Melbourne, posługując się planem miasta. Odpowiedź brzmi: tak, ale zajmuje to sporo czasu.

— Howie wyszedł pobiegać — wyjaśniła Carmel, która mnie wpuściła.

— Pobiegać?

Nie zdołałem ukryć zaskoczenia: znałem Howe'a od lat i wiedziałem, że jedyną dyscypliną sportu, jaką uprawia, jest picie na stojąco. Poza tym należał do tych niespokojnych, kipiących energią ludzi, którzy są organicznie niezdolni do tycia. Potrzebował biegać tak samo jak ja potrzebowałem zwiększyć wydatki na studia moich dzieci.

— Chodzi o serce — dodała.

Spojrzałem na nią przerażony.

— Alan ma problemy z sercem?

— Ależ skąd! — zaśmiała się. — Po prostu niedawno odkrył jego istnienie.

Natychmiast zrozumiałem. Howe należał do największych hipochondryków świata. Od lat przechodził od narządu do narządu, święcie przekonany, że jeden z nich ma zamiar obarczyć go wielkim cierpieniem i niewyobrażalnymi kosztami. Spędzał mnóstwo czasu na wymacywaniu podejrzanych zgrubień, a potem dostosowywał swój styl życia do dokonanych odkryć.

Carmel i ja wypiliśmy więc herbatę i ja opowiadałem jej wzruszające anegdoty o jej mężu z tych odległych londyńskich czasów, kiedy go jeszcze nie znała: jak nauczyłem go używać mydła i nosić skarpetki do pary, jak pomogłem mu znaleźć terapię przyspieszającą zstąpienie jąder — typowe męskie sprawy. Pod koniec historii o zstąpieniu jąder ten wybitny człowiek wszedł do domu, wściekle czerwony, zdyszany i spocony.

— Cześć, stary! — wydusił takim tonem, jakby to były jego przedśmiertne słowa.

— Dobrze się czujesz?

— Genialnie!

— Po co biegasz?

— Pikawa, stary.

— Twojemu sercu nic nie dolega.

— To prawda! — odparł z dumą. — A wiesz dlaczego? Bo o nie dbam.

Pokiwał głową z miną mędrca, który oświecił bliźniego, i ze smutkiem spojrzał

na mój spasiony brzuch.

Na kolację poszliśmy do restauracji za rogiem i gawędziliśmy o milionie spraw — wspólnych znajomych, pracy, mojej podróży, o wszystkim, o czym się rozmawia z od dawna niewidzianymi dobrymi znajomymi. W pewnym momencie Howe wspomniał w przelocie, że kiedy uprawiał ostatnio boogie-boarding w Byron Bay, widział rekina.

— Naprawdę? — spytałem przejęty.

Skinął głową.

— Całkiem spory, miał ze trzy metry.

— Blisko był?

— Dosyć. Mógłbym go dotknąć, gdybym się postarał.

— I co zrobiłeś?

— Wykonałem strategiczny odwrót. A co myślałeś?

— Nie bałeś się?

Zrobił entuzjastyczną minę, jakbym mu uświadomił interesującą kwestię.

— Tak, trochę.

— Trochę?

— No! — odparł ze szczerego serca, tak jakby „trochę” to było maksimum dozwolone w Australii — i chyba faktycznie jest.

Uruchomiło to serię nostalgicznych wspomnień o prawie śmiertelnych spotkaniach ze zwierzętami. Każdy Australijczyk dysponuje bogatą skarbnicą takich anegdot — konfrontacja z krokodylem w Queenslandzie, nadeptanie na jadowitego węża, przebudzenie z widokiem na redbacka zjeżdżającego na pajęczej nici w stronę twojego nosa... Australijczycy są tutaj trochę nielogiczni: połowę wieczoru poświęcają na przekonywanie, że niebezpieczeństwa w ich kraju są zdecydowanie wyolbrzymiane, a drugą połowę na opowiadanie historii o tym, jak wujek Bob jechał pół roku temu do Mudgee i nagle spod deski rozdzielczej wypełzł wąż tygrysi i ukąsił go w krocze, ale wszystko skończyło się dobrze, bo już go odłączyli od respiratora i może się porozumiewać ze światem, mrugając powieką.

Oczywiście słuchałem tego wszystkiego z wytężoną uwagą.

— Więc co to za historia z krokodylem? — spytałem podekscytowany.

Howe poczęstował mnie lekko zakłopotanym uśmiechem.

— Carmel i ja byliśmy na wakacjach w Queenslandzie, w Port Douglas. Pewnego dnia postanowiliśmy... — Na widok spojrzenia Carmel poprawił się: — ...postanowiłem pożyczyć małą łódź i popłynąć na ryby.

— W delcie pełnej krokodyli — sprecyzowała Carmel. — Alan był zbyt skąpy, żeby wynająć dużą łódź z przewodnikiem, więc popłynęliśmy sami w małej łódce. Bardzo małej.

— No więc wzięliśmy tę bardzo małą łódź — przyznał z wielkodusznym skinieniem głowy — z małym silnikiem i wypłynęliśmy na deltę licznie zamieszkaną przez krokodyle. Na wodzie był tłok, ale ja zauważyłem odnogę i pomyślałem: „Tam spróbujemy”. Odnoga okazała się rzeką, na dodatek przepiękną. Płyniemy sobie tą rzeką i jest po prostu cudownie, kwintesencja tropikalnego rajku — wielka zielona rzeka, dżungla w tle, kolorowe ptaki fruwiąją pośród drzew. Wyobrażasz sobie. I najlepsza sprawa: na horyzoncie żywej duszy. Mamy to wszystko wyłącznie dla siebie. Znajduję idealne miejsce, gaszę silnik i zaczynamy łowić, odprężeni i zachwyceni. Nagle Carmel pokazuje na wydeptane błotniste miejsce na brzegu i uświadamiamy sobie, że krokodyle wchodzą tutaj do wody. To nie może być nic innego. Po chwili zauważamy, że takich miejsc jest w pobliżu mnóstwo. Zaczyna nam świtać, że może dlatego nikt się nie zapuszcza w tę odnogę: roi się tutaj od krokodyli. Ledwo zdążyliśmy wyciągnąć ten ważny wniosek, po jednej stronie rozległo się chlupnięcie, jakby coś ciężkiego wpadło do wody, a potem widzimy linię na wodzie, która sunie w naszą stronę.

— O la la!

— Dokładnie to samo sobie pomyślałem, Bryson — odparł z szerokim uśmiechem.

— I co zrobiłeś?

— Jak przystało na doświadczonego wodniaka, przyskoczyłem do silnika, żeby jak najszybciej nas stamtąd wydostać, ale silnik nie chciał zapalić.

— W tym czasie — wtrąciła się Carmel — ja siedzę z tyłu łodzi, patrzę, jak ta

linia zbliża się do nas i mówię: „Alan, krokodyl płynie w naszą stronę. Wynośmy się stąd, chłopie. Co ty na to?”.

— Ja ciągnę za linkę, ciągnę i ciągnę, a silnik tylko robi pyr, pyr, pyr. Krokodyl cały czas płynie. W końcu silnik zapala i jesteśmy w stanie się stamtąd wydostać. Tyle tylko że łódź jest skierowana w górę rzeki, czyli w kierunku przeciwnym do tego, w którym chcemy płynąć. Krótko mówiąc, po licznych brawurowych manewrach, kilku gwałtownych spotkaniach z brzegiem i ożywionej dyskusji na temat „Umrzemy i to wszystko twoja wina” zawróciliśmy. Trzeba jednak pamiętać, że po drodze do delty czeka na nas krokodyl.

— Gdzie on teraz jest?

— Nie mam pojęcia. Nie widać go. Gdzieś jest, ale nie wiemy gdzie. Może nawet tuż koło nas, ale woda jest tak mętna, że widać tylko na kilka centymetrów w głąb. Wiemy natomiast, że krokodylom zdarza się atakować łodzie.

— Zwłaszcza małe łodzie dla skąpców — dorzuciła Carmel z uśmiechem.

Alan odwzajemnił uśmiech.

— Dodaję więc gazu i łódź pyrkocze z prędkością mniej więcej kilometra na godzinę, ponieważ, muszę przyznać, rzeczywiście jest to bardzo mała i tania łódź. Mamy zatem do pokonania jakieś pół kilometra krokodylowego terytorium z prędkością żółwia i cały czas spodziewamy się, że poczujemy huknięcie o kadłub i wpadniemy do wody. To było trochę stresujące.

— Wiedzieliście — wtrąciłem — że odgłos silnika motorówki brzmi dla krokodyla jak warkot innego krokodyla wyznaczającego swoje terytorium? Podobno dlatego krokodyle tak często atakują małe łódki.

Spojrzeli na mnie osłupiali. Rzadko się zdarza, żeby cudzoziemiec nastraszył australijskich słuchaczy, ale właśnie przeczytałem książkę o krokodylach.

— Bardzo się cieszę, że tego nie wiedziałam w Port Douglas — powiedziała z drżeniem Carmel.

— Ale wróciliście bezpiecznie do portu? — spytałem.

Alan skinął radośnie głową.

— Popłynęliśmy w dół rzeki, przecięliśmy deltę i wysiedliśmy z łodzi, jeszcze

zanim dotknęła kei. Zgadnij, ile czasu spędziliśmy w tej łódce — powiedział ze złośliwym uśmiechem. — Podpowiem ci, że wypożyczyliśmy ją na pół dnia.

Zasygnalizowałem, że przekracza to moje możliwości.

Alan pochylił się ku mnie cały rozpromieniony.

— Dwadzieścia dziewięć minut — zakomunikował z głęboką dumą. — Ten facet powiedział, że to był absolutny rekord.

— Moje gratulacje.

— Jeszcze jeden wspaniały wyczyn rodu Howe'ów.

Naprawdę tak myślał.

Następnego dnia Howe musiał wydać gazetę, a Carmel zaproponowała, że pokaże mi miasto. Koło dziesiątej pojechaliśmy do centrum odstawić mój wypożyczony samochód, zrobić zakupy i rozejrzeć się. Kiedy szukaliśmy miejsca do parkowania na Chapel Street i Carmel opowiadała mi o swojej pracy — jest korespondentką „News International” z Melbourne — nagle zawołała:

— Patrz, Jim Cairns!

Wskazała na niskiego starszego pana, który przechodził przez ulicę, niosąc krzesło i składany stolik. Był nieco sfatygowany, ale poza tym wyglądał zupełnie normalnie.

— Był wicepremierem w rządzie Whitlama — poinformowała mnie. Sprawdziłem, czy nie robi mnie w konia, ale miała poważną minę. — Tam sprzedaje swoją autobiografię.

Pokazała na małą halę targową, w której handlowano warzywami.

— Sprzedaje książki — swoją książkę — ze składanego stolika?

Uśmiechnęła się, pogodnie dając mi do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę z tego, iż cudzoziemiec może poczuć się odrobinę zdziwiony.

— Po prostu chce trochę dorobić do emerytury.

Chodziło o człowieka, który jeszcze nie tak dawno sprawował drugi urząd w kraju. To tak, jakby Walter Mondale ustawił stolik w galerii handlowej w Minneapolis, żeby sprzedawać podkładki pod napoje i inne pamiątki z Białego

Domu.

— Robi to regularnie?

— O tak, należy do wyposażenia lokalu. Chcesz go poznać?

— Bardzo.

Znaleźliśmy miejsce i zaparkowaliśmy, ale kiedy dotarliśmy do hali targowej, Jima Cairnsa już tam nie było. Najwyraźniej zmierzał do domu, kiedy go widzieliśmy.

— Myślę, że czasem interes kręci się powoli — powiedziała Carmel ze współczuciem. — Cairns już bardzo długo sprzedaje swoją książkę.

Skinąłem głową i nie po raz pierwszy nasza mnie refleksja, że Australia jest dziwnym, małym i odległym krajem.

Wybieraliśmy się do Muzeum Imigracji, ale droga prowadziła obok nowego Crown Casino, świątyni hazardu. Mieszkańcy Melbourne albo jej nie znoszą, bo jest tandetna i trwoni się tam oszczędności, albo ją kochają, bo jest tandetna i czasem wypłaca dużą kasę.

— Chcesz rzucić okiem? — zapytała Carmel.

Zawahałem się — miałem poczucie, że hazardową ciekawość zaspokoilem w klubie Penrith Panthers w Sydney podczas pierwszej wizyty — ale Carmel dodała z nietypowym jak na nią przekonaniem:

— Myślę, że cię to zainteresuje.

Weszliśmy do środka.

Miała absolutną rację. Kasyno było niesamowite, gigantyczne — Penrith to przy nim pikus — i ociekające zdobieniami. W strzelistym atrium odbywał się pokaz animacji z rozgorączkowanymi laserami, syntezytatorową muzyką i mnóstwem dymu (służącemu pewnie lepszemu pokazaniu tańczących promieni), ale prawie nikt nie patrzył. Poważne sprawy toczyły się we wnętrzu, które było nie mniej bogato udekorowane i ciągnęło się bez końca. Gwarantuję, że facet, który wygrał przetarg na położenie dywanu w Crown Casino, był ustawiony finansowo na resztę życia: przejście z jednego końca sali na drugi trwało 20 minut. Zafrapowała mnie liczba klientów i wielka koncentracja, z jaką grali. Mimo wczesnopopołudniowej pory

około dwóch tysięcy hazardzistów znajdowało się już na stanowiskach. Prawie wszystkie stoły i automaty były w użyciu. Nigdy nie widziałem takiej ciżby poza Las Vegas, przy czym w Las Vegas mnóstwo ludzi przychodzi tylko pokręcić się i popatrzeć. Tutaj ludzie mieli tylko jedną motywację: wygrać. Przy jednym ze stołów z ruletką widziałem mężczyznę, który porozkładał po całej tarczy ze 20 żetonów, wszystkie stracił, po czym wyjął z portfela 20 banknotów pięćdziesięciodolarowych, żeby dokupić kolejne. Bardzo powoli (Australia jest takim tygłem etnicznym, że takich rzeczy nie zauważa się od razu) uświadomiłem sobie, że ten człowiek i przeważająca większość innych klientów to Chińczycy. Strój wskazywał na kelnera czy kucharza — w każdym razie nie na człowieka, który może sobie pozwolić na przegranie tysiąca dolarów podczas jednej sesji. Wspomniałem o tym Carmel, która pokiwała głową.

— Szaleństwo, ile przegrywają — szepnęła ze smutnym uśmiechem. — To jest wielki biznes. Obroty wynoszą miliard dolarów rocznie. Wiktoria czerpie z hazardu piętnaście procent dochodów.

Czyli setki milionów dolarów.

— To ile kasyn jest w tym stanie?

— Tylko to, w którym teraz stoisz.

Muzeum Imigracji, po drugiej stronie rzeki Yarra w okazałym gmachu dawnej izby celnej, stanowiło spokojny i bardziej intelektualny kontrast wobec kasyna. Otwarto je całkiem niedawno i wciąż jeszcze błyszczało nowością. Alan Howe szczególnie palił się do jego zwiedzenia, ponieważ należał do inicjatorów tego przedsięwzięcia. Z racji tego, że doświadczenie imigracyjne w dużym stopniu pokrywa się z historią Australii, jest to w gruncie rzeczy muzeum historii społecznej tego kraju — w tej kategorii bezapelacyjnie najlepsze ze wszystkich, w jakich byłem.

W ogromnej sali centralnej ekspozycja przybiera postać statku oceanicznego. Repliki kajut i rozmaite historyczne rekwizyty mają za zadanie odtworzyć realia życia pokładowego imigrantów w różnych epokach. Szczególnie podobała mi się

część poświęcona latom pięćdziesiątym. Ponieważ wychowywałem się parę tysięcy kilometrów od morza i ominęła mnie epoka wielkich liniowców, zawsze odczuwałem romantyczną tęsknotę za podróżami morskimi. Nic zatem dziwnego, że ekspozycja mnie zafascynowała i dokładnie studiowałem wszystkie trywialne szczegóły życia na pokładzie — ślęczałem nad jadłospisem sprzed 40 lat, jakbym sam musiał wybrać między kotletami baraniami i duszoną wołowiną, wyobrażałem sobie moje książki i przybory toaletowe na półce obok koi, zastanawiałem się, czy na popołudniową potańcówkę powinienem włożyć koszulę z etykietkami bagażowymi czy może z hawajskimi ananasami.

Nie miałem świadomości — a raczej nigdy nie pochyliłem się nad tym tematem — jak wielką inwestycję w kategoriach czasowych i finansowych stanowiła w tamtej epoce podróż do Australii. Na początku lat pięćdziesiątych bilet lotniczy w obie strony z Australii do Anglii kosztował tyle co czteropokojowy dom na przedmieściach Melbourne czy Sydney. W 1954 roku, kiedy linia Qantas wprowadziła większe samoloty Lockheed Super Constellation, ceny zaczęły spadać, ale pod koniec dekady podróż do Europy i tak kosztowała tyle co nowy samochód. Połączenia nie były szczególnie szybkie ani wygodne. Super constellation leciał do Londynu, a samolot miał za małą moc i zasięg, żeby omijać sztormy. Kiedy pojawił się monsun czy cyklon, piloci nie mieli innego wyjścia, jak tylko zapalić lampki „Proszę zapiąć pasy” i zdać się na łaskę żywiołu. Nawet w normalnych warunkach meteorologicznych samoloty leciały na wysokościach, które gwarantowały prawie nieustanne turbulencje. Linia Qantas nazwała ten kurs „trasą kangurową”, chyba bez intencji ironicznej. Według dzisiejszych kryteriów komfortu podróż była męczarnią.

Dla większości imigrantów w latach pięćdziesiątych wyjazd do Australii oznaczał pięciodobną podróż morską. Jeszcze dzisiaj trzeba pozwolić zamknąć się na cały dzień w puszce sardynek ze skrzydłami, żeby tam dotrzeć, toteż Australia wydaje się bardzo odległa, ale to jest nic w porównaniu z czasami, kiedy stałeś na pokładzie statku i patrzyłeś, jak kolejne kontynenty defilują za burzą, i odmierzałeś dystans 20 tysięcy kilometrów w kilwaterze. Uważnie

oglądałem rozpromienione twarze pasażerów, którzy opalali się na leżakach albo spacerowali po smaganym wiatrem pokładzie. Mieli tak samo zachwycone miny jak turyści w Surfers Paradise na zdjęciach w Adelaide. Ci ludzie też byli szczęśliwi — kipieli radością życia. Płynęli do krainy szczęścia i o tym wiedzieli. Czekali na nich słońce, dobra praca, piękne domy, świetlane perspektywy i czajniki elektryczne dla wszystkich. Jechali na wieczne wakacje.

Była to fascynująca epoka w dziejach Australii. W latach pięćdziesiątych Australijczykami stały się nie tylko miliony cudzoziemców, ale także — paradoksalnie — sami Australijczycy. Tuż przed wizytą w muzeum przeczytałem, że do 1949 roku nie było czegoś takiego jak obywatelstwo australijskie. Ludzie urodzeni w Australii formalnie nie byli Australijczykami, tylko Brytyjczykami, tak samo jak mieszkańcy Kornwalii czy Szkocji. Ślubowali wierność królowi brytyjskiemu, a kiedy królestwo wstępowało na ścieżkę wojenną, nie wahali się ani chwili: dawali się zabić za Wielką Brytanię na zagranicznych polach bitwy. W szkole uczyli się o brytyjskiej historii, geografii i gospodarce równie pilnie jak młodzież dorastająca w Liverpoolu czy Manchesterze. W jednym z listów do mnie Catherine Veitch napisała, że było to dosyć surrealistyczne, kiedy w latach trzydziestych siedziała w sali szkolnej w Adelaide, za oknami miała płomieniste drzewa waratah (*Telopea*), stada kukabura czy inne australijskie osobliwości i wkuwała na pamięć wysokość szczytów górskich w Szkocji czy dane na temat zbiorów jęczmienia w Anglii Wschodniej.

Australijczycy dostrzegali absurdalność tej sytuacji, ale Wielka Brytania była wszystkim, co mieli. „Australijczycy z mojego pokolenia dorastali w szczególnym świecie — napisał historyk Alan Moorehead. — Zanim wyjechaliśmy za granicę, nigdy nie widzieliśmy pięknego budynku, rzadko słyszeliśmy obce języki, nie byliśmy na dobrze zagranej sztuce teatralnej, nie jedliśmy wyrafinowanych potraw ani nie byliśmy na dobrym koncercie muzyki poważnej”. Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że miliony Australijczyków, z których większość nigdy nie wyjechała za granicę, uważały Anglię za swoją prawdziwą ojczyznę. Jeszcze w 1957 roku, w powieści *Ostatni brzeg*, w której Australia jako jedyne miejsce na

świecie przetrwała wojnę atomową, autor Nevil Shute każe swojej bohaterce powiedzieć: „W marcu miałam pojechać do domu. Do Londynu. Załatwiałam to przez wiele lat. To takie cholernie niesprawiedliwe”. Mówiąc „dom”, ma na myśli kraj, w którym nigdy nie była i nie będzie.

Kiedy Nevil Shute pisał tę powieść, Australia stawała się już jednak zupełnie innym krajem. Druga wojna światowa przyniosła z sobą brutalną traumę, kiedy po utracie Birmy i Singapuru Wielka Brytania wycofała się z Dalekiego Wschodu, zostawiając Australię osamotnioną i prawie bezbronną. W tym samym czasie Winston Churchill, człowiek fascynująco bezwstydnym, rozkazał australijskim dowódcom wojskowym przerzucenie żołnierzy do Indii — czyli zostawienie żon i dzieci, aby pójść na odsiecz imperium brytyjskiemu. Australijczycy odmówili. Postanowili, że będą utrudniali życie wojskom japońskim na Nowej Gwinei.

Poza samymi Australijczykami mało kto ma świadomość, jak bliscy inwazji na Australię byli Japończycy. Zajęli większość Wysp Salomona i większość Nowej Gwinei (oddalonej o sto kilkadziesiąt kilometrów od północnych wybrzeży Australii) i szykowali się do desantu. Wiedząc, że sytuacja jest beznadziejna, dowództwo australijskie przygotowało plan wycofania się na południowy wschód, czyli oddania bez walki prawie całego kraju i próby obrony największych miast, co mogło w najlepszym razie opóźnić klęskę. Na szczęście zwycięstwo Amerykanów pod Midway i Australijczyków w prowincji Nowej Gwinei Milne Bay oddaliło niebezpieczeństwo japońskie.

Australia ocalała skórę, ale zostały jej dwie blizny: świadomość, że w sytuacji podbramkowej nie można liczyć na Wielką Brytanię, oraz poczucie zagrożenia ze strony niestabilnych krajów, od których roило się na północy. Obie te sprawy miały i do dzisiaj mają ogromny wpływ na powojenne życie polityczne. Australię ogarnęło przekonanie, że musi się zaludnić albo umrzeć — że jeśli nie zapełni tych wszystkich pustych przestrzeni, ktoś z zewnątrz może zrobić to za nią. Po wojnie Australia otworzyła więc na oścież wszystkie drzwi. W ciągu półwiecza po 1945 roku liczba ludności wzrosła z 7 do 18 milionów.

Sama Wielka Brytania nie mogła dostarczyć takiego kontyngentu imigrantów,

toteż z otwartymi ramionami przyjmowano ludzi z całej Europy, zwłaszcza Grecji i Włoch, dzięki czemu kraj stał się znacznie bardziej kosmopolityczny. Nagle w Australii zaroiło się od ludzi, którzy lubili wino, dobrą kawę, oliwki i bakłażany, a także uświadomili swoim sąsiadom, że sos do spaghetti nie musi być jaskrawopomarańczowy i pochodzić z puszki. Zmieniła się cała struktura i rytm życia. Stworzono rady dobrosąsiedzkie, które pomagały imigrantom w asymilacji, a publiczne radio nadawało kurs języka angielskiego, którego z entuzjazmem słuchały dziesiątki tysięcy przybyszów. W 1970 roku kraj mógł się pochwalić 2,5 milionami „nowych Australijczyków”, jak ich nazywano.

Oczywiście nie obyło się bez problemów. W tej gorączce zasiedlania kraju niektórych imigrantów przyjmowano trochę bezrefleksyjnie. W latach 1947-1967 organizacje charytatywne takie, jak Armia Zbawienia, Barnardo's i Christian Brothers, wysłały do Australii co najmniej 10 tysięcy dzieci w wieku od czterech lat. Idea była szlachetna — uważano, że dzieci będą miały szansę na lepsze życie w ciepłym, słonecznym kraju z niedoborem siły roboczej — ale jej realizacji często brakowało subtelności. Zdarzało się, że na zawsze rozdzielano rodzeństwa, a wiele spośród dzieci nie miało pojęcia, co się z nimi dzieje. W książce *Orphans of the Empire* Alan Gill przytacza wiele tego typu historii, na przykład o chłopcu, który po wyjściu statku z portu w Londynie zapytał, czy zdążą na kolację.

Poza tym nadal obowiązywała polityka białej Australii, która pozwalała urzędnikom imigracyjnym wydalić wszystkie osoby uznane za niepożądane, poddając je testowi na umiejętność czytania i pisanie w dowolnym języku europejskim (w jednym słynnym przypadku wybrano szkocki gaelicki), a osoby o kolorze skóry innym niż biały bez litości deportowano. Na początku lat pięćdziesiątych minister do spraw imigracji Arthur Calwell usiłował usunąć z kraju urodzoną w Indonezji wdowę po obywatelu australijskim i jej ośmioro dzieci. Największą cnotą Australijczyków jest jednak poczucie sprawiedliwości i powszechnej równości, toteż sprawa ta wywołała wielkie oburzenie. Sądy powiedziały Calwellowi, żeby puknął się w czoło, i polityka brutalnego wykluczania zaczęła się sypać. Około 1970 roku, kiedy Australia uświadomiła

sobie, że jest krajem azjatyckim, a nie europejskim — przynajmniej w sensie geograficznym — bariera rasowa runęła i wpuszczono setki tysięcy imigrantów z całego regionu. Dzisiaj Australia należy do najbardziej wielokulturowych krajów świata. Jedna trzecia mieszkańców Sydney urodziła się za granicą, cztery najpopularniejsze nazwiska w Melbourne to Smith, Brown, Jones i Nguyen, a prawie jedna czwarta całej ludności nie ma brytyjskich przodków po żadnej stronie. Dla milionów ludzi naprawdę była to szansa na nowe życie, przyjmowana na ogół z wdzięcznością.

W ciągu jednego pokolenia Australia zmieniła swoje oblicze. Z zapomnianej byłej kolonii brytyjskiej, prowincjonalnej, nudnej i kulturowo zależnej, stała się krajem nieporównanie bardziej wyrafinowanym, pewnym siebie, ciekawym i otwartym na świat. Ponadto przemiana ta nastąpiła bez większych sporów, zaburzeń i poważnych błędów, a często z niemałym wdziękiem.

Tak się złożyło, że kilka dni wcześniej oglądałem w telewizji dokument o doświadczeniu imigracyjnym w latach pięćdziesiątych. Wypowiadał się tam między innymi człowiek, który jako nastolatek przyjechał do Australii z Węgier po tamtejszym powstaniu. Na drugi dzień po przybyciu zgodnie z poleceniem udał się na najbliższy posterunek policji i łamaną angielszczyzną wyjaśnił, że jest imigrantem i chciałby się zameldować. Sierżant przyglądał mu się przez chwilę, po czym wstał zza biurka i podszedł do niego. Spanikowany Węgier pomyślał, że policjant chce go uderzyć, ale sierżant wyciągnął do niego mięsistą dłoń i powiedział:

— Witamy w Australii, synu.

Człowiek ten do dzisiaj wspomina tę historię ze wzruszeniem i miał łzy w oczach, kiedy skończył.

Mówię wam ze szczerego serca: to jest wspaniały kraj.

Rozdział jedenasty

Carmel wychowywała się na farmie we wschodniej Wiktorii na południowym krańcu Wielkich Gór Wododziałowych, w przepięknej krainie zielonych łąk z błękitnymi wzgórzami w tle. Howe, mieszcuch z urodzenia, dla którego busz był monotonnym odludziem pełnym stworzeń zagrażających życiu, z poczucia matrymonialnego obowiązku pojechał odwiedzić rodziców wybranki i zakochał się w farmie od pierwszego wejrzenia — do tego stopnia, że razem z Carmel kupili kawałek ziemi na sąsiednim zboczu, przywieźli tam gotowy drewniany dom i postawili go w miejscu z rozległymi widokami na góry, lasy i farmy. Howe od lat z nieco nużącym zachwytem powtarzał, że musi mnie tam zabrać, więc następnego dnia, zaprowiantowani po sam dach, ruszyliśmy na trzygodzinną przejażdżkę do tej rustykalnej idylli.

„Busz” jest w Australii pojęciem bardzo ogólnikowym, toteż nie wiedziałem, czego się spodziewać, ale kiedy opuściliśmy przedmieścia Melbourne, stało się oczywiste, że wschodnia Wiktorii należy do najbardziej pobłogosławionych przez naturę zakątków naszej planety — bardziej zielonym od wszystkich obszarów Australii, które do tej pory widziałem, i mającym za tło góry o całkiem prestiżowej wysokości. Droga z ujmującym brakiem zdecydowania wiała się pośród łąk i sympatycznych miejscowości. Howe ze wzruszającą dumą włożył na głowę niedawno zakupiony korkowy kapelusz. To nakrycie głowy sprawiło, że kiedy zatrzymywaliśmy się, żeby zatankować benzynę albo wypić kawę, Carmel i ja informowaliśmy wytrzeszczających oczy ludzi, że zabraliśmy nieszczęśnika na wycieczkę i wieczorem odstawimy go do domu wariatów. Poza tym podróż minęła bez większych przygód.

Dom Alana i Carmel stoi odosobniony na zboczu stromego wzgórza. Panoramiczny widok na malowniczą dolinę z uprawami tytoniu i winnicami skojarzył mi się z obrazkami z książeczki dla dzieci. Z tym że aby mieć taki widok, trzeba wleźć na bardzo wysoką fasolową tykę.

— Niezłe, co? — powiedział Howe.

— O wiele za piękne dla kogoś w takim kapeluszu. Jak się nazywa to miejsce?

— King Valley. Ojciec Carmel uprawiał tam na dole ziemię.

Pejzaż ten przypominał mi krajobrazy amerykańskiego artysty Granta Wooda — łagodne zbocza wzgórz, falujące pola, korpulentne drzewa — przedstawiające wyidealizowane Iowa, które nigdy nie istniało. Tutaj istniało.

Howe otworzył drzwi, po czym przystąpili z Carmel do idealnie zsynchronizowanego rytuału otwierania okien, włączania bojlera i chowania prowiantu. Pomagałem nosić rzeczy z samochodu, sprawdzając przy każdym kroku, czy nie nadepnąłem na węża. Potem poszedłem na taras, aby porozkoszować się widokiem. Po chwili dołączył do mnie Howe z dwiema puszkami zimnego piwa, z których jedną podał mnie. Chyba nigdy nie widziałem go tak odprężonego. Litościwie zdjął kapelusz.

Wypił łyk piwa, a potem zaczął opowiadać gawędziarskim tonem:

— Kiedy poznałem Carmel, bez przerwy mówiła o tym, że chciałaby kupić tutaj kawałek ziemi i postawić na nim dom, a ja myślałem sobie: „Tak, kochanie...”. No bo kto chciałby mieć dom pośród buszu ze wszystkimi kosztami, zagrożeniem pożarowym i tak dalej? A potem pewnego dnia przyjechaliśmy odwiedzić jej rodzinę i po jednym spojrzeniu powiedziałem: „Dobra, to gdzie mam się podpisać?”. Niewiele później jej starzy chcieli sprzedać cały kram i przeprowadzić się do Ballarat, więc kupiliśmy ten kawałek ziemi, który z radością nam sprzedali, bo jest za stromy, żeby uprawiać tutaj rolę, i postawiliśmy dom. — Ruchem głowy pokazał w stronę kuchni, gdzie krzątała się Carmel, nucąc pod nosem. — Uwielbia tu być. Ja zresztą też. Nigdy nie sądziłem, że kiedyś powiem, że Kocham wieś, ale tutaj można naprawdę odpocząć od tego wszystkiego.

— Czy pożary buszu są wielkim zmartwieniem?

— Są, kiedy się wydarzą. Czasem osiągają kolosalne rozmiary. Eukaliptusy lubią się palić. To jest element ich strategii, metoda rywalizacji z innymi roślinami. Są pełne olejku i jak się zapalą, to diabelnie ciężko się je gasi. Duży pożar przemieszcza się z prędkością stu kilometrów na godzinę, a płomienie skaczą na

pięćdziesiąt metrów do góry. Mówię ci, niesamowity widok.

— Jak często to się zdarza?

— Takie naprawdę duże raz na dziesięć lat. W 1994 roku spłonęło sześćset tysięcy hektarów i ogień dotarł na przedmieścia Sydney. Mieszkałem tam wtedy i z jednej strony cały horyzont był przesłonięty dymem. Palilo się przez wiele dni. Największy był w 1939 roku. Ludzie do tej pory o nim opowiadają. Wybuchł podczas takiej fali upałów, że manekiny w witrynach sklepowych zaczęły się topić. Wyobrazasz sobie? Spłonęła większość Wiktorii.

— Jak duże ryzyko jest tutaj?

Filozoficznie wzruszył ramionami.

— Wszystko jest w rękach bogów. Może wybuchnąć w przyszłym tygodniu, za dziesięć lat albo nigdy. — Uśmiechnął się do mnie dziwnie. — W tym kraju jesteśmy całkowicie zdani na łaskę natury, stary. Takie jest życie. Ale jedno ci powiem: wiedząc, że to wszystko w każdej chwili może pójść z dymem, człowiek jeszcze bardziej to ceni.

Howe należy do ludzi niemogących znieść widoku osoby, która śpi po wschodzie słońca zamiast cieszyć się życiem. Następnego dnia wcześniej rano obudził mnie komunikatem, że zaplanował bogaty program dnia. Przez jedną straszną chwilę sądziłem, że będziemy kłaść dachówki, wykopywać głazy czy coś w tym rodzaju, ale potem Howe wyjaśnił, że dzień będzie poświęcony Nedowi Kelly'emu. Był dumny jak paw z faktu, że Kelly pochodził z tych rejonów Wiktorii, i chciał mi pokazać kilka miejsc związanych z krótkim i burzliwym życiem tego rozbójnika. Ta perspektywa wydała mi się trochę bardziej obiecująca.

W tym miejscu warto przytoczyć pewien interesujący fakt, który dobrze ilustruje australijski charakter narodowy: naród ten nigdy nie wydał z siebie bohatera, który byłby obrońcą prawa, takiego jak Wyatt Earp czy Bat Masterson w Ameryce. Wszyscy australijscy bohaterowie ludowi są czarnymi charakterami pokroju Billy'ego Kida. Tutaj nazywa się ich *bushrangers*, a najsłynniejszym z nich był Ned Kelly.

Jego historię można streścić następująco: był brutalnym mordercą, który zasługiwał na powieszenie i w końcu został powieszony. Pochodził z rodziny nieokrzesanych irlandzkich kolonistów, którzy żyli z kradzieży bydła i zasadzania się na podróżnych. Jak większość *bushrangers* Kelly kreował się na obrońcę uciśnionych, ale tak naprawdę w jego charakterze i postępowaniu nie było ani śladu szlachetności. Zabił wielu ludzi, często mordował z zimną krwią, a czasem bez widocznego powodu.

W 1880 roku, po latach ukrywania się przed wymiarem sprawiedliwości, razem ze swoją małą bandą (bratem i dwoma innymi ludźmi) schronił się w Glenrowan, wsi u podnóża Warby Range w północno-wschodniej Wiktorii. Kiedy policja uzyskała taką informację, zmontowała dużą ekipę pościgową i wyruszyła po niego. W annałach ataków z zaskoczenia ten nie zapisał się zbyt wielkimi literami. Przybycie policji (przyjechali popołudniowym pociągiem) poprzedziła wiadomość o jej przyjeździe i tysiące ludzi zgromadziły się na ulicach i dachach, żeby pokibicować strzelaninie. Funkcjonariusze zajęli stanowiska i natychmiast zaczęli dziurawić kryjówkę Kelly'ego kulami. Członkowie bandy odpowiedzieli pięknym za nadobne i wymiana ognia trwała całą noc. O świcie, korzystając z chwili przerwy, Ned Kelly wyszedł na zewnątrz w oryginalnym, by nie rzec groteskowym stroju, a mianowicie w domowej roboty zbroi — ciężkim cylindrycznym hełmie, który przywodził na myśl odwrócone wiadro, oraz napierśniku osłaniającym tors i krocze. Pancierz nie zabezpieczał dolnych partii ciała, więc jeden z policjantów postrzelił Kelly'ego w nogę. Zraniony na ciele i miłości własnej rozbójnik pokuśtykał do pobliskiego lasu, ale został szybko schwytany. Zawieziono go do Melbourne, szybko skazano i stracono. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Takie jest życie”.

Powiecie, że nie jest to materiał na legendę, ale w swojej ojczyźnie Kelly cieszy się wielkim poważaniem. Sidney Nolan, jeden z najbardziej cenionych artystów australijskich, namalował serię obrazów poświęconych życiu Kelly'ego, powstał też cały szereg książek na jego temat. Nawet poważni historycy przypisują mu znaczenie, które osobie z zewnątrz może się wydawać nieproporcjonalnie duże. Na

przykład Manning Clark w swojej jednotomowej historii Australii poświęca jeden akapit założeniu Canberrę, dwie strony powstaniu federacji i dziewięć stron życiu i osiągnięciom Neda Kelly'ego. Fragmenty o Kellym należą do najbardziej kwiecistych i bełkotliwych w całej książce, a u tego autora poprzeczka zawsze jest zawieszona bardzo wysoko. Manning Clark, kiedy jest w formie, olśniewa swoim stylem, na przykład nie nazywa księżycy księżycem, skoro może się posłużyć określeniem „żółte oko”. Kelly wyniósł Clarka na podniebne szczyty liryzmu, na których zongluje on niezgłębionymi, kosmicznymi aluzjami. Oto fragment jego opisu wyjścia Kelly'ego z kryjówek po nocnej strzelaninie:

W półświecie, które spowijało wschodni horyzont przed pojawieniem się tej czerwonej tarczy [tj. słońca], wysoka postać, okutana w zbroję, wyłoniła się z mgieł i strzępów mroźnego powietrza. Niektórzy myśleli, że to szaleniec lub upiór. Inni sądzili, że widzą Diabła, atmosfera roznieciła bowiem w obu obozach „zabobonny lęk”.

Osobiście uważam, chociaż nie mam na to żadnych dowodów, że Manning Clark brał za dużo kodeiny. Oto kolejna próbka jego soczystej, natchnionej prozy, wyjątek z bardzo długiego fragmentu o historycznej spuściźnie Kelly'ego:

Żył jako człowiek, któremu udało się zburzyć spokój burżuazyjnego życia rykiem wybijającej dionizyjskiej frenezji, człowiek, który usunął możnych z posad i puścił bogatych z torbami. Żył jako człowiek, który masakrował policjantów zgodnie ze starą tradycją skazańców, człowiek piętnujący brutalne barbarzyństwo tych, którzy ubierali swój sadyzm wobec prostego ludu w szaty prawa.

Szacuję, że przemawia tutaj około 2800 miligramów.

Dzisiaj Glenrowan jest miejscowością zorganizowaną wokół jednej ulicy, z paroma knajpami, kilkoma domami i krótkim pasażem z zakładami

wyciskającymi kasę z legendy Kelly’ego. W ten upalny letni dzień w mieście było może kilkunastu turystów, wliczając w to Alana, Carmel i mnie. Największa placówka handlowa, o nazwie „Ostatnia walka Neda Kelly’ego”, była pokryta półprofesjonalnymi szyldami. „To nie jest miejsce dla mięczaków”, komunikował jeden z nich obiecująco. Drugi dodawał: „Czy to nie absurdalne, żebyś zrobił zdjęcia, pochodził ulicą i kupił trochę pamiątek, a potem miał czelność powiedzieć znajomym: »Nie jeźdźcie do Glenrowan, tam nie ma nic do oglądania?« Szczerze mówiąc, gdyby zwiedzającym Glenrowan wylać na głowę zawartość nocnika, większość by tego nie zauważyła”.

Bardziej wnikliwa analiza sugerowała, że w „Ostatniej walce Neda Kelly’ego” pokazują spektakl „animatroniczny”. Alan, Carmel i ja wymieniliśmy radosne spojrzenia: to było miejsce dla nas! Zza kasy powitał nas jowialny jegomość i lekko przygasił nasz entuzjizm informacją, że za wstęp trzeba wybulić 15 dolarów od łebka.

— Ale warto zapłacić te pieniądze? — upewniał się Howe.

— Proszę pana — powiedział mężczyzna ze szczerego serca — to jest lepsze od Disneylandu!

Kupiliśmy bilety i weszliśmy do pogrążonej w półmroku sali, w której miał się zaraz zacząć spektakl. Pomieszczenie było stylizowane na dawny saloon, z ławkami dla publiczności ustawionymi pośrodku. Z trudem wyławialiśmy z ciemności kształty mebli i usadowionych na krzesłach manekinów. Po kilku chwilach światła całkiem zgasły, usłyszeliśmy odgłosy strzelaniny i zaczął się spektakl.

Nazwijcie mnie mięczakiem, wylejcie na mnie zawartość wszystkich nocników w miasteczku, ale ja i tak wam powiem, że rzadko zdarzało się oglądać coś tak cudownie, rozkosznie, kolosalnie fatalnego jak „Ostatnia walka Neda Kelly’ego”. Żeby zobaczyć coś tak tragicznego, warto było zapłacić 15 dolarów. A może nawet więcej. W ciągu następnych 35 minut prowadzono nas przez serię pokojów, w których oglądaliśmy domowej roboty manekiny — z zastygłymi uśmiechami i czupryną, która przywodziła na myśl rozwiane przez wiatr owłosienie łonowe —

bez żadnego ładu i składu odtwarzające różne sceny ze słynnej strzelaniny. Raz na jakiś czas któryś z nich przekręcał sztywno głowę albo szarpał przedramieniem do góry, aby wystrzelić z pistoletu, niekoniecznie w sposób zsynchronizowany z komentarzem. Jednocześnie wokół nas rozgrywała się „animatronika”: puste krzesła chwiały się, drzwi szaf otwierały się i zamykały, pianola zaczynała grać, chłopiec na trapezie (czemu nie?) kołysał się między krokwiemi. Znacie te budy w wesołym miasteczku, gdzie strzela się do różnych celów, żeby otworzyły się drzwi wychodka albo przewrócił się pluszowy kurczak? To było coś w tym stylu, tylko znacznie bardziej debilne. Komentarz był kompletnie bez sensu, w każdym razie w tych miejscach, w których nie zagłuszały go hałasy.

Kiedy w końcu nas wypuszczono na wolność, byliśmy tak zachwyceni, że przez moment rozważaliśmy jeszcze jeden seans, ale 45 dolarów to kupa kasy, a poza tym baliśmy się, że za drugim razem zacznie się z tego przebijać jakiś sens. Poszliśmy więc obejrzeć gigantycznego Neda Kelly’ego z włókna szklanego, który stał przed jednym ze sklepów z pamiątkami. Nie był taki duży i groźny jak Wielki Homar, a jądra nie kolebały mu się na wietrze, ale w kategorii wielkich rzeczy nie wypadł najgorzej. Potem zajrzeliśmy do sklepów i kupiliśmy parę pocztówek, a następnie wróciliśmy do samochodu, żeby wyruszyć na kolejny etap naszej przygody.

Planowaliśmy zobaczyć słynne „drzewo Kelly’ego” w zapadłej miejscowości Stringybark Creek. Długo jechaliśmy dziwną i ponurą doliną, pełną porzuconych farm zarośniętych czernicami, potem znaleźliśmy się w gęstym lesie tropikalnym i wreszcie zewsząd otaczały nas strzeliste *stringybarks*, eukaliptusy z włóknistą korą. W Australii rośnie około 700 gatunków eukaliptusów i część z nich ma bardzo malownicze nazwy — wełnista pupa kakadu, bękarcie drzewo łojowe, kolega bałaganiarz z Gympie, świecokora, eukaliptus upiorny — ale *stringybark* to pierwsze drzewo z tej rodziny, które nauczyłem się rozpoznawać po wyglądzie. Kora schodzi długimi paskami i wisi na gałęziach jak frędzle albo leży na ziemi w poskręcanych kupkach, zapewne po to, żeby lepiej się paliło.

Po kilku kilometrach jazdy przez las dotarliśmy do parkingu z tablicą anonsującą

drzewo Kelly'ego. Byliśmy jedynymi gośćmi — miałem wrażenie, że jedynymi od wielu lat. W lesie było chłodno i cicho, a te wszystkie zwisające z drzew pasy kory tworzyły dziwną, nieprzyjazną i nieziemską atmosferę. Drzewo Kelly'ego stało przy ścieżce, a od innych okazów odróżniała je grubość pnia i metalowa tabliczka w kształcie słynnego hełmu *bushranger*.

— Co to właściwie jest za drzewo? — spytałem.

— Otóż — zaczął Alan z uczoną miną — kiedy gang Kelly'ego stał się głośny i policja ścigała go z dużą determinacją, rozbójnicy musieli się ukrywać w coraz bardziej odludnych i niegościnnych miejscach.

— Takich jak to?

Skinął głową.

— Pod tym względem trudno je przebić.

Rozejrzeliśmy się dokoła. Eukaliptusy rosły tak gęsto, że trudno było się między nimi precyzyjnie przemieszczać, a w powietrzu unosił się zawilgły odór organicznego rozkładu. Chyba nigdy nie byłem w mniej bukolicznym lesie. Nawet światło sprawiało wrażenie stęchłego.

— Przez trzy lata Kelly i jego gang nie wychylali stąd głowy, ale w 1878 roku wytropiło ich czterech policjantów. Kelly'emu i jego ludziom udało się ich pojmać i rozbroić. Trzech powoli i makabrycznie zamęczyli na śmierć.

— W jakim sensie makabrycznie? — dociekałem, bo uwielbiam takie szczegóły.

— Postrzelili ich w jądra i pozwolili im wykrwawić się na śmierć. Żeby im zadać jak największy ból i upokorzenie.

— A czwarty policjant?

— Myknął. Schował się na noc w jamie wombata, a następnego dnia wrócił na łono cywilizacji i wszczął larum. Zamordowanie trzech policjantów w końcu doprowadziło do strzelaniny w Glenrowan, tak przejmująco ukazanej za pomocą cudów mechaniki w „Ostatniej walce Kelly'ego”.

— Skąd to wszystko wiesz?

Spojrzał na mnie trochę zawiedziony.

— Ja w ogóle dużo wiem, Bryson.

— Ale na kapeluszach kompletnie się nie znasz — skontrolowała jego żona.

Spojrzał na nią i uznał, że jej komentarz nie zasługuje na ripostę, i odwrócił się do mnie.

— Teraz do belwederu Powersa! — zakomunikował stanowczym tonem i dostojnym krokiem skierował się w stronę samochodu.

— Ile pamiątek po Kellym zostało nam jeszcze do obejrzenia? — zapytałem, starając się ukryć zaniepokojenie.

Nie chcę obrażać otaczanego największą czcią australijskiego zbira ani sugerować, że drzewo Kelly’ego mnie rozczarowało — wręcz przeciwnie — ale miałem wrażenie, że jesteśmy daleko od najbliższego przyczółka cywilizacji, a jednocześnie szybko zbliża się ta pora dnia, kiedy człowiek zaczyna myśleć o zaspokojeniu łaknienia i pragnienia.

— Tylko jedną i to po drodze do domu, Bryson. Nie będziesz żałował. A potem napijemy się piwa.

Howe dotrzymał słowa. Belweder Powersa był bajeczny. Jest to platforma skalna zawieszona wysoko pod niebem i nazwana na cześć Harry’ego Powersa, innego legendarnego *bushranger*a, który czasami rozkoszował się tym widokiem razem z Kellym i jego gangiem. Jacyś entuzjaści zbudowali solidne drewniane schody, po których można przejść z klifu na występ skalny, czyli punkt widokowy. Widok był niesamowity. Kilkaset metrów w dół ciągnęła się King Valley, mały, uładzony wszechświat pól uprawnych i białych domów. Po drugiej stronie doliny w krystalicznie przejrzystym powietrzu widać było niskie góry zwieńczone charakterystycznym wierzchołkiem Mount Buffalo około 50 kilometrów dalej.

— Gdyby to przenieść do Wirginii albo Vermontu — powiedziałem — byłyby tutaj dziesiątki ludzi, nawet o tej porze. Postawiliby stragany z pamiątkami, a może nawet kino trójwymiarowe i park rozrywki.

Howe skinął głową.

— Tak samo byłoby w Górach Błękitnych. Tak jak ci mówiłem: ten zakątek Wiktorii jest naszą wielką tajemnicą. Nie pisz o nim w swojej książce.

— Jasne, że nie — obiecałem.

- I zobaczysz, co zostawiłem dla ciebie na jutro. To jest jeszcze lepsze.
- Niemożliwe.
- Przekonasz się.

Na następny dzień Howe zostawił dla mnie Alpejski Park Narodowy i rzeczywiście to było jeszcze lepsze. Park zajmuje 6460 kilometrów kwadratowych wschodniej Wiktorii, jest majestatyczny, cienisty i zielony. W całej Australii trudno byłoby znaleźć region bardziej odbiegający od stereotypu czerwonej ziemi i palącego słońca. W zimie ludzie jeżdżą tutaj na nartach, choć termin „alpejski” jest może lekką przesadą. Skalistych Matterhornów tutaj nie uświadczysz. Alpy Australijskie są łagodniejsze, bardziej przypominają amerykańskie Appalache czy szkockie Cairngorms. Osiągają jednak przyzwoite wysokości — najwyższa Góra Kościuszki ma 2230 metrów nad poziomem morza.

Howe zorganizował dla nas przewodnika, sympatycznego i pomocnego strażnika parkowego nazwiskiem Ron Riley. Ten jowialny mężczyzna z piękną siwą brodą miał szczupłą sylwetkę i wpatrzone w dal spojrzenie kogoś, kto żyje na wolnym powietrzu. Spotkaliśmy się w miasteczku Mount Beauty, wsiedliśmy do jednej z parkowych terenówek i wyruszyliśmy długą, krętą drogą na Mount Bogong, najwyższy szczyt Wiktorii (1986 metrów nad poziomem morza). Spytałem Rileya, czy nazwa góry pochodzi od słynnych ciem, które każdej wiosny eksplodują gigantycznymi, roztrzepotanymi chmarami i przez parę dni wszędzie ich pełno. Obok dużych larw ciem trociniarkowatych i długich, oślizłych robali *Pantionemertes* są największymi smakołykami Aborygenów wymienianymi przez kronikarzy — wymienianymi oczywiście dlatego, że zachodnie podniebienie raczej w nich nie gustuje. Bogongi piecze się w gorącym popiele i zjada w całości. Tak w każdym razie czytałem.

Ron potwierdził, że takie są korzenie nazwy góry.

— Aborygeni naprawdę je zjadają?

— Tak. W każdym razie tradycyjnie zjadali. Ćma bogong w 85 procentach składa się z tłuszczu, a oni nie mieli za dużo tłuszczu w swojej diecie, więc była to

dla nich wielka gratka. Przychodzili tutaj z bardzo daleka.

— Jadł pan to kiedyś?

— Raz.

— I co?

— Raz wystarczy — odparł z uśmiechem.

— Jak smakowała?

Zastanowił się chwilę.

— Jak ćma.

Szczerze mnie to ubawiło.

— Czytałem, że ma smak podobny do masła.

Rozważył tę tezę.

— Nie, ma smak ćmy.

Wspinając się na szczyt, jechaliśmy pośród niesamowicie wysokich i pięknych drzew. Ron mi powiedział, że to jesiony górskie.

— Jesiony? Nie wiedziałem, że tutaj rosną jesiony.

— Nie rosną. To są eukaliptusy.

Zaskoczony, przyjrzałem się im jeszcze raz. Długi, prosty pień, kolor, listowie — w niczym nie przypominały szkieletowatych gumowców, które widuje się na nizinach. Eukaliptusy naprawdę wypełniają wszystkie nisze ekologiczne w Australii. Nie ma bardziej zróżnicowanego drzewa.

— Najwyższe drzewo świata po kalifornijskich sekwojach — dodał Ron.

Pokiwałem głową z uznaniem.

— Jaką wysokość osiągają?

— Nawet dziewięćdziesiąt metrów. Średnio sześćdziesiąt.

Innymi słowy, dorównują dwudziestopięciopiętrowym budynkom. Spore drzewa.

— Często macie pożary buszu?

— Czasem — odparł Ron ze smutną miną. — W 1985 roku straciliśmy pięćset tysięcy hektarów w tej części Wielkich Gór Wododziałowych.

— Kurczę! — wyraziłem swoje współczucie, chociaż liczba ta niewiele mi

mówiła.

(Zajrzałem później do encyklopedii i odkryłem, że 500 tysięcy hektarów równa się łącznej powierzchni amerykańskich parków narodowych Yosemite, Grand Teton, Zion i Redwood. Innymi słowy, była to klęska żywiołowa na skalę niewyobrażalną w innym kraju. Zajrzałem również do *New York Times Index*, żeby sprawdzić, ile materiałów poświęcili temu wydarzeniu. Odpowiedź: zero). Nawet nie wiedząc dokładnie, ile to jest 500 tysięcy hektarów, zdawałem sobie oczywiście sprawę, że niemało, więc dodałem uprzejmym tonem:

— To musiało być straszne.

Ron znowu skinął głową.

— Tak, dosyć.

Teraz jechaliśmy przez strefę eukaliptusów pauciflora — kolejna nisza opanowana przez wszechstronne eukaliptusy — po czym osiągnęliśmy rozświetlony płaskowyż porośnięty trawą i gąbczastą roślinnością alpejską, z odległymi szczytami w tle. Widać było sporo turystów, o sprężystym kroku i na ogół odzianych w praktyczne stroje piechurów. Przy każdej mijanej grupie Ron zwalniał, mówił „Dzień dobry” i pytał, czy dysponują wszystkimi niezbędnymi informacjami. Dysponowali, ale ta postawa wydała mi się bardzo sympatyczna.

Dzień był cudowny. Od czasu do czasu zatrzymywaliśmy się i szliśmy na krótki spacer. Pogoda była piękna — chłodno, ale słonecznie — a Ron zabawiał nas anegdotami. Znał każdy liść, pąk i owada, a pokazywanie nam wszystkich tajnych zakątków parku najwyraźniej sprawiało mu prawdziwą przyjemność. Telepaliliśmy się zarośniętymi ścieżkami w trawiastych dolinach, wdrapywaliśmy się po prawie pionowych zwirowych drogach do ukrytych wieżyczek przeciwpożarowych. Zza każdego zakrętu wyłaniała się jakaś ciekawostka albo piękny widok. Alpejski Park Narodowy jest ogromny — 6460 kilometrów kwadratowych — a za jego wschodnią granicą ciągnie się jeszcze większy Park Narodowy Kościuszki w Górach Śnieżnych, tuż za granicą Nowej Południowej Walii. Ron wskazał na oddaloną o prawie dokładnie sto kilometrów Górę Kościuszki — „Kozzie”, jak ją nazwał — ale nie widziałem jej nawet przez lornetkę.

Zakończyliśmy wyprawę na szczycie Mount McKay, z którego, niby z dachu świata, rozciągały się kolejne zapierające dech w piersiach widoki: strome góry aż po horyzont. Ron lustrował krajobraz z miną człowieka, który wypatruje symptomatycznych pióropuszy dymu.

— Jak duży teren panu podlega?

— Sto tysięcy hektarów — odparł.

— Spory kawałek ziemi — powiedziałem i pomyślałem sobie, jaka to jest wielka odpowiedzialność.

— No! — Z zamyśloną miną obserwował panoramę. — Szczęściarz ze mnie.

Byłoby trzeba czegoś naprawdę wyjątkowego, żeby mogło rywalizować z Glenrowan, belwederem Powersa i Alpejskim Parkiem Narodowym, i szczerze wątpię, czy jakikolwiek kraj sprostałby temu wyzwaniu, ale Howe zapewnił mnie, że zarezerwował dla mnie coś absolutnie niepowtarzalnego — coś, co istnieje tylko w pewnym zapomnianym zakątku Wiktorii. Nic więcej nie chciał powiedzieć. Następnego dnia, żeby jeszcze bardziej podelektować się słodkim smakiem oczekiwania, pojechaliśmy do sennego nadmorskiego kurortu Lakes Entrance, gdzie spędziliśmy noc po kolacji złożonej z owoców morza i krótkim spacerze. Nazajutrz ruszyliśmy do tej tajemniczej atrakcji po drodze do Melbourne.

Długo jechaliśmy przez płaską, rozsłonecznioną, mało urozmaiconą krainę rolniczą. Siedziałem z tyłu pogrążony w stanie głupkowatej błogości, kiedy Alan zjechał nagle z drogi obok tablicy, której nie zdążyłem przeczytać, i zatrzymał się na dużym, prawie pustym parkingu. Wygramoliłem się na zewnątrz, przecierając oczy. Zobaczyłem duży, rurowaty budynek, który przypominał wielki tunel foliowy, tyle że był z pomalowanego na biało betonu.

Rzuciłem Alanowi pytające spojrzenie.

— Dżdżownica australijska — zakomunikował.

Popatrzyłem na niego ze zdumieniem i podziwem.

— Nie mówisz chyba o słynnych gigantycznych dżdżownicach z południowo-zachodniego Gippslandu?

— Mówię. Słyszałeś o nich?

Skwitowałem to pytanie pustym śmiechem, na jaki zasługiwało. O tych behemotach podziemnego świata czytałem od miesięcy — chociaż głównie w przypisach i nawiasowych wzmiankach. Nie sądziłem jednak, że zobaczę świątynię zbudowaną na ich cześć.

Nawet w krainie niezwykłych stworzeń dżdżownice australijskie są czymś wyjątkowym. Te robaki z gatunku *Megascolides australis* są największymi dżdżownicami świata — osiągają dwa i pół metra długości i ponad piętnaście milimetrów średnicy. Przy takich rozmiarach można usłyszeć, jak poruszają się pod ziemią — przypomina to gulgot rur kanalizacyjnych. Dlaczego w tym małym zakątku Wiktorii wyewoluowały robaki rozmiarów XXL? Nauka nie znalazła jeszcze odpowiedzi na to pytanie. Z drugiej strony niewielu potencjalnych kandydatów do Nagrody Nobla zaprzęta sobie głowę fizjologią i ekologią dżdżownic. Howe zapewnił nas jednak, że cała wiedza ludzkości na temat tych stworzeń jest zawarta w rurowatej konstrukcji, którą mamy przed sobą.

Zakupiliśmy trzy bilety i, kipiąc z ciekawości, weszliśmy do sali ekspozycyjnej. Na ścianie naprzeciwko wejścia wisiała powiększona fotografia z początków XX wieku, ukazująca czterech idiotycznie zadowolonych z siebie mężczyzn, którzy trzymali nieco apatycznego dwumetrowca, niewiele grubszego od normalnej dżdżownicy, ale bardzo ambitnego w konkurencji długościowej. Oglądałem to zdjęcie z wielkim zainteresowaniem, dopóki Carmel nie zwróciła mojej uwagi na ekspozycję z żywymi robakami. Znajdowały się one w pionowej szklanej gablocie grubości około centymetra, wypełnionej ziemią i powieszzonej na ścianie. Jak można było przeczytać w opisie, w gablocie mieszkały dwie dżdżownice australijskie. I rzeczywiście w kilku miejscach spomiędzy grudek ziemi wystawało parę milimetrów tych robali, ale ponieważ nie ruszały się i w ogóle nic nie robiły (jak widać, *Megascolides* najbardziej w życiu lubią odpoczywać), przyznam, że byłem nieco zawiedziony. Liczyłem na to, że znajdzie się kącik, w którym można będzie pogłaskać te stworzenia, albo treser z pejczem i krzesłem zmuszający je do pełzania przez kółka. Alan i ja próbowaliśmy wytrząsnąć dżdżownice z marazmu,

stukając w szybę, ale nie raczyły zareagować.

Obok gabloty znajdowały się dwie długie szklane rurki z formaldehydem i zakonserwowanymi dżdżownicami, normalnej grubości, ale długimi na jakieś półtora metra — rozmiary może nie tytaniczne, ale budzące respekt. Dżdżownice źle się konserwują i w formaldehydzie pływały kawałki skóry, tak jakby ktoś potrząsał rurkami albo, co bardziej prawdopodobne (Alan i ja ustaliliśmy to w sposób niebudzący wątpliwości, stukając w rurki), stukał w nie. Trudno było na nie patrzeć bez lekkiego obrzydzenia.

W następnej sali obejrzelśmy film podsumowujący wszystko, co wiadomo o dżdżownicy australijskiej, czyli prawie nic. Są to stworzenia dyskretnie, delikatne, niezbyt liczne i bardzo nieskore do współpracy, a tym samym trudne do badania, nawet jeśli ktoś ma na to ochotę. Przypominacie sobie zapewne z dzieciństwa, że dżdżownice nie chcą opuszczać swoich nor, a kiedy się je stamtąd wyciąga siłą, pękają. Wyobraźcie sobie, że próbujecie wyciągnąć na wierzch dwuipółmetrowego robala. *Mission impossible*.

Ekspozycja pozwala wyciągnąć jeden niepodważalny wniosek: dżdżownica australijska to temat, który stosunkowo szybko przestaje budzić zainteresowanie. Zdając sobie z tego sprawę, właściciele muzeum proponują wiele innych atrakcji. W następnej sali były terraria z żywymi węzami, między innymi ze słynnym tajpanem, najbardziej niebezpiecznym australijskim węzem. Alan i ja przeprowadziliśmy kolejne eksperymenty ze stukaniem w szkło, po czym odskoczyliśmy na cztery metry splecieni w platonicznym uścisku, kiedy tajpan groźnie rozdziawił paszczę (a może po prostu ziewnął), na tyle wielką, żeby połączyć ludzką głowę. Postanowiwszy, że od tej pory będziemy trzymali ręce w kieszeniach, wyszliśmy w ślad za Carmel na zewnątrz, do zagrody z kolejnymi zwierzętami — kangurami, strusiami emu, smętnym dingo, paroma kakadu w klatkach, podrzemującymi wombatami i parą misiów koala, które także uciwały sobie drzemkę. Było upalne, bezwietrzne popołudnie i najwyraźniej nadeszła pora sjeisty, toteż cała menażeria pogrzyżyła się w głębokiej apatii — nawet kakadu spały — ale przechadzałem się pośród niej zafascynowany i zachwycony, że

zgromadzono w jednym miejscu tyle rodzimej egzotyki. Ze szczególnym zainteresowaniem przyglądałem się wombatom — „krępy, gruby, krótkonogi i dosyć beczynny czworonóg emanujący skondensowaną siłą”, by zacytować niezrównany opis autorstwa pierwszego Anglika, który widział te zwierzęta (w 1788 roku). Człowiek ten, David Collins, okazał się trochę mniej wiarygodny w swoim portrecie kangura, którego określił jako „małego ptaka o pięknym upierzeniu”. Alan i Carmel patrzyli na to wszystko z lekko znudzonym rozbawieniem, z jakim Amerykanin mógłby oglądać szopa pracza i pręgowca, ponieważ często widywali te zwierzęta na wolności, ale dla mnie wszystko było nowe, nawet dingo, który w końcu jest tylko psem. Po dwóch pełnych turach zwiedzania z zaspokojoną miną dałem sygnał do wyjazdu.

Kolację zjedliśmy w restauracji wietnamskiej w Richmond — przedmieściu położonym dosyć blisko centrum Melbourne — przy długiej ulicy pełnej egzotycznych lokali. Alan stwierdził, a ja z nim nie polemizowałem, że pod względem gastronomicznym Melbourne bije Sydney na głowę. Później zapytał, czy wybieram się zobaczyć Wielką Rafę Koralową, do której miał szczególną uwagę. Powiedziałem, że tak, ale dopiero podczas następnej podróży za kilka tygodni.

— Tylko uważaj, żeby cię tam nie zostawili — rzucił ze złośliwym uśmiechem.

— Co masz na myśli?

— Czytałem ostatnio, że zapomnieli o amerykańskim małżeństwie.

— Zapomnieli? — powtórzyłem, zbulwersowany i zaintrygowany.

Howe skinął głową i nabił makaron na widelec.

— No. Kiedy statek wrócił do portu, stwierdzono, że brakuje dwójki pasażerów. Mało sympatyczne dla tych biedaków, co? Pływasz sobie pośród ryb i koralu, przeżywasz najpiękniejsze chwile swojego życia, a potem wynurzasz się i widzisz, że statek odplynał i zostałeś sam na oceanie.

— Nie mogli dopłynąć do brzegu wpław?

Uśmiechnął się wyrozumiale w obliczu mojej ignorancji.

— Rafa koralowa jest daleko od brzegu, Bryson, w tamtym miejscu około pięćdziesięciu kilometrów. Spory dystans do przepłynięcia wpeław.

— Nie ma żadnych wysp?

— Tam, gdzie oni byli, nie ma. W gruncie rzeczy znajdowali się na otwartym morzu. Mogli dopłynąć do dwóch rzeczy: dużego zacumowanego pontonu, z którego się nurkuje, i małego atolu koralowego. Do jednego i drugiego mieli parę kilometrów. Prawdopodobnie zaczęli płynąć w tamtą stronę. Nie wiedzieli, bo skąd mieli wiedzieć, że pod nimi są głębiny, a wiesz, co się kryje w głębinach?

— Rekiny.

Pokiwał głową w uznaniu dla mojej przenikliwości.

— Masz więc obraz sytuacji: porzucili cię na pełnym morzu, kilkadziesiąt kilometrów od brzegu, jesteś zmęczony, płyniesz w stronę atolu koralowego w kierunku przeciwnym do przyływu, zapada zmierzch i widzisz, że krąży wokół ciebie kilka sterczących z wody płetw ogonowych. — Dał mi chwilę na wyobrażenie sobie tej sceny, po czym dodał z kamienną miną: — Nie wiem, jak ty, ale ja zażądałbym zwrotu pieniędzy.

— Nikt nie wyruszył im na ratunek?

— Dopiero po dwóch dniach zauważono ich nieobecność — powiedziała Carmel.

— Po dwóch dniach? — powtórzyłem z niedowierzaniem.

— Po takim czasie już ich oczywiście nie zastano.

— Pożarły ich rekiny?

Wzruszyła ramionami.

— Można tak przypuszczać. W każdym razie wszelki ślad po nich zaginął.

— Ja cię!

Przez chwilę jedliśmy w pełnym zamyślenia milczeniu, po czym powiedziałem, że większość dziwnych australijskich historii rozgrywa się w Queenslandzie. Moja ulubiona na tamtą chwilę dotyczyła Niemca niedawno zatrzymanego pod Cairns. Przyjechał do Australii w 1982 roku z wizą turystyczną i przez 17 lat wędrował na nogach po północnych pustyniach, żywiąc się prawie wyłącznie zwierzętami

rozjechanymi przez samochody. Bardzo lubię również historię o grupie nielegalnych imigrantów, których przywieziono z Chin starą łodzią rybacką i wysadzono w płytkiej wodzie sto metrów od plaży koło Cairns. Złapano ich, kiedy jeden z uchodźców stawił się z walizką w ręku w saloniku prasowym, ociekając wodą i głośno chlupocząc przy każdym kroku, i poprosił o zamówienie floty taksówek, które zawiozłyby go wraz z towarzyszami na dworzec kolejowy w Cairns. W rubryce „Depesze z Queenslandu” prawie codziennie można znaleźć jakąś wysoce nieprawdopodobną historię.

Alan potwierdził ruchem głowy.

— Istnieje oczywiście wyjaśnienie tego zjawiska.

— Jakie?

— Mieszkańcy Queenslandu to wariaci. Bardziej obłąkani niż wykastrowane węże. Spodoba ci się tam.

Następnego dnia rano Alan zawiózł mnie na lotnisko, zaglądając po drodze do redakcji. W pewnym momencie zostawił mnie za biurkiem, żebym mógł się pokręcić na jego fotelu obrotowym, a sam poszedł zmienić jakiś tytuł czy co tam robią naczelnicy. Po powrocie podał mi teczkę.

— Wyszukałem materiały o tym amerykańskim małżeństwie, które zaginęło. Pomyślałem, że ci się przydadzą.

— Dziękuję — odparłem wzruszony.

— Powinieneś znaleźć jakieś wskazówki, jak nie dać się zostawić na rafie. Znam cię, Bryson: w dowolnym miejscu potrafisz zasnąć w biały dzień.

Na lotnisku pomógł mi wyjąć torbę z bagażnika i uściskał mi rękę.

— Pamiętaj, żebyś uważał na siebie na północy — powiedział.

— Bardziej obłąkani niż wykastrowane węże — powtórzyłem jego słowa, aby mu udowodnić, że nie zapomniałem o jego przestrożach.

— Bardziej obłąkani niż cały worek wykastrowanych węży!

Uśmiechnął się, wskoczył do samochodu, pomachał mi i zniknął.

Rozdział dwunasty

Można zapewne wymyślić całe mnóstwo hipotetycznych scenariuszy, w których ktoś byłby zadowolony, że na koniec długiego dnia znalazł się w Macksville w Nowej Południowej Walii, na przykład na skutek nagłego podniesienia się poziomu oceanów, po którym tylko ta miejscowość nie została zatopiona, albo z powodu jakiejś straszliwej epidemii, która oszczędziłaby tylko Macksville. W normalnych okolicznościach raczej trudno sobie wyobrazić, żeby ktoś stanął na tamtejszej głównej ulicy o wpół do siódmej w upalny wieczór i zadeklarował z westchnieniem ulgi:

— Dzięki Bogu! Nareszcie tutaj dotarłem!

Byłem w Macksville z powodu interesującego odkrycia: do Brisbane nie jedzie się z Sydney trzy, cztery godziny, jak w swojej naiwności sądziłem, tylko prawie dwa dni. Na telewizyjnej mapie meteo Brisbane i Sydney są niemalże sąsiadami, ich słoneczka i chmurki ocierają się o siebie. W Australii pojęcie sąsiedztwa znaczy jednak co innego niż gdzie indziej. Z Sydney do Brisbane jest prawie tysiąc kilometrów, których znaczną część pokonuje się idiotycznie wąską drogą. Pod koniec dnia, trochę zagubiony, zatrzymałem się zatem w Macksville na noc.

Nie chcę postponować miejscowości, którą 2811 osób z dumą nazywa swoim domem — cóż za magiczne słowo! — ale ponieważ wyobrażałem sobie, że będę jadł na kolację świeżo złapaną barramundi, patrząc, jak zachód słońca rozplomienia wody Pacyfiku na legendarnym Złotym Wybrzeżu Queenslandu, fakt, że utknąłem w tej zapadłej dziurze, nie pokonawszy nawet połowy drogi, mocno mnie rozczarował. Do końca podróży zostało mi już niewiele czasu. Dużo wcześniej zaplanowałem bowiem wyjazd do Syrii i Jordanii na pieszą wyprawę, zorganizowaną przez brytyjską organizację charytatywną zbierającą pieniądze dla dzieci. Za trzy dni miałem więc wrócić samolotem z Sydney do Stanów, aby zabrać ekwipunek wycieczkowy, sprawdzić, ile spośród moich dzieci wciąż mnie rozpoznaje, i polecieć przez Londyn do Damaszku. Wiedziałem już, że nie

pospaceruję po plażach Boomerang Coast w takim stopniu, jak na to liczyłem.

Mój nastrój zaliczał się więc do kategorii — powiedzmy — posępnych. Macksville nie jest jednak takie złe. Usytuowana nad rwącą i mulistą rzeką Nambucca, miejscowość ta służy za przystanek przy drodze krajowej. Macki ulic z parterowymi domami i małymi biurkami prowadzą do zwarte centrum. Chociaż przez Macksville przebiega Pacific Highway, główna droga łącząca Sydney z Brisbane, kiedy po wyjściu z motelu szedłem do centrum pylistym poboczem, minęły mnie tylko dwa samochody.

Najważniejszym punktem miasteczka jest hotel Nambucca, wielki budynek, który najlepsze czasy ma już dawno za sobą. Wszedłem do środka zachwycony, że mogę się schronić przed upałem. Hol był przestronny i prawie pusty. Na końcu długiego kontuaru siedziało dwóch mężczyzn w podkoszulkach bez rękawów i sfatygowanych korkowych kapeluszach. W bocznej sali zobaczyłem mężczyznę i kobietę grających na automatach. Postarałem się o piwo, postać na tyle długo, aby ustalić, że nikt się mną nie zainteresuje w stopniu wystarczającym do nawiązania rozmowy, i wreszcie usiadłem przy środkowej części kontuaru, skąd oglądałem wieczorne wiadomości na wiszącym na ścianie telewizorze z wyłączonym głosem.

Policja chodziła po buszu z psami tropiącymi. Nie miałem pojęcia, czego szukają psy, ale jeśli szukały czerwonej gliniastej ziemi, to szło im bardzo dobrze. Gdzie indziej znowu wybuchła epidemia gorączki Ross River — kolejnej nieznannej mi wcześniej choroby, którą musiałem się przejmować. Potem były premier Paul Keating — ten z kwiecistym słownictwem zacytowanym w rozdziale o Canberze — stał na schodach budynku jakiegoś urzędu i z rozdrażnioną miną odpowiadał na pytania dziennikarzy. Nie umiem czytać z ruchu warg, ale podejrzewam, że wyzywał rozmówców od kretynów i larw. Doszedłem do wniosku, że lubię oglądać wiadomości z wyłączonym dźwiękiem.

W tym samym czasie w znanym świecie coś się działo w Kosowie: konwoje wojskowe jechały wiejskimi drogami, a nad górami w oddali wykwiłał dym wystrzałów z moździerzy. Bill Clinton znowu coś przeskróbał, a przynajmniej tak

się domyślałem, bo spacerował po ogrodzie Białego Domu, trzymając się za rękę z Hillary i Chelsea, i wszyscy emanowali miłością i przywiązaniem. Biegał przy nich uroczy spaniel, co uznałem za sygnał, że prezydent tym razem naprawdę przegiął. Ale co to miało za znaczenie: to wszystko wydawało mi się takie odległe!

Potem mnóstwo sportu, z doskonałymi wynikami Australijczyków, później prognoza pogody — wszędzie słońce — i wreszcie prezenterka złożyła kartki i uraczyła widzów uśmiechem sugerującym, że możemy wszyscy położyć się do łóżka szczęśliwi, ponieważ Greg Norman wygrał turniej golfowy, a wszystko inne dzieje się bardzo, bardzo daleko i tak naprawdę nas nie dotyczy.

W Australii bardzo łatwo jest zapomnieć o istnieniu reszty świata, a przynajmniej zepchnąć ją w odległe zakamarki świadomości. Relacjonując wydarzenia światowe, Australijczycy bardzo się starają przewyciężyć barierę, jaką jest odległość, ale czasem w tle danego materiału mimowolnie daje się dostrzec dziwne poczucie braku więzi emocjonalnej z poruszonymi tematami — drobne rzeczy, które przypominają, że ten kraj leży bardzo, bardzo daleko. Zauważyłem na przykład, że australijska prasa publikuje nekrologi, zwłaszcza cudzoziemców, kilka tygodni lub nawet miesięcy po śmierci danej osoby. W jakimś sensie można to zrozumieć — nie ma pośpiechu, bo przecież ci ludzie pozostaną martwi do końca świata — ale nadaje to informacjom prasowym jakby ponadczasowy charakter. Z drugiej strony na dzień przed lotem z Melbourne do Sydney przeglądałem renomowany tygodnik informacyjny „Bulletin” i natrafiłem na dział „Flashback”, w którym podawane są przypadające na dany tydzień rocznice ważnych wydarzeń. Pod datą 22 stycznia widniał taki oto interesujący wpis: „1934: aktor Bill Bixby (zm. 1993) urodził się w Park Ridge, Illinois, USA”.

Przeanalizujmy to dokładniej. W rubryce poświęconej ważnym wydarzeniom światowej historii rocznica urodzin aktora, którego największym osiągnięciem w całej karierze była rola w serialu telewizyjnym z lat sześćdziesiątych *Mój przyjaciel Marsjanin*, jest wspominana w Australii sześć lat po jego śmierci. Mnie się to wydaje trochę upiorne. Rozumiem oczywiście, że jest to zapchajdziura i z doboru wydarzeń nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków,

pozwólcie jednak, że powołam się na inny przykład historycznej ekscentryczności Australijczyków.

Siedząc przy barze, wyjąłem jednotomową historię Australii autorstwa Manninga Clarka i zagłębiłem się w lekturze. Zostało mi około 30 stron i byłbym obłudny, gdybym nie przyznał, że nie mogłem już się doczekać chwili, kiedy będę miał na zawsze za sobą pana Clarka i jego kuriozalne refleksje. Historia Australii jest jednak ciekawa, a ja miałem wygodny stółek i możliwość zamówienia nieograniczonej liczby piw, toteż nie byłem aż tak bardzo nieszczęśliwy.

Siedziałem więc i czytałem książkę, która skończyła się na... 1935 roku. Po 619 bardzo szczegółowych stronach autor ostatecznie doprowadza czytelnika do zdobycia przez Johna Curtina funkcji przywódcy australijskiej Partii Pracy, 1 października 1935 roku. Pragnę podkreślić, że jest to kanoniczna jednotomowa historia Australii, którą poleciłby klientowi każdy księgarz, a tymczasem kończy się ona w 1935 roku, 16 premierów temu!

Tak mnie to zaskoczyło, że spojrzałem na podłogę, aby sprawdzić, czy część stron nie wypadła, ale nie: autor tak sobie to zaplanował. Manning Clark zmarł — czy raczej zgasła ostatnia udreńczona iskra jego życia, by trzymać się jego stylu literackiego — w 1991 roku, chętnie więc wybaczyłbym mu brak ostatniej dekady burzliwej australijskiej sagi, ale mógłby znaleźć trochę miejsca, powiedzmy, na drugą wojnę światową. Chociaż dzieło to powstawało długo po wojnie (a konkretnie w latach 1962-1987, jako sześciotomowy cykl, którego kondensat trzymałem w ręku), nie zawiera ani jednej wzmianki o najważniejszym wydarzeniu XX wieku czy choćby o zbierających się na horyzoncie czarnych chmurach. Nie ma też w nim miejsca dla zimnej wojny, aborygeńskiej reformy rolnej, powstania społeczeństwa wielokulturowego, upadku rządu Whitlama, ruchu na rzecz republiki czy choćby słówka o życiu i czasach Billa Bixby'ego.

Aby wypełnić jakoś tę kłopotliwą lukę, wydawcy dołożyli do wydania z 1995 roku posłowie napisane przez człowieka, który zredagował i skrócił książkę Clarka. Ostatnie 65 lat historii Australii skondensowano do 34 stron, które, jak można było się spodziewać, mają trochę zasapany i anegdotyczny charakter. We

wcześniejszych wydaniach nawet tego nie zaoferowano.

Mnie się to wydaje bardzo dziwne. Tylko tyle chcę powiedzieć.

Z westchnieniem zamknąłem książkę i zdałem sobie sprawę, że umieram z głodu. Tabliczka na drzwiach po drugiej stronie sali informowała, że w Nambucca jest restauracja, więc poszedłem zbadać sprawę. Drzwi nie chciały się otworzyć.

— Jadalnia zamknięta, stary — powiedział jeden z dwóch facetów przy barze. — Kucharz jest chory.

— Pewnie spróbował własnego jedzenia — dobiegł nas głos od strony automatu i wszyscy się zaśmialiśmy.

— Są jeszcze jakieś inne restauracje? — zapytałem.

— To zależy — odparł pierwszy rozmówca. Podrapał się w gardło zamyślony i pochylił się do mnie. — Lubi pan dobrze zjeść?

Pokiwałem głową. Co za pytanie!

— W takim razie nic nie ma.

— Niech pan spróbuje w chińskiej naprzeciwko — zasugerował jego kompan. — Nie jest taka najgorsza.

Po drugiej stronie drogi rzeczywiście była chińska restauracja, ale wywieszka informowała, że nie mają koncesji na sprzedaż alkoholu, a nie wyobrażałem sobie konsumpcji małomiasteczkowej chińszczyzny bez podlania jej piwem. Dostatecznie dużo jeżdżę po świecie, aby wiedzieć, że dobrzy kucharze generalnie nie osiadają w takiej miejscowości jak Macksville, motywowani pragnieniem udostępnienia trzyipółtysiącletniej tradycji syczuańskiej kuchni hodowcom owiec. Poszedłem więc sprawdzić, czy zwarte centrum Macksville nie ma dla mnie jakichś innych propozycji kulinarnych. Miało, ale niezbyt wiele. Wszystko poza jednym lokalem z jedzeniem na wynos, o mało obiecującej nazwie Bub's Hotbakes, było zamknięte. Otworzyłem drzwi, wytrącając z odrętwienia pięć tysięcy much, które przyleciały zobaczyć, co porabia Bub i jego ekipa, i wszedłem do środka ze świadomością, że prawie na pewno niezbyt ciepło będę w przyszłości wspominać

to doświadczenie.

Bub oferował szeroki wybór dań, sporządzonych generalnie na bazie brązowego mięsa i sosu pieczeniowego w cieście. Zamówiłem duży pasztecik z kielbasą i frytki.

— Nie mamy frytek — powiedziała obszerna obsługująca.

— To jakim cudem jesteś taka gruba? — chciałem zapytać, ale oczywiście powstrzymałem się od wygłoszenia tej niekulturalnej uwagi i zmieniłem zamówienie na pasztecik z kielbasą i rzecz o nazwie „kontynentalny sernik”. Jedno i drugie zjadłem na stojąco na chodniku.

W niczym nie umniejszając talentów kulinarnych Buba, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że pasztecik z kielbasą i kontynentalny sernik nie stanowiły wymarzonego zwieńczenia wieczoru, nawet w takiej zapadłej dziurze jak Macksville. Poza tym było dopiero wpół do ósmej. Rozważyłem dostępne opcje — telewizja w motelu, spacer szosą o zachodzie słońca albo jeszcze parę piw w Nambucca — i wybrałem Nambucca.

Dwaj mężczyźni przy barze już poszli i zastąpiła ich kobieta, która prowadziła poważną i ożywioną rozmowę z barmanką. Sądząc po ich skupionych i przejętych minach, konwersacja dotyczyła najnowszych plotek.

— On się dobrze odnalazł w nowej pracy, tylko pracodawca jeszcze o tym nie wie — usłyszałem w przelocie.

Kupiłem piwo, usiadłem na moim ulubionym miejscu i wyjąłem atlas drogowy, żeby sprawdzić, gdzie dokładnie jestem. Dopiero przed paroma dniami zaczęło mi świtać, jak wielkie obszary tego gigantycznego i pustego kraju zostały mi jeszcze do pokonania. Jeździłem prawie bez przerwy przez cztery tygodnie i zwiedziłem tylko drobny ułamek australijskiego terytorium. Co więcej, zaliczyłem najłatwiejsze partie — wyasfaltowane i w miarę gęsto zamieszkane. W sumie Australia ma niecałe 300 tysięcy kilometrów utwardzanych dróg, co automobiliście bez innych zobowiązań starczyłoby mniej więcej na rok, ale większość tych dróg przebiega przez zaludniony pas wschodni. Gdzie indziej na ogromnych obszarach nie ma nic. Ani centymetra utwardzanej drogi na ponad trzech tysiącach

kilometrów pięknego wybrzeża między Darwin i Cairns, co chyba jest światowym rekordem. Żadna droga nie zakłóca też tropikalnej bujności między Cairns i półwyspem York, najbardziej wysuniętym na północ punktem Australii i również niezwykle urodziwym zakątkiem. W całym Queenslandzie, w którym zmieściłaby się większość Europy Zachodniej, tylko trzy utwardzane drogi zapuszczają się w głąb gigantycznego i jałowego interioru, a tylko jedna łączy ten stan z położonymi na zachód dwoma trzecimi Australii. Z Camooweal na północy do Barrington na południu Queenslandu można by — gdyby komuś kompletnie odbiło — maszerować dwa tysiące kilometrów, ani razu nie przecinając asfaltu. Po paru minutach jazdy w głąb lądu człowiek znajduje się na pustkowiu.

To prawda, że w *outbacku* nie brakuje dróg gruntowych (w sumie jest ich pół miliona kilometrów), ale normalnymi samochodami z wypożyczalni nie wolno po nich jeździć, a nawet porządną terenówką tylko odważny albo lekkomyślny kierowca wyprawia się tam w pojedynkę, ponieważ łatwo się zgubić albo utknąć. Całkiem niedawno młode małżeństwo z Austrii wynajęło auto z napędem na cztery koła i zakopało się po osie w piachu na Pustyni Simpsona. Droga, na której się znajdowali, rzadko kto jeździł. Kiedy zrozumieli, że pies z kulawą nogą się nie pojawi, kobieta postanowiła dojść do oddalonej o 60 kilometrów drogi Oodnadatta, nieco bardziej uczęszczanej. Dlaczego kobieta, a nie mężczyzna, tego nie wiem. Wiadomo natomiast, że zabrała 9 z 12 litrów wody i podrażowała w prawie sześćdziesięciostopniowym upale.

Przy takiej temperaturze człowiek dosłownie zaczyna się gotować od środka, trochę jak w mikrofalówce. Biedaczka nie miała żadnych szans. Mimo że zabrała spory zapas wody, przetrwała niecałe dwa dni i pokonała zaledwie 29 kilometrów, mniej niż połowę dystansu. Jej mąż, który siedział w cieniu, przeżył i został uratowany. Krótko mówiąc, najgorszemu wrogowi nie życzę, żeby utknął w *outbacku*.

Tymczasem miałem trochę bardziej konkretny problem: co zrobić z ostatnimi dwoma dniami. Pierwotnie planowałem zobaczyć Brisbane, Surfers Paradise i Wielkiego Banana w Coff's Harbour, ale nie starczyłoby mi już czasu na poważne

zwiedzanie Brisbane, a Wielki Banan aż tak bardzo mnie nie podniecał. Z całym szacunkiem dla tego skarbu narodowego przyznaję, że moja miłość do gigantycznych owoców ma swoje granice. Siedząc przy barze, kartkowałem zatem atlas i szukałem alternatywnych atrakcji — Byron Bay, Park Narodowy Dorrigo, Góry Darlinga na południu Queenslandu — i nagle wpadły mi w oko dwa słowa wydrukowane małymi literami wzdłuż niebieskiej linii. Znalazłem nowy cel podróży: Myall Creek. Przyszedł czas, aby przyjrzeć się bliżej zapomnianej ludności Australii.

Rozdział trzynasty

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, kiedy, dlaczego i jakim sposobem doszło do jednego z najważniejszych wydarzeń w dziejach ludzkości, czyli do zaludnienia Australii. Jeszcze stosunkowo niedawno wydawało się, że wyjaśnienie nie nastęca problemów. Na początku XX wieku sądzono, że Aborygeni mieszkali na piątym kontynencie od nie więcej niż 400 lat, a w latach sześćdziesiątych zaczęto mówić o 8 tysiącach. W 1969 roku geolog Jim Bowler z Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Canberze pałętał się po brzegu dawno wyschniętego jeziora Mungo w suchym i odludnym zakątku zachodniej Nowej Południowej Walii i nagle coś zwróciło jego uwagę. Był to szkielet kobiety, trochę wystający z piasku. Kości zawieziono do laboratorium, aby ustalić ich wiek metodą połowicznego rozpadu węgla radioaktywnego. Okazało się, że kobieta zmarła 23 tysiące lat temu, a zatem okres zasiedlenia Australii wydłużył się prawie trzykrotnie. Późniejsze odkrycia jeszcze bardziej przesunęły datę początkową, cofając ją do co najmniej 45 tysięcy lat temu, chociaż bliższe prawdy wydaje się 60 tysięcy.

Pierwsi mieszkańcy Australii nie mogli do niej dotrzeć drogą lądową, ponieważ od momentu pojawienia się na Ziemi człowieka Australia zawsze była wyspą. Nie mogli także niezależnie wyewoluować, z racji tego, że na tym kontynencie nie ma żadnych naczelnych. Musieli zatem przybyć drogą morską, przypuszczalnie z indonezyjskiego Timoru. I tutaj zaczynają się problemy.

Aby wyjaśnić występowanie *Homo sapiens* w Australii, trzeba przyjąć, że w bardzo odległym okresie dziejów człowieka w południowej Azji żyli ludzie dostatecznie zaawansowani w rozwoju, aby umieć łowić ryby w wodach przybrzeżnych z jakiegoś rodzaju łodzi, a raczej tratw. Z badań archeologicznych wynika wprawdzie, że przez następne 30 tysięcy lat na całym świecie nikt inny tego nie robił, ale zapomnijmy o tym na moment. Teraz musimy zwodować tych ludzi.

Należałoby również wyjaśnić, co skłoniło ich do przepłynięcia co najmniej stu kilometrów otwartego morza do kraju, o którego istnieniu nie mogli wiedzieć. Nieodmiennie przywołuje się w tym miejscu następujący scenariusz: prosta tratwa rybacka — w gruncie rzeczy pływająca platforma — została przypadkiem wyniesiona na otwarte morze przez jeden z charakterystycznych dla tej części świata nagłych szkwałów. Tratwa ta przez wiele dni dryfowała po morzu i w końcu została wyrzucona na plażę w północnej Australii. Niech będzie.

Nasuujące się, ale rzadko zadawane pytanie brzmi: jak taki lud miał się rozmnożyć? Jeśli wiatr poniosł pojedynczego rybaka, to człowiek ten musiał wrócić do swoich, opowiedzieć im o swoim odkryciu i przekonać dostateczną liczbę swoich pobratymców, aby popłynęli z nim i założyli kolonię. To wymagałoby oczywiście opanowania technik nautycznych w stopniu wystarczającym do kursowania pomiędzy niewidocznymi lądami — umiejętność, którą niewielu specjalistów od prehistorii byłoby skłonnych im przyznać. Jeśli natomiast podróż miała charakter przypadkowej wycieczki w jedną stronę, to musiała w niej uczestniczyć grupa ludzi obojga płci, płynących albo razem na wielkiej tratwie (bardzo mało prawdopodobne), albo flotyllą małych tratw. Po co najmniej kilku dniach spędzonych na niespokojnym morzu ludzie ci zostali wyrzuceni na północny brzeg Australii, gdzie założyli osadę.

Do zaludnienia Australii nie potrzeba wielkiej liczby ludzi. Amerykański naukowiec Joseph Birdsell obliczył, że grupa 25 kolonistów dałaby początek populacji, która po dwóch tysiącach lat liczyłaby 300 tysięcy osób. Ale tych 25 ludzi trzeba jednak jakoś przetransportować do Australii — a parę zniesionych z kursu tratw tego nie gwarantuje.

Naturalnie można wysunąć wiele innych hipotez, a proces początkowego zasiedlania Australii mógł trwać przez wiele pokoleń. Nie sposób tego ustalić. Jedno jest pewne: Aborygeni mieszkają na tym kontynencie, ponieważ ich odległym przodkom udało się pokonać co najmniej 90 kilometrów nieprzychylnego morza, dziesiątki tysięcy lat zanim komukolwiek innemu na świecie przyszło do głowy podobne przedsięwzięcie.

Jak by na to nie patrzeć, jest to epokowe osiągnięcie. Czy budzi należne mu zainteresowanie? Kiedy po raz ostatni czytaliście na ten temat? Kiedy napotkaliście jakąkolwiek, choćby najmniejszą wzmiankę o Aborygenach w kontekście migracji i narodzin cywilizacji? Aborygeni są niewidzialnym ludem tej planety.

Problem w dużej części wynika z faktu, że liczba 60 tysięcy lat (podaje ją harwardzki naukowiec Roger Lewin w swoim kanonicznym tekście *Principles of Evolution*) jest trudna do ogarnięcia. Przy takiej skali czasowej okres zasiedlenia Australii przez Europejczyków stanowi zaledwie 0,3 procent całości. Innymi słowy, historia ludzkości na tym kontynencie w 97,7 procentach należy wyłącznie do Aborygenów. Lecz na tym ich osiągnięcia się nie kończą.

Aborygenom udało się również piąty kontynent opanować. Musieli nauczyć się żyć w nowym otoczeniu. Rozprzestrzeniaли się z imponującą szybkością oraz opracowali strategie i zachowania, które pozwalały im wykorzystywać bądź wytrzymywać skrajne warunki, mieszczące się w przedziale od najwilgotniejszego lasu tropikalnego po najbardziej wysuszoną pustynię. Żaden inny lud na ziemi nie przeżył z takim powodzeniem w tak zróżnicowanym środowisku przez tak długi okres. Przyjmuje się powszechnie, że kultura Aborygenów jest najstarszą z istniejących w sposób ciągły do dzisiaj. Według niektórych naukowców, na przykład wybitnego prehistoryka Johna Mulvaneya, australijska rodzina językowa jest najstarsza na świecie. Sztuka, mity i wierzenia Aborygenów również mogą ubiegać się o to miano.

Wszystko to niepodważalnie dowodzi, że pierwsi Aborygeni posługiwali się mową, współpracowali i stosowali rozwinięte techniki i systemy organizacji znacznie wcześniej niż cała reszta gatunku ludzkiego. Jak wiele się mówi o tych sukcesach? Do niedawna prawie w ogóle się o nich nie wspominało. Dobitnie to sobie uświadomiłem, kiedy po rozstaniu z Alanem i Carmel poleciałem do Sydney i spędziłem popołudnie w bibliotece stanowej. Szukając czegoś zupełnie innego, natrafiłem na wydanie *Larousse Encyclopedia of Archeology* z 1972 roku. Ciekaw, co ma do powiedzenia na temat odkryć na dnie jeziora Mungo, dokonanych trzy lata wcześniej, przejrzałem ją i... nic nie znalazłem. O Aborygenach pojawia się

tam tylko jedna krótka wzmianka: „Aborygeni również ewoluowali niezależnie od Starego Świata, ale reprezentują bardzo prymitywną fazę rozwoju technicznego i gospodarczego”.

Do tego ograniczał się opis rdzennej kultury australijskiej w poważnym dziele naukowym napisanym w ostatnim trzydziestoleciu XX wieku. Możecie mi uwierzyć, kiedy mówię, że są to niewidzialni ludzie naszej planety. Ale na tym ich tragedia się nie kończy.

Od momentu pierwszego kontaktu Aborygeni budzili w Europejczykach ciekawość i zdumienie. Kiedy James Cook i jego ludzie wpłynęli do Zatoki Botanicznej, z zaskoczeniem stwierdzili, że większość Aborygenów siedzących na brzegu albo łowiących ryby na rachitycznych łodziach z kory nie zwracała na nich zbyt dużej uwagi. „Ledwo odrywali oczy od swoich zatrudnień”, zanotował Joseph Banks. Skrzypiący „Endeavour” z pewnością był największą i najbardziej imponującą konstrukcją, jaką w życiu widzieli, ale większość z nich tylko rzuciła na niego okiem, jakby to była jedynie wędrująca po niebie chmura, i spokojnie wróciła do swoich zajęć.

Postrzegali świat odmiennie niż inne ludy. W języku aborygeńskim nie było na przykład słów „wczoraj” i „jutro”. Nie mieli wodzów ani rad plemiennych, nie nosili ubrań, nie budowali domów ani innych trwałych konstrukcji, nie uprawiali roli, nie hodowali zwierząt, nie lepili garnków i w gruncie rzeczy nie znali pojęcia własności. Z drugiej strony wkładali mnóstwo energii i czasu w przedsięwzięcia, których sensu do dzisiaj nie rozumiemy. Na wybrzeżu Australii pierwsi koloniści znaleźli gigantyczne kopce z muszli, osiągające 10 metrów wysokości i zajmujące 200 metrów kwadratowych powierzchni. Często znajdowały się one daleko od morza i były tworzone na wzniesieniach. Aborygeni niewątpliwie zainwestowali wiele wysiłku w przetransportowanie muszli (w jednym z kopców było ich około 33 tysięcy metrów sześciennych) z plaż i pielęgnowali ten zwyczaj niewiarygodnie długo, w jednym przypadku przez co najmniej 800 lat. Po co im to wszystko? Nikt tego nie wie. Można powiedzieć, że funkcjonowali zgodnie z jakimiś innymi

prawami.

Niektórzy Europejczycy, na przykład Watkin Tench i James Cook, odnosili się do Aborygenów życzliwie. W dzienniku pokładowym „Endeavour” Cook napisał: „Mogą nam się wydawać najędzniejszym ludem na ziemi, ale w rzeczywistości są znacznie szczęśliwsi od nas, Europejczyków. Żyją w spokoju ducha, którego nie zakłócają nierówności stanu. Ziemia i morze dostarczają im wszystkiego, co jest im potrzebne do życia. (...) Zdawali się nie przywiązywać żadnej wartości do naszych darów, ale też nie chcieli się rozstać z niczym, co posiadali”. W innym miejscu napisał przejmujące zdanie: „Wszyscy wyraźnie życzyli sobie, abyśmy odjechali”.

Niestety, niewielu Europejczyków przejawiało tak światłe poglądy. Dla większości z nich Aborygeni byli przeszkodą, jednym z naturalnych zagrożeń, jak napisał przyrodnik Tim Flannery. Postrzeganie tubylców jako podludzi, które utrzymywało się jeszcze w XX wieku, dla wszystkich było bardzo wygodne. Na początku lat sześćdziesiątych, jak można przeczytać u Johna Pilgera, szkoły w Queenslandzie korzystały z podręcznika, w którym Aborygenów porównywano do „dzikich stworzeń z dżungli”. Jeśli nie spychano ich do kategorii podludzi, to po prostu ich ignorowano. W tym samym okresie profesor Stephen Roberts wydał opasłe dzieło naukowe o okresie osadnictwa europejskiego w Australii, w którym ani razu nie wspomniał o Aborygenach. Rdzennych mieszkańców marginalizowano do tego stopnia, że przed 1967 rokiem władze federalne nie umieszczały ich w spisach powszechnych — innymi słowy, nie zaliczały ich do ludzi.

Przede wszystkim z tych powodów nie wiadomo, ilu Aborygenów było w Australii, kiedy zasiedlili ją Brytyjczycy. Szacunki mieszczą się w przedziale od 300 tysięcy nawet do miliona. Wiemy natomiast, że w pierwszym stuleciu kolonizacji liczba ta dramatycznie spadła. Pod koniec XX wieku Aborygenów było prawdopodobnie 50-60 tysięcy. Trzeba przyznać, że w większości nie wynikało to z zaplanowanej polityki. Aborygeni nie mieli prawie żadnej odporności na europejskie choroby, więc ospa, zapalenie opłucnej i syfilis, a nawet ospa wietrzna i łagodniejsze szczepy grypy dziesiątkowały ich populację. Tych Aborygenów, którzy przeżyli, traktowano jednak wyjątkowo nieludzko i bestialsko.

W *The Taming the Great South Land* William J. Lines podaje przykłady przerażającego okrucieństwa osadników wobec autochtonów. Zabijano ich na karmę dla psów; kobiety zmuszono do patrzenia, jak ich mężowie są mordowani, a potem kazano im nosić na szyi ich obcięte głowy; do innej kobiety, która uciekła na drzewo, strzelano dla zabawy z pistoletów: „Za każdym razem, gdy trafiła ją kula, zrywała liście i przykładała do ran, aż w końcu spadła bez życia na ziemię”. Chyba najbardziej szokuje dezynwoltura, z jaką dokonywano tych zbrodni, i to pośród wszystkich warstw społecznych. Niejaki Melville, który w 1839 roku napisał historię Tasmanii, relacjonuje, że pewnego dnia wybrał się z „kulturalnym młodzieńcem” na polowanie na kangury. W pewnym momencie młodzieniec zobaczył jakąś przycupniętą za zwalonym drzewem postać. Podszedł bliżej i „stwierdziwszy, że to tylko tubylec”, przytknął mu lufę do piersi „i zabił na miejscu”, napisał wstrząśnięty Melville.

Takie zachowania prawie nigdy nie były traktowane jako przestępstwo, a czasami nawet oficjalnie je rozgrzeszano. W 1805 roku prokurator generalny Nowej Południowej Walii, czyli najważniejsza postać w tamtejszym wymiarze sprawiedliwości, zakomunikował, że Aborygenom brakuje dyscypliny i sprawności umysłowej, niezbędnych do udziału w postępowaniach sądowych. Zamiast obciążać sądy swoimi problemami, osadnicy mieli sami tropić tubylczych delikwentów i „wymierzać taką karę, na jaką zasłużyli” — najmniej skrywana zachęta do ludobójstwa, jaką można znaleźć w angielskim prawie. Piętnaście lat później nasz stary znajomy Lachlan Macquarie upoważnił żołnierzy z regionu Hawkesbury do strzelania do grup Aborygenów, liczących więcej niż sześć osób, nawet jeśli byliby nieuzbrojeni i nie przejawiali żadnych wrogich zamiarów albo nawet jeśli byłyby wśród nich kobiety i dzieci. Czasami, pod przykrywką miłosierdzia, Aborygenom dawano zatrute jedzenie. Pilger cytuje urzędowy raport z Queenslandu, który powstał w połowie XIX wieku: „Negrom dano coś naprawdę zadziwiającego, żeby ich uspokoić: prowiant zawierający tyle samo strychniny co żywności. Nie przeżyła ani jedna osoba z tej hałastry”. Wspomniana „hałastra” składała się z około stu mężczyzn, kobiet i dzieci.

W świetle powyższego może zaskakiwać, że autochtonów nie mordowano na znacznie większą skalę. Przez pierwszych 150 lat okupacji brytyjskiej łączna liczba Aborygenów umyślnie zabitych przez białych (w tym w obronie własnej, w regularnej bitwie i innych mniej lub bardziej uzasadnionych okolicznościach) wyniosła około 20 tysięcy — tragicznie i haniebnie dużo, choć to i tak mniej niż 10 procent liczby Aborygenów, którzy zmarli od chorób.

Nie znaczy to jednak, że przemoc nie była powszechna i niesprowokowana. Wręcz przeciwnie. W czerwcu 1838 roku kilkunastu mężczyzn wyruszyło konno z farmy niejakiego Henry'ego Dangara, szukając ludzi, którzy ukradli albo przepędzili część ich trzód. Nad Myall Creek trafili na obozowisko Aborygenów, którzy wśród białych osadników z tej okolicy uchodzili za spokojnych i niegroźnych. Prawie na pewno nie mieli nic wspólnego ze zniknięciem bydła. Mimo to ekipa pościgowa związała razem 28 mężczyzn, kobiet i dzieci, przez kilka godzin prowadziła ich w nieokreślonym kierunku, a następnie bezlitośnie zabiła przy użyciu strzelb i szabel.

W normalnych okolicznościach sprawa by się na tym zakończyła, ale w 1838 roku mentalność kolonistów zaczęła się zmieniać. Społeczeństwo coraz bardziej się urbanizowało i mieszkańcy miast coraz głośniej wyrażali potępienie dla niesprowokowanej rzezi niewinnych ludzi. Kiedy dziennikarz z Sydney, Edward Smith Hall, usłyszał tę historię, zorganizował kampanię domagającą się ukarania winowajców. Gubernator George Gipps nakazał ich wytropienie i postawienie przed sądem. Dwóch spośród pojmanych z całą powagą argumentowało, iż nie wiedzieli, że zabijanie Aborygenów jest nielegalne.

Chociaż dowody winy były niepodważalne, ława przysięgłych potrzebowała zaledwie 15 minut na wydanie wyroku uniewinniającego. Hall, Gipps i miejska opinia publiczna odrzucili jednak ten werdykt i doszło do drugiego procesu. Tym razem siedmiu mężczyzn skazano i powieszono. Były to pierwsze wyroki śmierci dla białych za zamordowanie Aborygenów.

Egzekucje nad Myall Creek nie zatrzymały jednak rzezi Aborygenów, raczej zepchnęły ją do podziemia. Autochtonów sporadycznie zabijano jeszcze przez

mniej więcej sto lat. Do ostatniego morderstwa doszło w 1928 roku w pobliżu dzisiejszego Alice Springs, kiedy biały łowca psów dingo, Fred Brooks, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach, po czym konna policja w odwecie zabiła od 17 do 70 Aborygenów. Sędzia orzekł, że funkcjonariusze nie przekroczyli swoich uprawnień. Mimo to proces nad Myall Creek należał do przełomowych chwil w dziejach Australii. Wspomina się o nim w większości książek historycznych, ale nie spotkałem nikogo, kto odwiedziłby tę miejscowość lub przynajmniej wiedział dokładnie, gdzie ona jest. Odniosłem wrażenie, że piszący o tej sprawie historycy opierają się wyłącznie na źródłach historycznych, chciałem więc tam pojechać i osobiście się rozejrzeć.

Myall Creek niełatwo jest znaleźć. Następnego dnia wyjechałem z Macksville i w oddalonym o sto kilometrów Grafton skręciłem w głąb lądu. Stroma i mało uczęszczana droga prowadziła przez Wielkie Góry Wododziałowe. Po czterech godzinach jazdy przez upalną i odludną krainę owiec dotarłem do Delungry — stacji benzynowej i paru domów z widokami na prawie bezdrzewne równiny — gdzie skręciłem w krętą boczną drogę, prowadzącą do miasteczka Bingara 40 kilometrów na południe. Kilka kilometrów przed Bingarą zobaczyłem rozklekotany mostek nad prawie wyschniętą rzeczką. Tablica informowała, że jest to Myall Creek. Zaparkowałem samochód w cieniu eukaliptusa i wysiadłem. Nie było żadnego pomnika, żadnej tablicy upamiętniającej. Nic nie wskazywało, że tutaj, a przynajmniej gdzieś w pobliżu, miało miejsce jedno z najbardziej haniebnych wydarzeń w dziejach Australii. Niedaleko mostu stały dwa sfatygowane stoły piknikowe, wokół których walało się mnóstwo rozbitych butelek. Jakies dwa kilometry dalej zobaczyłem duży dom otoczony polami z zaskakująco zielonymi uprawami. W drugą stronę zarośnięta ścieżka prowadziła do białego budynku, który znajdował się znacznie bliżej. Podeszedłem, aby mu się lepiej przyjrzeć. Napis informował, że jest to Myall Creek Memorial Hall. Wyjątkowo skromny, jak na pomnik strasznej rzezi, ale lepszy rydz niż nic. Kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem na tablicy mniejszy napis, z którego się dowiedziałem, że pomnik nie ma nic wspólnego z rzezią, lecz upamiętnia poległych w obu wojnach światowych.

Pojechałem dalej do Bingary (1363 mieszkańców), apatycznego miasteczka z senną główną ulicą. Wyglądało na miejscowość, której kiedyś całkiem nieźle się powodziło, dzisiaj jednak prawie wszystkie sklepy były albo porzucone, albo zajęte przez instytucje państwowe: przychodnię, biuro pośrednictwa pracy, centrum informacji turystycznej, posterunek policji i „Ośrodek Wypoczynkowy dla Seniorów”. Na dużym starym budynku wisiał szyld „Kino Roxy”, ale tę świątynię filmu najwyraźniej zamknięto wiele lat temu. W punkcie informacji turystycznej powitała mnie sympatyczna pani w średnim wieku, która na widok klienta zerwała się na równe nogi. Zapytałem, czy dysponuje informacjami na temat masakry, i spojrzała na mnie strapiona.

— Obawiam się, że nie wiem o tym zbyt wiele — powiedziała.

— Naprawdę? — odparłem zaskoczony, ponieważ miała wokół siebie mnóstwo broszur i książek.

— To było tak dawno. Dzieci uczą się o tym w szkole, ale goście niezbyt często o to pytają.

— Przepraszam za wścibstwo, ale jak często?

— O — powiedziała i chwyciła się za podbródek, jakbym zabił jej ćwieka. Potem odwróciła się do koleżanki, która właśnie wyszła z zaplecza. — Mary, kiedy ktoś pytał o Myall Creek?

Koleżanka zrobiła równie zaskoczoną minę.

— No, nie wiem... Zaraz, był taki jeden, co pytał jakieś dwa miesiące temu. Przypomniałam sobie. Miał kozią bródkę. Trochę podobny do Rolfa Harrisa. Przed nim nie pamiętam.

— Większość gości przyjeżdża tutaj szukać minerałów — wyjaśniła pierwsza pani.

— I co znajdują? — zapytałem z uprzejmym zainteresowaniem.

— O, mnóstwo rzecz: złoto, diamenty, szafiry. Kiedyś to był ważny obszar górniczy.

— Naprawdę nie macie nic o masakrze?

— Przykro mi, ale nie mamy. — Jej żal wydawał się szczery. — Powiem panu,

kto może panu pomóc: Paulette Smith z „Advocate”.

— To jest lokalna gazeta — oświeciła mnie jej koleżanka.

— Ona wie wszystko o masakrze. Podczas studiów napisała o tym pracę.

— Jeśli ktoś może panu pomóc, to na pewno ona.

Podziękowałem im i wyruszyłem na poszukiwania redakcji „Advocate”. Bingara to zadziwiające miasteczko: maleńkie, prawie martwe, położone przy drodze, która prowadzi donikąd, ale mimo to ma punkt informacji turystycznej i własną gazetę. W redakcji „Advocate” usłyszałem, że Paulette Smith gdzieś wyskoczyła i że bym wrócił za godzinę. Nie wiedząc, co mam z sobą zrobić, poszedłem do kafeterii, gdzie zamówiłem kanapkę i kawę. Kiedy pogrążony w myślach oddawałem się konsumpcji, naprzeciwko mnie usiadła rudowłosa, trochę zdyszana kobieta około trzydziestki.

— Słyszałam, że pan mnie szuka — powiedziała.

— Wiadomości szybko się tutaj rozchodzą — odparłem z uśmiechem.

Przewróciła oczami i rzuciła z przekąsem:

— Miasto nie jest zbyt duże.

Paulette Smith była poważną kobietą, ale miała ujmujący uśmiech, który rozświeślał jej twarz w nieoczekiwanych momentach, niby zepsuty neon, a potem z jeszcze większym zaangażowaniem opowiadała mi o tym, co ją pasjonowało.

— Nie mówiono nam o masakrze, kiedy dorastałam. Wiedzieliśmy, że coś takiego było — że dawno temu nad rzeką zabito jakichś Aborygenów i kilku białych ludzi zostało za to powieszonych, ale na tym koniec. Nie uczono nas o tym w szkole. Nie było wycieczek szkolnych nad Myall Creek.

Na chwilę rozbłysnął uśmiech.

— Ludzie o tym mówili?

— Nie, nigdy.

Spytałem, gdzie to się dokładnie rozegrało.

— Nikt nie wie. Gdzieś na terenie Myall Creek Farm. Teraz to jest własność prywatna i właściciele niezbyt przychylnie odnoszą się do ludzi, którzy tam wchodzą.

— Czyli nie było żadnych prac archeologicznych? Ekipy naukowców tam nie myszkują?

— Nie, nie ma tego typu zainteresowania. Zresztą chyba nie wiedzieliby, gdzie szukać. Posesja jest bardzo duża.

— I nie ma żadnego pomnika?

— Nie.

— Czy to nie dziwne?

— Nie.

— Ale nie uważa pani, że władze powinny coś postawić? — nie ustępowałem. Zastanowiła się chwilę.

— Musi pan zrozumieć, że sprawa Myall Creek nie była niczym wyjątkowym. Aborygenów zabijano wszędzie. Trzy miesiące przed tą masakrą zamordowano 200 Aborygenów nad Waterloo Creek koło Moree. — Moree leży około stu kilometrów na zachód. — Nikt nie został za to ukarany. Nawet nie próbowano nikogo ukarać.

— Nie wiedziałem o tym.

Skinęła głową.

— I nic dziwnego. Większość ludzi o tym nie słyszała. Myall Creek tym się różniło od innych masakr, że ukarano za to białych. Nie przestali zabijać Aborygenów, tylko byli ostrożniejsi i nie chwalili się tym później w pubie. — Kolejny błysk uśmiechu. — W sumie paradoksalna sprawa. Myall Creek jest znane nie z powodu tego, co się stało z czarnymi, lecz z powodu tego, co się stało z białymi. Zresztą gdyby upamiętnić wszystkie ofiary, to na każdym kroku napotykalibyśmy pomniki. — Zamyślonym wzrokiem spojrzała na mój notatnik i nagle powiedziała: — Muszę wracać do pracy. Obawiam się, że niewiele panu pomogłam — dodała z przeproszającą miną.

— Ależ skąd, bardzo mi pani pomogła. — Potem przyszło mi do głowy jeszcze jedno pytanie: — Są tutaj jacyś Aborygeni?

— Nie, dawno się stąd wynieśli.

Zapłaciłem rachunek i wróciłem do samochodu. Po wyjeździe z miasteczka zatrzymałem się koło mostka i poszedłem kawałek ścieżką prowadzącą do posesji.

Nie było jednak nic do oglądania, a poza tym trochę bałem się węży w wysokiej trawie. Wróciłem więc do auta i pojechałem przez pylistą równinę w stronę odległych sinych zboczy Wielkich Wód Wododziałowych.

Kierunek: Surfers Paradise, sto kilkadziesiąt kilometrów na północ nadmorską Pacific Highway. Surfers Paradise znajduje się tuż za granicą Queenslandu, a miałem ochotę rzucić okiem na ten nietypowy stan. W federacyjnym kraju, w którym stany są ogromne i nieliczne, przejazd z jednego do drugiego zawsze jest wydarzeniem. Nie wchodziło w grę, żebym nie zajrzał na drugą stronę granicy, skoro już wlokłem się taki kawał drogi.

W większości książek o Australii napisanych w ciągu ostatnich 40 lat można trafić na anegdotę ilustrującą fakt, że Queenslandczycy nie są tacy jak inni ludzie. W *Australian Paradox* Jeanne MacKenzie opowiada historię amerykańskiego turysty, który w latach pięćdziesiątych nocował w wiejskim hotelu w Queenslandzie. Na kolację podano mu zimne mięso z ziemniakami. Przez chwilę patrzył z rozczarowaniem na te dary, po czym zapytał nieśmiało, czy mógłby dostać do tego trochę sałaty. Kelnerka spojrzała na niego ze zdziwieniem i potępieniem, po czym powiedziała do innych gości:

— Ten idiota myśli, że to Boże Narodzenie!

Oto inna historia, którą słyszałem w dwóch wariantach. Gość (Francuz w jednej wersji, Anglik w drugiej) wynajął pokój w hotelu w Queenslandzie podczas „wet”, pory deszczowej, która jest cechą charakterystyczną klimatu północnej Australii. Po wejściu do pokoju stwierdza skonsternowany, że na podłodze stoi kilka centymetrów wody. Wraca do recepcji z reklamacją, a właściciel rzuca mu zirytowane spojrzenie i mówi:

— I co? Łóżko jest suche, nie?

Wszystkie te anegdoty mają pewne punkty wspólne: na ogół rozgrywają się w latach pięćdziesiątych, zazwyczaj występuje w nich zagraniczny turysta nocujący w hotelu na prowincji i zawsze Queenslandczycy nie grzeszą w nich życzliwym stosunkiem do bliźniego. Czasem historie te sugerują, że mieszkańcy tej prowincji

są po prostu zwariowani i materiał dowodowy również wskazuje raczej w tym kierunku. Przez prawie dwie dekady stanem rządził Joh Bjelke-Peterson, ekscentryczny prawicowy premier, który przez jakiś czas na poważnie rozważał wysadzenie w powietrze kilku odcinków Wielkiej Rify Koralowej za pomocą małych bomb atomowych, żeby stworzyć korytarze morskie dla statków. Ostatnio Queensland wyróżnił się jako stan, w którym karierę polityczną zrobiła niejaka Pauline Hanson. Ta właścicielka smażalni ryb założyła skrajnie prawicową antyimigracyjną partię One Nation, która przeżywała dni wielkiej chwały, dopóki nawet dla najbardziej zagorzałych zwolenników pani Hanson nie stało się oczywiste, że jej władze umysłowe funkcjonują w sposób, nazwijmy to, kapryśny. Napisała książkę, w której zarzuciła Aborygenom kanibalizm, i nakręciła interesująco paranoidalny filmik, który zaczynał się od słów: „Rodacy, jeśli mnie teraz widzicie, to znaczy, że mnie zamordowano”. Nazywano ją kretynką z Oxley, od jej okręgu wyborczego w Brisbane. Innymi słowy, Queensland cieszy się sławą miejsca jedyne w swoim rodzaju. Nie mogłem się już doczekać, kiedy je zobaczę.

W 1933 roku Elston było mało znaczącą miejscowością nadmorską ze świetną plażą, kilkoma lichymi domami, nienarzekającym na brak klientów, ale trochę niekonwencjonalnym hotelem i paroma sklepami. Wtem wioskowa starszyczna wpadła na genialny pomysł. Uświadomiwszy sobie, że nikt nie będzie podróżował setki kilometrów do zapadłej wiochy o nazwie Elston (a ściślej rzecz biorąc: że nikt tego nie robi), postanowili nadać jej bardziej chwytliwą nazwę, z nowoczesnymi i zdecydowanie bardziej optymistycznymi konotacjami. Rozejrzeli się dokoła i ich spojrzenie padło na tamtejszy hotel, Surfers Paradise. Brzmiało nie najgorzej, więc postanowili zaryzykować. Nie pożałowali swojej decyzji.

Dzisiaj Surfers Paradise jest znane na całym świecie, a o pobliskich miejscowościach — Broadbeach, Currumbin, Tugun, Kirra, Bilinga — poza Queenslandem prawie nikt nie słyszał. Nie ma to jednak znaczenia, ponieważ połączyły się w jedno wielkie lotnisko, które ciągnie się od granicy Queenslandu

z Nową Południową Walią niemal pod samo Brisbane. Tę australijską Florydę ochrzczono Złotym Wybrzeżem.

Widać je z daleka — linia połyskujących wieżowców ze szkła i betonu ucieka aż po horyzont. Kiedy Jeanne MacKenzie przejeżdżała tędy w 1959 roku, nie było tu jeszcze tego blichtru. Surfers Paradise pozostawało miejscowością skromną, niską, staroświecką. W 1962 roku zbudowano tutaj pierwszy wysokościowiec, a parę lat później powstał następny. Pod koniec dekady nad morzem wznosiło się siedem czy osiem kilkunastopiętrowych, nieco zakłopotanych budynków, ale na początku lat siedemdziesiątych zaczęła się istna gorączka budowlana. W miejscu, w którym niegdyś na wielkich połaciach piachu znajdowały się jedynie domki wielkości pudełka od zapalek, dzisiaj wznoszą się hotele godne Donalda Trumpa, nakryte kopułą kasyno, pola golfowe i tory do minigolfa, parki rozrywki, galerie handlowe i tak dalej. Mówi się po cichu, że środki na wiele z tych inwestycji pochodziły z podejrzanych źródeł. Poza Queenslandem można także usłyszeć, że Złote Wybrzeże to siedlisko szemranego elementu — australijskich potentatów narkotykowych, japońskiej jakuzi, triad z Hongkongu. Nie jest to miejsce, w którym możesz sobie pozwolić na stuknięcie czyjegoś mercedesa.

Prawie wszyscy Australijczycy powiedzą ci:

— Musisz zobaczyć Złote Wybrzeże. Coś straszego!

— Naprawdę? — odpowiadasz zaintrygowany. — W jakim sensie?

— Dokładnie nie wiem, nigdy tam nie byłem, ale to jest jak... Widziałeś *Wesele Muriel*?

— Nie.

— No więc tam jest dokładnie jak w tym filmie. Podobno.

Byłem zatem zainteresowany wieloma aspektami Złotego Wybrzeża i prawie pod każdym względem przeżyłem rozczarowanie. Przede wszystkim Gold Coast wcale nie jest kiczowate: to po prostu kolejne duże, bezosobowe, luksusowe międzynarodowe lotnisko. Równie dobrze mógłbym się znajdować w Marbelli, Eilat czy którymkolwiek innym ośrodku turystycznym rozbudowanym w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Hotele w większości należały do międzynarodowych

sieci — Marriott, Radisson, Mercure — i gwarantowały bardzo wysoki poziom komfortu. To samo sklepy: Prada, Hermès, Ralph Lauren, nic szczególnie ciekawego, ale też nic szczególnie straszego. Nie po to leciałem kilkanaście tysięcy kilometrów, żeby zobaczyć ręczniki od Ralpa Laurena.

Plaża była jednak jak z obrazka — szeroka, czysta, nasłoneczniona; jej spokojne, cywilizowane fale leniwie wtaczały się na brzeg z jasnoblękitnego morza. Powietrze przesycone było zapachem soli i ozonem, dokoła rozlegały się wrzaski uciechy, krzyki dzieci i panowała ogólna atmosfera dobrej zabawy. Usiadłem na ławce i patrzyłem na ludzi przyjemnie spędzających wakacje. Gdzieś czytałem, że Złote Wybrzeże słynie ze zdradliwości prądów morskich. Tak się złożyło, że prasa dużo ostatnio pisała o utonięciach. Australijskie media traktują wypadki na plaży tak jak amerykańskie media traktują śnieżyce i huragany — jako sensacyjne wydarzenia, których opis należy wzbogacić mnóstwem statystyk porównawczych. Według dziennikarzy w tym roku doszło już do 34 utonięć, więcej niż przeciętnie, a nie minęła nawet połowa lata. Znaczna część winy spadała na turystów, którzy nie przeczytali ostrzeżeń przed prądami morskimi albo nie zachowali spokoju, kiedy takowy prąd ich złapał. Najczęściej jednak chodziło o zwykłą głupotę. „Sydney Morning Herald” opisał przypadek pięćdziesięciodwuletniego mężczyzny, który w miejscowości North Avoca Beach surowo ostrzegął ludzi, żeby się nie kąpali w pewnym miejscu, po czym sam poszedł pływać i utonął. Tego dnia rano, kiedy pakowałem się w motelu, w telewizji leciał wywiad z ratownikiem z Surfers Paradise. Człowiek ten powiedział, że w ubiegłym tygodniu uratował sto osób, w tym jednego turystę dwa razy.

— Dwa razy? — zdziwił się dziennikarz.

— Aha! — odparł ratownik z uśmiechem wskazującym, że zdaje sobie sprawę z absurdalności tej sytuacji.

— Uratował go pan, a on wrócił do wody i znowu musiał go pan ratować?

Uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

— Aha!

Poszukałem wzrokiem pływaków w tarapatach. Nie miałem pojęcia, jakim

sposobem ratownicy są w stanie zauważyć tonącą osobę pośród setek radosnych, figlujących ciał, ale najwyraźniej są. Australijscy ratownicy na świecie nie mają sobie równych. W tym samym okresie, kiedy 34 osoby utonęły, sześć tysięcy uratowano.

Nasiedziawszy się na plaży, poszedłem na kawę, a później spacerowałem po dzielnicy handlowej, choć Surfers Paradise to w gruncie rzeczy ciąg sklepów sprzedających to samo — malowane bumerangi i drewniane trąbki Aborygenów, pluszowe misie koala i kangury, pocztówki i albumy, całe wieszaki podkoszulków. W jednym ze sklepów kupiłem widokówkę z surfującym kangurem i spytałem ekspedientkę, czy wie, gdzie jest hotel Surfers Paradise.

— Och, nie mam pojęcia — odparła z miną winowajczyni, tak jakby zapomniała powierzoną jej tajemnicę. — Mieszkam tu od niedawna.

Pokiwałem wyrozumiale głową i spytałem, skąd jest.

— ACT. — Widząc, że na próżno wyteżam mózg, wyjaśniła: — Australian Capital Territory. Canberra.

No jasne!

— W takim razie co jest lepsze: Canberra czy Surfers Paradise?

— O, Surfers, bez porównania.

Zmarszczyłem brwi.

— Jest tu aż tak pięknie?

— Och, nie! — odparła zdumiona, że źle ją zrozumiałem. — W Canberze jest aż tak strasznie.

Jej bardzo emocjonalna reakcja wywołała uśmiech na mojej twarzy.

Ekspedientka pokiwała głową z przekonaniem.

— Gdyby sklasyfikować różne rzeczy według tego, ile dają człowiekowi przyjemności, Canberra lokowałaby się poniżej złamania ręki. — Wymieniliśmy ubawione uśmiechy. — Przy złamaniu ręki przynajmniej wiadomo, że kiedyś się zrośnie.

Mówiła z powszechną wśród młodych Australijczyków intonacją wznoszącą, która zamienia każde zdanie oznajmujące w pytające. Starszych Australijczyków

doprowadza to do szaju, ale mnie się to wydaje urocze, a nawet, jak w tym przypadku, seksowne.

Weszła jakaś szefowopodobna kobieta, najwyraźniej po to, żeby sprawdzić, czy nie za dobrze się bawimy.

— Czy mogę się do czegoś przydać? — zapytała ze snobistycznym akcentem, który sugerował wieloletnie obcowanie z książką *Samouczek wykwintnej wymowy*.

Trzymała głowę w osobliwy sposób: odchyliła ją nieco do tyłu, jakby się bała, że jej oczy wypadną.

— Szukam pierwotnego hotelu Surfers Paradise.

— A! Został zburzony wiele lat temu.

Błysnęła zadowolonym z siebie uśmiechem, ale nie umiem powiedzieć, z czego wynikała ta satysfakcja: z faktu, że budynek zburzono, czy tylko z tego, że ona miała możliwość przekazać mi tę rozczarowującą wiadomość. Na planie miasta w przewodniku pokazała mi, gdzie stał hotel.

Podziękowałem im obu i kierując się otrzymanymi wskazówkami, dotarłem na miejsce. Dzisiaj znajduje się tam galeria handlowa Paradise Centre, bardziej pasująca do współczesnego letniska: brzydka i sprzedająca rozmaity szajs po zawyżonych cenach.

W książce o Surfers Paradise, którą przeglądałem w Adelaide, było zdjęcie z końca lat czterdziestych, prezentujące rozkoszny, trochę sypiący się hotel, który sprawiał takie wrażenie, jakby budowano go etapami z tego, co akurat było pod ręką; na tarasie siedzieli niezmiernie szczęśliwi klienci, którzy w niezdrowych ilościach chłonęli promienie słoneczne i alkohol. Obszedłem cały budynek, po czym stanąłem naprzeciwko i długo wpatrywałem się w to miejsce, ale nie sposób było sobie wyobrazić, jak to kiedyś wyglądało, tak jak nie sposób było sobie wyobrazić masakry nad Myall Creek w dzisiejszej sielskiej scenerii. Wróciłem do samochodu i wyjechałem z miasta, przecinając pasy słońca i cienia tworzone przez wielkie hotele i bujne palmy. Na końcu Surfers Paradise dotarłem do Pacific Highway i pojechałem nią na południe.

Miałem przed sobą długą drogę do Sydney. Obecna podróż dobiegła końca, ale

zamierzałem oczywiście tu wrócić. Jeszcze nie skończyłem z Australią.

¹ Na przykład kapitan Watkin Tench, naoczny świadek, podaje liczbę 751 więźniów i 211 marynarzy, którzy wylądowali, oraz 25 osób zmarłych w drodze. Robert Hugnes mówi o 696 skazańcach i 48 ofiarach śmiertelnych, a liczby marynarzy nie precyzuje. Według autora artykułu z „National Geographic” więźniów było 775, zgodnie z *Concise History* Penguina zaś — 529. Mógłbym tak długo wymieniać.

² Stany Zjednoczone nie dopieszczały w tamtym okresie dumy narodowej Australijczyków. Dwa tygodnie po tym, jak Harbour Bridge został pozbawiony tytułu „naj”, Phar Chap, najlepszy koń wyścigowy w historii Australii, zmarł w tajemniczych okolicznościach w Kalifornii. Do dziś wielu Australijczyków uważa, że go otruliśmy. Kangury są strasznie dumne z tego konia i nie lubią, kiedy im się przypomina, że urodził się w Nowej Zelandii.

³ *Rape* może znaczyć również „gwałt” (przyp. tłum.).

⁴ Ci, którzy je tak ochrzcili, najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że Burley to drugie imię, a nie człon nazwiska Waltera.

⁵ Aluzja do angielskiego przysłowia „zbierać siano (*make hay*, w tym kontekście — dotrzeć do Hay), póki świeci słońce” (przyp. tłum.).

⁶ Kolejno: podkoszulek bez rękawów, slangowe określenie piersi (zobaczyłem to słowo na okładce czasopisma i wywołałem moim pytaniem rumieniec na twarzy ekspedientki, ale jak inaczej miałem się tego dowiedzieć?) oraz rodzaj obrotowej suszarki do prania, która budzi w Australijczykach tajemniczą, ale wzruszającą dumę.

Część trzecia

Australia kresowa

Rozdział czternasty

— Chciałbym, żebyś wiedział — powiedział głos w moim uchu, kiedy lot 406 linii Qantas wyskoczył jak korek z monsunowego cumulonimbusa, ukazując pasażerom siedzącym przy oknach widok na szmaragdowe góry wyrastające stromo z ołowianego morza — że jeśli zajdzie taka potrzeba, oddam ci cały mój mocz.

Odwróciłem się od okna, aby zareagować na te słowa z całą należną im uwagą, i stwierdziłem, że patrzę na poważne i wypoczęte oblicze Allana Sherwina, mojego przyjaciela i chwilowego towarzysza podróży. Przesadziłbym, gdybym powiedział, że jego obecność u mego boku mnie zaskoczyła, ponieważ nasze spotkanie w Sydney było zaplanowane i razem wsiedliśmy do samolotu, a jednak było w tym coś nierealnego, typu „uszczypnij mnie”. Dziesięć dni wcześniej w Londynie, gdzie zatrzymałem się po drodze z Bliskiego Wschodu do Stanów, spotkałem się z Allanem, aby omówić pewien jego projekt (Allan jest z zawodu producentem telewizyjnym; poznaliśmy się rok wcześniej, pracując razem przy serialu dla brytyjskiej telewizji). W pubie przy Old Brompton Road zrelacjonowałem mu moje dotychczasowe australijskie przygody i wspomniałem, że podczas następnej podróży chcę się wyprawić na wielkie obszary pustynne — sam i drogą lądową. Aby zwiększyć jego podziw dla mnie, przytoczyłem mu kilka barwnych historii o podróżnikach, którzy padli ofiarą tych bezlitosnych rewirów. Jedną z tych opowieści dotyczyła ekspedycji z połowy XIX wieku pod kierunkiem mierniczego Roberta Austina. Zgubili się na suchym pustkowiu za Mount Magnet w Australii Zachodniej i z braku wody zmuszeni byli pić własny i koński mocz. Ta historia tak bardzo zafascynowała Allana, że natychmiast wyraził pragnienie towarzyszenia mi na najbardziej niebezpiecznych etapach obecnej wyprawy, w roli szofera i zwiadowcy. Oczywiście próbowałem go odwieść od tego zamiaru, w jego własnym interesie, ale nie chciał mnie słuchać. Jego wielkoduszna propozycja zaopatrzenia mnie w urynę wskazywała, że historia Austina głęboko zapadła mu

w pamięć.

— Dziękuję — odparłem — to bardzo szlachetne z twojej strony.

Uraczył mnie skinieniem głowy, które miało w sobie coś królewskiego.

— Od tego są przyjaciele.

— A ja obiecuję oddać ci całą nadwyżkę.

Kolejne królewskie skinienie głowy.

Jego plan, do którego bardzo się przywiązał, prezentował się następująco: pojedzie ze mną do północnego Queenslandu, gdzie odpocznimy jeden dzień pośród ławic ryb Wielkiej Rafy Koralowej, po czym odpowiednio solidnym pojazdem ruszymy wyboistą drogą do Cooktown, prawie wymarłego miasteczka w dżungli na północ od Cairns. Po zakończeniu tej rozgrzewki polecimy do Darwin na Terytorium Północnym — przez Australijczyków czule nazywanym „Top End” — by stamtąd przejechać samochodem półtora tysiąca kilometrów przez spalone słońcem czerwone wnętrze kraju do Alice Springs i mocarnej skały Uluru, dawniej Ayers Rock. Wspomógłszy mnie w walce z największymi niebezpieczeństwami, bohaterski pan Sherwin miał wsiąść w Alice Springs do samolotu i wrócić do Anglii, zostawiając mnie sam na sam z pustyniami zachodu. Nie wynikało to z kalkulacji, że na tym etapie będę już dostatecznie do tego przygotowany — nie pokładał bowiem większej wiary w moje umiejętności przetrwania — lecz z faktu, że dysponował tylko dziesięcioma dniami wolnego czasu. Ja też niezbyt wysoko oceniałem jego traperskie talenty, ale ucieszyłem się, że będę miał towarzystwo.

— Nie sądzę jednak, żebyśmy byli zmuszeni pić mocz — dodałem pocieszająco.

— Od połowy XIX wieku infrastruktura na terenach pustynnych znacznie się poprawiła. Podobno teraz można tam dostać coca-colę.

— Ale moja oferta jest aktualna.

— Jestem ci za nią do zgonnie wdzięczny.

Po tej wymianie kurtuazji powróciłem do obserwacji egzotycznej zieleni pod rozkołysanym końcem naszego skrzydła. Jeśli kogoś trzeba jeszcze przekonywać, że Australia jest wyjątkowym krajem, to powinien się wybrać do tropikalnej części Queenslandu. Z około 500 miejsc na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO

tylko 13 spełnia wszystkie 4 kryteria i 4 z nich — prawie jedna trzecia — znajdują się w Australii, w tym 2 — Wielka Rafa Koralowa i las tropikalny Queenslandu — w stanie, nad którym przelatywaliśmy. Chyba nigdzie na świecie dwa tak niezwykle środowiska przyrodnicze z sobą nie sąsiadują.

Mieliśmy szczęście, że w ogóle tam dotarliśmy. Pora deszczowa na północy okazała się szczególnie nieprzychylna. Cyklon Rona spustoszył niedawno wybrzeże, powodując szkody szacowane na 300 milionów dolarów, a od wielu tygodni region nawiedzały burze o mniejszym natężeniu, wywołując zakłócenia w ruchu powietrznym. Dzień wcześniej odwołano wszystkie loty. Turbulencje podczas podejścia do Cairns wskazywały, że pogoda nadal się nie uspokoiła. W trakcie lądowania mieliśmy możliwość podziwiać palmy, pola golfowe, morskie przystanie jachtowe, wielkie hotele przy plażach i całe mnóstwo czerwonych dachów domów wyrastających spośród bujnej zieleni. Jeśli pominąć pogodę, wszystko to wyglądało bardzo obiecująco.

Dzisiaj, kiedy miliony osób rocznie przyjeżdżają zwiedzić Wielką Rafę Koralową, można się zdziwić, że odkrycie jej walorów zajęło przemysłowi turystycznemu tak dużo czasu. W relacji z wyprawy po północnej Australii w latach pięćdziesiątych historyk Alan Moorehead stwarza takie wrażenie, jakby podróż po północnym Queenslandzie była porównywalna do odkrywania źródeł Orinoko. Cairns było wtedy małą miejscowością nadmorską, do której jechało się setki kilometrów drogami przez dżunglę, i zamieszkaną głównie przez ekscentrycznych wyrzutek społecznych o temperamentie zbiegów. Dzisiaj jest to mała metropolia z 60 tysiącami mieszkańców, różniąca się od innych miast australijskich podobnych rozmiarów tylko wilgotnością, która owija człowieka jak mokry ręcznik natychmiast po wyjściu z terminalu lotniska, oraz zdrową pożądlivością wobec turystycznych dolarów. Cairns stało się popularną bazą wypadową dla plecakowiczów i innych młodych ludzi, którym podoba się jego tropikalna egzotyczność.

W dniu naszego przyjazdu nad całym regionem ciążyło szare niebo, z którego w każdej chwili mógł lunąć deszcz. Taksówka zawiozła nas do miasta przez małe

estetyczną dzielnicę moteli, stacji benzynowych i fast foodów. Centrum Cairns prezentuje się trochę sympatyczniej, ale sprawia wrażenie zbudowanego niedawno i w wielkim pośpiechu. Co drugi zakład proponował wycieczki statkiem do rafy koralowej albo nurkowanie, a reszta sprzedawała podkoszulki i widokówki.

Najpierw poszliśmy odebrać wynajęty samochód. Ponieważ byłem na bliskowschodniej pieszej wyprawie, zostawiłem zorganizowanie tej podróży agencji turystycznej, która wybrała nieznaną lokalną firmę — Crocodile Car Hire czy jakaś równie surrealistyczna i mało zachęcająca nazwa — z biurem, które było w gruncie rzeczy okienkiem przy bocznej ulicy. Młody człowiek za biurkiem emanował potwornie irytującą jowialną bezczelnością, ale z robotą papierkową uporał się szybko i kompetentnie, nie przestając gadać o pogodzie. To jest najgorsza pora deszczowa od 30 lat, zakomunikował z dumą, po czym zaprowadził nas do naszego samochodu, przedpotopowego commodore holdena, którego amortyzatory wyraźnie nie wytrzymały obciążenia.

— Co to jest? — spytałem.

Pochylił się do mnie, jakby mówił do osoby upośledzonej umysłowo.

— Wasz samochód.

— Ale ja prosiłem o samochód terenowy z napędem na cztery koła.

Przejrzał papiery, ostrożnie wyjął faks od agenta i mi podał. Była to prośba o normalny duży samochód, maksymalnie zatruwający środowisko naturalne i wyposażony w automatyczną skrzynię biegów — innymi słowy, o auto amerykańskie lub jego australijski ekwiwalent. Z westchnieniem oddałem mu kartkę.

— Dobra, ale mógłby mi pan dać zamiast tego coś z napędem na cztery koła?

— Przykro mi, ale mamy tylko miejskie samochody.

— Ale my zamierzamy pojechać na przylądek Jork.

— W porze deszczowej nie dojdziecie. Nawet terenówką. Nie o tej porze roku. W zeszłym tygodniu na Cape Tribulation spadło sto centymetrów deszczu. — Nie miałem zbyt precyzyjnego wyobrażenia, ile to jest sto centymetrów deszczu, ale z jego tonu wnioskowałem, że dużo. — Za Daintree dotrzecie tylko helikopterem.

— Znowu westchnąłem. — Droga do Townsville od trzech dni jest nieprzejezdna — dodał z jeszcze większą dumą.

Townsville leży na południe od Cairns, czyli w przeciwnym kierunku niż przylądek Jork. Wyglądało na to, że byliśmy odcięci od świata.

— To gdzie możemy jechać?

— W obrębie aglomeracji Cairns gdzie tylko chcecie — odparł z radosną ironią.

Allan spojrzał na mnie z wesołą miną debila, który nie zdaje sobie sprawy, że nadciąga katastrofa, co mnie jeszcze bardziej zdenerwowało. Westchnąłem po raz trzeci i dźwignąłem torby.

— Może nam pan powiedzieć, jak dojechać do hotelu Palm Cove? — spytałem.

— Oczywiście. Trzeba minąć lotnisko i skręcić na północ w Cook Highway. Hotel jest jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

— Dwadzieścia kilometrów? — wykrztusiłem. — Ale ja prosiłem o hotel w Cairns!

Podrapał się w brodę z zamyśloną miną.

— Palm Cove na pewno nie jest w Cairns.

— Ale droga jest przejezdna?

— Na razie.

— To znaczy, że może zostać zalana? — zapytałem z niepokojem.

— Istnieje takie ryzyko.

— A jeśli ją zaleje, utkniemy na pustkowiu?

Spojrzał na mnie z litością.

— Proszę pana, pan już utknął na pustkowiu.

Trudno było z tym polemizować. Cairns leży 1700 kilometrów od Brisbane, stolicy stanu, a z pozostałych stron otacza je ocean, dżungla i pustynia.

— Ale Palm Cove jest bardzo sympatyczne — dodał. — Spodoba się panu.

Miał rację. Palm Cove jest zaskakująco urocze. Ta sztuczna wioska pośród tropikalnej zieleni leży nad łukowatą zatoczką. Po jednej stronie nadmorskiej drogi stoją niskie hotele i apartamentowce, kilka domów i trochę barów, restauracji i sklepów, wszystkie dyskretnie osłonięte przez palmy, wielkie paprocie i pnącza,

a po drugiej, wzdłuż plaży ze złotym piaskiem, ciągnęła się wysadzana palmami promenada.

Jeśli pominąć nazwę, otoczenie i cenę, nasz hotel tak naprawdę był motelem, ale bardzo gościnnym i z widokiem na morze. Zameldowaliśmy się i poszliśmy na przechadzkę wzdłuż plaży. Zobaczyliśmy kilkoro innych spacerowiczów, ale nikt się nie kąpał, co nas nie zaskoczyło: był to szczyt sezonu dla kubomeduz, w Queenslandzie zwanych morskimi osami lub po prostu osami. Niezależnie od tego, jak je nazywają, z tymi bąblami bólu lepiej nie zadzierać. Od października do maja, kiedy meduzy przyplływają do brzegu w celach reprodukcyjnych, na plażach Queenslandu nie można się kąpać. Przedziwne uczucie: stoisz nad przepiękną, zachęcająco wyglądającą zatoką, ale masz pełną świadomość, że nigdzie na świecie nie znajdziesz miejsca, gdzie nagła śmierć byłaby bardziej prawdopodobna.

— Chcesz mi powiedzieć — zdziwił się Allan, dla którego to wszystko było nowe — że gdybym wszedł teraz do wody, to bym umarł?

— W niewyobrażalnie potwornych męczarniach.

— Rany boskie! — wymamrotał z lekkim przerażeniem.

— Nie dotykaj tych muszelek! — powstrzymałem go w ostatniej chwili.

Wyjaśniłem mu, co to są stożki — jadowite ślimaki, które mieszkają w przepięknych muszlach i czekają na moment, kiedy chwyci je ludzka ręka, w której będzie można zatopić makabryczne szczypce.

— Muszelki też zabijają? — nie przestawał się dziwić.

— W tym regionie jest więcej śmiercionośnych rzeczy niż w innych częściach Australii, a w tej konkurencji ten kraj bije wszystkie inne na głowę.

Opowiedziałem mu o kazuarze, nielocie wzrostu człowieka, który mieszka w lesie tropikalnym i na każdej stopie ma ostry jak brzytwa pazur, którym potrafi cię precyzyjnie i dogłębnie rozpruć; o zielonych wężach, które zwisają z drzew i tak doskonale stapiają się z listowiem, że zauważasz je dopiero w momencie, kiedy owiną ci się wokół szyi. Wspomniałem również o małej, lecz zatrważająco jadowitej ośmiornicy prążkowanej, której pieszczota niesie z sobą natychmiastową śmierć, a także o wytwornej, lecz irytującej drętwie, która porusza się w wodzie jak

latający dywan i prądem o napięciu 20 wolt razi wszystko, co jej w tym przeszkadza; o ohydnej, letargicznej szkaradnicy, której nie sposób odróżnić od kamienia, poza tym, że ma na grzbiecie 12 kółców, będących w stanie przebić podeszwę buta i wstrzyknąć nieszczęsnej ofierze myotoksynę o ciężarze molekularnym 150 tysięcy.

— Co to dokładnie oznacza? — zapytał Allan słabym głosem.

— To oznacza nieopisany ból, paraliż mięśni, problemy z oddychaniem, palpacje serca i zupełny brak ochoty na ostre imprezowanie. Podobne objawy wywołuje ryba *Nemateleotris decora*, łatwiejsza do zauważenia, ale nie mniej uciążliwa. Jest też meduza, która potocznie nazywa się smarkata.

— Zmyśliłeś to wszystko — powiedział bez przekonania.

— Niestety nie.

Opowiedziałem mu o krokodylu różańcowym, który czyha w tropikalnych lagunach, ujściach rzek, a nawet zatokach takich jak ta, od czasu do czasu wyskakując z wody, by porwać i zjeść niczego niepodejrzewających przechodniów. Niedaleko miejsca, w którym teraz spacerowaliśmy, całkiem niedawno krokodyl w dosyć zaskakujących okolicznościach porwał niejaką Beryl Wruck.

— Opowiedzieć ci?

— Nie.

— No więc pewnego dnia — zacząłem, wiedząc, że tak naprawdę umiera z ciekawości — grupa mieszkańców Daintree spotkała się na grillu z okazji adwentu. Po jedzeniu część z nich postanowiła się ochłodzić w rzece Daintree. Nie jest tajemnicą, że mieszkają w niej krokodyle, ale w tej okolicy nigdy nikogo nie zaatakowały. Kilka osób zeszło na brzeg, rozebrało się do bielizny i wskoczyło do wody. Pani Wruck doszła do wniosku, że rozsądniej będzie nie iść w ich ślady, więc zanurzyła tylko stopę. Kiedy tak stała i obserwowała radosne harce, w pewnym momencie schyliła się i przeciągnęła dłonią po wodzie. Woda natychmiast się rozstała i biedna pani Wruck zniknęła na zawsze. „Nie było żadnego odgłosu, żadnego krzyku — relacjonował jeden ze świadków. — To się stało tak szybko, że gdyby ktoś w tym momencie mrugnął, to nic by nie zauważył”.

Tak wyglądał atak krokodyla — szybki, niespodziewany i skrajnie nieodwracalny.

— Chcesz mi powiedzieć, że w tej wodzie są krokodyle? — spytał Allan.

— Może są, może nie ma, ale z ostrożności pozwalam ci iść od strony brzegu.

W tej chwili z niespokojnego nieba gruchnął grzmot, raz, ale groźnie. Nagle wzmógł się wiatr, podrywając do tańca liście palm, i spadło kilka pękatych kropli deszczu. Potem niebo się otworzyło i chlusnęło ciepłą wodą. Biegiem wróciliśmy do hotelu, schowaliśmy się na werandzie baru, wykręciliśmy parujące koszule i patrzyliśmy, jak deszcz pada z opętańczą furją. Teraz nie było już mowy o kroplach: woda z ogłuszającym grzmotem lała się strumieniami. Sądziłem, że jako człowiek wychowany na amerykańskim Środkowym Zachodzie jestem przyzwyczajony do klimatycznych wybryków, ale z radością przyznaję, że jeśli chodzi o żywioły, Australia gra we własnej lidze. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Zreasumujmy — powiedział Allan. — Nie możemy pojechać do Cooktown, bo droga jest nieprzejezdna. Nie możemy pływać, bo w oceanie roi się od zabójczych meduz. A droga do Cairns w każdej chwili może zostać zalana.

— Mniej więcej tak to wygląda — przyznałem.

Wydał z siebie zamyślane westchnienie.

— To przynajmniej napijmy się piwa.

Poszedł do baru, a ja usiadłem przy małym stoliku na werandzie i obserwowałem ulewę.

W drzwiach stanął jeden z pracowników baru.

— Najgorsza pora deszczowa od trzydziestu lat.

Przytaknąłem.

— Jakie są prognozy na jutro?

— To samo.

— Mieliśmy jutro popłynąć na Wielką Rafę Koralową — pokręciłem smutno głową.

— Niech się pan nie martwi. Nigdy nie odwołują wycieczek na rafę, chyba że jest huragan.

— Ludzie płyną na rafę przy takiej pogodzie?

Skinął głową. Woda w zatoce kotłowała się jak w wannie, do której właśnie wskoczył grubas.

— Ale dlaczego?

— Ile pan zapłacił za bilety?

Nie wiedziałem — wchodziły w skład pakietu — ale miałem je przy sobie, więc wyjąłem portfel z kieszeni.

— Sto czterdzieści pięć dolarów od głowy — wydukałem z niedowierzaniem.

— Już pan rozumie? — skomentował z uśmiechem.

Wrócił do środka. Po chwili pojawił się Allan z piwami i nietypowo smętną i skonsternowaną miną.

— Rzeczywiście jest meduza, która nazywa się smarkata. Barman mi powiedział.

Uśmiechnąłem się do niego przepraszająco.

— Mówiłem ci.

Przez jakiś czas kontemplował deszcz. Ktoś zostawił na stole lokalną gazetę, „Port Douglas and Mossman Gazette”. Allan zaczął ją przesuwać, żeby dotrzeć do popielniczki, ale coś przykuło jego uwagę. Przez chwilę czytał coraz bardziej zaangażowany, po czym podał mi gazetę i postukał palcem wskazującym w artykuł, który tak go zaintrygował. W małym materiale u dołu pierwszej strony informowali, że epidemia dengi w Port Douglas zaczęła wygasać. Do tej pory zanotowano w okolicy 485 przypadków i chociaż w ostatnich dniach liczba nowych zachorowań spadła, jest jeszcze za wcześnie, aby odwołać alarm, powiedziała rzeczniczka Zakładu Medycyny Tropikalnej.

— Dali to na sam dół strony! — wykrztusił Allan ze wzrokiem wskazującym na pierwsze objawy szaleństwa.

— Jutro się tam wybieramy — rzuciłem od niechcenia.

— Wiesz, co by było, gdyby epidemia dengi wybuchła w Wielkiej Brytanii? Ludzie zabijaliby okna deskami. Promy osypywałyby się z ludzi usiłujących uciec z kraju. Policja strzelałaby do ludzi na ulicach, żeby przywrócić porządek. Tutaj

mają 485 przypadków w jednej miejscowości i dają o tym małą notkę u dołu strony! Gdzie ty mnie przywlokłeś, Bryson? Co to jest za kraj?

— To wspaniały kraj, Allan.

— Nie gadaj bzdur.

Rozstaliśmy się, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie, a potem spotkaliśmy się w barze na aperitif przed jedzeniem. Deszcz najwyraźniej nie zamierzał odpuścić, więc postanowiliśmy zjeść kolację w hotelu. Allan zamówił lucjana czerwonego.

— Nie słyszałeś o ciguatera? — spytałem konwersacyjnym tonem.

— Jasne, że nie słyszałem, do ciężkiej cholery — odpalił przez zaciśnięte zęby.
— Co to znowu za diabeł?

— Nic takiego.

— Gdyby to było nic takiego, to byś o tym nie wspominał. Co to jest? Siedzę na tym? Mam to na głowie? Gadaj!

— To jest toksyna endemiczna dla wód tropikalnych. Gromadzi się w niektórych rybach.

— Na przykład w lucjanie czerwonym?

— Zwłaszcza w lucjanie czerwonym.

Powoli trawił tę informację, kiwając głową jak katatonik. Myślę, że zmiana stref czasowych zaczęła dawać o sobie znać. Taka przestawka potrafi głęboko zaburzyć równowagę psychiczną u niektórych osób.

— Na pewno nie ma powodów do zmartwienia — dodałem uspokajająco. — Gdyby notowano wiele przypadków zatruc pokarmowych, to lucjan czerwony nie pojawiłby się w jadłospisie. No chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że ty zostałbyś pierwszym zarejestrowanym przypadkiem. Od kogoś musi się zacząć. Ale jakie są na to szanse? Jedna na sto? Jedna na dwadzieścia?

— Natychmiast przestań!

— Oczywiście — odparłem pojednawczym tonem. — Przepraszam. Chcesz zmienić zamówienie?

— Nie.

— Objawy obejmują między innymi wymioty, ostre osłabienie mięśni, zaburzenia koordynacji, parestezję warg, ogólną apatię, silne bóle mięśni i paradoksalne zaburzenia zmysłów, to znaczy odczuwanie gorących powierzchni jako zimne i vice versa. Śmierć następuje w około dwunastu procent przypadków.

— Mówiłem ci, żebyś przestał! — Kelnerka przyniosła nam picie. — Ten lucjan... jest w porządku? — spytał Allan z fałszywą dezynwolturą.

— O, piękna sztuka!

— Znaczy, nie ma... Jak to się nazywa, Bryson?

— Ciguatera.

Spojrzała na nas zdezorientowana.

— Nie, podajemy go z frytkami i sałatką.

Wymieniliśmy spojrzenia.

— Czy słusznie zakładam, że nie jest pani stąd? — zwróciłem się uprzejmie do kelnerki.

Jej dezorientacja się pogłębiła.

— Nie, jestem z Tassie. Czemu pan pyta?

— Tak się tylko zastanawiałem — odrzekłem wymijająco i szepnąłem do Allana: — Ona jest z Tasmanii.

Pochylił się ku mnie i odpowiedział szeptem:

— Tak. I co z tego?

— Ich lucjany nie są zatrute.

— Czy można jeszcze zmienić zamówienie, proszę pani?

Spojrzała na niego surowo — wzrokiem młodego człowieka poproszonego o zrobienie 20 kroków, których nie miał w programie — i z miną męczenniczki poszła się dowiedzieć. Po jakimś czasie wróciła z informacją, że wyrażono zgodę na zmianę zamówienia.

— Świetnie! — powiedział Allan, który z odrodzonym entuzjazmem na nowo przystąpił do lektury menu. — Nie macie przypadkiem pieczonej smarkatej? — Kelnerka wytrzeszczyła oczy. — Żartowałem! — Humor wyraźnie mu się

poprawił. — Stek z frytkami poproszę. Średnio wysmażony. — Odwrócił się do mnie. — Nie ma jakichś potwornych chorób wołowiny, o których powinienem wiedzieć? Queenslandzkiego porażenia wołowego czy czegoś w tym guście?

— Stek to dosyć bezpieczny wybór.

— W takim razie poproszę stek — oddał kelnerce kartę. — I nie sypcie za dużo ciguatera. Ale piwa nie żałujcie!

Po pysznej kolacji ponownie udaliśmy się do baru, gdzie dzięki magicznemu działaniu alkoholu zaobserwowaliśmy u siebie prawie wszystkie objawy, których wcześniej za wszelką cenę usiłowaliśmy uniknąć.

Rano deszcz już nie padał, ale niebo było ciemne i brudne, a morze wzburzone. Od samego patrzenia dostałem lekkich mdłości. Nie jestem miłośnikiem oceanu ani jego zawartości, toteż perspektywa wyprawy na skąpaną w deszczu rafę, żeby zobaczyć śmigające rybki, które można obejrzeć w akwarium u pierwszego lepszego dentysty, nie była dla mnie kusząca. W porannej gazecie napisali, że należy się spodziewać ponaddwumetrowej fali. Zapytałem Allana, który miał kiedyś jacht i czapkę kapitańską, z racji czego uważał się za wytrawnego wilka morskiego, czy to dużo. Uniósł brwi jak człowiek, na którym jakaś informacja zrobiła wielkie wrażenie.

— No, dużo! — odparł, po czym opowiedział mi wiele pociesznych anegdot o swoich doświadczeniach na skotłowanym morzu, czasem z udziałem źle zacumowanych jednostek.

Kiedy raczył mnie tymi opowieściami, przemknęła koło nas kelnerka i rzuciła w przelocie:

— Nadciąga cyklon!

— Dzisiaj? — spytałem beczącym głosem, który zaczynał wchodzić mi w krew.

— Może!

Nasza wycieczka na rafę koralową obejmowała odebranie z hotelu i przejazd autobusem do Port Douglas, 30 kilometrów na północ. Autobus przyjechał o wpół do dziewiątej, co do minuty. Kiedy wsiedliśmy, kierowca opowiadał

o zagrożeniach związanych z osą, z drastycznymi szczegółami opisując los ludzi, którzy nie zastosowali się do znaków ostrzegawczych. Zapewnił nas jednak, że na rafie nie ma meduz. Z jakichś niedocieczonych powodów nie wspomniał natomiast o żarłaczach rafowym, skorpenie, jadowitych koralach, węzłach morskich i osławionym graniku, półtonowym monstrum, które z drażliwości i głupoty odgryza czasem pływakowi rękę lub nogę, a potem przypomina sobie, że nie lubi smaku ludzkiego mięsa, i wypluwa je.

Nie umiem opisać radości, jaka mnie ogarnęła, kiedy po przybyciu do Port Douglas okazało się, że statek jest gigantyczny — prawie taki wielki jak promy pływające przez kanał La Manche — i lśniący nowością. Ucieszyło mnie również, zarówno ze względu na mnie, jak i na innych, że nikt z załogi nie zdradzał żadnych objawów dengi. Kiedy razem z innymi pasażerami autobusu staliśmy w kolejce, by do niego wsiąść, usłyszałem z ust członka załogi, że statek mieści 450 osób, na dzisiaj wykupiono 310 biletów, na rafę płynie się około półtorej godziny i ocean powinien być względnie spokojny. Do rafy Agincourt, przy której mieliśmy zarzucić kotwicę, było 38 mil morskich. Z niemałym zainteresowaniem przypomniałem sobie, że to właśnie tam zaginęło amerykańskie małżeństwo.

Na pokładzie usłyszeliśmy komunikat, że rozdają środek przeciwko chorobie morskiej. Pierwszy stawiłem się w punkcie dystrybucji.

— Strasznie miło, że o tym pomyśleliście! — powiedziałem, popijając garść tabletek.

— Tak jest lepiej, niż żeby ludzie zarzygali nam cały statek — odparła radośnie dziewczyna i trudno było z tym polemizować.

Podróż na rafę przebiegała gładko, tak jak nam obiecano. Co więcej, wyszło słońce — aczkolwiek niezbyt intensywne — i morze zmieniło kolor z ołowianego na kobaltowy. Kiedy Allan poszedł na pokład do opalania się, żeby sprawdzić, czy można się pogapić na jakieś kobiety z dużymi piersiami, ja zasiadłem nad swoimi notatkami.

Zależnie od źródła, Wielka Rafa Koralowa ma od 280 do 344 tysięcy kilometrów powierzchni, dwa do dwóch i pół tysiąca długości i jest większa od Kansas, Włoch

albo Zjednoczonego Królestwa. Nie ma porozumienia co do tego, gdzie się zaczyna i kończy rafa, ale wszyscy są zgodni, że jest ogromna. Nawet w najkrótszej wersji dorównuje długością zachodniemu wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Jest też oczywiście bardzo ważnym ekosystemem, morskim odpowiednikiem puszczy amazońskiej. Mieszka tam co najmniej 1500 gatunków ryb, 400 typów koralu i 4000 gatunków skorupiaków, ale są to tylko ogólne szacunki, bo nikt ich nie policzył. Za dużo roboty.

Wielka Rafa Koralowa składa się z około 3000 mniejszych raf i ponad 600 wysp. Niektórzy twierdzą, że nie stanowi jednego tworu, a zatem nie można jej nazwać największym organizmem żywym na ziemi. Dla mnie to tak, jakby powiedzieć, że Los Angeles nie jest miastem, ponieważ składa się z mnóstwa osobnych budynków. Jakie to ma znaczenie? Rafa jest niesamowita. Swoje istnienie zawdzięcza bilionom mikroskopijnych polipów, które przez ponad 18 milionów lat pracowały z zaangażowaniem i poświęceniem, a każdy dodawał swoją cegiełkę, by spocząć we własnoręcznie stworzonym krzemianowym grobie. Ręce same składają się do oklasków.

Kiedy statek zaczął wydawać z siebie dźwięki spowalniania, sygnalizujące, że port jest blisko, wyszedłem na pokład do Allana. Sądziłem, że zawiniemy do jakiegoś piaszczystego atolu, może z krytym słomą barem na plaży, a tymczasem ze wszystkich stron otaczało nas morze z długą krezą łagodnie łamiącej się wody, komunikującą, że pod spodem biegnie rafa. Pośrodku tego wszystkiego na wodzie unosił się gigantyczny aluminiowy ponton, który mógł pomieścić 400 wycieczkowiczów. Przypominał trochę platformę wiertniczą. Mieliśmy tam spędzić następne kilka godzin. Kiedy statek przybił do tej konstrukcji, zeszliśmy na nią gęsiego. Megafon wymienił dostępne możliwości: opalać się na leżakach, zejść do podwodnej komory obserwacyjnej, popływać z rurkami i płetwami albo wsiąść do łodzi ze szklanym dnem i zwiedzić rafę w komfortowych warunkach.

Wybraliśmy łódź ze szklanym dnem, która miała kabinę obserwacyjną dla 30 do 40 osób. Cudowne przeżycie. Czytać o tym, jaka piękna jest Wielka Rafa Koralowa, a zobaczyć ją na własne oczy to dwie zupełnie różne sprawy. Sternik

zabrał nas do roziskrzonego świata stromych koralowych kanionów, wąwozów z ostrymi jak brzytwa brzegami, bajecznie kolorowych i rojących się od niewiarygodnie różnorodnych ryb — motylowiec, *Pomacentridae*, *Pomacanthus*, papugoryba, cudownie kolorowa *Choerodon fasciatus*, przypominające rurki iglicznioвате. Widzieliśmy wielkie małże, ślimaki i rozgwiazdy, falujące lasy anemonów i sympatycznie głupkowate strzępiele. Zgodnie z moimi przypuszczeniami, wrażenie było takie, jakbyśmy oglądali akwarium w zoo, ale wszystko było dzikie i naturalne. Zaskoczyło mnie — co zapewne świadczy o mojej tępotce — że robi to tak wielką różnicę. Parę metrów od szyby zupełnie obojętnie minął nas wielki żółw morski. Trochę dalej żarłacz rafowy myszkował wśród załomów rafy — miał tylko kilkadziesiąt centymetrów długości, ale jego ugryzienie z pewnością nie należałoby do przyjemnych. Do tego dochodziło magiczne, rozproszone światło, a także forma, struktura i niesamowita różnorodność samego koralu. Nie potrafię opisać mojego zachwyty.

Później Allan zaproponował, żebyśmy poszli popływać. Po jednej stronie pontonu znajdowały się metalowe schodki do wody. Obok nich stały duże pojemniki z płetwami, rurkami i maskami. Obsłużyliśmy się i plusnęliśmy do morza. Sądziłem, że będę miał pod sobą metr wody, więc z pewną konsternacją — eufemistycznie rzecz ujmując — stwierdziłem, że głębokość wynosi około 20 metrów. Ta spanikowana ocena zajęła mi jakieś trzy sekundy, po czym maska i rurka napełniły się wodą i zacząłem się krztusić. Nigdy wcześniej nie byłem w tak głębokiej wodzie i nieoczekiwanie podziałało to na mnie paraliżująco — tak samo paraliżująco, jakbym zawisł w powietrzu 20 metrów nad ziemią. Wściekły i zdyszany, wylałem wodę i spróbowałem jeszcze raz, ale maska znowu się napełniła. Podjąłem kilka kolejnych prób, ale z identycznym skutkiem.

Tymczasem Allan pływał z gracją Daryl Hannah w *Plusku*.

— Na litość boską, Bryson, co ty wyprawiasz? Jesteś metr od pontonu, a wyglądasz, jakbyś się topił.

— Żebyś wiedział. Topię się. — Fala prasnęła mnie w pysk i wynurzyłem się po chwili, prychając. — Jestem synem ziemi. Morze to nie mój żywioł.

Żachnął się i zniknął. Zanurzyłem odrobinę głowę i zobaczyłem, że sunie jak torpeda w kierunku kolorowego wargacza garbogłowego, ryby wielkości jaśka. Na widok krystalicznej otchłani pode mną znowu wpadłem w popłoch. Głębiny wypełniały ponadto wielkie stworzenia, ryby niewiele mniejsze ode mnie, które jednak w przeciwieństwie do mnie były w swoim żywiole. Maską znowu się napełniła i znowu prychałem wodą. Potem kolejna fala chlusnęła mi w twarz. Muszę powiedzieć, doświadczenie podobało mi się znacznie mniej, niż oczekiwałem, a oczekiwałem, że niezbyt mi się spodoba.

Co ciekawe, później się dowiedziałem, że reakcja taka jak moja jest całkiem rozpowszechniona wśród niedoświadczonych pływaków oceanicznych. Wchodzą do wody, stwierdzają, że znajdują się daleko poza strefą swojego poczucia bezpieczeństwa, wpadają w panikę i mdleją (podobno specjalność Japończyków) albo mają atak serca (specjalność grubasów). I tutaj pojawia się drugi interesujący aspekt. Ponieważ pływający z rurką leżą na wodzie z rozpostartymi kończynami i twarzami tuż pod powierzchnią wody — tak zwany styl na trupa — nie da się (powtarzam, co usłyszałem) odróżnić osoby pływającej z rurką od osoby martwej. Dopiero kiedy na dźwięk gwizdka z wody wyjdą wszyscy oprócz jednego dziwnie nieruchomego i skoncentrowanego biedaka, kuchnia się dowiadyuje, że trzeba przygotować jedną kolację mniej.

Na szczęście, jak można wydedukować z faktu istnienia tej książki, uniknąłem tego tragicznego losu i zdołałem się wgramolić z powrotem na ponton. Usiadłem na leżaku w umiarkowanie gorącym słońcu i wytarłem się koszulą Allana. Potem wyciągnąłem otrzymane od Alana Howe'a materiały prasowe na temat amerykańskiego małżeństwa, które straciło tutaj życie. Czytałem je już wcześniej, ale teraz, kiedy mogłem powiązać słowa z konkretnymi okolicznościami geograficznymi, przejrzałem je ze szczególnym zainteresowaniem.

Znane nam fakty nie są zbyt skomplikowane. W styczniu 1998 roku Thomas i Eileen Lonergan, z Baton Rouge w Luizjanie, po zakończeniu misji wolontariackiej Korpusu Pokojowego na południowym Pacyfiku, przed powrotem do Ameryki zrobili sobie wakacje w Australii. Z firmą Outer Edge pojechali na

wycieczkę, w ramach której mieli nurkować na rafie koralowej. Pod wieczór nie pojawili się na statku o wyznaczonej godzinie. Ich nieobecności nie zauważono i statek odpłynął bez nich. Minęły dwie i pół doby, zanim zgłoszono ich zaginięcie. Ich ciał nigdy nie znaleziono. Można tylko snuć hipotezy, dlaczego Lonerganowie nie wrócili na statek i co się z nimi stało, kiedy sobie uświadomili, że ich porzucono.

Z miejsca, w którym siedziałem, widziałem statek nurków, oddalony mniej więcej o trzy mile morskie (jedna mila morska to 1852 metry), jak poinformował mnie przechodzący członek załogi. Statek wydawał się bardzo mały i odległy, ale Lonerganowie, doświadczeni nurkowie, którzy doskonale czuli się w wodzie, nie powinni mieć problemu z przepłynięciem takiego dystansu. Warunki były idealne — spokojne morze, temperatura wody 29 stopni — a oni mieli na sobie kombinezony piankowe. Zamiast do pontonu mogli też popłynąć na oddaloną o 1,2 mili morskiej St Crispin Reef, odcinek rafy częściowo wystający ponad wodę. Problem w tym, że — jak słusznie stwierdził Alan Howe — po drodze do każdego tych schronień musieliby przepłynąć nad głębokim rowem morskim, w którym roi się od dużych morskich drapieżników — to znaczy zębatach rekinów i graników.

Tu jednak pojawia się pewna zaskakująca informacja. Kilka dni po zniknięciu Lonerganów znaleziono ich kamizelki ratunkowe, które leżały nieuszkodzone na plaży na stałym lądzie. Trudno znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego dwie osoby porzucone na pełnym morzu miałyby zdjąć kamizelki ratunkowe. Ponadto fakt, że kamizelki nie było uszkodzone, wskazywał, że Amerykanów nie zaatakowały rekiny. Historia ta stała się jeszcze bardziej intrygująca, kiedy policja przejrzała rzeczy zostawione przez Lonerganów w schronisku młodzieżowym w Cairns. Policjanci odkryli, że młode małżeństwo nie było tak szczęśliwe, jak sądziło ich otoczenie. Eileen Lonergan zapisała w dzienniku, że jej mąż cierpiał na depresję i że chciał „skończyć z tym wszystkim” na wycieczce dla nurków. Zaproponował, że ją z sobą zabierze. Niewątpliwie kryło się za tym więcej, niż było widać gołym okiem.

Allan wyszedł w końcu z wody, pełen nowej energii. Trzymając się za brzuch,

jak Jeff Chandler pod koniec kariery, perorował z nużącym entuzjazmem, jakie to było fantastyczne przeżycie i jaki ze mnie skończony mięczak. Włożył koszulę i z bardzo szczęśliwą miną opadł na leżak obok mnie. Po chwili się wyprostował i zaczął gorączkowo poklepywać koszulę.

— Ta koszula jest mokra! — zakomunikował.

— Naprawdę? — odparłem ze zmarszczonym czołem.

— Przemoczona!

Dotknąłem jej końcami palców.

— Masz rację — potwierdziłem.

W ostatnim czasie Queensland bez przerwy gubił turystów. Następnego dnia w gazetach pojawiły się informacje o śledztwie w sprawie zniknięcia młodego brytyjskiego plecakowicza Daniela Nute'a na Cape Tribulation, do którego doszło prawie dwa lata wcześniej. Nute wyruszył sam na sześciogodzinną wyprawę, której celem był wierzchołek Mount Sorrow. Wcześniej posłusznie wypełnił specjalny formularz, mający ułatwić poszukiwania piechurów w razie ich ewentualnego zaginięcia. Niestety tego dnia nikt z personelu parku narodowego nie zebrał i nie sprawdził formularzy, więc kiedy Nute nie wrócił, nikt tego nie zauważył i nie wszczęto alarmu. Co jeszcze dziwniejsze, chociaż Nute zostawił rozbity namiot na kempingu w Daintree, przez 23 dni nie zawiadomiono o tym władz. Pracownik kempingu zeznał, że „często się zdarza, że ludzie zostawiają namioty i wyjeżdżają, nikomu o tym nie mówiąc”. Doprawdy?

W każdym razie poszukiwania rozpoczęto prawie po miesiącu. Ciało Nute'a nigdy nie znaleziono.

Miałem to wszystko w głowie dzień po wycieczce na rafę, kiedy pojechaliśmy z Allanem do Cairns na zakupy. Kiedy on szukał w sklepie sportowym jakichś ubrań, ja rozmawiałem z dwiema zatrudnionymi tam paniami w średnim wieku. Bez żadnego szczególnego powodu, w zasadzie tylko dla podtrzymania rozmowy, wspomniałem, że o Cairns dużo się ostatnio pisze.

— Tak? — odparła jedna z pań trochę chłodno.

— No, sprawa Lonerganów, chińscy uchodźcy i ten chłopak, który zaginął w Daintree.

— A, o to chodzi — powiedziała pani lekceważącym tonem. — Na południu strasznie wyolbrzymiają takie historie.

Jej koleżanka pokiwała energicznie głową.

— Korzystają z każdego pretekstu, żeby pokazać Queensland w złym świetle. Tak samo było z cyklonem. Odwiedziłam w tym tygodniu siostrę, która mieszka w Sydney, i rozpisywali się o tym na całe strony.

— No bo to jest ważne wydarzenie — zaprotestowałam.

— Gwarantuję panu, że gdyby wiało w Australii Zachodniej, to by tyle o tym nie pisali.

— Naprawdę?

— Oni chcą zniechęcić ludzi do przyjeżdżania tutaj.

— Myśli pani?

— To oczywiste. Nie chcą, żeby turyści wyjeżdżali z Sydney, chcą ich tam zatrzymać, więc chwytają się każdej historii, dzięki której Queensland wydaje się niebezpieczny czy zacofany. Przeinaczają fakty, żeby ludzi nastraszyć. — Obie pokiwały jednomyślnie głowami. — Tak samo było z tym młodym małżeństwem na rafie. To było ewidentnie samobójstwo, ale oni to rozdmuchali ponad wszelką miarę...

— Ponad wszelką miarę — wtórowała jej koleżanka.

— ...żeby wyglądało, że wycieczki na rafę nie są bezpieczne.

— A ten chłopak w Daintree? — zaryzykowałam.

— Wcale nie ma pewności, że nie żyje — zareplikowała tonem osoby, która ma dostęp do nieomylnych źródeł.

— Zaginął dwa lata temu.

— Tak, ale mnóstwo razy był widziany na przylądku Jork.

— Mnóstwo razy — poparła ją koleżanka.

— Czyli twierdzi pani, że gazety fałszywie informują o jego śmierci, aby Queensland wyglądało na niebezpieczny region?

— Twierdzą tylko, że nie znamy wszystkich faktów.

Pokiwała głową z belferską miną i złożyła ręce. Jej koleżanka zrobiła to samo.

Gorsze wariatki niż wykastrowane węże, pomyślałem.

Tak się złożyło, że sami planowaliśmy wyjazd do Daintree. To najbardziej wysunięty na północ punkt, do którego w tym regionie Australii można dotrzeć asfaltową drogą, więc postanowiliśmy rzucić na niego okiem. Koło dziesiątej po deszczu nie zostało ani śladu i słońce wychyliło się zza chmur, najpierw nieśmiało, potem z większym wigorem. Queensland uległ całkowitemu przeobrażeniu. Nagle znaleźliśmy się na Hawajach: zbocza tropikalnych gór schodzące aż do roziskrzonego morza, wielkie zatoki, plaże ogrodzone rzędami palm, zielonoskaliste wysepki. Od czasu do czasu przejeżdżaliśmy między polami trzciny cukrowej ze stromymi stokami Wielkich Gór Wododziałowych w tle.

W Daintree zaparkowaliśmy samochód i wysiedliśmy, żeby się rozejrzeć. Poszliśmy nad rzekę Daintree, gdzie brutalnie skończyła swój bieg droga oraz życie Beryl Wruck. Nie zauważyliśmy żadnych krokodyli. Potem wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy krętą boczną drogą prowadzącą do przystani promowej, z której można było popłynąć na Cape Tribulation. Promy nie kursowały od tygodnia z powodu deszczy, ale chciałem przynajmniej zobaczyć ten przylądek z drugiego brzegu rzeki, a poza tym istniała niewielka szansa, że napatoczy się jakiś krokodyl. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu, wbrew temu, co nam mówiono w Daintree, prom jednak kursował.

— Od wczoraj — powiedział przewoźnik, człowiek lakoniczny.

Przeplłynęliśmy więc na drugą stronę i wyruszyliśmy w trzydziestokilometrową trasę przez Park Narodowy Daintree na Cape Tribulation. Droga wiała się przez górzyście tereny porośnięte piękną puszcza tropikalną. Nareszcie dotarliśmy do lasu deszczowego.

Las na Cape Tribulation jest reliktem czasów, kiedy na świecie była jedna masa lądowa pokryta bujną roślinnością. Z upływem czasu kontynenty oddzieliły się i rozpląnęły po całej planecie, ale Daintree, na skutek jakichś tektonicznych

aberracji, uniknęło radykalnych zmian klimatu i środowiska, które spowodowały zmiany ekologiczne w innych regionach. W konsekwencji nadal istnieją tutaj całe rodziny roślin, które nie zachowały się gdzie indziej. W 1972 roku naukowcy zaczęli sobie uświadamiać, jak bardzo stary i wyjątkowy jest las deszczowy w północnej Australii. W niższych partiach dżungli pasły się krowy, które zachorowały na jakąś tajemniczą chorobę i zdechły. Jak się okazało, zatruty je nasiona drzewa *Idiospermum australianse*, o którym sądzono, że 100 milionów lat temu zniknęło z powierzchni ziemi. Tymczasem bardzo dobrze się w tym regionie miewało, podobnie jak 11 innych członków jego rodziny, czyli okrytonasiennych, od których pochodzą wszystkie rośliny kwiatowe. Taki jest Park Narodowy Daintree: ciemny, gęsty, należący do innej epoki. W takiej scenerii człowiek nie byłby zbyt zaskoczony, gdyby zobaczył pterozaura szybującego pośród drzew albo welociraptory przebiegające przez drogę.

Dziwnych stworzeń jest tutaj co niemiara. Daintree należy do tych nielicznych obszarów, na których można spotkać kazuary. Bardzo przypominają emu, poza tym, że mają na głowie kostną narośl w kształcie hełmu i legendarny morderczy pazur u każdej stopy. Atakują w ten sposób, że podskakują i uderzają ofiarę dwiema stopami naraz. Na szczęście nie zdarza się to zbyt często. Ostatni przypadek śmiertelny miał miejsce w 1926 roku. Kazuar skoczył na szesnastoletniego chłopca, który się z nim drażnił, i przeciął mu tętnicę szyjną. Ataki notuje się tak rzadko zarówno z tej przyczyny, że kazuary trzymają się z daleka od ludzi, jak i dlatego, że zostało ich już bardzo niewiele, około tysiąca. Daintree należy również do ostatnich siedlisk słynnego kangura drzewnego, jeszcze bardziej płochliwego niż kazuar i niewidywanego prawie nigdy. Tutejsza dżungla jest tak gęsta i tak bardzo oddalona od ośrodków akademickich, że w dużej części pozostaje niezbadana. Na przykład kazuarami naukowcy na poważnie zainteresowali się dopiero dziesięć lat temu.

Droga skończyła się na słonecznej polanie, gdzie postawiono niezbyt pasujące do otoczenia stoisko z jedzeniem na wynos i budkę telefoniczną. Pośród bujnej roślinności ukryty był kemping ze strzałką wskazującą drogę w kierunku plaży.

Weszliśmy na chodnik zbudowany z desek pośród mangrowców. Jakieś niewidoczne stworzenia wskakiwały do bagnistej wody, kiedy się zbliżaliśmy. Po paru minutach znaleźliśmy się na plaży. Była przepiękna: wielka połać miękkiego białego piasku, palmy i inna tropikalna bujność, błękitne wody zatoki, a przed nami spowity zielonością masywny cypel.

Miejsce to zachowało swój dziewiczy charakter i przypuszczalnie wyglądało tak samo jak dwa stulecia temu, kiedy zobaczył je James Cook. Nazwał je Cape Tribulation, Przylądek Udręki, ponieważ 11 mil od brzegu „Endeavour” niebezpiecznie osiadł na atolu koralowym. Statek był tak podziurawiony, że groziło mu zatonięcie, ale Cook miał z sobą marynarza, który znalazł się kiedyś w podobnych tarapatach i widział, jak uratowano statek za pomocą „zaślepienia”, czyli przeciągnięcia pod kadłubem żagla. Metoda ta, sprawiająca wprawdzie wrażenie dosyć prowizorycznej, jakimś cudem zadziałała.

Cookowi udało się dopłynąć do brzegu kilka mil za cypem, naprzeciwko którego teraz się znajdowaliśmy. Załoga przez siedem tygodni naprawiała statek, po czym obrała kurs na Anglię i pełnię chwały. Gdyby „Endeavour” zatonął i Cook nie wrócił do kraju, historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. Australia prawdopodobnie należałaby do Francji — delikatnie mówiąc, surrealistyczna myśl — i Wielka Brytania musiałaby dostosować do tego swoje kolonialne ambicje. Skutki dałyby się odczuć we wszystkich regionach świata. Melbourne, być może, znalazłoby się pośród afrykańskich stepów, a Sydney byłoby stolicą królewskiej kolonii Kalifornia. Możemy tylko snuć domysły, ale jedno jest pewne: globalny układ sił nie przypominałby obecnego. Z drugiej strony oszczędzono by nam niektórych seriali telewizyjnych, więc nie można mówić o takiej znowu kompletnej katastrofie.

Pochodziwszy pół godziny po plaży, wróciliśmy na polanę z budką gastronomiczną. Rzuciliśmy okiem na dalszy odcinek drogi, która prowadziła do Cooktown. Za budką przeistaczała się ona w kamienistą ścieżkę, biegnącą stromo pośród bujnej zieleni — idealna sceneria dla pościgu z udziałem Harrisona Forda. Dowiedziałem się dzień wcześniej, że nawet bez deszczu ścieżka jest jednym

wielkim osuwiskiem, więc może dobrze, że teraz była nieprzejezdna i nie mieliśmy możliwości pojechać nią z Allanem.

Mimo wszystko kusila mnie przygoda. Cooktown, dawne miasteczko poszukiwaczy złota, które kiedyś liczyło 30 tysięcy mieszkańców, a dzisiaj zaledwie 200, leżało 75 kilometrów dalej po drugiej stronie gór. To ostatnie miasto na północnym wschodzie Australii. Dalej nie ma już nic poza osadami Aborygenów, rozsianymi wzdłuż sześciusetkilometrowego odcinka wybrzeża aż po przylądek Jork, najbardziej wysunięty na północ punkt Australii. Nasza wyprawa miała jednak zakończyć się już tutaj.

Odwróciłem się i stwierdziłem, że Allan gdzieś zniknął. Po chwili wrócił z dwiema puszkami coli. Podał mi jedną.

— Sprzedaży moczu nie prowadzą — powiedział i zdrowo się z tego uśmieśliśmy.

Rozdział piętnasty

A teraz Top End. Przelecieliśmy do Darwin na skraju dwóch pomniejszych cyklonów, które ciągnęły przez północne wybrzeże, i wypożyczyliśmy kolejny samochód — opływową i mocną toyotę sedan, która sprawiała takie wrażenie, jakby była w stanie pokonać tysiącpięćsetkilometrowy dystans do Alice Springs jednym skokiem. Ochrzciliśmy ją Testosteron.

Terytorium Północne do dzisiaj zachowało mentalność pogranicza. Pod koniec 1998 roku przeprowadzono referendum, w którym mieszkańcy mieli odpowiedzieć na pytanie, czy chcą, żeby ten obszar stał się siódmym stanem Australii, i kategorycznie odrzucili ten pomysł. Wygląda na to, że większość z nich woli pozostać na uboczu. Można więc powiedzieć, że obszar ponad miliona trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli około jednej piątej powierzchni kraju, znajduje się na terenie Australii, ale tak naprawdę do niej nie należy. Pociąga to za sobą wiele osobliwych konsekwencji. Na przykład wszyscy Australijczycy, nie wyłączając mieszkańców Terytorium Północnego, mają obowiązek głosować w wyborach federalnych, ale ponieważ Terytorium Północne nie jest stanem, nie ma swoich miejsc w parlamencie. Mieszkańcy wybierają wprawdzie swoich przedstawicieli, którzy wyjeżdżają do Canberry i biorą udział w sesjach (tak przynajmniej piszą w listach do domu), ale nie głosują, nie uczestniczą w debatach i nie odgrywają żadnej roli. Co jeszcze ciekawsze, mają obowiązek głosować w referendum ogólnonarodowych, ale ich głosy nie są liczone, tylko wkładane do jakiejś szuflady. Mnie ten system wydaje się kuriozalny, ale mieszkańcom najwyraźniej odpowiada.

Osobiście uważam, że nie powinno się im przyznawać prawa do uczestnictwa w życiu politycznym, dopóki nie zatrudnią przyjaźniejszego personelu hotelowego w Darwin. Taka koncepcja ustrojowa może się wydawać nazbyt radykalna, ale nic mnie to nie obchodzi. Jeśli hotelarzom z Darwin trzeba zawiesić część swobód obywatelskich, żeby stali się bardziej uprzejmi, to moim zdaniem należy taką cenę

zapłacić.

Nasze kłopoty zaczęły się z chwilą, gdy wyruszyliśmy na poszukiwania naszego hotelu. Mieliśmy rezerwację w All Seasons Frontier, ale wszystko wskazywało na to, że takie miejsce noclegowe nie istnieje. W przewodniku znalazłem Top End Frontier Hotel, w jednej z broszur turystycznych, które wziąłem na lotnisku, wymieniano Darwin City Frontier Hotel, w drugiej zaś All Seasons Premier Darwin Central. Mieliśmy okazję zobaczyć je wszystkie z pewnej odległości, przez 40 minut krążąc po mieście i kłócąc się spokojnie jak zrzęдлиwe małżeństwo. Zatrzymaliśmy kilku przechodniów, ale żaden nie słyszał o All Seasons Frontier, poza jednym mężczyzną, któremu się wydawało, że hotel o takiej nazwie jest w Kakadu, 200 kilometrów na wschód. Posługując się małym i niedokładnym planem miasta, prowadziłem Allana ulicami, które zawsze kończyły się strefą pieszą albo rampą załadunkową. Allan był coraz bardziej poirytowany.

— Nie umiesz odczytać prostego planu miasta? — zapytał rozdrażnionym tonem człowieka, któremu przechodzi koło nosa *happy hour* w pubach, po czym wpakował się tyłem auta w tekturowe pudła i kubły na śmieci.

— Nie umiem odczytać prostego planu, ale umiem odczytać dobry plan, a ten jest do niczego. Pozwolę sobie powiedzieć, że jest to kartograficzny odpowiednik twojego stylu jazdy.

W końcu zatrzymaliśmy się przed dużym hotelem nad morzem i Allan kazał mi wejść do środka i poprosić o profesjonalne wskazówki. Młody recepcjonista, który najwyraźniej zainwestował ostatnią wypłatę w bardzo dużą butelkę żelu do włosów, stał plecami do mnie i zabawiał dwie koleżanki jakąś śmieszną anegdotą. Odczekałem długą chwilę, po czym chrząknąłem dyskretnie.

Odwrócił głowę i rzucił mi mało życzliwe spojrzenie, które mówiło: „Czego?”.

— Mógłby mi pan wskazać drogę do hotelu All Seasons Frontier? — spytałem uprzejmie.

Bez żadnych wstępów wyrecytował kilkunastoczonową instrukcję. W Darwin roi się od dziwnych nazw ulic — Cavenagh, Yuen, Foelsche, Knuckey — których nie byłem w stanie spamiętać. Na blacie leżała sterta planów miasta, więc

spytałem, czy mógłby mi pokazać, gdzie to jest.

— Za daleko, żeby iść pieszo — odparł lekceważąco.

— Nie zamierzam iść pieszo. Mam samochód — nie ustępowałem.

— To niech pan każe szoferowi, żeby pana zawiózł.

Przewrócił oczami, żeby zwrócić uwagę dziewczyn na fakt, jaki jest dowcipny, po czym wrócił do opowiadania swojej historii.

Że też nie miałem przy sobie rewolweru albo przynajmniej dużych szczypiec, którymi mógłbym go złapać za szyję i przyciągnąć do siebie jego głowę, żeby lepiej usłyszał moją replikę:

— Myślisz, że gdybym miał szofera, to pytałbym cię o drogę? To jest samochód z wypożyczalni, ty złośliwy, denerwujący, kretyńsko wybrylantynowany gnojku!

Cytuję z pamięci i może tu i ówdzie coś poprzestawiałem, ale powyższe dwa zdania dobrze oddają emocjonalną wymowę słów, które wtedy wypowiedziałem.

Z naburmuszoną miną i długim westchnieniem wziął do ręki długopis, narysował trasę na planie i podał mi go takim gestem, jakby dawał mi niezasłużony prezent.

Dziesięć minut później zatrzymaliśmy się przed hotelem, który wielkimi literami ogłaszał się jako Darwin City Frontier Hotel. Minęliśmy go już wcześniej kilka razy, ale jak mieliśmy się domyślić, że to ten? Wszedłem do środka i zawołałem z niekulturalnie dużej odległości:

— Czy to jest hotel All Seasons Frontier?

Młoda recepcjonistka podniosła wzrok i mrugnęła.

— Tak.

Podszedłem bliżej.

— To dlaczego nie informujecie o tym na zewnątrz?

— Z boku budynku jest taki napis — odparła niewzruszonym tonem.

— Nie ma.

Uraczyła mnie nikłym, metalicznym, wybitnie lekceważącym uśmiechem.

— Owszem, jest.

— Nie, nie ma — upierałem się.

Rozdarta pomiędzy zaleceniami usłyszczanymi na kursie stosunków z klientami

a swoją młodzieńczą pewnością siebie, zawahała się, po czym powiedziała delikatniej:

— Jest.

Uniosłem palec w następującym znaczeniu: „Nie ruszać się! Zostać na swoim miejscu! Sprawdzę to, a potem wrócę i kogoś uduszę. Konkretnie panią”.

Wyszedłem i dokładnie obejrzałem wszystkie fasady jak oszalały inspektor budowlany, patrząc pod wszelkimi możliwymi kątami i z wszelkich możliwych odległości. Ruchem dłoni uciszyłem Allana, który obserwował mnie skonsternowany z siedzenia kierowcy, po czym wróciłem do holu i zakomunikowałem:

— Nigdzie nie jest napisane All Seasons.

Patrzyła na mnie bez słowa, ale widziałem, że myśli sobie: „Jest”.

Pragnę niniejszym podać do protokołu, że niezależnie od tego, jak brzmi jego prawdziwa nazwa, Darwin City Frontier Hotel jest rozczarowujący na całej linii — drogi, szpetny i fatalnie zlokalizowany. Telewizor w moim pokoju nie działał, poduszki przypominały betonowe kłocze, a recepcjonistka była irytująca. Nie taką Australię pokochałem i nauczyłem się szanować.

Jak ustaliliśmy po licznych nieudanych próbach i dodatkowej rozmowie z naszą młodą przyjaciółką z recepcji, dotarcie do baru wymagało zejścia do podziemia schodami z tyłu, przebrnięcia przez labirynt pomieszczeń magazynowych, opuszczenia budynku i stawienia się przed automatycznymi drzwiami, które nie działały. Allan, który nie należy do ludzi z byle powodu odpuszczających sobie wieczorny napitek, otworzył je metodą siłową i wcisnęliśmy się do środka. Bar był obficie — by nie powiedzieć zaskakująco — zaludniony malowniczymi, hałaśliwie pijanymi, zakazanymi typami z obszernymi tatuażami, długimi włosami i brodami przypominającymi wsad do materaca: trudno to nazwać klasyczną klientelą hotelu dla biznesmenów.

— To wygląda jak zjazd fanów ZZ Top — mruknął ponuro Allan, ani trochę nie przesadzając.

Wzięliśmy dwa piwa i usiedliśmy grzecznie w kącie jak stare panny na dworcu

autobusowym w mało prestiżowej dzielnicy. W pobliżu nas dwóch tęgich facetów grało w bilard i po każdym nieudanym zagranie — innych prawie nie było — walili kijem w jakiś twardy obiekt: stół, oparcie krzesła, lampę wiszącą nad stołem. Przejście do rękoczynów wydawało się tylko kwestią czasu. Postanowiliśmy przenieść się do jakiegoś spokojniejszego i bardziej cywilizowanego lokalu, na przykład do restauracji na siódmym, najwyższym piętrze.

Rzeczona restauracja mieściła się w dużej sali z panoramicznymi widokami na Darwin o zmierzchu. Z około 50 stołów tylko trzy albo cztery były zajęte, więc trochę nas zaskoczyło, kiedy spanikowana szefowa sali poinformowała nas, że w tej chwili nie ma nic wolnego.

— Przecież jest prawie pusto — zaprotestowałem.

— Przykro mi, ale mamy straszne urwanie głowy.

Dla zilustrowania dramatyzmu sytuacji oddaliła się od nas pospieszenie.

Usiedliśmy przy barze, popijając dwa kolejne piwa wymuszone na uśmiechniętym, młodym Indonezyjczyku, który przypadkiem tamtędy przechodził i być może był nawet członkiem personelu. Po 30 minutach i kilku daremnych nagabywaniach nareszcie przydzielono nam stolik pod oknem na drugim końcu sali. Po kolejnych 10 minutach przyszła kelnerka i postawiła przed każdym z nas doniczkę z terakoty, w której upieczono mały bochenek chleba.

— Co to jest? — zapytałem.

— Chleb — odparła.

— W doniczce?

Rzuciła mi spojrzenie, które zacząłem nazywać darwinowskim i które mówiło: „No i co z tego?”.

— Nie wydaje się to pani trochę dziwne?

— Tak. Trochę — odparła po chwili zastanowienia.

— Czy to jest wstęp do rustykalnego posiłku tematycznego?

— Co? — zdziwiła się z urażonym grymasem godnym kontorsjonisty.

— Czy danie główne przywiezie pani na taczkach, a surówkę nałoży widłami?

— odpowiedziałem jej.

— Och, nie! Tylko chleb jest specjalny.

— Bardzo miło mi to słyszeć.

Zanim zdążyliśmy pogłębić znajomość i zamówić napoje, a może nawet poprosić o kartę, porzuciła nas, obiecawszy, że wróci, jak tylko będzie mogła, ale mają straszne urwanie głowy.

Wieczór przebiegał dosyć nietypowo, ponieważ za każdym razem, gdy chcieliśmy dostać coś do jedzenia, poprosić o dolewkę czy po prostu usłyszeć dźwięk australijskiego głosu, musieliśmy urządzić przy drzwiach kuchni zasadzkę na pierwszą osobę, która się stamtąd wyłoni. Podobną taktykę przyjęli nieliczni pozostali stołownicy. Podczas jednej z tych ekspedycji spytałem mężczyznę z pustą szklanką piwa, czy często tutaj jada.

— Mojej żonie podoba się widok — wyjaśnił, wskazując na korpulentną kobietę, która przyjaźnie nas pozdrowiła.

— Obsługa jest trochę powolna, nie uważa pan?

— Tragiczna — zgodził się ze mną. — Podobno mają straszne urwanie głowy.

Rano w recepcji pracował mężczyzna.

— Jak się panom mieszkało? — zapytał kurtuazyjnym tonem.

— Wyjątkowo fatalnie — odparłem.

— Miło to słyszeć — powiedział, biorąc ode mnie kartę kredytową.

— Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że podstawową zaletą pobytu w tym hotelu jest fakt, że po czymś takim nocleg w schronisku młodzieżowym będzie się wydawał wręcz luksusowy.

Z zachwyconą miną, która mówiła: „Proszę nam aż tak bardzo nie pochlebiać!”, dał mi kwitek do podpisu.

— Mamy nadzieję, że będziemy mieli możliwość jeszcze kiedyś panów ugościć.

— Wolałbym operację wyrostka robaczkowego w lesie za pomocą kija.

Trochę go to zbiło z pantałyku i wprawdzie znowu powiedział: „Miło to słyszeć”, ale już bez przekonania.

Poszliśmy rozejrzeć się po mieście. Darwin leży w wilgotnej strefie tropikalnej,

co według mnie narzuca pewne wymogi stylowe — białe budynki z werandami, zewnętrzne żaluzje, palmy w donicach, leniwe wentylatory pod sufitem, zimne drinki w wysokich szklankach przynoszone przez usłużnych boyów, panowie w białych garniturach i panamach, panie w bawełnianych sukienkach w kwiaty, partyjka madżonga pozwalająca przetrwać parne popołudnie, spocony Humphrey Bogart w jakiejś podejrzanej speluncie. Wszystko, co nie spełnia tych elementarnych kryteriów, sprawi mi zawód, a Darwin nie spełniało żadnego. Trzeba uczciwie przyznać, że los nie obszedł się z tym miastem zbyt łaskawie — podczas drugiej wojny światowej wielokrotnie bombardowali je Japończycy, a w 1974 roku spustoszył je cyklon Tracy — toteż w znacznej części jest nowe. Z drugiej strony nie ma w sobie nic typowo tropikalnego. Moglibyśmy znajdować się w Wollongong, Bendigo czy jakimkolwiek innym, względnie zamożnym prowincjonalnym mieście. Zauważyłem tylko jedną osobliwość: prawie całkowity brak przedstawicieli klasy specjalistów. Na ulicach wytatuowani brodacze człapali pijackim krokiem, tak jakby we wszystkich schroniskach dla bezdomnych przeprowadzano deratyzację. Widywało się również małe grupki Aborygenów, którzy siedzieli na skraju nasłonecznionych placów jak w poczekalni. Kiedy Allan poszedł wybrać pieniądze z bankomatu, ja zbliżyłem się do trójki Aborygenów, dwóch mężczyzn i jednej kobiety, z tępyimi minami wpatrzonych przed siebie. Minąłem ich ze skinieniem głowy i pełnym szacunku uśmiechem, ale nie udało mi się nawiązać kontaktu wzrokowego z żadnym z nich. Przebywali gdzieś indziej albo ja byłem przezroczysty.

Śniadanie zjedliśmy w małej restauracji włoskiej, gdzie byliśmy jedynymi klientami, a potem pojechaliśmy do Muzeum i Galerii Sztuki Terytorium Północnego, bo przeczytałem, że można tam obejrzeć kubomeduzę. Sądziłem, że muzeum będzie małe, zapyziałe i zupełnie nieciekawe, nie licząc kubomeduzy, ale okazało się bardzo duże jak na prowincjonalną placówkę, nowoczesne, świetnie zaaranżowane i całkiem interesujące.

Jedna część była poświęcona cyklonowi Tracy, uważanemu po dziś dzień za największą klęskę żywiołową w dziejach Australii. W 1974 roku w Wigilię wiatr

zdmuchnął prawie całe miasto. Jak usłyszeliśmy z nagranych komentarzy, nikt się nie spodziewał takich szkód. Kilka tygodni wcześniej przeszedł słabszy cyklon, który wiele nie nabroił, a czoło Tracy dosyć łagodnie otarło się o Darwin. Większość ludzi poszła spać, tak jakby to była zwyczajna noc. Dopiero koło wpół do trzeciej zaczęli sobie uświadamiać powagę sytuacji. Kiedy prędkość wiatru osiągnęła 250 kilometrów na godzinę, tropikalne domy w Darwin stopniowo się rozpadły. Większość z nich zbudowano po wojnie z płyt paździerzowych — szybko się je montowało, ale ich wytrzymałość była dosyć ograniczona. Cyklon Tracy zburzył 9000 domów i zabił ponad 60 osób.

Z głównej sali ekspozycyjnej przechodziło się do małego, ciemnego pomieszczenia, w którym można było posłuchać odgłosów cyklonu nagranych przez katolickiego księdza. Tabliczka przy drzwiach ostrzegała, że dla osób, które przeżyły tę katastrofę, nagranie może być stresujące, co uznałem za przesadę, dopóki sam tego nie usłyszałem. Jest to niezwykle skuteczny sposób uświadamiania ludziom przerażającej potęgi cyklonu. Nagranie zaczynało się od stosunkowo niegroźnych odgłosów — stukanie gałęzi o szyby i furtek o ogrodzenia — po czym siła wiatru wzrastała i dał się słyszeć nieprzerwany, nieziemski huk, urozmaicany metalicznym hałasem wyrwanych dachów i innych ciężkich rzeczy fruujących po ulicach miasta. Słuchanie tego w całkowitych ciemnościach, czyli w takich samych warunkach, w jakich znajdowali się tamtej nocy mieszkańcy Darwin, przydawało temu przeżyciu niezwyklej realności. Odruchowo się uchylałem, kiedy w pobliżu coś huknęło. Po wyjściu z pomieszczenia wymieniliśmy z Allanem zmaltretowane spojrzenia. Reszta ekspozycji ukazała nam się teraz w zupełnie innym świetle.

Na zewnątrz wisiał monitor, na którym bez przerwy wyświetlano materiał telewizyjny z krajobrazem po przejściu Tracy. Umieszczona na wolno jadącym samochodzie kamera pokazywała kolejne ulice, przy których żaden budynek nie ostał się cały.

Pozostałą część muzeum w większości zajmowała wystawa zwierząt, ilustrująca różnorodność biologiczną Terytorium Północnego. Najpocześniejsze miejsce

przypadło w udziale ogromnemu wypchanemu krokodylowi o przydomku Sweetheart, przez jakiś czas najbardziej znanemu przedstawicielowi tego gatunku w całej Australii. Sweetheart, który na przekór zniewieściałemu imieniu był samcem, nienawidził warkotu silników i rzucał się na wszystkie motorówki, które zakłócały jego spokój. Nietypowo jak na krokodyla nigdy nie zrobił krzywdy człowiekowi, ale zniszczył co najmniej 15 łodzi motorowych, wnosząc pewne urozmaicenie w monotonię wędkarskich popołudni. W 1979 roku, z powodu obaw o jego życie — śruby się z nim nie pieściły — postanowiono go przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Niestety podczas tej operacji lina o coś się zaczepiła i Sweetheart utonął. Wypchano go zatem i umieszczono w muzeum w Darwin, gdzie do tej pory imponuje zwiedzającym swoimi rozmiarami: ma pięć metrów długości, a za życia ważył ponad 800 kilo.

Inna gabłota odpowiadała na pytanie, które często sobie zadawałem: jak się wypycha zwierzęta. Zawsze sądziłem, że wypełniają je trocinami, starymi skarpetkami albo czymś w tym rodzaju. Tutaj się dowiedziałem, dzięki przekrojowi niewielkiego zwierzęcia, że wystawiane okazy są prawie puste, nie licząc styropianowej struktury wzmocnionej drewnianymi kołkami. Byłem wzruszony i wdzięczny, że jakiś kustosz postanowił uzupełnić tę lukę w mojej wiedzy.

Wystawiali też mnóstwo węży i innych gadów — w większości prawdziwych morderców — które Allan oglądał ze szczególną uwagą. W muzeum chyba najbardziej podobało mi się to, że nie owijali w bawełnę, gdy omawiali zagrożenia związane ze światem zewnętrznym (podejrzewam, że mieszkańcy Terytorium Północnego już tak mają). Większość australijskich muzeów usilnie podkreśla, że prawdopodobieństwo nieszczęścia jest niezwykle małe. Tymczasem w Darwin przekonują — za pomocą twardych faktów i liczb — że natura dybie na twoje życie. Najbardziej dobitna była w tej kwestii ekspozycja poświęcona zwierzętom morskim — i tutaj nareszcie zobaczyliśmy to, co sprowadziło nas do tego muzeum: duży szklany cylinder z zakonserwowaną kubomeduzą, czyli najbardziej zabójczym stworzeniem świata.

Zwierzę wyglądało dosyć niewinnie — galaretowata masa w kształcie pudełka,

wielkości kilkunastu centymetrów z podobnymi do nici, bardzo długimi mackami pod spodem. Jak wszystkie meduzy prawie nie ma mózgu, ale imponuje śmiertelnościami potencjałem: zawarty w mackach jad wystarczy do zabicia całej sali ludzi. Kubomeduzy żywią się jednak wyłącznie krylem, czyli stworzeniami niewymagającymi takiej toksyczności. Jak to często bywa w osobliwym świecie australijskich zwierząt, nikt nie wie, skąd się ona wzięła.

Pokazywano również inne niebezpieczne morskie stworzenia, w które Terytorium Północne wyjątkowo obfituje: pięć gatunków płaszczki, dwa gatunki ośmiornicy prążkowanej, trzydzieści gatunków węży morskich, osiem gatunków stożków plus typowy bandycki asortyment szkaradnic, skrzydlic, ognic i innych dziwolągów, których lista jest zbyt długa i przygnębiająca, żeby ją tutaj przytaczać. Wszystkie można spotkać w płytkich wodach przybrzeżnych, sadzawkach poodpływowych, a czasem nawet na plażach. Nie przestaje mnie zadziwiać, jakim cudem ludzie w północnej Australii mają odwagę zbliżyć się do morza na odległość mniejszą niż 30 metrów. Szczególnie niepokojące są węże morskie, i to nie tylko ze względu na swoją agresywność, ale również dociekliwość. Jeśli zabłąkasz się na ich terytorium, przypelzną sprawdzić, kto zacz, i będą się o ciebie ocierały jak kot stęskniony za odrobiną czułości. Gotów byłbyś przysiąc, że są to najbardziej urocze stworzenia na świecie, ale jeśli wykonasz jakiś gest, który im się nie spodoba albo poczują się zagrożone, wstrzykną ci dawkę trucizny wystarczającą do zabicia trzech dorosłych mężczyzn. Nie wiem, jak wy, ale ja to zaliczam do kategorii trudnego charakteru.

Kiedy oglądaliśmy morskie potwory, szczupły mężczyzna z tradycyjną darwinowską brodą pozdrowił nas i spytał, czy wszystko w porządku. Przedstawił się jako doktor Phil Alderslade, kustosz jamochłonów.

— Meduzy i korale — wyjaśnił na widok naszych skonsternowanych min. — Zauważyłem, że robi pan notatki.

Powiedziałem mu o mojej wielkiej sympatii do kubomeduz i zapytałem, czy zajmuje się tym gatunkiem.

— Oczywiście.

— W tak razie jak pan to robi, że pana nie parzą?

— Wystarczą elementarne środki ostrożności. Oczywiście nosi się kombinezony i gumowe rękawiczki. Trzeba bardzo uważać, kiedy się je bierze do ręki, bo jeśli na rękawiczce zostanie choćby najmniejszy kawałek macki i przypadkiem dotknie gołej skóry — na przykład przy ścieraniu potu z czoła czy odganianiu muchy — jest to doświadczenie, o którym prędko się nie zapomina!

— Sparzył się pan kiedyś?

— Raz. Rękawiczka mi się zsunęła i macka dotknęła mnie w tym miejscu — wskazał na dolną część nadgarstka, gdzie wciąż widoczna była mała blizna. — Tylko mnie musnęła, ale ból był nie do opisania.

— Niech pan spróbuje to opisać — nalegałem.

— Wyobraźcie sobie, że ktoś przez pół minuty przyciska wam do skóry zapalonego papierosa. To najlepsze porównanie, jakie przychodzi mi do głowy. W moim zawodzie od czasu do czasu zdarzają się różne ukąszenia, ale czegoś podobnego nigdy nie przeżyłem.

— Co by było, gdyby owinęła się wokół pana dwumetrowa macka?

Pokręcił głową z ponurą miną.

— Niech pan sobie wyobrazi najgorszy ból świata, a potem pomnoży to przez dziesięć. To jest kategoria bólu, której większość ludzi nie zna.

Stało się coś rzadko widywanego u naukowców: zadrzał. Potem uśmiechnął się do nas optymistycznie przez swój bujny zarost i opuścił nas, aby wrócić do swoich koralii.

Wyszliśmy z muzeum i wyjechaliśmy z Darwin przez wypielegnowane przedmieścia — białe parterowe domy ze starannie przystrzyżonymi trawnikami. Tuż za miastem stała tablica z napisem „Alice Springs: 1479 km”. Trzeba się było zatem przygotować na samotną jazdę szosą Stuart Highway przez pustkowia. Wjeżdżaliśmy do tej mitycznej i groźnej krainy niebezpiecznego gorąca i białego jak kość światła słonecznego.

Droga — czasem wciąż nazywana traktem — była prawie pusta, ale prosta

i w dobrym stanie. W Sydney czy Melbourne większość ludzi nie wie, czy *highway* między Darwin i Alice Springs jest utwardzana. Tymczasem wyasfaltowano ją dużo wcześniej niż większość innych dróg *outbacku*: podczas drugiej wojny światowej, kiedy północna Australia stała się jednym z ważniejszych logistycznie terenów z punktu widzenia wojny w regionie Pacyfiku. Dzisiaj korzysta z niej niewielka, ale rosnąca liczba turystów, bardzo niewielu lokalnych kierowców i mnóstwo pociągów drogowych — ciężarówek z wieloma przyczepami, osiągających nawet 50 metrów długości. Spotkanie na dwupasmowej drodze z takim pędzącym potworem, który zajmuje cały swój pas i część twojego, jest doświadczeniem mocno przyspieszającym tętno. Podmuch zmiata cię na pobocze, od gwałtownych podskoków na wybojach wypadają ci z zębów wszystkie plomby i monety z kieszeni, spowija cię chmura czerwonego pyłu, metalowych elementów i fruujących kamieni, po czym bezwiednie wydajesz z siebie głośny okrzyk, bo kiedy pył opada, tuż przed sobą widzisz wielki głaz. A potem na skutek działania jakichś nadprzyrodzonych sił, samochód powraca na drogę i spokojnie zmierza dalej do Alice Springs.

Jedynym okresem, podczas którego w tej części świata coś się działo, była druga wojna światowa, kiedy przy szosie pomiędzy Darwin i Daly Waters zbudowano 60 lotnisk i 35 szpitali i stacjonowało tutaj 100 tysięcy amerykańskich żołnierzy. Miejsca te wciąż są zaznaczone tablicami stojącymi przy drodze i parę razy zatrzymaliśmy się, żeby rzucić na nie okiem. Kiedy Alan Moorehead przejeżdżał tędy w latach pięćdziesiątych, większość tych budynków jeszcze stała. Jak pisze w *Rum Jungle*, natrafiał na samoloty i składy z amunicją, ulegające powolnemu rozkładowi na pustyni. Miałem oczywiście nadzieję, że my też natrafimy, ale nie było tam nic oprócz ciszy, chwyającego za gardło upału i poczucia, że znajdujesz się na skraju bezkresnej pustki.

W każdym kierunku aż po horyzont ziemia była pokryta kruchą trawą spinifex, która rosła tak gęsto, że sprawiała wrażenie, jakby to był żyzny obszar pastwiskowy, na którym można by hodować wielkie stada bydła. W rzeczywistości spinifex nie nadaje się na paszę — podobno jest jedyną całkowicie niejadalną trawą

świata. Mocno za to daje się we znaki piechurom, ponieważ ostre źdźbła łatwo się odłamują i wbijają w skórę, powodując powstawanie małych, lecz okropnie ropiejących ran. Pośród kęp spinifex stały krzewy *Ericameria laricifolia* i dwumetrowe kopce termitów, które przypominały pradawne dolmeny. I na tym koniec.

Po około trzech godzinach dotarliśmy do zakurzonego małego Katherine, ostatniego miasteczka godnego tego miana na odcinku ponad 600 kilometrów. Krajobraz wyraźnie zubożał, a samochody stopniowo prawie w ogóle zniknęły. Przez większość trasy droga była naprężoną linią prostą między niemożliwie odległymi horyzontami. Majestatyczną pustkę scenerii urozmaicała jedynie trawa spinifex, niskie krzewy i księżycowe kamienie. Bezkresne niebo było olśniewająco błękitne.

Jechaliśmy przez około półtorej godziny w otepiałym milczeniu, kiedy Allan postanowił zabrać głos:

— Jak tam u ciebie z moczem?

— Od tej strony wszystko w porządku — odparłem. — Dlaczego pytasz?

— A, bo zauważyłem, że prawie skończyła nam się benzyna.

— Naprawdę?

Pochyliłem się i potwierdziłem, że Allan umie odczytywać wskaźnik poziomu paliwa — niestety robił to trochę za rzadko.

— Dostrzegłeś to w bardzo interesującej chwili, Allan — zauważyłem.

— Ta maszyna strasznie żre paliwo! — odpowiedział, odrobinę zbaczając z tematu. — Gdzie my właściwie jesteśmy?

— Na totalnym odludziu, Allan.

— Chodziło mi o odległość do najbliższego miasta.

— Jeśli chodzi o odległość do najbliższego miasta, to... — sprawdziłem na mapie — jesteśmy na totalnym odludziu. — Dokonałem przybliżonych pomiarów z użyciem palców. — Z moich rachunków wynika, że jesteśmy około czterdziestu kilometrów od punkciku na mapie o nazwie Larrimah.

— Jest tam benzyna?

— Mam taką szczerą nadzieję. Myślisz, że nam wystarczy, żeby tam dojechać?

— Mam taką szczerą, a nawet cholernie szczerą nadzieję.

Do Larrimah dojechaliśmy na oparach. Była to dziura zabita dechami, ale na szczęście mieli stację benzynową. Pozwoliłem Allanowi zająć się tankowaniem, a sam kupiłem zapas wody i racje żywnościowe na ewentualne przyszłe sytuacje awaryjne. Poprzysięgliśmy sobie uroczyście, że od tej pory będziemy wspólnie śledzili wskazania paliwomierza i nie pozwolimy wskazówce zejść poniżej połowy. Czekały nas jeszcze dłuższe odcinki bez żadnej miejscowości.

Poczucie, że otarliśmy się o katastrofę, wzmocniło nas jednak psychicznie i byliśmy w triumfalnych nastrojach, kiedy dotarliśmy do Daly Waters, naszego celu podróży na ten dzień. Aby dostać się do Daly Waters — 600 kilometrów od Darwin, 900 od Alice Springs — trzeba trochę zjechać ze Stuart Highway drogą gruntową, przecinającą wyschnięte koryto rzeki, co pogłębia poczucie oddalenia. Miejscowość składała się z kilku domów, sypiącego się i wyraźnie od dawna zamkniętego sklepu spożywczo-przemysłowego, dwóch niezwiązanych z żadnym budynkiem dystrybutorów paliwa pod szyldem „Outback Servo” i ascetycznego pubu z blaszanym dachem. Poza tym był tylko upał i kurz.

Zaparkowaliśmy pod pubem. Wisiały na nim różne tabliczki. Jedna z nich informowała: „Założony w 1893 roku. Najstarszy koncesjonowany wyszynk australijski”. Inna komunikowała: „Założony w 1930 roku. Najstarszy pub na Terytorium Północnym”. Kiedy wysiedliśmy z samochodu, otulił nas dławiący upał — temperatura z pewnością przekraczała 40 stopni. Broszura turystyczna pozyskana w Darwin sugerowała, chociaż nie gwarantowała, że w pubie w Daly Waters można przenocować. Bardzo liczyłem na prawdziwość tej sugestii, ponieważ najbliższa miejscowość była oddalona o 360 kilometrów, a istnienie zaznaczonych na mapie paru motelików na tym odcinku nie było pewne. Zresztą jazda przez *outback* o zmierzchu jest niebezpieczna. Kangury wyskakują z półmroku pod koła pędzących samochodów, często z niemałą szkodą dla obu stron. Ciężarówki zmiatają je na bok, ale kangury potrafią nieźle poturbować samochody osobowe, a przy okazji ich pasażerów.

Wydawało się, że w pubie jest bardzo ciemno, ponieważ spędziliśmy całe popołudnie w oślepiającym słońcu. Prawie nic nie widziałem.

— Dzień dobry — powiedziałem do twarzy za barem, która mogła równie dobrze być paletką pingpongową. — Macie pokoje?

— Najlepsze pokoje w Daly Waters! — odparła paletka. — I jedyne.

Niewyraźna forma stopniowo przeistoczyła się w zlanego potem i znużonego okularnika w średnim wieku, który taksował nas trochę nieufnym spojrzeniem.

— Chcecie dwa pokoje czy nocujecie razem?

— Dwa — odparłem pośpiesznie.

Moja odpowiedź sprawiła mu widoczną radość. Pogrzebał w szufladzie i wyjął dwa klucze z breloczkami w różnych kolorach.

— To jest jedyńka — powiedział, kładąc mi jeden z kluczy na dłoni — a ten ma podwójne łóżko, na wypadek, gdyby któremuś z was się pofarciło dziś wieczorem.

Nieco lubieżnie uniósł brwi.

— Myśli pan, że są na to szanse? — zapytałem z powątpiewaniem.

— Cuda się zdarzają!

Pokoje mieściły się w osobnym budynku. Było ich kilkanaście, po dwóch stronach korytarza. Nalegałem, żeby Allan wziął dwójkę, ponieważ szansa na uśmiech losu w jego przypadku była znacznie większa.

— W takiej dziurze? — prychnął głuchym śmiechem.

— W *outbacku* jest osiemdziesiąt milionów owiec, Allan. W takiej liczbie musi się trafić kilka mało wybrednych.

Poszliśmy obejrzeć pokoje. Natychmiast przyszło mi do głowy słowo „spartański”. Wyposażenie mojego składało się z przedpotopowego łóżka, sfatygowanej szafy i wiklinowego kosza na śmieci. Nie było telewizora ani telefonu, a funkcje oświetleniowe spełniała goła żółta żarówka wisząca pod sufitem. Za to w oknie zainstalowany był stary klimatyzator, który trząsał się i gwałtownie wibrował po włączeniu, ale wydmuchiwał niewielką ilość chłodnego powietrza. Łazienka na końcu korytarza nie sprawiała zbyt higienicznego wrażenia, na zlewie widniały rdzawe plamy, a współczynnik zakaźności prysznicza oceniłem

jako bardzo wysoki.

Poszedłem odwiedzić Allana, który siedział na łóżku z uśmiechem kretyna.

— Wchodź, wchodź, zapraszam! Poczęstowałbym cię drinkiem z minibaru, ale w moim pokoju nie ma minibaru. Siadaj. Krzesła też nie ma, ale nie krępuj się, na koszu na śmieci będzie ci równie wygodnie.

— Jest tu trochę spartańsko — przyznałem.

— Spartańsko? To jest więzienna cela! Chętnie zapaliłbym światło, skoro mam gościa, ale żarówka się przepaliła.

— Na pewno dadzą nam nową.

— Nie, nie, nie. Myślę, że po ciemku bardziej mi się podoba. — Zagryzł dolną wargę. — Czy jest jeszcze za wcześnie, żeby się czegoś napić?

Spojrzałem na zegarek: za piętnaście piąta.

— Trochę za wcześnie. Poza tym chciałem ci coś pokazać.

— Jakaś atrakcja turystyczna? W Daly Waters? Popatrzymy, jak ktoś tankuje benzynę? Jak baran tryka owcę?

— Chodzi o drzewo — wyjaśniłem.

— Drzewo. No jasne. Prowadź.

Wsiadliśmy do samochodu, pojechaliśmy kilka kilometrów gruntową drogą i zobaczyliśmy z boku tablicę informującą, że dotarliśmy do Drzewa Stuarta, upamiętniającego Johna McDoualla Stuarta, być może najbardziej znanego australijskiego podróżnika. Ten szkocki żołnierz o skromnych gabarytach (ledwo przekroczył półtora metra wzrostu) kierował trzema wielkimi wyprawami w głąb lądu i każdej z nich o mało nie przypłacił życiem. Ostre światło *outbacku* nie służyło jego wzrokowi i podczas dwóch ekspedycji widział podwójnie — poważne utrudnienie dla człowieka, który musi wybrać drogę przez nieznane kartografom pustkowie. „To jak, chłopcy, na który z tych dwóch pagórków się kierujemy? Proponuję ten pod lewym słońcem”. Pod koniec każdej wyprawy był prawie ślepy. Podczas drugiej dodatkowo zachorował na skorbut. Skórę miał „całą pokrytą ranami, które nie chciały się goić, i nie mógł mówić, bo spuchł mu język”, relacjonował jeden z jego ludzi. Przez ostatnie 600 kilometrów niesiono go na

noszach i każdego wieczoru jego towarzysze spodziewali się, że zdejmą go z nich martwego. Miesiąc po powrocie na łono społeczeństwa znowu gotów był jednak wyruszyć na konfrontację z bezlitosną pustynią.

Ostatnia próba, w latach 1861-62, zdawała się od początku skazana na niepowodzenie. Konie „były umęczone” brakiem wody, a zarówno wierzchowcom, jak i ludziom dokuczał *bulwaddy*, krzew z zaostrzonymi kolcami. W Daly Waters udało im się znaleźć strumień z pitną wodą, co uratowało wyprawę. Ludzie odpoczęli, uzupełnili zapasy wody i ruszyli dalej. W lipcu 1862 roku, dziewięć miesięcy po opuszczeniu Adelaide, dotarli nad morze Timor. Dekadę później pociągnięto linię telegraficzną z Adelaide do późniejszego Darwin, dzięki czemu Australia uzyskała bezpośrednią łączność z resztą świata.

Z radości, że znalazł w Daly Waters strumień, Stuart wyciął w korze eukaliptusa wielkie „S”. To właśnie drzewo przyjechaliśmy zobaczyć. Dosłownie i w przenośni nic wielkiego — pięciometrowy, dawno uschnięty kikut bez gałęzi. W każdym przewodniku piszą, że „S” jest wyraźnie widoczne, ale nam nie udało się go znaleźć. Mimo to uznałem za przyjemne, że jesteśmy w znanym miejscu, odwiedzanym przez niewielu Australijczyków. W pewnej chwili na pobliskich drzewach usiadła chmara hałaśliwych kakadu różowych. W scenerii tej nie było niczego wyjątkowego — jałowa równina, wielki krążek słońca tuż nad horyzontem, kilka rachitycznych eukaliptusów — ale jej prostota z jakiegoś powodu mnie zachwycała. Nie wiem dlaczego, ale czułem się tam genialnie.

Długo kontemplowaliśmy krajobraz, po czym Allan zapytał tonem posłusznego podwładnego, czy teraz możemy pójść się czegoś napić.

— Tak, możemy.

Sława Daly Waters nie ogranicza się do Stuarta i jego ekipy. W latach dwudziestych XX wieku przyjechało tutaj nieznanego bliżej autoramentu małżeństwo Pearce’ów i za pożyczone 20 funtów otworzyło sklep. O dziwo, interes kwitł. Po kilku latach Pearce’owie oprócz sklepu mieli też hotel, pub i aerodrom. Daly Waters stało się przystankiem lotniczym pomiędzy Brisbane i Darwin po

drodze do Singapuru i Londynu w pierwszych latach istnienia Qantas i dawnych Imperial Airways. Jednym z pierwszych gości hotelowych była lady Mountbatten. Diabli wiedzą, jak oceniła zakwaterowanie, ale na pewno była zachwycona, że ma twardy grunt pod stopami. W tych pionierskich czasach przelot z Londynu do Australii — poza nerwami ze stali — wymagał 42 międzylądowań dla zatankowania paliwa, co najmniej pięciu zmian samolotu i przejazdu koleją przez Włochy, ponieważ Mussolini nie pozwalał korzystać z przestrzeni powietrznej nad tym krajem. Wszystko trwało 12 dni. Oprócz monsunów podróżnym dokuczały burze piaskowe, usterki techniczne, błędy nawigacyjne i ostrzał wrogich lub złośliwych koczowników. Katastrofy nie należały do rzadkości.

Niebezpieczeństwa związane z awiacją znajdują drastyczną ilustrację w doświadczeniach Harolda C. Brinsmeada, dyrektora Australijskiego Departamentu Lotnictwa Cywilnego. W 1931 roku poleciał do Londynu, po części w celach służbowych, po części dla pokazania Australijczykom, że lotnicze usługi pasażerskie są bezpieczne. Samolot spadł podczas startu w Indonezji. Nikt nie został poważnie ranny, ale maszyna nadawała się do kasacji. Nie czekając, aż przyślą samolot zastępczy, Brinsmead poleciał nową linią holenderską KLM. Ten samolot rozbił się z kolei przy starcie w Bangkoku. Tym razem pięć osób zginęło, a Brinsmead odniósł poważne obrażenia, z których nigdy się nie wylizał: zmarł dwa lata później. Pasażerowie, którzy przeżyli, polecili do Londynu inną maszyną, która rozbiła się podczas podróży powrotnej.

Daly Waters rości sobie prawo do tytułu najstarszego australijskiego lotniska międzynarodowego, ale podejrzewam, że wiele innych sędziwych aerodromów mówi o sobie to samo. To prawda, że korzystano z niego na niektórych trasach międzynarodowych i jeszcze częściej używano go jako regularnego przystanku podczas lotów z Queenslandu do Australii Zachodniej. Daly Waters pełniło zatem funkcję czegoś w rodzaju lotniczego skrzyżowania, które było czynne do 1947 roku. Pub otwarto w 1938, a zatem absolutnie nie zasługuje on na miano najstarszego w *outbacku* czy na Terytorium Północnym, choć z pewnością należy do najbardziej malowniczych.

Podobnie jak w większości knajp w *outbacku*, wszędzie — na ścianach, krokwiach, słupach — wisały w nim pamiątki zostawione przez klientów: legitymacje studenckie, prawa jazdy, banknoty z wielu krajów, nalepki na zderzaki, odznaki policyjne i strażackie, a nawet szeroki asortyment bielizny, dyndającej pod sufitem albo przybitej gwoździami do ścian. Poza tym wewnątrz było urządzone w estetycznie surowym stylu: duży bar na środku, betonowa podłoga, blaszany dach, kolekcja stołów i krzeseł w różnych stylach i z różnych epok, sfatygowany stół bilardowy. Przy barze stało siedmiu lub ośmiu mężczyzn w szortach, podkoszulkach, butach z cholewami i korkowych kaskach, popijających piwo ze *stubbies* — krótkich, ale szerokich butelek w styropianowych otulinach, dzięki którym piwo dłużej pozostaje zimne. Sprawiali wrażenie rozgrzanych i zakurzonych, ale w Daly Waters w zasadzie wszystko jest rozgrzane i zakurzone. Atmosferę w pubie najtrafniej opisywały słowa „jowialna duchota”. Nawet stojąc bez ruchu, ociekaliśmy potem. W oknach wisały moskitiery, ale całe podziurawione, a poza tym drzwi zostawiono otwarte, więc muchy swobodnie wlatywały do środka. Klienci pozdrowili mnie krótkimi, acz przyjaznymi skinieniami głowy i zrobili mi miejsce przy barze, żebym mógł złożyć zamówienie, ale nie okazywali zbytniego zainteresowania moją osobą. Widać obcy nie byli tutaj nowością, o czym zaświadczały zresztą pamiątki.

Zakupiłem dwie butelki schłodzonego piwa i zaniósłem do stolika, przy którym czekał na mnie Allan, usadowiony pod nalepką „Tsozazadoopye Touring Club”. Twarz mojego szofera emanowała błogością.

— Podoba ci się tutaj? — zapytałem nieco zdziwiony.

Z zachwytem potwierdził ruchem głowy.

— Myślałem, że nienawidzisz tej strasznej dziury.

— Na początku tak było, ale kiedy patrzyłem przez okno na ten precudny zachód słońca, a potem spojrzałem na tych wszystkich malowniczych typów z *outbacku*, pomyślałem sobie: „Kurczę, podoba mi się tutaj”. — Miał szczerze zaskoczoną minę. — I naprawdę mi się podoba.

— Cieszę się.

Dokończył swoje piwo i wstał.

— Gotowy na następne?

Teraz to ja się zdziwiłem. Chciałem zwrócić mu uwagę, że jest troszkę za wcześnie, żeby narzucać sobie takie forsowne tempo, ale potem pomyślałem sobie: a co tam. Przejechaliśmy kawał drogi, a pub jest miejscem, w którym się pije.

Opróżniłem swoją butelkę i podałem mu.

— Dobra, czemu nie?

Nie będę udawał, że dużo zapamiętałem z tego, co się wydarzyło później. Wypiliśmy gigantyczne ilości piwa — gigantyczne ilości. Zjedliśmy steki wielkości rękawic bejsbolowych (zresztą może to były rękawice bejsbolowe) i popiliśmy kolejnymi piwami. Zawarliśmy mnóstwo nowych znajomości. Rozmawiałem z ranczerami i postrzygaczami owiec, niańkami i kucharzami. Poznałem braci podróżników z różnych stron świata i przez dłuższą chwilę konwersowałem z właścicielem, niejakim Bruce'em Catererem, który szczegółowo mi zrelacjonował, jak doszło do tego, że zakupił knajpę na tym odludziu, ale żaden element tej opowieści nie zapisał się ani w mojej pamięci, ani w moim notesie. Z upływem wieczoru w pubie robił się coraz większy ścisk i gwar. Nie mam pojęcia, skąd się wzięli ci wszyscy ludzie. Mogę jedynie potwierdzić, że busz w okolicy Daly Waters zamieszkuje około 50 zaprawionych w bojach konsumentów alkoholu oraz że co najmniej taka sama liczba turystów takich jak my tego wieczoru zaszczyciła lokal swoją obecnością. Co najmniej 14 osób zmasakrowało mnie w bilard. Stawiałem obcym ludziom kolejki. Zadzwoiłem do mojej żony i wyznałem jej dozgonną miłość. Śmiałem się z każdej opowiedzianej mi historii i promieniowałem sympatią do całej ludzkości. Poszedłbym z każdym na koniec świata.

Zbudziłem się następnego dnia rano, leżąc w ubraniu na pościeli, bez żadnych wspomnień o ubiegłym wieczorze — poza rękawicą bejsbolową — ale za to z wrażeniem, że moja głowa uczestniczyła w katastrofie kolejowej.

Przycisnąłem zegarek do gałki ocznej i z przerażeniem odkryłem, że jest prawie

dziesiąta. W tym tempie nigdy nie dojedziemy do Alice Springs, pomyślałem. Zawlokłem się do łazienki i pobieżnie ochlapałem wodą, po czym z mętym wzrokiem wróciłem do pubu. Allan siedział oparty o ścianę z zamkniętymi oczami i nietkniętym kubkiem parującej czarnej kawy na stoliku. Innych klientów nie było.

— Gdzie kawa gdzie? — wyrzuciłem.

Z trudem podniósł rękę i z grubsza wskazał mi kierunek. W małym sąsiednim pomieszczeniu znalazłem dzbanek z gorącą wodą i pojemniki z kawą rozpuszczalną, herbatą ekspresową, mlekiem w proszku i cukrem. Do połowy napełniłem kubek kawowym proszkiem, dolałem odrobinę wody i wróciłem do Allana.

Drżącą ręką inwalidy podniosłem kubek i wpuściłem do ust kilka kropelek kawy. Po kolejnych kilku łyżkach poczułem się trochę lepiej. Allan sprawiał jednak wrażenie osoby nie do odratowania.

— O której poszliśmy spać? — spytałem.

— Późno — jęknął.

— Bardzo późno?

— Bardzo.

— Czemu siedzisz z zamkniętymi oczami?

— Bo się boję, że oślepnę, jak je otworzę.

— Skompromitowałem się? — Spojrzałem do góry, żeby sprawdzić, czy na krokwi nie wiszą moje bokserki.

— Nie pamiętam niczego takiego. Byłeś do dupy w bilard.

Pokiwałem głową bez zaskoczenia. Często używam alkoholu jako sztucznego ogranicznika moich umiejętności bilardowych. Pomagam w ten sposób obcym ludziom nabrać wiary w ich możliwości i znaleźć drogę do mojego portfela.

— W przyszłym roku wymieniasz się domami na lato z koreańską rodziną.

Zagryzłem dolną wargę z zamyśloną miną.

— Z Korei Północnej czy z Południowej? — spytałem.

— Nie jestem pewien.

— Jaja sobie ze mnie robisz, prawda?

Pochylił się w moją stronę i z kieszeni mojej koszuli wyjął wizytówkę, którą mi podał. „Park Ho Lee, hurtownia mięsa” czy coś w tym guście. A pod spodem, moim charakterem pisma: „10 czerwca–27 sierpnia. *No worries*”.

Złożoną na dwoje wizytówkę umieściłem w popielniczce.

— Myślę, że trzeba się stąd wynosić — powiedziałem.

Skinął głową i wielkim wysiłkiem woli wstał od stołu, zachwiał się nieznacznie i poszedł się spakować. Po dłuższej chwili wahania ruszyłem za nim.

Dziesięć minut później byliśmy w drodze do Alice Springs.

Rozdział szesnasty

A teraz anegdota, która da wam do myślenia.

W kwietniu 1860 roku, podczas drugiej ze swoich heroicznych prób przemierzenia Australii z południa na północ, John McDouall Stuart dotarł do prawie bezwodnego środka kontynentu mniej więcej w połowie drogi pomiędzy dzisiejszymi Daly Waters a Alice Springs. To położone tysiąc kilometrów od czegokolwiek miejsce było „skrajnym pustkowiem”, jak to ujął towarzysz Stuarta, Ernest Giles. Stuart i jego ludzie przeszli po drodze przez istne piekło, po kilku miesiącach marszu chorowali, byli obdarci i wygłodzeni, ale przynajmniej mogli sobie z satysfakcją powiedzieć, że jako pierwsi poza tubylcami przeniknęli do brutalnego jądra kontynentu.

Możecie więc sobie wyobrazić zaskoczenie Stuarta, kiedy na tym spieczonym słońcem odludziu spotkał trzech Aborygenów, który pozdrowili go tajnym znakiem wolnomularzy (z jego opisu wynika, że nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności). Kilka dni później ekspedycja natrafiła na ślady koni, a trochę dalej, kiedy podróżnicy rozbijali na noc obóz, podeszli do nich członkowie plemienia Warramunga. Jeden z towarzyszy Stuarta, młody W.P. Auld, zdjął wcześniej buty, żeby rozmasować sobie stopy. Jeden z przybyszów uklęknął przed nim, włożył mu buty, starannie zawiązał i wyprostował się z zadowolonym uśmiechem.

Stuart nie miał już najmniejszych wątpliwości: on i jego kompani nie byli pierwszymi białymi ludźmi, którzy dotarli na te obszary. Kto ich wyprzedził? Do tej pory pozostaje to nierozwiązaną zagadką.

Przytaczam tę historię dla zilustrowania dziwnego i niezgłębionego charakteru *outbacku*. W tej wielkiej pustce jest coś, co ludzi fascynuje. Środowisko to ewidentnie chce uśmiercić każdego przybysza, a mimo to, na przekór okrutnym przeciwnościom i często dla samej przygody, w przeszłości podróżnicy chętnie się tutaj zapuszczali. Czasem, jak przekonał się Stuart, potomność nie znała nawet ich nazwisk. Bezlitosną naturę tych obszarów trudno jest opisać.

Dziewiętnastowiecznym podróżnikom dokuczał nie tylko straszny upał i nieustanny brak wody, ale również tysiące innych uciążliwości. Gdziekolwiek nie spoczęli, natychmiast zaczynały kąsać ich mrówki. Tubylcy atakowali ich włóczniami. Teren porastały kolczaste krzewy i trawa spinifex, której siekące ukłucia wywoływały jątrzące się rany. Cały czas narażeni byli na szkorbut. O jakiegokolwiek higienie nie było mowy. Zwierzęta juczne i wierzchowce wariowały z gorąca albo odmawiały dalszego marszu. Ernest Giles napisał w swoich wspomnieniach, że jego koń po nieskutecznych poszukiwaniach wody wpadł w delirium i kiedy wrócili do obozu, wsadził nozdrza w ogień, szukając ochłody. Giles zlitował się nad nim i dał mu wody ze swoich skąpych zapasów, ale zwierzę i tak zdechło. Nawet wielbłądy z trudem radziły sobie z pustynnymi warunkami. W *Beyond Leichhardt*, historii badań Australii, Glen McLaren pisze, że muchy bardzo lubiły składać jaja w ranach tych zwierząt i nawet najmniejsze przecięcie skóry szybko robaczywiało. Podczas którejś wyprawy rana jednego z wielbłądów tak się zakaziła, że robaki „codziennie wybierano garnuszkem”. W końcu biedne zwierzę położyło się i zdechło. Jeśli nawet wielbłądy nie radzą sobie na pustyni, to wiadomo, że trafiłeś na wyjątkowo niegościnnie zakątek naszej planety.

Mimo to podróżnicy wciąż przybywali na pustynię. W XIX wieku większość wypraw miała określony cel — wytyczyć przebieg linii telegraficznej, znaleźć złoto, odkryć jakieś tajemnicze eldorado — ale badacze bardzo szybko ogarniała fascynacja tym pustkowiec i, nie mogąc się oprzeć jego urokowi, maszerowali dalej.

Chyba nikt nie nacierpiał się tyle, co Ernest Giles. W 1874 roku, kiedy podróżował z Alfredem Gibsonem przez jałowe odludzia Australii Zachodniej, zdechł koń Gibsona. Giles dał mu swojego i polecił mu wrócić po śladach do oddalonego o 200 kilometrów Fort McKellar po drugiego wierzchowca. Gibson zgubił drogę i zniknął na zawsze (dzisiaj obszar ten nazywa się Pustynią Gibsona). Zmuszony wrócić sam na piechotę, Giles włókł się przez piaski, wyczerpany i wygłodzony, a przez ostatnie sto kilometrów prawie nie miał wody. W tym

rozpaczliwym stanie, nękanym przez muchy i ledwo żywym z głodu, zobaczył młode walabii, rzucił się na nie i pożarł na surowo razem ze skórą i futrem — historia ta przeszła do legendy.

Nie były to przypadki odosobnione. *Outback* dla nikogo nie miał litości. Kiedy Robert Austin i jego ludzie zmuszeni byli pić własny i koński mocz, nie mieli prawa uważać się w tym za pionierów — na pustyni wiele osób postępowało tak samo. Kiedy Giles dopadł i pożarł małą walabię, uznał się za wielkiego szczęściarza. Wiele lat później napisał ze szczerym i charakterystycznym entuzjazmem: „Nigdy nie zapomnę wspaniałego smaku tego stworzenia”. Stuart i jego ludzie zachowali nie mniej radosne wspomnienia o tym, jak, znajdując się na krawędzi śmierci głodowej, znaleźli miot szczeniaków dingo. Ugotowali je i później ocenili jako „przepyszne!”.

Dlaczego podróżnicy narażali się na takie męki? To przekracza ludzkie pojęcie. Mimo gehenny podczas tragicznie zakończonej wyprawy z Gibsonem Giles prawie natychmiast powrócił do swoich nałogowych wędrówek. Podobnie postąpił Stuart. Przez cztery lata nieustannie napierał na nieustępliwy *outback*, aż w końcu udało mu się przebić na drugą stronę. Zmęczony tymi wysiłkami, w końcu wyjechał do Londynu, gdzie niedługo później zmarł.

Trudno powiedzieć, kto z pary Stuart i Giles przeszedł większe udręki, ale nie ulega wątpliwości, że Giles został za nie znacznie słabiej nagrodzony przez los. Nie słyszałem o bardziej pechowym podróżniku. W tym samym roku, w którym stracił na pustyni swego towarzysza Gibsona i w piekielnym upale pokonał 200 kilometrów na piechotę, badał region Yulary. Pewnego dnia wszedł na niewielkie wzniesienie i zobaczył coś absolutnie niezwykłego: największy monolit na świecie, dzisiaj zwany Uluru. Pospieszył do Adelaide, aby zaraportować o swoim odkryciu, ale poinformowano go, że niejaki William Christie Gosse kilka dni wcześniej natrafił na ten cud natury i ochrzcił go Ayers Rock na cześć gubernatora Australii Południowej.

Za stary na dalszą tułaczkę, Giles zatrudnił się jako urzędnik w kopalniach złota w Coolgardie, gdzie w 1891 roku umarł w całkowitym zapomnieniu. Dzisiaj jest

postacią prawie zupełnie nieznaną. Żadna droga nie nosi jego imienia.

A zatem dzielny pan Sherwin i ja niestrudzenie parliśmy przed siebie przez niemiłosiernie rozgrzaną pustynię. Im dalej na południe od Daly Waters, tym bardziej uboga była roślinność. Gleba przybrała czerwone tony, bardziej marsjańskie, niż ziemskie, a światło dziennie podwoiło swoje natężenie, jakby emitowało je bliższe i większe słońce. Nawet na gładkiej szosie, w klimatyzowanej kabinie samochodu, byliśmy sobie w stanie w ogólnych zarysach uzmysłwić, co przeżywali XIX-wieczni podróżnicy. Po takim ćwiczeniu wyobraźni byliśmy pod wielkim wrażeniem.

Na lewo ciągnęły się tysiące kilometrów kwadratowych kolczastego pustkowiecia zwanego płaskowyżem Barkly, graniczącego z Pustynią Simpsona. Są to chyba najbardziej niegościnne tereny pasterskie świata. W tak ciężkich warunkach farmy muszą być gigantyczne, żeby przynosiły zysk. Największa z nich, koło Anna Creek, ma powierzchnię większą od Belgii.

Na prawo znajdowała się pustynia Tanami, piekielnie suchy obszar, który do dzisiaj w większości pozostaje niezbadany. Moja mapa nie pokazywała ani jednego elementu topograficznego — wyschniętego koryta rzeki czy starej drogi gruntowej — aż po oddaloną o 500 kilometrów granicę Australii Zachodniej. Dalej przez kolejny tysiąc kilometrów krajobraz był prawie tak samo monotony.

Nawet na Stuart Highway, wypełnionej życiodajnym ruchem samochodów, na trasie liczącej około 900 kilometrów pomiędzy Daly Waters a Alice Springs znajdowały się tylko jedna mała miejscowość, stare miasteczko górnicze Tennant Creek, kilka osad, przy których Daly Waters sprawiało kosmopolityczne wrażenie, i *roadhouse* — co sto kilkadziesiąt kilometrów. I na tym koniec.

Nigdy nie jechałem przez tak pusty kraj. Po jakimś czasie na horyzoncie zaczęły się rysować wzniesienia: Góry MacDonnella. Od czasu do czasu, raz czy dwa razy na godzinę, mijaliśmy się z pociągiem drogowym. W pewnym momencie zobaczyliśmy, że jadący z naprzeciwka samochód, którego kierowcę najwyraźniej otepiła monotonia, skręca na pobocze i tłucze się po nim przez kilkadziesiąt

metrów, ciągnąc za sobą długi warkocz pyłu. Kiedy był już blisko, trąbienie Allana prawdopodobnie go ocuciło i szarpnął ostro kierownicą, żeby wrócić na asfalt. Trochę jednak przesadził i znalazł się na naszym pasie. Kompletny absurd: na bezkresnym pustkowiu dwa ruchome kawałki metalu miały huknąć o siebie z dużą siłą. Nastąpiła błyskawiczna sekwencja trąbień, dzikich wrzasków i gwałtownych skrętów kierownicy. Miałem wrażenie, że czas stanął w miejscu i jak w zatrzymanym kadrze wyraźnie widziałem napastnika, który patrzył na nas ze zdumioną i skruszoną miną. Być może takie zjawiska zachodzą w mózgu każdej osoby, która za chwilę ma umrzeć gwałtowną śmiercią. Jakimś cudem ominęliśmy się jednak i odwróciłem się, żeby popatrzeć na tego szaleńca, który zniknął w oddali, tym razem kurczowo trzymając się prawidłowego toru jazdy. Kiedy zmałał do rozmiarów kropki, odwróciłem się do Allana.

— Nie wiem, jak ty — powiedział wesoło — ale ja dojrzałem do filiżanki kawy i zmiany majtek.

— Świetny plan!

Zaczęliśmy wypatrywać na horyzoncie samotnej sylwety gościnnego motelu.

Wielką zaletą jazdy przez pustkowie jest to, że każde urozmaicenie — po prostu cokolwiek — sprawia ogromną radość. Koło trzeciej po południu zobaczyliśmy drogowskaz do czegoś, co nazywano Kulkami Diabła, i po błyskawicznej wymianie spojrzeń skręciliśmy w boczną drogę, która po dwóch kilometrach kończyła się parkingiem. Widok był bajkowy: ogromna liczba gładkich granitowych głazów, niektórych wielkości domów, ułożonych w chaotyczne sterty albo porozrzucanych na ogromnym obszarze (1800 hektarów, jak przeczytaliśmy na drogowskazie). Każdy głaz kojarzył się z czymś innym: fasolką, bułką, kulą do kręgli, a ich monstrualne rozmiary oraz zaskakujące rozmieszczenie jeszcze potęgowały to wrażenie. Wyobraźcie sobie prawie idealną kulę o średnicy dziesięciu metrów stojącą na podstawie wielkości wjazdu do kanalizacji. Oczywiście w okolicy nie było żywej duszy. Gdyby przenieść te kamienie do Europy czy Ameryki Północnej, stałyby się słynną na cały świat atrakcją. W każdym

rodzinnym albumie widniałoby zdjęcie mamy i dzieci urządzających sobie piknik w tej niesamowitej scenerii. Tutaj te cuda natury marnowały się pośród bezkresnego pustkowia. Pochodziliśmy między nimi przez pół godziny, zauroczeni tym księżycowym krajobrazem, po czym ruszyliśmy w drogę podniesieni na duchu i zadowoleni z siebie.

Dziesięć godzin później, gdy nasz licznik wskazywał 903 kilometry od wyjazdu z Daly Waters, przybyliśmy wreszcie — odwodnieni i zakurzeni — do Alice Springs, siatki przecinających się pod kątem prostym ulic, usadowionej niby ogromne lądowisko dla helikopterów na równinie u stóp złocistych zboczy Gór MacDonnella. Człowiek ma wrażenie, że majaczy — dokoła tysiące kilometrów kwadratowych pustyni, a tutaj prawdziwe miasto, z domami handlowymi, szkołami i ulicami, które mają nazwy. Przez długi czas było to swego rodzaju Timbaktu na antypodach, niedostępne i mityczne. W 1954 roku, kiedy przejeżdżał tędy Alan Moorehead, Alice Springs miało tylko jedno regularne połączenie ze światem: kursujący raz na tydzień pociąg do Adelaide. Jego przyjazd w sobotę wieczór był najważniejszym wydarzeniem w życiu miasta. Pociąg przywoził pocztę, gazety, nowe filmy do kina, od dawna wyczekiwane części zamienne i wszystkie inne rzeczy, których nie można było kupić na miejscu. Prawie wszyscy mieszkańcy przychodzili zobaczyć, kto wysiądzie i co zostanie wyładowane.

W tamtych czasach liczba ludności wynosiła cztery tysiące, a turystów było jak na lekarstwo. Dzisiaj mieszkańców jest 25 tysięcy, a turystów przyjeżdża 350 tysięcy rocznie — i na tym właśnie polega cały problem. Dzisiaj można tutaj przylecieć samolotem z Adelaide w dwie godziny, a z Melbourne i Sydney w niecałe trzy. Można wypić kawę latte, kupić kilka opali i pojechać na wycieczkę autokarem do Ayers Rock. Alice Springs stało się łatwo dostępną miejscowością turystyczną, pełną moteli, hoteli, centrów konferencyjnych, kempingów i kompleksów wypoczynkowych na pustyni, toteż dotarcie tutaj nie stanowi już wyczynu, którym można się potem chwalić. Kompletny idiotyzm: miejscowość, która służyła niegdyś z niedostępności, przyciąga tysiące ludzi, którzy przyjeżdżają

zobaczyć, jak bardzo niedostępna... kiedyś była.

Prawie wszystkie przewodniki i broszury turystyczne podtrzymują sympatyczny mit, zgodnie z którym Alice Springs zachowało niepowtarzalny urok *outbacku* i trzeba koniecznie zobaczyć to miasto odcięte od wszelkiej cywilizacji. W rzeczywistości jednak mogłoby się ono znajdować w każdym innym regionie Australii, a nawet w każdym innym regionie świata. Po drodze do centrum mijaliśmy galerie handlowe, dilerów samochodowych, McDonald's, Kentucky Fried Chicken, banki i stacje benzynowe. Jedynym egzotycznym akcentem była grupka Aborygenów nad wyschniętym korytem rzeki Todd.

Wynajęliśmy pokoje w motelu na skraju centrum. W moim znajdował się balkon, z którego mogłem patrzeć, jak zachodzące słońce zalewa czerwonym światłem pustynię i ozłaca zbocza Gór MacDonnella — a przynajmniej mógłbym, gdyby po drugiej stronie drogi nie stał wielki kompleks handlowy K-Mart. Podejrzewam, że na całych kilku milionach kilometrów kwadratowych australijskiego *outbacku* nie ma bardziej niefortunnego zestawienia.

Allan najwyraźniej podzielał moją opinię, bo kiedy się spotkaliśmy pół godziny później, patrzył na tę samą scenę.

— Nie mogę uwierzyć, że przejechaliśmy półtora tysiąca kilometrów, żeby znaleźć K-Mart — powiedział, rzucając mi ponure spojrzenie. — Wy, jankesi, strasznie zapaskudziliście świat.

Zacząłem protestować, ale bez przekonania. Miał rację. My, Amerykanie, stworzyliśmy filozofię handlu, która jest nie do odparcia i całkowicie pozbawiona walorów estetycznych. Teraz zawijamy te ohydne pudła w papier pakunkowy i rozsyłamy na cztery strony świata. Prawie wszystko, co brzydkie, prostackie i odrażające w Alice Springs, jest wykwitem amerykańskiej przedsiębiorczości, prezentem od ludzi, którzy nie zdają sobie nawet sprawy, że odebrali urok miastu w *outbacku*, a gdyby im to powiedzieć, to by się szczerze zdziwili, że można tak na to patrzeć. Zresztą podobnie jak większość zakupowiczów w Alice Springs, zachwyconych, że się im oferuje darmowy parking, ręczniki Marthy Stewart i zasłony prysznicowe. Smutna i dziwna jest nasza epoka...

Chodziliśmy po mieście w poszukiwaniu jakiegoś lokalu gastronomicznego. Centrum Alice Springs jest tak małe, że sprawdzenie wszystkich możliwości kulinarnych i rozrywkowych nie zajęło nam wiele czasu. Uświadomiwszy sobie, że wszystkie ulice przemierzyliśmy po dwa razy, wybraliśmy restaurację chińską, którą minęliśmy kilka minut wcześniej. Była prawie pusta.

Kiedy czekaliśmy na jedzenie, Allan krytycznym okiem spojrzął na gufrowaną tapetę i kiczowate oświetlenie, tak jakby wyposażenie lokalu skupiało w sobie wszystkie rozczarowujące braki Alice Springs. W pewnej chwili można było nawet odnieść wrażenie, że próbuje zabić wzrokiem muzykę, która sączyła się z głośników.

— Ile czasu planujemy tutaj spędzić? — spytał w końcu.

— Jesteśmy tutaj jutro, potem jedziemy do Uluru, później wracamy tutaj na jeden dzień, a potem ty lecisz do Anglii.

Skinął głową zamyślony.

— Czyli w sumie dwa dni?

— Aha.

— Co można robić w Alice Springs przez dwa dni?

— Całkiem sporo rzeczy. — Wyjąłem broszurę, którą wziąłem ze stojaka w hotelu. — Przede wszystkim jest park pustynny.

Pochylił nieznacznie głowę.

— Co to takiego?

— Rezerwat przyrody, w którym odtworzyli środowisko pustynne — wyjaśniłem.

— Na pustyni?

— Tak — potwierdziłem.

— Odtworzyli pustynię na pustyni? Dobrze cię zrozumiałem?

— Tak.

— I płaci się za to?

— Tak.

Znowu pokiwał refleksyjnie głową.

— Co jeszcze?

— Mecca Date Garden — rzuciłem okiem na broszurę.

— Czyli?

— Ogród, w którym uprawiają daktyle.

— Za to też każą sobie płacić?

— Chyba tak.

— To już wszystko czy jest coś jeszcze?

— Jest jeszcze mnóstwo. Stara stacja telegraficzna, hodowla wielbłądów, muzeum pionierów, izba pamięci kobiet pionierów, muzeum transportu, muzeum minerałów, winiarnia Chateau Hornsby, kino Sounds of Starlight, ośrodek badania kultury Aborygenów...

Allan słuchał uważnie, przy niektórych punktach prosząc mnie o szersze wyjaśnienia. Wreszcie, po chwili głębszego namysłu, powiedział:

— Jedźmy do Ayers Rock.

— Dobra — odparłem, również po chwili zastanowienia.

Następnego dnia wstaliśmy więc o świcie i pojechaliśmy na spotkanie z mocarnym Uluru. Alice Springs mogło zaczekać.

Uluru i Alice Springs są z sobą tak ściśle powiązane w powszechnej świadomości, iż wszyscy myślą, że te dwa miejsca znajdują się blisko siebie. W rzeczywistości dzieli je prawie 500 kilometrów jazdy przez monotony krajobraz. Piękno Uluru polega na tym, że stoi samotnie pośród bezkresnego pustkowia, co jednak oznacza, że trzeba naprawdę bardzo chcieć, aby zobaczyć tę skałę. Nie można jej obejrzeć po drodze na plażę. I bardzo dobrze, ale z drugiej strony, jeśli ktoś właśnie pokonał półtora tysiąca kilometrów przez jałowe odludzie, to nie potrzebuje kolejnych pięciu godzin jazdy, aby utwierdzić się w przekonaniu, że środek Australii jest w większości niezamieszany.

Jeszcze w latach pięćdziesiątych do Ayers Rock docierali tylko najbardziej zatwardziali zapaleńcy, a pod koniec następnej dekady liczba turystów nie przekraczała 10 tysięcy rocznie. Dzisiaj tylu ludzi przyjeżdża w ciągu dziesięciu

dni. Jest tutaj nawet lotnisko i miejscowość turystyczna Yulara, w pełni sezonu trzecia pod względem liczby mieszkańców na Terytorium Północnym i dyskretnie oddalona — o kilkanaście kilometrów — od słynnej skały. Pojechaliśmy tam najpierw, żeby znaleźć jakieś pokoje. Yulara składa się z wygiętej w pętlę drogi, przy której znaleźć można rozmaite miejsca noclegowe, od kempingów i schronisk młodzieżowych po najbardziej luksusowe hotele.

Nie mając nic lepszego do roboty, w trakcie pięciogodzinnej jazdy szczegółowo planowaliśmy nasz pobyt. Nasze ustalenia sprowadzały się w gruncie rzeczy do tego, że spędzimy popołudnie na spokojnej i refleksyjnej kontemplacji skały, a resztę dnia podzielimy między orzeźwiająca kąpiel w hotelowym basenie, drinka na tarasie połączonego z oglądaniem skały spowitej słynnym czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, spacer po pustyni, aby rozprostować kości i może spotkać jakieś dingo, walabie i kangury, i wreszcie smaczną i wykwintną kolację pod rozgwieżdżonym niebem. W końcu pokonaliśmy prawie dwa tysiące kilometrów w dwa i pół dnia, więc pustynna orgia należała nam się jak psu kość. Nasze serca wypełniało zatem radosne oczekiwanie, kiedy z głównej drogi skręciliśmy w stronę rozkoszy Yulary.

Najpierw udaliśmy się do hotelu Outback Pioneer, którego nazwa sugerowała rozsądne ceny, aczkolwiek równie dobrze mogła oznaczać żyrandole zrobione z kół dyliżansów i stół szwedzki dla klientów w czapkach bejsbolowych. Z bliska okazało się, że hotel jest całkiem duży, sympatyczny i nieoczekiwanie tłoczny. Z dwóch stojących przed nim autokarów wypakowywano bagaże i wszędzie kłębili się ludzie, prawie bez wyjątku siwowłosi i w kształcie gruszki — stali i mrużyli oczy albo manipulowali przy aparatach fotograficznych i kamerach. Allan wysadził mnie przy wejściu i wszedłem do środka. Mimo że było wczesne popołudnie dnia powszedniego poza sezonem, panował tam istny cyrk. Recepcja kojarzyła się ze zbiórką na tonącym statku. Spytałem jednego z pracowników, co jest grane.

— Nic szczególnego — odparł, podziwiając razem ze mną ten nieapetyczny chaos. — Zawsze tak jest.

— Nawet poza sezonem?

— Tutaj bez przerwy jest sezon.

— Zostały jeszcze jakieś wolne pokoje? — zapytałem z nadzieją.

— Niestety, nie. Tylko w Desert Gardens coś jeszcze mają.

Podziękowałem mu i pospiesznie wróciłem do samochodu.

— Jakiś problem? — dociekał Allan.

— Bardzo kiepski wybór deserów — powiedziałem, nie chcąc go niepokoić. — Spróbujmy w hotelu Desert Gardens. Jest znacznie sympatyczniejszy.

Desert Gardens był nieporównanie bardziej elegancki niż Pioneer Outback i na szczęście również mniej zatłoczony. Tylko jedna osoba, około siedemdziesięcioletni staruszek, dzieliła mnie od recepcjonisty. Przybyłem akurat na czas, żeby usłyszeć, jak mówi:

— Trzysta pięćdziesiąt trzy dolary za noc.

Przełknąłem ciężko ślinę.

— Bierzemy — powiedział mężczyzna z amerykańskim akcentem. — Jak duży?

— Słucham?

— Jak duży jest pokój?

Recepcjonista sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Nie znam dokładnych wymiarów, ale jest dosyć duży.

— Co to znaczy dosyć duży? — staruszek nie dawał za wygraną.

— Przestronny, sir. Chce pan zobaczyć?

— Nie, chcę się zameldować — powiedział Amerykanin takim tonem, jakby recepcjonista niepotrzebnie zabierał mu czas. — Chcemy pojechać obejrzeć skałę.

— Oczywiście, sir.

Wypełniając formularz, staruszek zadał milion dodatkowych pytań. Gdzie dokładnie jest skała? Jak długo tam się jedzie? Czy w hotelu jest bar? O której podają kolację? Czy z jadalni widać skałę? Czy warto oglądać skałę z jadalni? Gdzie jest basen? Którymi drzwiami? Którymi? A winda? Gdzie?

Spojrzałem na zegarek: dochodziła druga, a my nawet nie mieliśmy jeszcze noclegu. Czas płynął nieubłaganie.

— Wart zachodu ten cały kamień? — spytał Amerykanin, być może z lekko

żartobliwą intencją.

— Słucham, sir?

— Czy warto wlec się taki kawał drogi, żeby zobaczyć skałę?

— W swojej kategorii, sir, moim zdaniem zasługuje na najwyższą ocenę.

— Całe jej szczęście — podsumował groźnie staruszek.

Potem przyszła jego żona i ku mojej rozpaczy też zaczęła zadawać pytania. Czy mają tutaj fryzjera? Do której czynny? Gdzie można nadać kartki? Czy sklep z pamiątkami przyjmuje czeki podróżne? A czeki denominowane w dolarach amerykańskich? Ile kosztuje znaczek pocztowy na kartkę do Ameryki? Czy w pokoju jest żelazko i deska do prasowania? Jeszcze raz — gdzie jest sklep z pamiątkami? A mój mózg? Widział pan go gdzieś? Jest wielkości orzecha włoskiego i prawie nieużywany.

W końcu się oddalili i recepcjonista odwrócił się do mnie, aby z żalem mnie poinformować, że pan, który stał przede mną, właśnie zajął ostatni wolny pokój.

— Może coś mają w dormitorium schroniska młodzieżowego. — Dał mi chwilę na przetrwanie tej wyjątkowo odstręczającej propozycji i spytał: — Sprawdzić?

— Tak, proszę — mruknąłem.

Zajrzał do komputera i zrobił stosowną do okoliczności smutną minę.

— Obawiam się, że nawet tam nic nie mają. Bardzo mi przykro.

Podziękowałem mu i wyszedłem. Allan stał oparty o samochód z optymistyczną miną, która szybko znikła, kiedy mnie zobaczył. Przedstawiłem mu sytuację. Wyglądał na zdruzgotanego.

— Czyli z basenu nici? — zapytał smętnym tonem.

Skinąłem głową.

— Z wina na tarasie też? Z zachodu słońca nad skałą? Z gustownego pokoju z puchatymi poduszkami? Z frotowego szlafroka i pobrzękującego minibaru?

— Szlafroki zawsze są w nieodpowiednim rozmiarze, Allan.

— Nie w tym rzecz. — Zmierzył mnie spojrzeniem człowieka gotowego na najgorsze. — Zamiast tego wszystkiego...

— Wrócimy do Alice Springs.

Jego oczy zmieniły ogniskową, by ogarnąć trochę więcej świata.

— Dobra — powiedział w końcu. — Jedźmy sprawdzić, czy ta cholerna skała jest warta tłuczenia się tysiąc kilometrów w obie strony w jeden dzień.

Była.

Problem z Uluru polega na tym, że kiedy tam wreszcie dotrzesz, to masz już trochę dosyć tej skały. Nawet na drugim końcu Australii widzisz ją kilka razy dziennie — na pocztówkach, na plakatach w biurach turystycznych, na okładkach pamiątkowych albumów — a w miarę zbliżania się częstotliwość rośnie. Kiedy wjeżdżasz do parku, zapłaciwszy słone 15 dolarów od głowy, masz świadomość, że pokonałeś dwa tysiące kilometrów, aby popatrzeć na wielki, nieruchomy obiekt w kształcie bochenka chleba, który tysiące razy widziałeś już wcześniej na fotografiach. Powoduje to, że zbliżając się do tego słynnego monolitu, jesteś w nastroju powściągliwym, pozbawionym oczekiwań, a nawet pesymistycznym.

A potem widok skały powala cię na kolana.

Pośród ogromnej i zawrotnej pustki stoi wyjątkowo nobliwy i okazały twór skalny, wysoki na prawie 350 metrów w najwyższym punkcie, o obwodzie bez mała dziewięciu kilometrów, mniej czerwony niż na zdjęciach, ale pod wszystkimi innymi względami bardziej imponujący, niż to sobie wyobrażałeś. Rozmawiałem o tym później z wieloma ludźmi i prawie wszyscy potwierdzili, że jechali pod Uluru z pewnym znużeniem, po czym przeżyli poruszenie, które nie do końca umieli wyjaśnić. Nie chodzi o to, że Uluru jest większe, doskonalsze w swej formie czy w jakimkolwiek innym sensie inne od wyobrażenia, które sobie wyrobiłeś. Wręcz przeciwnie: jest dokładnie takie, jak oczekiwałeś. Znasz tę skałę, ale znajomość ta nie ma nic wspólnego z kalendarzami czy okładkami albumów pamiątkowych. Jest zakorzeniona w czymś bardziej pierwotnym.

W dziwny sposób, którego nie rozumiesz ani nie potrafisz wyrazić, doznajesz nieznanego wcześniej poczucia zażyłości. W głębokich pokładach twojego jestestwa zatrzepotał czy drgnął jakiś dawno uspiony fragment prapamięci, jakaś odcięta końcówka DNA. Jest to ruch o wiele za słaby, żeby móc go zrozumieć czy

zinterpretować, ale nie masz wątpliwości, że ten wielki, bezwładny, hipnotyczny twór ma dla ciebie znaczenie na poziomie gatunkowym — może nawet w „stadium kijanki” — i że twoja wizyta tutaj nie jest wyłącznie dziełem przypadku.

Nie twierdzę, że to wszystko prawda. Twierdzę tylko, że tak czujesz. Inna myśl, która cię nachodzi — a w każdym razie mnie naszała — jest taka, że Uluru to monolit nie tylko wspaniały i ogromny, ale również bardzo charakterystyczny. Niewykluczone, że jest najbardziej rozpoznawalnym dziełem natury na całym świecie. Nie chcę tutaj nic sugerować, ale na miejscu podróżnika intergalaktycznego, któremu w Układzie Słonecznym zepsuły się pojazd, udzieliłbym następujących wskazówek: „Lećcie do trzeciej z kolei planety i okrążajcie ją, aż zobaczycie wielką czerwoną skałę. Nie sposób jej przegapić”. Jeśli wykopią kiedyś na Ziemi statek kosmiczny, który 150 tysięcy lat temu przyleciał z galaktyki Zog, to na pewno w tym miejscu. Nie żebym miał jakiegokolwiek informacje na temat takiego lotu — chcę tylko powiedzieć, że gdybym szukał prastarego pojazdu kosmicznego, to właśnie tutaj zacząłbym kopać.

Zauważyłem, że Allan jest pod równie wielkim wrażeniem jak ja.

— Odjechane, co? — wydusił z siebie po dłuższej chwili milczenia.

— To znaczy?

— Nie wiem, jak to powiedzieć. Ten widok. To mi się wydaje odjechane.

Skinąłem głową. Można to tak ująć. Po pierwszym uczuciu *déjà vu* natychmiast zwraca się uwagę na fakt, że Uluru działa magnetyzująco. Nie możesz przestać na nie patrzeć. Nie chcesz przestać na nie patrzeć. Podchodząc bliżej, zauważasz mnóstwo ciekawych i nieoczekiwanych szczegółów. Skała jest bardziej podziurawiona i mniej regularna, niż sądziłeś, z licznymi zakrzywieniami, zagłębieniami, falami i różnymi innymi nierównościami, formami niewidocznymi z odległości kilkuset metrów. Zdajesz sobie sprawę, że mógłbyś spędzić tutaj długą chwilę — niepokojąco długą chwilę, z gatunku „sprzedam dom i zamieszkać tutaj w namiocie” — po prostu patrząc na tę skałę, oglądając ją pod wszystkimi możliwymi kątami, i nigdy by ci się to nie znudziło. Widzisz się ze srebrzystym kucykiem i bosymi stopami, odzianego w luźną tunikę i pobrzękującego ozdobami,

jak tłumaczysz znacznie młodszymi od siebie gościom:

— Najbardziej zdumiewa to, że każdego dnia jest inna, rozumiecie? Ta skała nigdy nie jest taka sama. Tak, przyjacielu, dobrze to ująłeś: to niesamowite. Coś niesamowitego. A tak przy okazji, chłopcy, nie macie przypadkiem trochę trawki albo paru groszy na zbyciu?

Zatrzymaliśmy się kilka razy, aby wysiąść i popatrzeć, między innymi w miejscu, z którego można wejść na skałę. Wymaga to kilku godzin niemałego wysiłku, co bezdyskusyjnie eliminowało ten punkt z naszego programu. Tego popołudnia trasa była zresztą zamknięta: tyle osób połamało się albo zabiło podczas wspinaczki na Uluru, że w naprawdę upalne dni — a taką mieliśmy pogodę — nie wpuszczają ludzi. Nawet kiedy nie jest zbyt gorąco, wielu turystów igra ze śmiercią, bo zachowują się lekkomyślnie albo gubią drogę. Dzień wcześniej trzeba było ratować pewnego Kanadyjczyka, który utknął na jakiejś skalnej półce. W 1985 roku skała przeszła z powrotem na własność okolicznych Aborygenów, Pitjantjatjara i Yankunytjatjara, którzy bardzo nie lubią, jak turyści (nazywani przez nich *minga* albo mrówkami) wążą na Uluru. Osobiście nie mam im tego za złe, bo skała jest dla nich święta. Uważam, że dla wszystkich powinna być święta.

Poszliśmy do centrum informacji turystycznej, żeby wypić kawę i obejrzeć wystawę poświęconą „Dreamtime”, czyli aborygeńskiemu czasowi tworzenia, który obejmuje przeszłość, teraźniejszość i przyszłość świata. Nie było tam niczego ciekawego z historycznego i geologicznego punktu widzenia, co mnie rozczarowało, bo bardzo chciałem się dowiedzieć, co Uluru tam robi. Jak się stawia największy kamień świata na środku pustej równiny? Okazało się (sprawdziłem później w jakiejś książce), że geolodzy zaliczają Uluru do kategorii twarżielców, odporniejszych od innych kawałków skały, które oszczędziła erozja. Nie jest to aż tak rzadkie zjawisko — na przykład Kulki Diabła to miniaturowe twarżielce — ale nigdzie indziej nie znajdziemy tak gigantycznej, tak pięknej i tak estetycznie urzeźbionej samotnej skały. Uluru stoi na pustyni od stu milionów lat. Jedźcie tam, ludzie!

Jeszcze raz objechaliśmy skałę dookoła i wróciliśmy na krajówkę. Spędziliśmy

przy Uluru ledwo dwie godziny, na pewno o wiele za mało, ale kiedy się odwróciłem i zobaczyłem, że powoli znika za naszymi plecami, uświadomiłem sobie, że nigdy nie miałbym dosyć, i ta myśl trochę mnie pocieszyła.

Zresztą wrócę tutaj kiedyś, jestem o tym przekonany. I następnym razem zabiorę z sobą dobry wykrywacz metali.

Rozdział siedemnasty

A więc czekał nas powrót do Alice Springs. Ponieważ z orgii w Uluru nic nie wyszło, postanowiliśmy przenocować w jednym z luksusowych ośrodków wypoczynkowych na peryferiach, gwizdząc na koszty. Możecie sobie wyobrazić nasze zaskoczenie i zadowolenie, kiedy się okazało, że Red Centre Resort, ta tropikalna oaza, jest o 20 dolarów tańsza niż zdecydowanie mniej komfortowy hotel Best Western w centrum, w którym spędziliśmy poprzednią noc. Doszliśmy do wniosku, że już samo to było warte tysiąckilometrowej przejażdżki.

Red Centre to w gruncie rzeczy bardzo duży motel z elementami architektury krajobrazu, ale komfortowy, gościnny i zorganizowany wokół basenu. Bar i restauracja wychodziły na ogromny taras. Nie muszę chyba mówić, że tam się właśnie znaleźliśmy 30 sekund po przyjeździe. Życzliwa obsługa poinformowała nas, że spóźniliśmy się na kolację, ale przygotowują dla nas coś do przegryzienia. Odparliśmy, że będziemy wdzięczni za cokolwiek, zwłaszcza jeśli nie zapomną o napojach. Zajęliśmy stolik nad basenem, kontemplowaliśmy migotanie wody i pod rozgwieżdżonym niebem smakowaliśmy rozkosznie ciepłe, zdrowe pustynne powietrze.

Nagle życie wydawało się piękne. Koniec z długimi godzinami jazdy. Widzieliśmy Uluru, może za krótko, ale dostatecznie długo, aby docenić potęgę tej skały, a wybór Red Centre jako miejsca noclegowego okazał się nad wyraz trafny.

Allan zakomunikował, że ostatni dzień w Australii planuje spędzić na leżaku koło basenu, czytając jakąś debilną powieść i pracując nad swoją opalenizną.

— Faj, jakie prymitywne! — skomentowałem.

Przyjął tę krytykę z niewzruszonym spokojem.

— Czyli nie pójdziesz zobaczyć parku pustynnego? — zapytałem.

— W życiu! Ani stacji telegrafu, ani izby pamięci wydmy piaskowej, ani farmy figowej...

— Ogrodu daktyli — poprawiłem.

— ...ani niczego innego. Będę siedział nad tym basenem i przeleniuchuję calutki dzień. A ty?

— Ja oczywiście pójde zobaczyć wszystkie atrakcje turystyczne.

— A potem wszystko mi opowiesz z najnudniejszymi szczegółami.

— Możesz na mnie liczyć.

Następnego dnia rano wyszedłem ze swojego pokoju w czystej koszuli i z notesem pod pachą, by — jak pilny uczeń — udać się na zwiedzanie wszystkiego, co Alice Springs miało do zaoferowania. Najpierw zajrzałem na stację telegrafu, położoną na niewielkim wzniesieniu około dwóch kilometrów od miasta. Na początku swoich dziejów Alice Springs należało do 12 stacji przekaźnikowych między Darwin i Adelaide, wzmacniających sygnał, który wędrował z jednego końca kraju na drugi. Życie telegrafistów musiało być smutne i monotonne, porzuceni wśród upalnej głuszy bez końca wystukiwali depesze, których nadawców i odbiorców nie znali, i wysyłali je do miejsc, o których mogli tylko pomarzyć. Koło stacji znajduje się niewysychający zbiornik wodny, któremu Alice Springs zawdzięcza swoją nazwę. Rzeczoną Alice była żoną dyrektora telegrafu w Adelaide. Początkowo tylko stacja nazywała się Alice Springs, a miasto, które poniżej powoli się rozbudowywało, ochrzczono Stuart na cześć sławnego podróżnika. Z jakiegoś powodu ludzi to dezorientowało i w 1933 roku nazwa Alice Springs objęła wszystko. A zatem najbardziej znane miasto *outbacku* nosi imię kobiety, która miała z nim tylko pośredni związek i która, o ile mi wiadomo, nigdy go nie widziała.

Po tej wizycie odfajkowałem „stację telegrafu” na liście rzeczy do zwiedzenia i pojechałem do parku pustynnego. Moje oczekiwania nie były zbyt wygórowane, ale park okazał się bardzo ciekawy. Prowadzi go Komisja Parków i Przyrody Terytorium Północnego, która na bardzo dużym terenie odtworzyła trzy podstawowe ekosystemy pustynne — bardzo suche, skrapiane niewielką ilością deszczu i od czasu do czasu zalewane ulewnymi opadami. Już samo to było interesujące — uświadomiło mi, że pustynie są bardziej zróżnicowane, niż nam się wydaje — a na dodatek miałem możliwość obejrzenia wielu krzewów i innych

roślin opatrzonych opisami. Jakież to było przyjemne móc powiedzieć:

— A, więc to jest łapa kangura! A niech mnie! I sprawdźmy, czy spinifex rzeczywiście tak strasznie kłuje, jak twierdzi Ernest Giles. Rany, ani trochę nie przesadził!

W parku znajdowały się również duże, otwarte dla zwiedzających zagrody z ptakami i innymi pustynnymi zwierzętami — jamraj, pałanka kuzu i tak dalej — z tablicami opisującymi ich zwyczaje. Najlepszy był duży pawilon nocny z różnymi stworzeniami, które łążyły, podskakiwały i niuchały w dioramach odtwarzających nocne warunki. Zanim moje oczy przywykły do mroku, zderzałem się ze ścianami i szybami, ale potem z fascynacją oglądałem przeróżne małe torbacze, takie jak poturu, kanguroszczur, wielkouch króliczy, mrówkożer workowaty, niełaz wielki i wiele innych.

Ponieważ Australia jest krajem ogromnym, jałowym i trudnym do badania, który z powodu małej gęstości zaludnienia wydaje z siebie stosunkowo niewielu naukowców, i ponieważ — najważniejsza kwestia — tutejsze zwierzęta w znacznej części są małe, płochliwe i tajemnicze, a wiele z nich prowadzi nocny tryb życia, wyczerpujący katalog australijskiej fauny do dzisiaj nie został sporządzony. Osoby zainteresowane zoologią co rusz natrafiają na zaskakujące komentarze typu „przypuszczalnie wymarły”, „prawdopodobnie zagrożony” albo „być może przeżył na niektórych terenach”. Trudności te dobrze ilustruje przykład oolacunta, kanguroszczura stepowego. Prawie cała nasza wiedza na temat tego stworzenia pochodzi od dwóch ludzi. Pierwszy z nich to XIX-wieczny przyrodnik John Gould, który zbadał i opisał to zwierzę w 1843 roku. Według Goulda wyglądało ono i poruszało się jak kangur, ale było mniej więcej wielkości królika. Jedną z jego cech charakterystycznych była umiejętność pokonywania wielkich odległości z bardzo dużą prędkością. Potem przez wiele lat nikt nie widział kanguroszczura stepowego. I w tym miejscu na scenie pojawia się Hedley Herbert Finlayson.

Ten chemik z zawodu poświęcił znaczną część życia poszukiwaniu rzadkich australijskich zwierząt. W 1931 roku stanął na czele konnej ekspedycji na Kamienistą Pustynię Sturta. Na miejscu Finlayson z zaskoczeniem skonstatował, że

kanguroszczur bynajmniej nie jest wymarły ani zagrożony wymarciem, tylko hasa sobie po całej pustyni i ma się doskonale. Potwierdziły się informacje Goulda o jego szybkości i wytrzymałości: Finlayson i jego towarzysze ścigali konno jednego osobnika, który mimo potwornego upału przebiegł 20 kilometrów bez zatrzymywania, zamęczając trzy konie. Niewykluczone, że w swojej kategorii wagowej oolacunta może być najlepszym biegaczem (czy raczej skakaczem), jakiego wydało królestwo zwierzęce. Po powrocie na łono społeczeństwa Finlayson napisał raport o swoim fascynującym odkryciu i naukowcy na całym świecie dokonali stosownych korekt w swoich tekstach. Przez trzy następne lata Finlayson organizował kolejne ekspedycje do tego regionu, ale w 1935 roku z konsternacją zauważył, że kanguroszczur ulotnił się po cichu, zupełnie jak po odkryciu dokonanym przez Goulda w 1843 roku. Od tej pory nigdy go nie widziano.

Kroniki australijskiej fauny obfitują w tego typu historie, historie zwierząt, które wczoraj były, a dzisiaj już ich nie ma. Nowszą ofiarą tego zjawiska jest żaba *Rheobatrachus silus*, obserwowana przez tak krótki okres, że nie zdążono nawet nadać jej angielskiej nazwy. Najbardziej zaskakującą cechą *R. silus* (choć w Australii chyba nic już nie powinno zaskakiwać) było to, że rodziła młode przez otwór gębowy — czegoś takiego nigdy nie widziano ani w Australii, ani w żadnym innym kraju. Biolodzy odkryli ją w 1973 roku, ale w 1981 roku zniknęła. Skatalogowano ją jako „prawdopodobnie wymarłą”.

Moja ulubiona historia o zniknięciu gatunku pochodzi jednak z wcześniejszej epoki, a mianowicie z 1857 roku, kiedy przyrodnik Gerard Krefft złapał dwa okazy jamraja ze świńskimi raciczkami. Na nieszczęście dla nauki i dla jamrajów Krefftowi skończył się prowiant i spożył je na kolację. Z naszego punktu widzenia były to dwa ostatnie osobniki tego gatunku, ponieważ później już nigdy tych zwierząt nie widziano. Nawiasem mówiąc, Krefft został później mianowany dyrektorem Australian Museum w Sydney, ale kazano mu poszukać innego zatrudnienia, kiedy wyszło na jaw, że dorabia do pensji sprzedażą pornograficznych pocztówek. Jestem pewien, że z tej historii płynie jakiś morał.

Z parku pustynnego pojechałem do ośrodka badania zwyczajów Aborygenów. Prezentowano tam dosyć nudną ekspozycję dotyczącą Theodore'a Strehlowa, człowieka urodzonego w Hermannsburg Mission, rezerwacie Aborygenów pod Alice Springs. Strehlow badał kulturę Aborygenów i kolekcjonował przedmioty związane z ich kultem religijnym, ale ponieważ są to święte obiekty, których nie mogą oglądać niewtajemniczeni, nie wystawiono ich w ośrodku. Zamiast nich można było zobaczyć mnóstwo starych zdjęć ukazujących życie codzienne w rezerwacie oraz bardziej szczegółowe informacje o życiu i dziele Strehlowa, niż mogłaby sobie życzyć rozsądna osoba.

Kiedy wracałem do samochodu, zauważyłem, że w starym hangarze obok mieści się małe muzeum lotnictwa. Co dziwne, nikt go nie pilnował, ale drzwi były otwarte, więc wszedłem do środka i rozejrzałem się. Muzeum oferowało przewidywalny zestaw starych silników i całe ściany pożółkłych fotografii, ale w przyległym budynku było coś, czego nie spodziewałem się tam znaleźć. Żaden przewodnik tego nie sygnalizował i nawet broszury z tutejszego punktu informacji turystycznej o tym nie wspominały. A przecież przez kilka pełnych napięcia dni w 1929 roku był to najgłośniejszy i najbardziej poszukiwany obiekt w całej Australii. Mówię o „Kookaburra”, awionetce, która rozbiła się na pustyni podczas poszukiwań zaginionego pilota Charlesa Kingsforda Smitha.

Kingsford Smith był nie tylko najwybitniejszym lotnikiem australijskim swojej epoki, ale być może również najwybitniejszym awiatorem wszech czasów. Pobił najwięcej rekordów i podjął zdecydowanie więcej niebezpiecznych wyzwań niż wszyscy pozostali. Zaledwie rok po historycznym przelocie Charlesa Lindbergha nad Atlantykiem Kingsford Smith jako pierwszy pokonał Pacyfik — znacznie ambitniejsze przedsięwzięcie, nie tylko ze względu na odległość, ale także dużo trudniejsze i gorzej rozpoznane warunki pogodowe. Zaledwie dziesięć miesięcy przed tym wyczynem po raz pierwszy udało się dolecieć na Hawaje w ramach wyścigu zorganizowanego przez hawajskiego magnata ananasowego, ale impreza ta kosztowała życie dziesięciu lotników. A zatem, kiedy w 1928 roku Kingsford Smith z trzema osobami na pokładzie wystartował z San Francisco, planując

dolecieć do Brisbane via Honolulu i Suva na Fidżi, ludzie uznali to za niewykonalne i szalone. Zresztą niewiele brakowało, by się okazało, że mieli rację. Tysiąc kilometrów od Hawajów samolot wpadł w turbulencje zwane strefą intertropikalnej konwergencji — kocioł chmur, burz i wiatrów, które potrafią urwać człowiekowi wąsy. Kiedy maszyna zaczęła podskakiwać jak gumowa piłka, Kingsford Smith nie miał pojęcia, co go czeka, ponieważ żaden pilot nigdy wcześniej nie leciał w takich warunkach meteorologicznych.

Nie zapominajmy, że samolotem, który musiał się zmierzyć z tym nieznanym żywiołem, był wąty fokker z lat dwudziestych, czyli patyki obciążone płótnem — konstrukcja tak prymitywna, że fotele nie były nawet przykręcone do podłogi. Przez wiele godzin Kingsford Smith próbował utrzymać maszynę na kursie i w jednym kawałku. Kiedy wreszcie udało mu się opuścić strefę turbulencji, spostrzegł, że zostało mu już niewiele paliwa, w związku z czym on i jego załoga stanęli przed problemem znalezienia Fidżi — punkciku na bezkresnym oceanie — zanim zbiornik będzie pusty i spadną do wody. Ze wszystkimi tymi perypetiami i niebezpieczeństwami Kingsford Smith poradził sobie z odwagą, zręcznością, determinacją i dobrym humorem. Przelot nad Pacyfikiem z pewnością zalicza się do najodważniejszych wyczynów w historii awiacji.

Kingsford Smith zawsze latał z drugim pilotem, a na ogół również z nawigatorem i radiotelegrafistą, więc porównywanie jego osiągnięć z samotnymi sukcesami Charlesa Lindbergha byłoby niesprawiedliwe. Niemniej warto zauważyć, że Lindbergh nigdy nie latał w tak makabrycznych warunkach jak Kingsford Smith. Poza tym po swoim heroicznym wyczynie z 1928 roku Lindbergh nie podejmował już w zasadzie żadnych nowych wyzwań, natomiast Kingsford Smith ustanawiał kolejne rekordy. Jako pierwszy przeleciał nad Atlantykiem ze wschodu na zachód (ze względu na przeciwny prąd strumieniowy to trudniejsze zadanie), jako pierwszy poleciał z Australii do Nowej Zelandii i z powrotem, jako pierwszy pokonał Pacyfik w odwrotnym kierunku. Dzierżył też garść rekordów prędkości przelotu z Australii do Anglii i na różnych etapach tej podróży.

W tym miejscu pojawia się temat „Kookaburra”. W marcu 1928 roku Kingsford

Smith wraz z trzyosobową załogą rozpoczął wyprawę z Sydney do Anglii. Nad północno-zachodnią Australią, niedaleko wybrzeża Kimberley, natrafili na złą pogodę, pobłądzili (nic dziwnego, skoro dysponowali tylko dwiema mapami morskimi i mapą Australii wyrwaną z atlasu „Timesa”) i lądowali awaryjnie na przybrzeżnym mule, prawie bez paliwa i prowiantu. Mieli termos z kawą i trochę brandy, czyli składniki potrzebne do przygotowania napoju zwanego „café royal”, co tłumaczy, dlaczego historię tę ze szczyptą czarnego humoru nazwano „sprawą café royal”.

Na szczęście dla Kingsforda Smitha i jego towarzyszy w okolicy nie brakowało słodkiej wody i obfitych, aczkolwiek niezbyt apetycznych źródeł pożywienia (głównie ślimaków). Ponieważ radio się zepsuło, nie mieli jak poinformować świata, gdzie się znajdują. Kiedy wiadomość o ich zaginięciu dotarła do Sydney, dwóch kolegów Kingsforda Smitha, Keith Anderson i Bob Hitchcock, postanowiło wyruszyć mu na ratunek. Na pokładzie małego „Kookaburra” wystartowali z lotniska Mascot z Sydney, w kilku rzutach dotarli do Alice Springs i stamtąd rano 12 kwietnia 1929 roku przystąpili do ostatniego etapu wyprawy. Niedługo po starcie, nad pustynią Tanami — której skrajem jechaliśmy z Allanem po drodze z Daly Waters do Alice Springs — silnik zaczął kichać i musieli awaryjnie wylądować na pustyni. Tak się spieszyli z odsieczą, że zabrali tylko trzy litry wody i zero jedzenia. W odróżnieniu od Kingsforda Smitha wylądowali w miejscu, które nie oferowało im właściwie żadnych źródeł pożywienia.

Trzeciego dnia już nie żyli. Daje to pewne wyobrażenie o bezlitosnym charakterze *outbacku*. Nie chcę wyjść na obsesjonata, ale oni również pili własny mocz. Robi to prawie każdy, kto utknie na tych pustkowiach (co oczywiście mija się z celem, ponieważ sole zawarte w moczu wzmagają pragnienie).

Niemal w tej samej chwili, kiedy nieszczęśni Anderson i Hitchcock zaglądali w oczy śmierci, Kingsford Smith i jego kompani zostali uratowani przez kogoś innego. Wrócili na łono cywilizacji tacy wypoczęci i w tak doskonałej formie, że niektórzy zaczęli podejrzewać jakiś przekręt. Prasa spekulowała nawet, że był to chwyt reklamowy. Wokół Kingsforda Smitha wytworzyła się dość nieprzyjemna

atmosfera. Prokuratura wszczęła śledztwo, co było dla niego upokarzające (w końcu oczyszczono go z zarzutów). W tym samym czasie naród z zapartym tchem czekał na wiadomość, że Andersona i Hitchcocka znaleziono żywych. Niestety się nie doczekał. Pod koniec kwietnia z pokładu poszukującego ich samolotu zauważono ciała w pobliżu wraka „Kookaburra” i kilka dni później wyruszyła po nie ekipa ratowników. Rodzina Hitchcocka zdecydowała się na cichy pogrzeb w Perth, natomiast Andersona uroczystie pochowano w Sydney. Na kilka dni przed ceremonią tysiące ludzi ustawiały się w kolejce, aby pokłonić się trumnie. W dniu pogrzebu jeszcze więcej osób pojawiło się na trasie konduktu. Był to największy pogrzeb w dotychczasowej, a może nawet w całej historii Sydney.

Dzisiaj o Andersonie i Hitchcocku mało kto pamięta, i to zarówno na świecie, jak i w samej Australii. Bardzo długo zapomniana pozostawała również „Kookaburra”. Przez pół wieku leżała na pustyni i rdzewiała, aż wreszcie zabrano ją do remontu w Darwin. Około 10 lat temu samolot wstawiono do osobnego, małego budynku muzeum lotnictwa w Alice Springs, gdzie nie budzi żadnego zainteresowania.

Kingsford Smith wrócił do latania i ustanawiał kolejne rekordy. W 1935 roku, podczas lotu z Anglii do Australii, jego maszyna wpadła do morza koło wybrzeża Birmy i zabrała go z sobą. Dzisiaj pamięć o tym bohaterze jest względnie żywa w Australii (na jego cześć nazwano lotnisko w Sydney) i zupełnie martwa gdzie indziej. W 1998 roku amerykański autor Scott Berg popęłił sześćsetstronicową biografię Charlesa Lindbergha, siłą rzeczy nakreślając w niej rozległą panoramę wczesnej epoki lotnictwa. Nazwisko Kingsforda Smitha nie pojawia się tam ani razu.

Allan i ja zjedliśmy kolację na tarasie naszego hotelu i zgodnie z obietnicą szczegółowo zrelacjonowałem mu wszystkie moje pasjonujące odkrycia. Gdy tak rozkoszowaliśmy się ciepłym wieczorem i leniwie opróżnialiśmy drugą butelkę znakomitego australijskiego cabernet sauvignon, jak na zadany sygnał do ogrodzenia basenu przykicała walabia, obrzuciła nas obojętnym spojrzeniem

i zaczęła obgryzać posadzone tam krzewy. Po raz pierwszy od wysiadki z pociągu Indian Pacific wiele tygodni wcześniej miałem okazję zobaczyć rdzennie australijskie zwierzę w stanie dzikim. Dla Allana był to w ogóle pierwszy raz, toteż jego entuzjazm nie miał granic.

Z tego bądź jakiegoś innego powodu zakomunikował, że Australia to wspaniały kraj.

— Naprawdę tak uważasz? — spytałem ucieszony, ale i trochę zaskoczony, ponieważ oprócz pustyni prawie nic nie widział.

Pochylił się ku mnie i powiedział konfidencyjnym tonem:

— Bardzo przestronny.

— Święta prawda.

— Bardzo przestronny kraj.

Po namyśle dochodzę do wniosku, że to mogła być trzecia butelka.

Następnego dnia rano zawiozłem go na małe, ale ładne lotnisko w Alice Springs, gdzie piliśmy kawę i siedzieliśmy bez słowa, bo obaj mieliśmy lekkiego kaca. Odprowadziłem go do bramki, gdzie urządziliśmy rytualne pożegnanie. Popatrzyłem, jak znika za drzwiami, i wróciłem do samochodu. Został mi jeden dzień do odlotu na zachodnie wybrzeże Australii i nie miałem sprecyzowanego planu, jak go spędzić. Pojechałem do centrum, żeby znaleźć bankomat i kupić gazetę, ale zobaczyłem drogowskaz do „szkoły radiowej” i spontanicznie postanowiłem rzucić na nią okiem.

Nie spodziewałem się zbyt wiele, ale było genialnie. Alice Springs sypnęło przyjemnymi niespodziankami. Szkoła radiowa mieściła się w niepozornym budynku w dzielnicy mieszkalnej i składała się z dużego holu, w którym na stołach i ścianach pokazywano prace uczniów, dwóch małych studiów radiowych i dużej sali spotkań. Dzisiaj w Australii jest 17 takich szkół, ale placówka w Alice Springs to nestorka z nich wszystkich, a poza tym obsługuje największy i najbardziej pusty obszar. Mieliśmy sobotę, więc nie było lekcji, ale pewien sympatyczny pan z radością zgodził się mnie oprowadzić i wyjaśnić, jak to działa.

Zasada jest prosta: zapewnić możliwość nauki dzieciom wychowującym się na odizolowanych od świata ranczach w *outbacku*. Misję tę szkoła w Alice Springs wypełnia od 1951 roku. „Odizolowanych od świata” jest tutaj kluczowym sformułowaniem. Tamtejszy rejon szkolny ma powierzchnię miliona dwustu tysięcy kilometrów kwadratowych — mniej więcej dwa razy większą od Francji — zamieszkaną przez 140 dzieci w wieku od przedszkolnego do gimnazjalnego. Kiedy miałem osiem albo dziewięć lat, oglądałem o tym film w szkole i zaskakująco wyraźnie pamiętam, że zrobiło to na mnie wielkie wrażenie: znajdujesz się setki kilometrów od nauczyciela, masz swój mikrofon i radio i jeśli chcesz, to możesz sobie siedzieć goluteńki nad talerzem ciasteczek, bo i tak nikt cię nie widzi. Warunki nieporównanie lepsze od tych, które panowały w szkole podstawowej Greenwood w Des Moines w stanie Iowa. Te romantyczne wspomnienia o nauczaniu za pośrednictwem eteru sprawiły, że przeżyłem wielkie rozczarowanie, kiedy się dowiedziałem, że element radiowy zawsze stanowił tylko niewielką i uboczną część systemu. Wbrew swojej nazwie szkoła radiowa zasadniczo oferuje kurs korespondencyjny, czyli coś znacznie mniej egzotycznego.

Mimo to w budynku panowała sympatyczna i serdeczna atmosfera. Na tablicach informacyjnych wisiały ilustrowane wypracowania, w których jedenastoletnie dzieci opisywały swoje codzienne życie na ranczach. Wszystkie uważnie przeczytałem.

— Chciałby pan posłuchać lekcji? — zapytał mój przewodnik.

— Z wielką przyjemnością.

Zabrał mnie do małej sali i puścił mi nagranie z lekcją dla pięciolatków. Na początku energiczna nauczycielka sprawdzała obecność:

— Dzień dobry, Kylie. Słyszysz mnie? Odbiór.

Po chwili słyszało się ciche trzaski, tak jakby sygnał dochodził z odległej galaktyki, i dźwięki z grubsza podobne do ludzkiego głosu, ale zbyt niewyraźne, żeby je zrozumieć.

— Powtarzam: Dzień dobry, Kylie. Jesteś tam? Słyszysz mnie? Odbiór.

Tym razem nie było odpowiedzi, tylko dojmująca cisza w eterze. A zatem:

— Dobra, spróbujmy połączyć się z Gavinem. Dzień dobry, Gavin. Jesteś tam?
Odbiór.

Trzaski, a potem cichy głosik:

— Dzień dobry, panno Smith!

I tak to szło. Czasem odbiór był dobry, a niektóre głosy zanikały albo zlewały się z trzaskami. Słuchając nagrania, przeglądałem jednocześnie otrzymaną wcześniej broszurę i ku swemu zdziwieniu dowiedziałem się, że każde dziecko spędza przy radiu tylko pół godziny dziennie (a nawet „do pół godziny dziennie”), plus dziesięć minut tygodniowo osobistej konsultacji z nauczycielem, co raczej trudno uznać za troskliwą opiekę pedagogiczną. Oprócz tego oczekuje się od nich, że przez pięć do sześciu godzin dziennie będą się uczyli pod nadzorem rodzica czy niańki. Korzystają również z telewizorów, magnetowidów i komputerów, ale nigdzie nie widziałem tych urządzeń. Prowadzi to do niechętnego, ale nieodpartego wniosku, że w szkole radiowej cały czas jest 1951 rok.

Najbardziej zaskoczyło mnie jednak to, że w programie nie uczestniczą dzieci aborygeńskie, a w każdym razie nie widziałem ich na zdjęciach. Aborygeni stanowią około 20 procent ludności Terytorium Północnego, ale w głębokim *outbacku* odsetek ten jest jeszcze wyższy. Wychodząc, zadałem to pytanie mojemu przewodnikowi.

— Mamy trochę uczniów aborygeńskich. Nie wiem, ilu dokładnie, ale jest ich paru. Problem polega naturalnie na tym, że ucznia musi nadzorować kompetentny dorosły...

— Naturalnie? Przepraszam, ale nie rozumiem — odparłem po chwili.

— Muszą mieć kompetentnego i odpowiedzialnego opiekuna, który choćby w podstawowym stopniu zna język angielski i umie czytać.

— A rodzice aborygeńscy tych kompetencji nie posiadają?

Miał nieszczęśliwą minę człowieka, który wszedł na zaminowany teren.

— Niestety nie. Nie zawsze.

— Ale jeśli nie uczycie dzieci dlatego, że ich rodzice nie mogą im w tym pomóc, to kiedy te dzieci staną się rodzicami, również nie będą posiadały tych

podstawowych kompetencji.

— Tak, to jest problem.

— Czy to będzie trwało wiecznie?

— To wielki problem — powtórzył.

— Rozumiem — powiedziałem, chociaż oczywiście wcale nie rozumiałem.

Potem pojechałem do centrum, kupiłem gazetę i usiadłem w ogródku kawiarni na zamkniętej dla ruchu Todd Street. Chwilę poczytałem, ale potem zacząłem obserwować przechodniów. Na ulicy było tłoczno, kręcili się po niej przede wszystkim sobotni zakupowicze. Przeważali biali, ale byli też Aborygeni, nieliczni, ale obecni gdzieś z boku kadru, na marginesie, dyskretni i milczący. Biali nie patrzyli na Aborygenów i vice versa. Te dwie rasy zdawały się istnieć w odrębnych, równoległych wszechświatach. Miałem wrażenie, że jestem jedyną osobą, która widzi obie grupy naraz. Przedziwne uczucie.

Duża część Aborygenów wyglądała na pobitych. Mieli opuchnięte twarze, jakby trafili na gniazdo szerszeni, i niewiarygodnie wielu z nich miało bandażę na łydkach, łokciach, czołach i kolanach. W muzeum Strehlowa przeczytałem, że w najgorszym położeniu znajdują się Aborygeni widywani w miastach. Napisano to zapewne dla poinformowania takich zwiedzających jak ja, że nie powinniśmy oceniać wszystkich Aborygenów przez pryzmat tych apatycznych wraków człapiących ulicami. Uwaga ta wydała mi się jednak dziwna i paternalistyczna, ponieważ sugerowała, że Aborygeni mają dwa wyjścia: zostać w rezerwacie i żyć szczęśliwie albo przyjechać do miasta i popaść w nędzę i rozpacz.

Przypomniało mi to słowa znanej postaci z *outbacku*, Daisy Bates, która w 1884 roku przyjechała na antypody z Irlandii i przez wiele lat mieszkała pośród rodzimych ludów Australii Zachodniej, badając ich obyczaje. W *The Passing of the Aborigines* (1938) napisała: „Australijski tubylec potrafi znieść wszystkie przeciwności natury, mordercze susze i straszne powodzie, długotrwały brak wody i żywności, ale nie potrafi znieść cywilizacji”. W 1939 roku takie zdanie można było uznać za świątły wyraz współczucia i miłosierdzia, ale napotkać je

w zmodyfikowanej formie w poświęconym Aborygenom ośrodku badawczym w 1999 roku — jakie to smutne!

Nie trzeba być geniuszem, aby wpaść na to, że Aborygeni są największą porażką społeczną Australii. Prawie wszystkie wskaźniki jakości życia — hospitalizacje, samobójstwa, śmiertelność dzieci, przestępczość, bezrobocie i tak dalej — są dla Aborygenów od 2 do 20 razy gorsze od średniej krajowej. Według Johna Pilgera Australia to jedyny wysoko rozwinięty kraj świata, w którym notuje się dużo zachorowań na jaglicę — chorobę wirusową, która często prowadzi do ślepoty — i cierpią na nią prawie wyłącznie Aborygeni. Średnia oczekiwana długość życia białego Australijczyka jest o 20 lat — 20 lat! — wyższa niż Aborygena.

W Cairns przypadkiem usłyszałem o adwokacie Jimie Brooksie, wielkim obrońcy aborygeńskiej sprawy. Tuż przed wylotem do Darwin udało mi się z nim spotkać w kawiarni. Był człowiekiem spokojnym, otwartym, przesympatycznym, z nutką altruistycznej powagi, która kazała mu poświęcić życie walce o prawa uciśnionych, zamiast zbijać kasę na prowadzeniu prywatnej kancelarii adwokackiej. Kieruje biurem do spraw praw własnościowych autochtonów w Cairns, pomagającym Aborygenom w walce o odzyskanie ich ziem, i był członkiem powołanej w latach dziewięćdziesiątych komisji praw człowieka, badającej niefortunny eksperyment z inżynierii społecznej, popularnie zwany „skradzionymi pokoleniami”.

Był to program rządowy, mający na celu wydzwignięcie aborygeńskich dzieci z nędzy i upośledzenia społecznego poprzez ich fizyczne oddzielenie od rodzin i społeczności. Dokładne liczby nie są znane, ale wiadomo, że w latach 1910-1970 część aborygeńskich dzieci — od jednej dziesiątej do jednej trzeciej — została odebrana rodzicom i umieszczona w rodzinach zastępczych lub ośrodkach państwowych. Koncepcja ta, wtedy uchodząca za postępową, miała przygotować dzieci do lepszego życia w świecie białych. Najbardziej zdumiewa mechanizm prawny, który to umożliwił. Do lat sześćdziesiątych w większości australijskich stanów prawnymi opiekunami aborygeńskich dzieci nie byli rodzice, tylko państwo, które mogło w każdej chwili zabrać dzieci z domu, jeśli uznało to za

wskazane, bez słowa wyjaśnienia i przeprosin.

— Celem było wyeliminowanie wszelkiego kontaktu między rodzicami i dziećmi — tłumaczył mi Jim Brooks. — Znamy przypadek kobiety, której pięcioro dzieci wysłano do pięciu różnych stanów. Nie miała z nimi żadnego kontaktu, nie wiedziała, gdzie są, czy nie chorują, czy są szczęśliwe i tak dalej. Ma pan dzieci?

— Czwórkę.

— Niech pan sobie wyobrazi, że pewnego dnia pod pana dom przyjeżdża furgonetka z opieki społecznej i urzędnik pana informuje, że zabiera pana dzieci. Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, co by pan czuł, gdyby musiał pan stać i patrzeć, jak pakują pana dzieci do furgonetki. Potem furgonetka odjeżdża, dzieci płaczą, patrzą na pana przez tylną szybę i pan wie, że prawdopodobnie już nigdy ich nie zobaczy.

— Wystarczy... — przerwałem.

Uśmiechnął się do mnie współczująco.

— I nic nie może pan zrobić. Nie ma się pan do kogo zwrócić. Żaden sąd nie stanie po pana stronie. To trwało kilkadziesiąt lat.

— Skąd tyle okrucieństwa?

— Oni nie uważali tego za okrutne. We własnym mniemaniu robili coś dobrego.

Podał mi streszczenie raportu komisji i pokazał cytat z początku XX wieku, słowa wędrownego inspektora Jamesa Isdella, który napisał o pozbawionych dzieci rodzicach: „Ich smutek może się w tej chwili wydawać dojmujący, ale szybko zapomną o swoim potomstwie”.

— Oni szczerze uważali, że Aborygeni są pozbawieni normalnych ludzkich uczuć. Dzieciom często mówiono, że ich rodzice nie żyją, a czasem, że już ich nie chcą. Chciano im w ten sposób pomóc znieść ich los. Może pan sobie wyobrazić konsekwencje. Trauma wpychała ludzi w alkoholizm, a statystyka samobójstw była kosmiczna.

— Co się później działo z tymi dziećmi?

— Pozostawały w rodzinach zastępczych albo ośrodkach do szesnastego,

siedemnastego roku życia, a potem puszczano je w świat. Miały do wyboru zostać w miastach i radzić sobie z nieuchronnymi uprzedzeniami albo wrócić do swoich wspólnot i do tradycyjnego modelu życia, którego już nie pamiętały, z ludźmi, których właściwie nie znały. Upośledzenie społeczne i patologie były wpisane w ten system. Niektórzy przekonują, że odbieranie dzieci dotyczyło tylko niewielkiego odsetka aborygeńskich rodzin. Po pierwsze to nieprawda, ponieważ prawie wszystkie rodziny mniej lub bardziej bezpośrednio ucierpiały, a po drugie takie mówienie świadczy o niezrozumieniu istoty tej tragedii, ponieważ odbieranie dzieci nieodwracalnie niszczyło cały tradycyjny system stosunków społecznych.

— Co można dla nich zrobić? — spytałem.

— Sprawić, żeby ich głos był słyszany, tylko tak można im pomóc — odparł z trochę bezsilnym wzruszeniem ramion.

Zapytałem, czy uprzedzenia rasowe nadal są w Australii częstym zjawiskiem.

— Niestety, bardzo częstym.

Przez ostatnie 20 lat kolejne rządy zrobiły w tej dziedzinie całkiem sporo — w każdym razie w porównaniu z tym, co było wcześniej. Zwrócono Aborygenom wielkie obszary ziemi. Oddano im Uluru. Wydaje się więcej pieniędzy na szkoły i szpitale. Wspiera się inicjatywy lokalne i drobną przedsiębiorczość. Wszystko to nie poprawiło jednak statystyki. W niektórych obszarach jest jeszcze gorzej niż dawniej. Pod koniec XX wieku przeciętny Aborygen 18 razy częściej niż biały Australijczyk zapadał na chorobę zakaźną i 17 razy częściej trafiał do szpitala na skutek przemocy. Poziom śmiertelności niemowląt jest dwa do czterech razy wyższy niż wśród białych, zależnie od przyczyny.

Osobę z zewnątrz najbardziej jednak zaskakuje, że Aborygenów po prostu nie ma. Nie widzi się ich w telewizji. Nie jest się przez nich obsługiwanym w sklepach. Tylko dwóch Aborygenów zostało posłami do parlamentu, ale żaden nie był członkiem rządu. Aborygeni stanowią zaledwie 1,5 procent ludności Australii i przytłaczająca większość z nich mieszka na obszarach wiejskich, toteż trudno oczekiwać, że będzie się ich widywało na każdym kroku, ale sądziłbym, że zobaczę ich przynajmniej od czasu do czasu — jak pracują w banku, roznoszą pocztę,

wypisują mandaty za parkowanie na zakazie, naprawiają linię telefoniczną czy wykonują jakąś inną pracę. Nie widziałem ani jednego. Najwyraźniej coś tu nie styka...

Kiedy siedziałem w kawiarni na Todd Street i obserwowałem, jak biali sobotni zakupowicze uśmiechają się radośnie, poruszając się sprężystym krokiem, a ponurzy Aborygeni z ich dziwnymi bandażami powoli i chwiejnie powłóczą nogami, uświadomiłem sobie, że nie mam zielonego pojęcia, jak to wszystko rozwiązać. Co zrobić, żeby owoce australijskiej prosperity były dostępne dla tych nieszczęśników? Gdyby rząd Australii zatrudnił mnie jako konsultanta do spraw Aborygenów, potrafiłbym napisać tylko tyle: „Róbcie więcej. Bardziej się starajcie. Zaczynjcie natychmiast”.

Nie będąc w stanie wymyślić żadnej oryginalnej czy pożytecznej propozycji, siedziałem jeszcze przez kilka minut i patrzyłem na tych wykorzenionych biedaków, który przechodzili obok, a potem zrobiłem to, co robi większość białych Australijczyków: przeczytałem gazetę, wypłem kawę i Aborygeni stali się dla mnie niewidzialni.

Rozdział osiemnasty

Pomówmy trochę o dziobaku. W krainie niezwykłych stworzeń zajmuje on najbardziej zaszczytne miejsce. Zamieszkuje anatomiczną szarą strefę w połowie drogi między ssakami i gadami. Pięćdziesiąt milionów lat całkowitej izolacji pozwoliło australijskim zwierzętom ewoluować w przedziwnych kierunkach albo wcale nie ewoluować. Dziobak tak jakby dokonał jednego i drugiego.

Kiedy w 1799 roku do Anglii dotarła wiadomość, że w Australii istnieje bezzębne, jadowite, futrzaste, jajorodne, ziemnowodne zwierzę z kaczym dziobem, ogonem bobra, stopami zaopatrzonymi jednocześnie w błonę pławną i pazury oraz dziwnym otworem zwanym stekiem, w którym wspólne ujście ma jego układ pokarmowy, wydalniczy i rozrodczy (narząd, jak troskliwie stwierdził pewien ówczesny taksonom, „wielce osobliwy, lecz nazbyt nieapetyczny, aby szczegółowo informować o nim społeczeństwo”), potraktowano ją jako żart, czemu zresztą trudno się dziwić. Nawet po starannej analizie okazu przysłanego statkiem anatom z British Museum, George Shaw, oświadczył, że „nie sposób nie żywić wątpliwości co do autentyczności tego zwierzęcia i nie podejrzewać, że jego budowa została w jakiś sposób zmanipulowana”. Jak pisze zoolog Harriet Ritvo, oryginalny okaz wciąż nosi ślady nożyczek Shawa, który próbował ustalić, czy rzeczywiście doszło do oszustwa.

Przez następne półwiecze naukowcy toczyli dyskusje — bardzo burzliwe, ponieważ była to epoka obsesyjnej pedanterii — o tym, jak zaklasyfikować dziobaka, by w końcu dla niego i jego kuzynki kolczatki stworzyć osobną rodzinę stekowców. Łacińska nazwa *Monotremes* znaczy „jednootworowce” i odnosi się do charakterystycznego steku. Nierozstrzygnięta pozostała jednak kwestia, czy stekowce należy zaliczyć do ssaków czy do gadów. Ich anatomia wyraźnie wskazywała, że stekowce składają jaja (cecha gada), ale ich młode karmią się mlekiem matki (cecha ssacza). Dodatkowym źródłem utrapienia był fakt, że przez prawie stulecie nikomu nie udało się znaleźć jaja stekowca. Można więc sobie

wyobrazić poruszenie, jakie zapanowało na zebraniu British Association for the Advancement of Science, kiedy odczytano telegram z Australii od młodego przyrodnika W.H. Caldwella. Oto pełny tekst depeszy: „*Monotremata oviparum, ovum meroblasticum*” (stekowce jajorodne, jajo dzielące się metodą bruzdkowania meroblastycznego).

Efekt był piorunujący. Caldwell zwięźle i elegancko zakomunikował, że znalazł jaja dziobaka i że są to jaja gadzie. Pomimo tego odkrycia stekowce ostatecznie trafiły jednak do obozu ssaczego, ale walka była zacięta.

Opowiedziałem tę historię po to, aby wyjaśnić, dlaczego byłem taki przejęty, kiedy zaraz po przybyciu do Perth osobiście spotkałem stekowca: kolczatkę przechodzącą przez ścieżkę w Kings Park. Jak już wspomniałem, byłem w całkiem dobrym humorze. Perth to piękne miasto i jedno z moich ulubionych w Australii. Moje przywiązanie do niego po części bierze się z faktu, że po raz pierwszy przyjechałem tam w 1993 roku z Johannesburga, gdzie zostałem dosyć brutalnie okradziony — w biały dzień w centrum miasta — przez grupę tryskających energią młodych ludzi, którzy mieli wyraźną ochotę pochłastać mnie swoimi nożami. Odetchnąłem więc z ulgą, kiedy, dla odmiany, znalazłem się w mieście, po którym mogłem chodzić bez obawy, że ktoś mnie przyprze do muru w ciemnej uliczce, pozbawi mojej własności i dekoracyjnie ponacina ostrymi narzędziami.

Zresztą nawet bez tego porównawczego tła przestępczego Perth jest miastem uroczym i gościnnym. Wielką radość sprawia już sam fakt, że w tym miejscu w ogóle znajduje się jakieś miasto, Perth jest bowiem zdecydowanie najbardziej odizolowaną metropolią świata. Leży bliżej Singapuru niż Sydney, aczkolwiek „bliżej” nie znaczy tutaj „blisko”. Z jednej strony otacza je 2800 kilometrów czerwonego pustkowia ciągnącego się aż do Adelaide, a z drugiej natomiast 8000 kilometrów słonej wody, aż po Afrykę. Jak to możliwe, że 1,3 miliona obywateli demokratycznego kraju postanowiło zamieszkać na takim wygnaniu? Wiele tłumaczy klimat, ponieważ pod względem architektonicznym Perth nie odznacza się niczym szczególnym: jest dużym, czystym i nowoczesnym miastem, takim Minneapolis drugiej półkuli, ale posiada coś, co pozwala je zaliczyć do osobnej

kategorii, a mianowicie jeden z największych i najpiękniejszych parków świata, czyli Kings Park. Na swoich kilkuset hektarach oferuje wszystkie zwyczajowe atrakcje — plac zabaw, zacisze, tereny spacerowe, ogród botaniczny, punkt widokowy, pomnik — ale na takiej powierzchni, że człowiek ma wrażenie, jakby odkrył coś nowego. Mniej więcej jedną czwartą parku stanowi busz, zachowany w swej niezmienionej formie. Właśnie tam zobaczyłem małą futrzastą półkulę (podobną do zaokrąglonej szczotki klozetowej), która wyłoniła się z zarośli i z dostojnym brakiem pośpiechu zaczęła przechodzić przez ścieżkę.

Wyczuwszy moją obecność, zwierzę zatrzymało się i zwinęło w kulkę. Czarne, błyszczące igły zasłaniały szpiczasty pysk, ale nie ulegało wątpliwości, że jest to kolczatka. Byłem szalenie podekscytowany moim pierwszym bezpośrednim spotkaniem z przedstawicielem australijskiej fauny w stanie dzikim, co należy uznać za trochę żalosne. W kraju rojącym się od egzotycznych i oryginalnych stworzeń moim największym sukcesem było spotkanie w miejskim parku z niegroźną poduszką do szpilek na czterech nogach. Ale nic to — zobaczyłem stekowca, fizjologiczną anomalię, rozrodczy cud świata, najbardziej osamotnioną gałąź drzewa ssaków. Kiedy kolczatka wyczuła, że odsunąłem się na odpowiednią odległość, rozwinęła się i zniknęła w zaroślach po drugiej stronie ścieżki.

Zachwycony aż po dno mojego steku, wróciłem do właściwego parku, gdzie ciągnął się długi szpaler eukaliptusów, posadzonych na cześć ofiar pierwszej wojny światowej. Na każdym drzewie wisiała tabliczka z krótkim podsumowaniem brutalnie przerwane go młodego życia. „Zginął na polu walki pod Passchendaele 4 października 1917 roku w wieku 25 lat. Opłakiwany przez żonę i córkę”.

Poza Australią mało kto wie, że — proporcjonalnie do liczby ludności — kraj ten stracił podczas pierwszej wojny światowej najwięcej ludzi, a mianowicie aż 60 tysięcy na 5 milionów mieszkańców, a 150 tysięcy zostało rannych. Łącznie daje to 210 tysięcy, czyli 65 procent wszystkich żołnierzy. „Armia, która przyjechała z drugiego końca świata, została najbardziej zdziesiątkowana — napisał John Pilger. — I wszyscy byli ochotnikami”. Kilka dni wcześniej przeczytałem w niedzielnej gazecie recenzję nowej książki o pierwszej wojnie światowej

autorstwa brytyjskiego historyka Johna Keegana. Recenzent odnotował na marginesie, z wyraźnym westchnieniem rezygnacji, że na 500 stronach tego gęstego od faktów tekstu Keegan ani razu nie wspomniał o wojskach australijskich.

Biedna Australia, pomyślałem. Inne kraje wydają z siebie nieznanych żołnierzy, Australia wydaje z siebie nieznaną armię¹.

Za posępną aleją znajdował się znacznie radośniejszy ogród botaniczny, do którego poszedłem z wielkim przejęciem, ponieważ wyjątkowo oryginalna australijska flora jest tutaj najciekawiej przedstawiona. Australia to zdumiewająco płodny kraj. Występuje tutaj około 25 tysięcy gatunków roślin (dla porównania: w Wielkiej Brytanii 1600), aczkolwiek są to dane mocno przybliżone. Co najmniej jednej trzeciej australijskich roślin do tej pory nie nazwano ani nie zbadano i cały czas pojawiają się nowe gatunki, często w zupełnie nieoczekiwanych miejscach. Na przykład w 1989 roku naukowcy odkryli nieznaną wcześniej drzewo *Allocasuarina portuensis*. Ludzie mieszkali w pobliżu tych drzew od 200 lat, ale ponieważ było ich (drzew) niezbyt wiele — znaleziono tylko 10 — nikt ich nie zauważył. Na tej samej zasadzie pewien botanik, który w 1994 roku spacerował po Górach Błękitnych, natrafił na roślinę z gatunku uważanego za dawno wymarłą. A przecież nie chodziło o jakieś niepozorne krzewinki ukryte pośród traw, lecz o iglastą wollemię, która osiąga 40 metrów wysokości i 10 metrów w obwodzie. Problem polega na tym, że liczba botaników w Australii jest o wiele za mała jak na tak ogromny kraj. Można oczywiście tylko zgadywać, co jeszcze czeka na odkrycie. Australia jest dzięki temu rajem dla przyrodników. W Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Ameryce trzeba mieć sporo szczęścia, żeby znaleźć jakiś nieznaną wcześniej gatunek górskiego porostu czy mech, który jakimś cudem umknął uwadze klasyfikatorów, ale w Australii jedna przechadzka po buszu może zaowocować odkryciem kilkunastu polnych kwiatów, zagajnika jurajskich okrytonasiennych i dziesięciokilowej bryły złota. Gdybym był przyrodnikiem, to wiem, gdzie bym pracował.

Nasuwa się oczywiście pytanie, dlaczego w Australii, która wydaje się tak nieprzyjaznym do życia miejscem, występuje ono tak obficie. Paradoksalnie

zjawisko to po części tłumaczy kiepska jakość gleby. W klimacie umiarkowanym większość roślin radzi sobie prawie wszędzie: dąb może rosnąć zarówno w Oregonie, jak i w Pensylwanii, toteż stosunkowo niewielka liczba niewyspecjalizowanych gatunków opanowuje cały ekosystem. Uboższe gleby wymuszają na roślinach specjalizację. Jeden gatunek nauczy się tolerować na przykład wysoką zawartość niklu, pierwiastka nieapetycznego dla reszty, a inny polubi miedź. Jeszcze inny może się nauczyć tolerować i nikiel, i miedź, a na dodatek jeszcze długotrwałą suszę. Po kilku milionach lat daje to w efekcie wielką różnorodność roślin, z których każda jest przystosowana do bardzo specyficznych warunków i króluje na kawałku ziemi, na którym wszystkie inne rośliny szybko by uschły. Wyspecjalizowane rośliny prowadzą do powstania wyspecjalizowanych owadów i tak dalej, w górę łańcucha pokarmowego. W rezultacie kraj z pozoru nieprzychylny dla życia olśniewa bioróżnorodnością.

Drugi, bardziej oczywisty czynnik to izolacja Australii. Pięćdziesiąt milionów lat wyspiarskiego istnienia chroniło rodzime formy życia przed konkurencją i pozwoliło niektórym z nich (eukaliptusom wśród roślin, torbaczm wśród zwierząt) bez większego wysiłku osiągnąć rodzaj monopolu. Z punktu widzenia różnorodności nie mniej ważna jest jednak izolacja w obrębie Australii. W pewnym uproszczeniu można opisać ten kraj jako zbiór enklaw życia oddzielonych wielkimi obszarami jałowości. W największym stopniu dotyczy to południowo-zachodniej Australii. Według Davida Attenborough (*The Private Life of Plants*) ten zakątek kraju „zawiera aż 12 tysięcy gatunków roślin i 87 procent z nich nie występuje nigdzie indziej na świecie”.

Tym bardziej niepokoi więc informacja, że wiele spośród tych gatunków jest zagrożonych przez straszną i słabo rozpoznaną chorobę zwaną *dieback*. Jej źródłem jest rodzina grzybów *Phytophthora*, spokrewnionych z grzybem, który wywołał zarazę ziemniaczaną i klęskę głodu w XIX-wiecznej Irlandii. Zidentyfikowano ją w 1966 roku, ale pojawiła się w Australii około stu lat temu. Szczególnie zmartwienie budzi w południowo-zachodniej Australii, ponieważ zbiera tutaj obfitsze żniwo, i to wśród rzadkich roślin. Jak przeczytałem na tablicy

informacyjnej, nawet banksje są zagrożone. Banksje, nazwane tak na cześć swojego odkrywcy Josepha Banksa, to krzewy, które Australijczycy darzą wyjątkową sympatią, mimo dosyć dziwnego wyglądu ich kwiatów — przypominają szczotki do czyszczenia muszli klozetowej. Ze smutkiem dowiedziałem się zatem, że siedem gatunków banksji trafiło na listę zagrożonych roślin i za kilka lat mogą przestać istnieć w stanie dzikim. Dwanaście innych gatunków jest zagrożonych w dłuższym okresie. Może przemawia przeze mnie wrodzony pesymizm, ale mam niepokojące wrażenie, że wybierając cel podróży, wiele osób kieruje się pragnieniem zobaczenia rzeczy, których za jakiś czas może już nie być. A najbardziej przygnębiające jest dla mnie to, że mnóstwo roślin może zniknąć, zanim zdążymy je odkryć.

Wszystko to przyszło mi do głowy dlatego, że wybierałem się na samotną ekspedycję botaniczną. Najpierw jednak miałem jeden dzień na odpoczynek w Perth. Nie planowałem niczego konkretnego, ale kiedy siedziałem na tarasie parkowej kawiarni z podbródkiem ozdobionym czekoladową pianą cappuccino i czytałem gazetę „West Australian”, trafiłem na artykuł, który zadecydował o mojej najbliższej przyszłości.

Tekst dotyczył niejakiego Langa Hancocka, o którym już wcześniej czytałem. Hancock był właścicielem rancza na północy Australii Zachodniej, który zapoczątkował jeden z największych boomów surowcowych w najnowszej historii świata. Jeśli ktoś nadal wątpi, że Australia jest krajem pobłogosławionym przez los, to niech prześledzi dzieje odkryć złóż minerałów w tym kraju w latach pięćdziesiątych i trochę później. Do tamtej pory panowało powszechne przekonanie, że Australii brakuje najważniejszych surowców. Na przykład rudy żelaza było tak niewiele, że przez dwie dekady obowiązywał zakaz jej eksportu. W 1952 roku Lang Hancock dokonał jednak ważnego odkrycia. Lecąc awionetką nad górami Hamersley blisko północnego wybrzeża, stracił orientację podczas burzy i lądował awaryjnie w strefie płaskich kamieni, którą geolodzy nazywają tarczą zachodnią. Kiedy wysiadł z samolotu, uświadomił sobie, że stoi na żelaznej płycie. Po dogłębniejszym zbadaniu sprawy stwierdził, że jest właścicielem około

stukilometrowej bryły rudy. Przez dziesięć lat australijskie znane złoża rudy żelaza wzrosły z prawie zera w 1950 roku do 20 miliardów ton. Sam Hancock kontrolował zasoby większe od amerykańskich i kanadyjskich razem wziętych — to naprawdę dużo żelaza.

Ale to był dopiero początek. W zawrotnym tempie zaczęto odkrywać pokłady boksytów, niklu, manganu, uranu, miedzi, ołowiu, diamentów, cyny, cynku, cyrkonu, rutyłu, ilmenitu i wielu innych minerałów, o których większość z nas nigdy nie słyszała. Niemal z dnia na dzień ludzie stawali się właścicielami nieprzyzwoitych i niemożliwych do wydania fortun. Giełda dostała amoku, ponieważ inwestorzy chcieli uszczknąć kawałek tego tortu. W Sydney pewien makler stracił ucho podczas gorączki, która towarzyszyła nieustannym doniesieniom o nowych odkryciach. Ten upajający okres odmienił los Australii. Nagle ospały, dobrotliwy producent wełny stał się surowcowym gigantem, największym na świecie eksporterem minerałów. Wiele złóż znajdowało się w Australii Zachodniej, toteż znaczna część tego bogactwa osiadła w Perth, stolicy stanu, co tłumaczy, skąd tyle drapaczy chmur.

Lang Hancock, człowiek, od którego to wszystko się zaczęło, w 1992 roku został wezwany do wielkiej góry żelaza w niebie, ale na starość zrobił coś, co budzi trwogę w sercach dzieci bogaczy na całym świecie: ożenił się ze swoją gospodynią, panią z Filipin imieniem Rose. Jak przeczytałem w „West Australian”, córka Hancocka złożyła pozew w sądzie, w którym zarzuciła wdowie i świętej pamięci ojcu, że „rozrzutnie i bezprawnie wydawali pieniądze, które do nich nie należały”. Dziennik zamieścił listę najważniejszych pozycji z majątku pani Hancock. Był tam między innymi wart 35 milionów dolarów dom na przedmieściu Perth, Mosman Park, z dokładnym adresem. Same żyrandole w tej najbardziej okazałej rezydencji w mieście kosztowały trzy miliony. Spojrzałem na plan miasta i stwierdziłem, że Mosman Park leży na końcu szeregu bogatych przedmieść, ciągnącego się aż po Fremantle. Pogoda była ładna, a ja czułem się w formie, więc postanowiłem się przejść.

Ogłędnie mówiąc, odległość między centrum Perth i Mosman Park jest spora.

Maszerowałem godzinami, przeciąłem zielone tereny kampusu Uniwersytetu Australii Zachodniej, szedłem wzdłuż ujścia Rzeki Łabędziej, idyllicznych przystani jachtowych i roziskrzonych zatoczek, by w końcu zagłębić się w spektakularnie bogatych dzielnicach mieszkaniowych — Nedlands, Dalkeith, Peppermint Grove — gdzie pałacowe rezydencje pławiły się w złotym blasku słońca. Domy te jaskrawo ilustrowały tezę, że pieniądze i dobry smak nie zawsze idą w parze: miało się wrażenie, że mieszkają tutaj sami zwycięzcy w totolotka. Absolutnie nie sugeruję, że australijscy nuworysze przebijają w bezguściu swoich kolegów z innych krajów, ale brak charakterystycznego rodzimego stylu architektonicznego oznacza, że mogą czerpać z bardziej rozległego zasobu stylów — i wzorują się przede wszystkim na bankach drive-in, kasynach, domach starców dla bogatych i schroniskach górskich. Obserwacja tego eklektyzmu skomasowanego na zachodnich przedmieściach Perth jest fascynującym przeżyciem.

Po prawie trzech godzinach marszu dotarłem do miejsca o nazwie Chidley Point i uświadomiłem sobie, że znalazłem Mosman Park. Pogrzebałem w torbie, żeby sprawdzić adres podany w gazecie, i skonstatowałem, że zostawiłem ją w kawiarni. Nic nie szkodzi. Pokonałem kilkanaście kilometrów i widziałem tyle luksusowych willi, że do końca życia mi wystarczy. Przypomniałem sobie jednak, że dom Hancocka stoi przy Wellington Street, więc znalazłem tę dystygowaną aleję i skręciłem w nią wolnym krokiem. Po drodze widziałem chyba z osiem domów, które musiały kosztować wiele milionów dolarów, ale nie było wśród nich żadnego, który mógłby wiarygodnie rościć sobie prawo do tytułu najokazalszej rezydencji w Perth. Kiedy tak stałem zrezygnowany, miałem okazję obserwować, jak młoda kobieta w szortach i odpowiednio dobranym podkoszulku — na oko zawodowa wyprowadzaczka psów — usiłuje nadążyć za rozbrykanym brytanem niewiele mniejszym od kucyka. Przypominało to surfing na obcasach butów. Uciekłem na jezdnię, żeby nie zostać pożartym, ale kiedy mnie mijiała, skorzystałem z okazji i spytałem o rezydencję Hancocka. Pokazała na budowlę trzy domy dalej. Muszę powiedzieć, że przy takich kosztach spodziewałem się czegoś

bardziej imponującego — jakiegoś skrzyżowania San Simeon, pałacu W.R. Hearsta, z mauzoleum Liberace — a tymczasem dom Hancocka stał na stosunkowo niewielkiej działce i nie był ani szczególnie kiczowaty, ani wyjątkowo ociekający zdobieniami. Po paru minutach kontemplacji naszła mnie trochę spóźniona myśl, że chociaż dobrowolnie zainwestowałem sporo wysiłku w dotarcie tutaj, to guzik mnie obchodzi, gdzie mieszka Rose Hancock. Przetrawiwszy tę refleksję, z zadumanym obliczem zawróciłem na pięcie i kontynuowałem marsz w stronę morza.

Fremantle to ciekawe i sympatyczne miasto. W okresie gorączki złota był to kipiący życiem kosmopolityczny port, ale później na długi czas pogrzyżył się w rozkładzie. W latach siedemdziesiątych Fremantle odrodziło się jak Feniks z popiołów, kiedy ludzie uświadomili sobie, jak wielki potencjał komercyjny drzemie w zaniedbanych wiktoriańskich budynkach. Dzisiaj jest to modna miejscowość, gdzie można wypić latte, zjeść spaghetti i kupić w małych sklepikach różne artystowskie rzeczy. Wszyscy lubią Freo, jak nazwano Fremantle. W normalnych okolicznościach ja też je lubię, ale tego dnia mój entuzjazm szybko usychał. Popołudnie było nieprzyjemnie upalne, bez śladu tej orzeźwiającej, oceanicznej bryzy, którą nazywają „lekarzem z Fremantle” (oczywiście dlatego, że czujesz się dzięki niej lepiej). Uszedłem już tyle, że stopy mi dymiły, zanim sobie uświadomiłem, że zostało mi do pokonania jeszcze sześć kilometrów, w większości po Stirling Highway, tej ruchliwej, pozbawionej uroku i cienia arterii komunikacyjnej.

Dotarłem do Fremantle późnym popołudniem, kompletnie wypompowany. Wszedłem do pubu i w celach leczniczych wypilem piwo.

— Wszystko w porządku? — spytała barmanka.

— Tak. Czemu pani pyta?

— Widział pan swoją twarz?

Natychmiast zrozumiałem.

— Poparzenie słoneczne?

Ograniczyła się do współczującego, ale i rozbawionego skinienia głową.

Spojrzałem w lustro za jej plecami. Spoglądał na mnie Pan Pomidor, postać z kreskówki, w celach prześmiewczych przebrana za mnie. Westchnąłem z cicha. Wiedziałem, że przez najbliższe cztery dni będę przedmiotem troski starszych mieszkańców Australii Zachodniej i źródłem uciechy dla całej reszty. Potem, kiedy moja skóra się złuszczy i zacznę przypominać zbiega ze schroniska dla trędowatych, zapanuje nastrój powszechnej zgrozy i obrzydzenia. Kelnerki będą upuszczaly tace; gamonie będą zderzali się z latarniami; kierowcy karetek pogotowia będą zwalniali, żeby przyjrzeć mi się uważnie. Czekał mnie okres cichej gehenny. Za kilka godzin spodziewałem się początku cierpień. Już zresztą byłem wrakiem człowieka. Stopy i nogi tak mnie bolały, że wątpiłem, czy kiedykolwiek będą nadawały się do użytku. Byłem brudny jak uliczny urwis i tak śmierdziałem, że zasługiwałem na zakaz przebywania w miejscach publicznych. A wszystko po to, żeby zobaczyć dom, który niespecjalnie mnie obchodził, i miasto, na którego zwiedzanie byłem zbyt zmęczony.

Ale mało się tym wszystkim przejmowałem. Wiecie dlaczego? Bo widziałem stekowca. Nic nie mogło mnie wytrącić z radosnego nastroju. Z tą pocieszającą myślą dopiłem piwo, ostrożnie zsunąłem się ze stołka barowego i, śledzony zaciekawionymi spojrzeniami, wyszedłem na ulicę, żeby złapać taksówkę i wrócić do Perth.

Następnego dnia rano wypożyczyłem kolejny samochód i wyruszyłem na przedostatnią australijską wyprawę. Chciałem zobaczyć wielkie lasy jarrah (*Eucalyptus marginata*) i karri (eukaliptus różnobarwny). Jeśli program ten wydaje się wam mało atrakcyjny, to pozwólcie sobie powiedzieć, że są to wyjątkowe drzewa, stanowiące roślinny ekwiwalent dżdżownic australijskich w świecie bezkręgowców: giganty, mało znane i z tajemniczych powodów rosnące tylko w południowo-zachodnim zakątku Australii Zachodniej poniżej Perth. Karri to taka sekwoja piątego kontynentu. Ich wysokość przekracza 75 metrów, ale szczególnie imponuje obwód: pień ma 15 metrów i aż do samej góry prawie się nie zwęża. Wyobraźcie sobie największy platan, jakiego w życiu widzieliście, a potem

pomnóście to przez trzy — tak z grubsza prezentuje się karri.

Dominującym gatunkiem w regionie jest jednak piękny i majestatyczny jarrah, trochę mniejszy od karri, ale i tak potężny. Zakrawa na cud, że zostały jeszcze jakieś jarrah, ponieważ jest to najbardziej pechowe drzewo świata. Jarrah padł ofiarą swojej adaptacji, która pozwoliła mu opanować południowo-zachodnią niszę ekologiczną. Lubi bowiem gleby bogate w boksyty, a boksyt to cenny minerał. Pod koniec lat pięćdziesiątych o tej symbiozie dowiedziały się koncerny górnicze i zwęszyły podwójny zysk: najpierw ściąć jarrah i sprzedać drwalniom, a potem dokopać się do obfitych złóż boksytu pod spodem. Trudno sobie wyobrazić piękniejsze perspektywy — oczywiście jeśli czyjeś sumienie potrafi znieść myśl o wykarczowaniu wielkich połaci pralasu nieznanego gdzie indziej typu i zastąpieniu go niezbyt estetycznymi odkrywkami. Inżynierowie górnictwa, ludzie bardzo sprytni, rozwiązali powyższy problem w ten sposób, że wyłączyli swoje sumienia. Genialne!

W przedsięwzięciu tym długo wspomagali ich koledzy z branży leśnej. Trzeba powiedzieć, że australijscy leśnicy bardzo lubią ścinać drzewa. Trudno mieć do nich o to pretensje — w końcu na tym polega ich zawód — i nie ulega wątpliwości, że są mniej nieodpowiedzialni niż dawniej, ale różne grzechy tak długo uchodziły im bezkarnie, że nadal trzeba uważnie patrzeć im na ręce. Są to ludzie, którzy potrafią bez rumieńca wstydu przedstawić radykalną wycinkę jako „regenerację lasu przez wystawianie drzewostanu na działanie słońca”. Żeby spojrzeć na tę sprawę z właściwej perspektywy, trzeba dodać, że Australia jest najmniej zalesionym kontynentem (oczywiście z wyjątkiem Antarktydy), a mimo to należy do największych na świecie eksporterów trocin. Nie jestem autorytetem od leśnictwa i być może zasady ekologii są tu rzetelnie przestrzegane (australijskie Ministerstwo Środowiska z pewnością stara się stwarzać takie wrażenie), ale dostrzegam pewien arytmetyczny rozdźwięk między małą liczbą drzew z jednej strony a rozkwitem branży eksportującej trocinę z drugiej. W każdym razie dzisiaj jest mniej lasu jarrah niż kiedyś, a powierzchnia niemożliwego do zastąpienia lasu karri jeszcze bardziej się skurczyła. W latach 1976-1993 jedną czwartą lasu karri

przerobiono na trociny. Na trociny! Powtarzam: tych ludzi trzeba pilnować.

Nawet bez swoich unikatowych lasów południowo-zachodni zakątek Australii pozostałby ciekawym obszarem. Ciągnie się przez 300 kilometrów od Cape Naturaliste nad Oceanem Indyjskim po Cape Nob nad Wielką Zatoką Australijską i stanowi jedną z tych niespodziewanych enklaw zieleni, które od czasu do czasu spotyka się w Australii. Takich jak dolina Barossa koło Adelaide. Region ten jest jednak tak mało znany, że nawet go nie ochrzczono. W całej Australii spotyka się chwytliwe nazwy, które ułatwiają orientację — Sunshine Coast, Northern Tropics, Mornington Peninsula, Atherton Tablelands — ale tutaj wyobraźnia społeczna nie zdołała wymyślić niczego lepszego od „południowego rogu Australii Zachodniej”. Uważam, że powinni nad tym trochę popracować. Z drugiej strony sama ta kraina i ocean nie wymagają żadnych poprawek.

Może dlatego, że moje australijskie przygody zbliżały się do końca i robiłem się sentymentalny albo że spędziłem większość z minionych dwóch tygodni na pustyni, albo że prawie nic nie wiedziałem o tym obszarze (podobnie jak większość ludzi spoza tego stanu) i nie groziło mi, że przeżyję rozczarowanie — w każdym razie byłem zauroczony. Można powiedzieć, że region ten poskładano z najprzyjemniejszych, a zarazem najmniej pretensjonalnych części Europy i Ameryki Północnej: szkockich nizin, belgijskiej doliny Mozy, Półwyspu Górnego w Michigan, prerii Wisconsin, angielskiego Shropshire czy Herefordshire, wszystkich tych pięknych terenów, do których nie ściągają masowo turyści. Nie był to krajobraz pięciogwiazdkowy, ale gościnny i zdrowy. Ochrzciłem go — wyrażam zgodę na nieodpłatne wykorzystywanie tej nazwy do czasu, kiedy ktoś wymyśli lepszą — „Pleasant Peninsula”, Przyjemny Półwysep.

Dzień na Przyjemnym Półwyspie oczywiście był przyjemny — krętymi wiejskimi drogami, zmierzającymi do roziskrzonego błękitnego morza, jeździłem pośród lasów i falujących pól, mijałem wypielęgnowane sady i butelkowozielone winnice. Często zatrzymywałem się w małych miasteczkach — Donnybrook, Bridgetown, Busselton, Margaret River — aby wypić kawę, pogrzebać w używanych książkach albo pójść na molo czy na wydmy.

Przenocowałem w Manjimup na skraju południowych lasów i rano wstałem wcześniej, wyspany i wypoczęty, by bez zwłoki wyruszyć w drogę w kierunku parków narodowych Shannon i Mount Frankland. Po paru minutach znalazłem się pośród majestatycznych drzew. Już tutaj wyglądało to bardzo obiecująco. Zmierzałem do tak zwanej Doliny Gigantów, gdzie znajdowała się nowa atrakcja turystyczna — Tree Top Walk, którą z całego serca mi polecano, czyli metalowy chodnik, pozwalający spacerować pośród koron *red tingle* (*Eucalyptus Jacksonii*), kolejnego ogromnego eukaliptusa rosnącego wyłącznie w tym regionie. Sądziłem, że ścieżkę zbudowano tylko dla przyciągnięcia turystów, ale okazało się, że *red tingles*, na przekór swoim rozmiarom, to drzewa bardzo delikatne i uzależnione od nielicznych składników odżywczych występujących w glebie, której nieustanne rozdeptywanie przez zwiedzających mogłoby im zagrozić. A zatem Tree Top Walk to nie tylko oryginalna rozrywka, ale również sposób na ochronę przyrody.

Ścieżka zaczyna się parę kilometrów od miasteczka Walpole. Przyjechałem w porze otwarcia, ale parking był już zatłoczony i szybko się zapełniał, a przy wejściu i w małym sklepie kłębiło się mnóstwo ludzi. Obiektem tym zarządza Ministerstwo Środowiska i obok parku pustynnego w Alice Springs jest to kolejny przykład na to, że instytucja państwowa może wymyślić coś oryginalnego i robić coś bardzo dobrze. Ci ludzie przydaliby się nam z powrotem w Starym Świecie.

Tree Top Walk rzeczywiście zasługuje na światową sławę. Składa się z serii metalowych pomostów, podobnych do tych stosowanych w starych fabrykach, kładek, które na zawrotnych wysokościach wędrują pośród koron najpiękniejszych i najbardziej okazałych drzew świata. Konstrukcja budzi wielki podziw. Ma 600 metrów długości, a w najwyższym miejscu biegnie prawie 40 metrów nad ziemią — całkiem niezła wysokość, kiedy ktoś patrzy w dół znad sięgającej do pasa poręczy. Zresztą kładki są ażurowe i człowiek siłą rzeczy dużo patrzy w dół, więc podniebny spacer wymaga mocnych nerwów. Byłem zachwycony. Istnieją drzewa wyższe od *red tingle*, na przykład górskie eukaliptusy w stanie Wiktorja, przy odrobinie wysiłku udałoby się pewnie znaleźć także drzewa piękniejsze, ale nie wierzę, że są na świecie drzewa zarazem wyższe i piękniejsze. Sekwoje bardziej

zbliżają się do nieba, ale ich korony budzą pusty śmiech — te giganty przypominają kij od szczotki nabity u góry gwoździami. Szerokolistne *red tingles* tworzą bujny zielony gąszcz.

Zauroczony ich widokiem, przeszedłem podniebnym chodnikiem jeszcze raz i dopiero w połowie drugiej rundy uświadomiłem sobie, że wokół mnie jest mnóstwo ludzi i że jak wszyscy inni wymieniam się z obcymi swoimi wrażeniami. Rzadko nawiązuję rozmowę z cudzymi dziećmi, ale teraz dyskutowałem z dwoma chłopcami — inteligentnymi braćmi w wieku około 10 i 12 lat, którzy przyjechali z rodzicami na wakacje z Melbourne — o tym, czy w Australii Zachodniej są misie koala, a jeśli są, to czy mamy szansę zobaczyć jakiegoś między gałęziami. Po chwili włączył się do rozmowy ich ojciec, a potem przyszła matka i powiedziała do mnie:

— Ależ pan jest strasznie spalony!

Zaproponowała mi jakiś krem, który wyjęła z torebki. Odmówiłem, ale jej troskliwość mnie wzruszyła.

To dzielenie się spostrzeżeniami i farmaceutykami z obcymi ludźmi przypominało mi moją przechadzkę po parkach Adelaide w święto narodowe, kiedy setki ludzi razem piknikowało. Panował ten sam duch wspólnego przedsięwzięcia. W głębokim sensie antropologicznym było to prawdziwe przeżycie wspólnotowe.

Nie do końca zarejestrowałem, jak istotny jest to składnik australijskiego życia, zanim nie wróciłem na dół i nie poszedłem do tak zwanego Starożytnego Imperium, czyli obszaru tego samego lasu, po którym chodziło się drewnianym chodnikiem. Spojrzenie na korony *red tingles* z perspektywy parteru jest prawie tak samo ciekawe jak Tree Top Walk, ale ponieważ w naziemnym chodniku nie ma niczego oryginalnego, nikt tam nie chodził. Miałem więc cały ten kawałek lasu wyłącznie dla siebie, co w normalnych okolicznościach by mnie ucieszyło, ale tutaj poczułem się dosyć samotny.

— Hej, ludzie! — chciałem zawołać. — Zejdźcie na dół i zobaczcie, jak tutaj jest! Coś genialnego! Proszę, niech ktoś do mnie przyjdzie!

Oczywiście niczego takiego nie powiedziałem, nasza mnie natomiast pewna myśl: ten las był doskonałą metaforą Australii. Był tym dla botaniki, czym Charles Kingsford Smith dla awiacji i Aborygeni dla prahistorii — czymś niezwykle cennym i zasłużonym, a jednocześnie szerzej nieznanym. I taka właśnie jest Australia, kraina zapomnianych i niedostrzeganych cudów i dziwów.

Z tą myślą w głowie wyruszyłem w drogę do jednego z najbardziej niezwykłych dziwów.

Rozdział dziewiętnasty

Na wcześniejszym etapie tej podróży, jadąc z Sydney do Surfers Paradise, zatrzymałem się na kawę w sympatycznym miasteczku uniwersyteckim Armidale w północno-wschodniej Nowej Południowej Walii. Podczas spaceru po ładnych ulicach trafiłem na budynek o dosyć urzędowej aparycji. Rzeczywiście mieścił się w nim Urząd Surowców Mineralnych. Wiedziony jakimś nieznanym porywem, postanowiłem wejść do środka. Już od dawna zadawałem sobie pytanie, skąd taka obfitość bogactw mineralnych w Australii, a nie na przykład w moim ogrodzie. Może tutaj ktoś mi to wyjaśni? Jednym z uroków dociekliwego dziennikarstwa w otwartym i serdecznym społeczeństwie australijskim jest niewątpliwie fakt, że można przyjść bez zapowiedzi do takiej instytucji jak Urząd Surowców Mineralnych i ludzie powitają cię z otwartymi ramionami, a potem odpowiedzą na wszystkie pytania, jakie przyjdą ci do głowy.

Dzięki temu miałem okazję porozmawiać przez pół godziny z bardzo życzliwym geologiem, Harveyem Henleyem, który mi uświadomił, że w przeliczeniu na metr kwadratowy powierzchni Australia wcale nie jest krajem wyjątkowo zasobnym w bogactwa naturalne, ma tylko mnóstwo tych metrów, stosunkowo niewiele ludzi i krótką historię, toteż znaczna część jej obszarów wciąż pozostaje niezbadana i niewyeksplorowana. Dla lepszego zobrazowania tej teorii, Harvey zabrał mnie do swojego biura. Zajmował się opracowywaniem wielkich, imponująco szczegółowych map geologicznych, i te rozłożył na swoim stole z taką starannością, jakby to były cenne starodruki. Nawet niewprawne oko mogło dostrzec, że zaznaczone są na nich najmniejsze wzgórki i zmarszczki na krajobrazie, ze szczególnym uwzględnieniem potencjalnych złóż mineralnego bogactwa. Każda mapa obejmowała kawałek Nowej Południowej Walii o rozmiarach 60 na 40 kilometrów i wymagała 10, niekiedy do 15 lat pracy. Zespół z Armidale kartografował 80 takich obszarów.

— Kupa roboty — powiedziałem, będąc pod wielkim wrażeniem.

— Żebyś wiedział. Ciągłe znajdujemy coś nowego. — Przesunął jedną z map, żeby mi pokazać tę pod spodem. — To jest nowa kopalnia w miejscowości Cadice Hill niedaleko Orange. — Postukał w obszar zacieniowany pastelowym kolorem. — Zawiera około 200 milionów piasków bogatych w minerały.

— To dobra wiadomość?

— Znakomita.

Zastanowiłem się przez chwilę.

— Skoro potrzeba 10 do 15 lat na opracowanie jednej mapy obejmującej obszar 60 na 40 kilometrów, a Australia ma 8 milionów kilometrów kwadratowych powierzchni, to jaka część kraju została skartografowana? — zapytałem, starając się jakoś to sobie uporządkować.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby odpowiedź była oczywista.

— Prawie nic.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Czyli gdyby zrzucono mnie ze spadochronem na losowo wybrany punkt *outbacku*, powiedzmy na Pustyni Strzeleckiego, to wylądowałbym na kawałku ziemi, który nigdy nie został skartografowany? — upewniłem się.

— Prawie na sto procent.

— To znaczy, że zostało mnóstwo bogactw mineralnych do odkrycia?

Spojrzał na mnie z radosnym uśmiechem człowieka, którego praca nigdy nie zostanie zakończona.

— Nikt tego nie wie — odparł. — Nie da się tego powiedzieć.

Zachowajmy tę historię w pamięci, jadąc mało uczęszczaną nadmorską drogą z Perth w stronę oddalonego o 4163 kilometry Darwin. Tutaj, blisko wybrzeża, natknąć się można na kilka miasteczek i całkiem sporo gospodarstw rolnych, ale w głębi lądu, za niskimi, jasnozielonymi wzgórzami, ciągnie się zabójcza pustka. Nikt tak naprawdę nie pojęcia, co się za nią kryje. Ta myśl strasznie mnie ekscytuje — od czasu do czasu ludzie nadal dokonują tu niesamowitych odkryć, które są

możliwe tylko w niezbadanym kraju. Całkiem niedawno pewien facet przyjechał cały uśmiechnięty z pustyni w Australii Zachodniej, wioząc z sobą bryłę złota, ważącą 30 kilo — prawie rekord świata, a ona po prostu leżała sobie na pustyni. Jeny!

Inżynierowie górnictwa studiują zdjęcia satelitarne i mapy wykonane na podstawie danych zebranych przez lecące na małych wysokościach samoloty („kartograficzna fantastyka”, jak odrobinę lekceważąco nazwał to Harvey Henley), jednakże prawdziwe badania terenowe, wymagające wędrówek po wyschniętych korytach rzek i zabierania kamieni do analizy, na dobrą sprawę dopiero się zaczęły. Problemem są nie tylko rozmiary Australii, ale również niebezpieczeństwa związane z wyprawami w nieznanne. Brytyjski paleontolog Richard Fortey napisał: „Droga gruntowa pojawia się na chwilę, by zaraz rozpląnąć wśród piasków. Prosisz więc zdezorientowanego i zdenerwowanego pasażera, by wychylił się przez okno i rozejrzał za połamanymi gałązkami, być może świadczącymi o tym, że przejeżdżał tędy inny pojazd. (...) Niewiarygodnie łatwo się zgubić”.

W takim środowisku mnożą się plotki o bajecznych odkryciach. Do najsłynniejszych należy historia Harolda Bella Lassetera, który w latach dwudziestych XX wieku twierdził, że 30 lat wcześniej na jednej ze środkowoaustralijskich pustyń znalazł kilkunastokilometrową żyłę złota, ale z różnych powodów nie wrócił tam, żeby objąć złożę w posiadanie. Wydaje się to dosyć mało prawdopodobne, ale Lasseter zdołał przekonać kilku sceptycznych przedsiębiorców, a nawet parę wielkich koncernów (na przykład General Motors) do sfinansowania wyprawy, która w 1930 roku wyruszyła z Alice Springs. Po kilku tygodniach bezowocnego kręcenia się w kółko sponsorzy Lassetera zaczęli tracić wiarę. Uczestnicy ekspedycji porzucali go jeden po drugim i w końcu został sam. Na domiar złego pewnej nocy nogę dały również oba wielbłądy. Samotny i pozbawiony środka lokomocji, umarł straszną śmiercią. Podejrzewam, że pił własny mocz. Złota nie znalazł i ludzie wciąż go szukają.

Można sądzić, że Lasseter cierpiał na urojenia albo po prostu był szarlatanem, ale idea, że na pustyni może się ciągnąć wielka żyła złota, absolutnie mieści się

w granicach prawdopodobieństwa. Nie można też wykluczyć, że ktoś znajdzie takie złoża, a potem nie będzie w stanie ponownie do niego trafić. Zdarzyło się to ludziom bardziej metodycznym i uważnym niż Lasseter, na przykład Stanowi Awramikowi, geologowi, który wałęsał się po niewysokich, mocno zerodowanych i strasznie upalnych wzgórzach Pilbara, w północno-zachodnim regionie Australii, który wciąż pozostaje w dużym stopniu niezbadany. Awramik trafił na skały ze skamieniałościami maleńkich organizmów zwanymi stromatolitami, pochodzącymi sprzed 3,5 miliarda lat, czyli z pierwszego okresu istnienia życia. Z punktu widzenia paleontologii był to odpowiednik mitycznej żyły złota Lassetera. Awramik pobrał kilka próbek i powrócił na łono cywilizacji, ale kiedy znowu przyjechał do Pilbara, nie udało mu się ponownie znaleźć interesującej go formacji skalnej, jakby ta rozplynęła się w bezkresnej jednakowości wzgórz. Stromatolity nadal czekają na powtórne odkrycie, zupełnie jak złoto Lassetera.

Od tamtego czasu równie stare lub jeszcze starsze stromatolity znajduje się w wielu różnych miejscach — zarówno w Australii, jak i poza nią. Tymczasem w ciepłych, płytkich wodach Shark Bay, na odludnym odcinku wybrzeża Australii Zachodniej, odkryte zostało coś znacznie bardziej niezwykłego i nieoczekiwanego: żywe stromatolity, kolonie organizmów trochę przypominających porosty i dokładnie odtwarzających warunki, jakie istniały na ziemi w okresie, gdy życie znajdowało się jeszcze w fazie niemowlęcej. Te właśnie cuda planowałem zobaczyć.

Podróż z Perth nad Shark Bay zajmuje około ośmiu godzin. Wczesnym popołudniem, niedaleko miejscowości Dongara, droga zawięła w stronę wybrzeża i zacząłem dostrzegać nieśmiało prześwity niebieskiego oceanu. Region ten nazywa się Batavia Coast i interesował mnie z pewnego szczególnego powodu. W Geraldton, jedynym mieście na odcinku tysiąca kilometrów, które faktycznie zasługiwało na to miano (a w każdym razie mogło się pochwalić więcej niż jedną sygnalizacją świetlną), zatrzymałem się na kawę i przypadkiem zaparkowałem koło małego muzeum morskiego w centrum. Zawahałem się w progu, rozdarty między

pragnieniem jak najszybszego dotarcia do celu a niepohamowaną ciekawością, ale w końcu wszedłem, i tego nie pożałowałem. Duża część ekspozycji dotyczyła mało znanej historii statku, któremu ten odcinek wybrzeża zawdzięcza swoją nazwę — galeonowi kupieckiemu „Batavia”, który w 1629 roku zabłąkał się na te wody. Wydarzenie to zapoczątkowało jeden z najdziwniejszych epizodów w annałach australijskiej żeglugi, choć większość australijskich historyków wspomina o nim tylko w przypisach (a Manning Clark w ogóle), co trochę zaskakuje, ponieważ był to pierwszy pobyt Europejczyków na australijskiej ziemi i największa masakra białych w całych dziejach kraju. Ale nie uprzedzajmy faktów.

W 1629 roku, kiedy zaczyna się nasz dramat, holenderscy marynarze dopiero co odkryli, że jeśli się zamierza jak najszybciej dotrzeć do Indii Wschodnich, nie należy płynąć najkrótszą drogą od Przylądka Dobrej Nadziei, lecz wypuścić się dalej na południe do czterdziestego równoleżnika (słynne ryczące czterdziestki) i dać się ponieść na wschód mocnym wiatrom z tej strefy. Metoda ta świetnie zdawała egzamin, oczywiście pod warunkiem, że ktoś nie wpakował się na wybrzeże Australii. Niestety taki właśnie los spotkał kapitana Francisca Pelsaerta, dwie godziny przed świtem na początku czerwca 1629 roku, kiedy „Batavia” utknęła na piaszczystych przeszkodach — wyspach Abrolhosa — niedaleko zachodniego wybrzeża Australii. Statek natychmiast zaczął się rozpadać.

Spośród 360 członków załogi około 160 utonęło, reszta dotarła do brzegu. Po wschodzie słońca stwierdzili, że siedzą na piaszczystej łasze z niewielką ilością prowiantu i mało optymistycznymi perspektywami na przyszłość. Znajdowali się 1500 mil od Batawii (dzisiejszej Dżakarty). Po dłuższej refleksji Pelsaert zakomunikował, że wsiądzie z częścią załogi do szalupy i spróbuje dopłynąć na wiosłach do Batawii — nikła nadzieja, ale jedyna, jaka im została.

Dowództwo przekazał niejakiemu Jeronimusowi Corneliszowi. Dalsze wydarzenia spowija mgła tajemnicy, wszystko wskazuje jednak na to, że Cornelisz był wariatem i fanatykiem religijnym — bardzo niebezpieczna kombinacja. Wiadomo, że Cornelisz i jego akolici w ciągu następnych kilku dni zamordowali prawie wszystkich rozbitków — 125 mężczyzn, kobiet i dzieci. Ci, których

oszczędzili, zostali ich niewolnikami — kobiety gotowały i zaspokajały ich potrzeby seksualne, mężczyźni łowili ryby i wykonywali wszelkie ciężkie prace. Niewielkiej grupie rozbitków udało się jednak uciec na oddaloną o kilkaset metrów inną łacę, ukrytą za trudnym do przebycia przesmykiem. Tam z wszystkiego, co wpadło im w ręce, udało im się sporządzić broń i zbudować fort, z którego bronili się przed okazjonalnymi atakami Cornelisza i jego ludzi.

Tymczasem niemający pojęcia o całym zamieszaniu Pelsaert, który miał na głowie aż nadto własnych problemów — w końcu dopiero co rozbił nowiutki statek, dumę holenderskiej floty handlowej — jakimś cudem dopłynął przez morze Timor do Batawii. Osłupiali zwierzchnicy wysłuchali jego opowieści, dali mu inny statek i rozkazali natychmiast wracać po rozbitków.

Po pięciu miesiącach od katastrofy morskiej Pelsaert dopłynął na wyspy Abrolhosa. Tam nasz wiecznie zdezorientowany kapitan o mały włos nie stanął po złej stronie w wojnie domowej i nie stracił statku na rzecz obłąkanego Cornelisza i jego bandy desperatów. W końcu jednak pokapował się w sytuacji i przywrócił porządek. Cornelisza i sześciu jego zbirów powieszono, a większość pozostałych wychłostano albo przeciągnięto pod kilem, następnie zaś zakuto w kajdany, aby wyekspediować ich do Batawii i oddać w ręce władz. Z jakichś nieznanych nam powodów Pelsaert postanowił jednak przewieźć na stały ląd dwóch złoczyńców, marynarza Woutera Looesa i chłopca okrętowego, Jana Pelgroma.

16 listopada 1629 roku obu wysadzono na dzisiejszej plaży Red Bluff. Nie wiadomo, co się później z nimi stało, ale jedno jest pewne: byli pierwszymi białymi Australijczykami.

Jak powiedział mi życzliwy pracownik muzeum, Red Bluff Beach znajduje się w miejscowości Kalbarri, sto kilkadziesiąt kilometrów na północ, a ponieważ jechałem w tym samym kierunku, postanowiłem tam przenocować. Żeby tam dotrzeć, musiałem opuścić North West Coastal Highway i pojechać drugorzędną drogą przez zieloną równinę, porośniętą aż po horyzont wrzosowatym skrubem. Kiedy znalazłem się w Kalbarri, zapadał już zmrok i było za późno na szukanie miejsca przybicia Holendrów do brzegu, wynająłem więc pokój w motelu blisko

plaży i poszedłem na spacer po miasteczku. Kalbarri to urocza miejscowość powstała w 1952 roku po tym, jak rybacy odkryli, że w przybrzeżnych wodach roi się od homarów. Do połowy lat siedemdziesiątych, zanim wyasfaltowano drogę od North West Coastal Highway, do Kalbarri w praktyce można było się dostać jedynie przez morze. Dzisiaj głównym źródłem utrzymania mieszkańców pozostaje rybołówstwo, ale rozwinęła się również branża turystyczna. Obie zdają się z sobą całkiem nieźle współistnieć.

Trudno sobie wyobrazić lepszą scenerię: ulokowana nad dużą zatoką miejscowość osłonięta jest przez długą, białą mierzeję. W ostatnich promieniach słońca wybrałem się na spacer w tamtym kierunku. Wyspy Abrolhos znajdują się 60 kilometrów od wybrzeża i nie widać ich ze stałego lądu, spacerując po plaży widziałem natomiast wyraźnie położony kilka kilometrów dalej cypel Red Bluff, na którym porzucono dwóch buntowników.

W trakcie przechadzki dwie rzeczy przykuły moją uwagę: kilkaset metrów od brzegu bardzo powoli holowano do portu częściowo zatopioną łódź i w okolicy gromadził się tłum gapiów. Największa ich grupa stała na molu portu rybackiego około półtora kilometra ode mnie. Od strony plaży też było ich sporo, siedzieli na maskach samochodów, wychylali się z balkonów, wychodzili ze sklepów i pubów. Nad wszystkim unosiła się dziwna, pełna napięcia cisza.

Zapytałem człowieka siedzącego na masce samochodu, co jest grane.

— Holują kuter rybacki, który w nocy podziurawił się o rafę — wyjaśnił.

Wypadek zdarzył się o wpół do trzeciej w nocy na pełnym morzu i przez jakiś czas wydawało się, że łódź jest w poważnym niebezpieczeństwie. Całej sytuacji dramatyzmu dodawał fakt, że szyper zabrał z sobą swojego siedmioletniego syna — zapewne po to, aby sprawić mu radość. Na ratunek popłynęły trzy inne kutry. Spojrzałem na zegarek: od wypadku minęło 16 godzin. Kiedy zwróciłem na to uwagę mojemu informatorowi, uśmiechnął się odrobinę przepraszająco.

— Mamy za sobą ciężki dzień — powiedział. — Wszyscy siedzieliśmy jak na szpilkach, ale chyba wszystko dobrze się skończyło.

Liczba stałych mieszkańców Kalbarri wynosi 1500 — szacuję, że dwie trzecie

przyszły popatrzeć. Kiedy łódź wpłynęła do zatoki i była już bezpieczna, ludzie klaskali i wiwatowali, jakby witali zwycięzcę regat. Stwierdziłem, że to fantastyczne — całe miasteczko odrywa się od swoich zajęć i idzie obserwować, jak holowany jest dziurawy rybacki kuter. Nawet gdybym rozdawał pięciodolarówki, jestem pewien, że nie udałoby mi się przekonać tysiąca osób, żeby przyszły popatrzeć, jak wracam do portu uszkodzoną jednostką pływającą. Uznałem, że bardzo lubię Kalbarri.

Następnego dnia wstałem wczesnie rano i pojechałem na plażę Red Bluff. Powiedziano mi, że znajdę tam kopiec kamieni upamiętniający miejsce, w którym dwóch zbrodniarzy zostawiono samotnych na pastwę losu. Spektakularne miejsce: kamienna półka uderzana przez fale, pryskające pianą we wszystkie strony. Na lewo od niej rozciągała się ograniczona wydmami plaża, na której przez całą długość tu i ówdzie rozstawione były tablice z napisem: „UWAGA! NIEBEZPIECZNE PRĄDY”. Woda była jasnoturkusowa; ogromne fale z furją rozbijały się o brzeg.

Porządnie się rozejrzałem, ale nigdzie nie mogłem znaleźć piramidy z kamieni. O tej porze nie było tu żadnych ludzi mogących udzielić mi wskazówek, nie licząc pary, która kilkaset metrów dalej spacerowała z rozbrykanym psem. Nie szkodzi, pomyślałem, kopiec na pewno został usypany długo po tym wydarzeniu w przypadkowo wybranym miejscu. Napawałem się więc słońcem i orzeźwiającym morskim powietrzem, by po chwili uświadomić sobie z pewnym zaskoczeniem, że idea bycia porzuconym w tym miejscu nie była taka znowu nieatrakcyjna. Morze obfitowało w pożywienie, a wzgórza za plażą — w materiały budowlane. Z niewiadomych przyczyn Pelsaert, pozostawiając tu Loesa i Pelgroma, hojnie ich zaopatrzył: zostawił im małą łódź, trochę żywności i wody, kilka narzędzi i błyskotki na handel z ewentualnie spotkanymi tubylcami. Można sobie wyobrazić gorsze warunki do dokonania żywota — na przykład zatechły, malaryczny loch w Batawii. Nawiązując serdeczne stosunki z autochtonami, można się było tutaj całkiem przyjemnie urządzić.

Pomysł ten bardzo mi się spodobał — także dlatego, że był całkiem realny. Wybrzeże Australii Zachodniej, znajdujące się na północ od Perth, jest zachwycająco piękne i prawie niezabudowane. Najbliższą miejscowością za Kalbarri jest oddalone o 300 kilometrów Carnarvon, do morza zaś prowadzi tylko jedna droga — ta, którą zmierzałem do Shark Bay. Za Carnarvon wygląda to mniej więcej podobnie, na odcinku bez mała trzech tysięcy kilometrów dzielących je do Darwin — cudowne dzikie pejzaże, tu i ówdzie urozmaicone małymi miejscowościami. W sumie na 12 tysiącach kilometrów wybrzeża Australii Zachodniej znajduje się zaledwie kilkadziesiąt miejscowości, i to łącznie z tymi na półwyspie południowo-zachodnim, z którego właśnie przyjechałem.

Co oczywiście tłumaczy, dlaczego odkrycie stromatolitów nad Shark Bay trwało tak długo. Chociaż znajdują się one na skraju łatwo dostępnej plaży, gdzie każdy głupi może je zobaczyć, zauważono je dopiero w 1954 roku, a nauka zidentyfikowała je dziesięć lat później. W sytuacji, kiedy australijscy naukowcy mają do zbadania 37 tysięcy kilometrów linii brzegowej, można to jednak doskonale zrozumieć.

Z Kalbarri miałem do przejechania 60 kilometrów do North West Coastal Highway, a potem sto kilkadziesiąt kilometrów nad Shark Bay. Przez dwie i pół godziny podróży wyminąłem się z zaledwie trzema samochodami i jednym rozpędzonym pociągiem drogowym. W pewnym momencie dostrzegłem daleko przed sobą dwie tajemnicze kropki na szosie. Okazało się, że to dwaj robotnicy drogowi, którzy kopali dziurę na środku jezdni, oznaczeni tylko dwoma pomarańczowymi stożkami umieszczonymi mniej więcej dwa metry od miejsca, w którym pracowali. A przecież jechałem najważniejszą drogą w tym regionie. To mi przypomniało, jak bardzo odludne tereny mnie otaczają. W Australii trudno bardziej się oddalić od głównych ośrodków miejskich: cztery tysiące kilometrów drogą do Sydney i prawie pięć tysięcy do Brisbane; nawet by się dostać do Alice Springs, które w linii prostej leży znacznie bliżej, trzeba pokonać cztery tysiące kilometrów, bo drogi strasznie kluczą.

W końcu dotarłem do skrętu nad Shark Bay. Przejechałem kilka kilometrów

świeżo wyasfaltowaną boczną szosą i znalazłem się na nieutwardzonej drodze, która przez podmokłe tereny prowadziła do Hamelin Pool, zespołu białych budynków, które niegdyś pełniły funkcję telegraficznej stacji przekaźnikowej. Dzisiaj w jednym z nich mieści się muzeum, a w innym kawiarnia i sklep z pamiątkami.

Na parkingu stały tylko trzy inne samochody, ale kiedy studiowałem tablicę informacyjną, dwa autokary zatrzymały się z sykiem hydraulicznego zawieszenia i wyrzuciły z siebie strumienie pasażerów — siwowłosych, obwieszonych aparatami fotograficznymi i mrużących oczy przed oślepiającym słońcem. Przyjechali z całego świata — z Ameryki, Wielkiej Brytanii, Holandii, Skandynawii. Nie po to wlokłem się taki kawał drogi, żeby zwiedzać australijskie pustkowia z setką trajkoczących obcych ludzi, więc energicznym krokiem udałem się na plażę. Upał był potworny, a wiatr od morza zdawał się przynosić jeszcze większy skwar. Po mniej więcej kilometrze dotarłem nad rozświetloną zatokę z nieruchomą wodą w kolorze akwamaryny. W oddali ciągnęła się zakrzywiona piaszczysta mierzeja. Doszedłem do wniosku, że jest to Fauré Sill, pięćdziesięciokilometrowa łacha, która prawie całkowicie zamyka zatokę i nadaje jej wyjątkowy charakter: ciepłe, płytkie, silnie zasolone wody, które dominowały na całej planecie w czasach, gdy królowały stromatolity. Woda była przezroczysta jak szkło, a jej głębokość nie przekraczała metra.

Stromatolity niełatwo jest opisać. Są tak prymitywne, że nie przyjmują nawet regularnych kształtów, w przeciwieństwie na przykład do kryształów. Można powiedzieć, że rozwijają się bez określonego planu, tworząc bezładne masy. Blisko plaży uformowały się w duże, lekko falujące platformy, przypominające trochę bardzo stary asfalt. Trochę dalej widać było pojedyncze bryły, które z kolei kojarzyły się z wielkimi krowimi plackami bądź łajnem silnie zestresowanego słonia. W większości książek porównuje się je do pałki, kalafiora albo kolumny, ale w rzeczywistości stanowią one raczej bezkształtną, szaro-czarną masę, bez charakteru i bez polotu.

Nie ma powodu ukrywać, że stromatolity nie prezentują zbyt pięknego czy

spektakularnego widoku. Podejrzewam, że waszą pierwszą reakcją na ten widok byłoby „Hmm” wypowiedziane ogólnikowym, refleksyjnym, ostrożnie przychylnym tonem człowieka, który dostał kanapkę smakującą lepiej niż wygląda, ale nie na tyle apetyczną, żeby natychmiast — albo w ogóle kiedykolwiek — poprosić o następną.

Stromatolity są zatem interesujące nie tyle ze względu na swoje wątpliwe walory estetyczne, ile ze względu na to, co o nich wiemy. Wyobraźcie sobie, że patrzycie na żywe skamieliny, dokładne kopie pierwszych struktur organicznych, które pojawiły się na ziemi. Macie przed oczyma fragment świata sprzed 3,5 miliarda lat (ponad trzy czwarte wieku naszej planety). Jeśli was to nie podnieca, to chyba nic was nie podnieca. Richard Fortey napisał: „To jest prawdziwa podróż w czasie i gdyby świat umiał docenić prawdziwe cuda natury, stromatolity byłyby równie znane jak piramidy egipskie”. Święta racja.

Podobnie jak w przypadku koralu, życie stromatolitów koncentruje się na powierzchni, a większość tego, co widać, to martwa masa wcześniejszych pokoleń. Czasem można zobaczyć uciekające do góry strumienie bąbelków tlenu. Jest to jedyny widzialny przejaw ich funkcjonowania — nic spektakularnego, ale sztuczka ta umożliwiła życie na naszej planecie. Bąbelki są wytwarzane przez cyjanobakterie, mikroorganizmy żyjące na powierzchni skał (około trzech miliardów na metrze kwadratowym, żeby oszczędzić wam liczenia), i każda z nich pochłania cząsteczkę dwutlenku węgla i odrobinę energii słonecznej, aby uzyskać paliwo potrzebne do realizacji swoich niewyobrażalnie skromnych ambicji: istnieć, żyć. Produktem ubocznym tego prostego procesu jest mikroskopijny powiew tlenu. Ale jeśli dostatecznie dużo stromatolitów oddycha przez dostatecznie długi czas, na przykład dwa miliardy lat, świat ulega metamorfozie. Ta prymitywna forma życia podniosła stężenie tlenu w atmosferze do 20 procent, co umożliwiło powstanie bardziej złożonych organizmów: na przykład mnie. Moja wdzięczność nie miała granic.

Wspomniany proces chemiczny powoduje, że małe komórki są trochę lepkie. Przyklejają się do nich drobiny kurzu i inne osady, powoli przekształcając je

w skałę. Na coś takiego teraz patrzyłem. Stromatolity mają się tutaj doskonale nie dlatego, że warunki szczególnie im sprzyjają, lecz dlatego, że nie sprzyjają one innym stworzeniom. Gdzie indziej stromatolity zostałyby porwane przez pływy albo zjedzone. Tutaj silne zasolenie wody odstrasza wszelkich drapieżników.

Fakt, że stromatolity dały początek życiu na ziemi, a potem stały się pokarmem i zniknęły, jest oczywiście dosyć paradoksalny. Coś zbliżonego przydarzyło się zresztą w tej chwili i mnie, bo kiedy stałem zapatrzony w krystaliczne wody, na ścieżce dały się słyszeć głosy sędziwych wycieczkowiczów i po jakimś czasie zwawszi z nich weszli na drewniany pomost. Kobieta z daszkiem przeciwsłonecznym Miami Dolphins zajęła miejsce obok mnie, przez chwilę pogapiła się w wodę, odgoniła parę much, a potem spojrzała na męża i głosem, który zagłuszyłyby hałas w zakładzie stalowniczym, powiedziała:

— Chcesz powiedzieć, że przejechaliśmy cały kontynent, żeby zobaczyć coś takiego?

Byłem życzliwie usposobiony wobec świata, więc zwróciłem się do niej z uśmiechem wyrażającym najwyższe zrozumienie i z całą łagodnością i taktem, na jakie było mnie stać, próbowałem pomóc jej w docenieniu tej niezwykłości, która leżała u naszych stóp. Pochwaliłem ją za przenikliwą ocenę, że stromatolity nie prezentują się zbyt spektakularnie, ale wyjaśniłem, że ich chemiczna pracowitość pozwoliła im w ciągu niezmiernie długiego okresu przeobrazić amorficzny świat w piękną zieloną planetę, którą mamy dzisiaj do czynienia. Podkreśliłem, że takie żywe formacje znaleziono tylko w dwóch innych miejscach na świecie: jedną gdzie indziej w Australii, drugą na wysepce z piasku i koralu na Bahamach, przy czym tamte są znacznie mniejsze i praktycznie niedostępne, toteż Hamelin Pool jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie można podziwiać te nadzwyczajne istoty. A zatem, podsumowałem z moim najserdeczniejszym, najbardziej ujmującym uśmiechem, warto było dla nich przejechać przez cały kontynent.

Starsza pani słuchała mnie z osłupiałą i zafascynowaną miną, nie odrywając ode mnie wzroku. Kiedy skończyłem, dotknęła mojego przedramienia i powiedziała:

— Wie pan, że jest pan strasznie poparzony przez słońce?

Poszedłem na pobliską plażę muszelkową, a kiedy natarczywość much stała się nie do wytrzymania, wróciłem na stację telegraficzną. Muzeum było zamknięte i w środku nie paliło się światło, więc wstąpiłem do kawiarni. Wycieczkowicze najwyraźniej zjedli tutaj lunch, ponieważ pani bufetowa sprzątała talerze i kubki. Zadałem sobie pytanie, jak można wykarmić całe autokary ludzi, znajdując się 200 kilometrów od najbliższego supermarketu.

— Tak, proszę pana? — rzuciła różnym głosem na mój widok.

— Czy istnieje możliwość, aby zobaczyć muzeum?

— Oczywiście. Każę Mike'owi, żeby pana wpuścił.

Mike nazywał się Cantrall i był jowialnym, życzliwym człowiekiem w średnim wieku z kolczykiem w uchu. Wyszedł z kuchni, wycierając dłonie w papierowy ręcznik, i wyglądał na zadowolonego z faktu, że może się na chwilę oderwać od mycia naczyń. Zabrał mnie do muzeum i nie bez trudności otworzył drzwi. Muzeum było małe, duszne i sprawiało wrażenie, jakby od wielu miesięcy go nie otwierano — Mike potwierdził, że zainteresowanie turystów ma swoje granice — ale bardzo sympatyczne. Jedną z sal poświęcono w większości stromatolitom. W akwarium bąbelkował jeden z nich — prawdopodobnie jedyny na świecie stromatolit żyjący w niewoli. Na starym telewizorze i magnetowidzie Mike puścił mi czterominutowe wideo o tych organizmach, a potem podał mi kawałek stromatolitu wielkości cegły. Mimicznie wyraziłem zdziwienie, że to, co trzymam w ręku, jest takie ciężkie.

Reszta ekspozycji dotyczyła czasów, kiedy miejsce to służyło jako stacja telekomunikacyjna — najpierw telegraficzna, potem telefoniczna. Okazało się to znacznie ciekawsze, niż sądziłem, zwłaszcza dzięki zajmującej całą jedną ścianę fotografii, na której telegrafista Adgee Cross stał golutki na drabinie, naprawiał druty i miał minę człowieka święcie przekonanego, że strój Adama to najwłaściwsza odzież robocza do prac remontowych w *outbacku*. Jak wyjaśnił mi Mike, Cross był goły, ponieważ musiał przepłynąć z drabiną przez rzekę Murchison i nie chciał zamoczyć sobie ubrania. Nie skomentowałem tego, ale pomyślałem sobie, że mokre ubranie wyschłoby na pustyni w ciągu kilku minut,

natomiast buty — jedyna rzecz, której nie zdjął — potrzebują na to wielu godzin. Moim zdaniem Adgee Cross naprawiał druty nago, bo tak lubił. A tak między nami — właściwie czemu nie?

Poznałem również uroczą historię pani Lillian O'Donahue, która była telefonistką w czasach sprzed automatycznych centrali. W Carnarvon, kawałek dalej na północ, znajdowała się wielka antena satelitarna, wykorzystywana przez NASA jeszcze w latach siedemdziesiątych do śledzenia trajektorii statków kosmicznych przelatujących nad Oceanem Indyjskim. Podczas jednej z misji w 1964 roku łączność między tą anteną a stacją obserwacyjną pod Adelaide została zerwana, toteż dane trzeba było przekierowywać przez panią O'Donahue i jej przedpotopowy sprzęt. Przez jedną długą, upalną noc pani O'Donahue siedziała przy centrali, starannie notowała zaszyfrowane informacje z jednej stacji i przekazywała je do drugiej. Za każdym razem, kiedy sonda Gemini przelatywała nad południowym niebem, los misji — bardzo mi się to spodobało — spoczywał w rękach niepozornej starszej pani, siedzącej w małym białym budynku na końcu drogi gruntowej na zachodnim wybrzeżu Australii. Dostała sześć dolarów za nadgodziny. Ten szczegół jeszcze bardziej mi się spodobał.

Kiedy opuściliśmy muzeum i Mike zamknął drzwi na klucz, poszliśmy razem przez parking. Spytałem go, jak wylądował na tym odludziu. Powiedział mi, że on i jego żona Val — sympatyczna bufetowa — są tutaj dopiero od trzech tygodni. Niedawno zapisali się do klubu siwowłosych nomadów-emerytów (często w wieku przedemerytalnym), którzy sprzedają cały majątek, kupują wóz kempingowy i spędzają życie na szlaku, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby zarobić trochę pieniędzy, ale nigdzie nie zagrzewają długo miejsca. Sześć miesięcy wcześniej takie życie wydawałoby mi się najstraszniejszą karą — nic, tylko jazda przez upalny, suchy i pusty kraj. Teraz jednak doskonale ich rozumiałem. Cała ta pustka i oślepiające światło mają w sobie coś fascynującego, co nigdy nie nuży. Poza tym Australia obfituje w niespodzianki. Za zakrętem zawsze czeka coś nowego: spacer pośród koron drzew, plaża z organizmami znacznie starszymi od dinozaurów, muzea poświęcone nieprawdopodobnym historiom o katastrofach holenderskich

statków albo gołym telegrafistom, uroczym małżeństwom, takie jak Mike i Val Cantrall, wioska rybacka, która przychodzi pokibicować powracającemu do portu kutrowi. Nigdy nie wiadomo, co to będzie, ale prawie zawsze jest ciekawe. Może wynikało to z mojego dobrego nastroju, ale czułem, że mógłbym tak żyć jeszcze długo.

Podziękowałem Mike'owi za oprowadzenie mnie i wróciłem do mojego połyskującego w słońcu pojazdu. W środku było nieznośnie gorąco, więc otworzyłem drzwi, żeby przewietrzyć samochód i z atlasem drogowym pod pachą rozsiadłem się w cieniu krzywego drzewa, rosnącego obok ścieżki na plażę. Nie wiem, po co chciałem oglądać atlas, skoro do Perth prowadziła tylko jedna droga, długa i pusta North West Coastal Highway, ale kiedy przeglądałem strony z Australią Zachodnią — stan jest tak duży, że potrzeba ich wiele — mimowolnie zatrzymałem wzrok na wyróżnionym żółtym kolorem obszarze blisko granicy z Terytorium Północnym. Był to łańcuch górski o niezrównanie melodyjnej nazwie Bungle Bungles. Zaledwie kilka dni wcześniej przeczytałem o tym piaskowcowym masywie, w którym bezlitosne suche wiatry przez setki milionów lat rzeźbiły nieprzerwanie niesamowite kształty — iglice, całe hektary korpulentnych kopuł, faliste ściany. Te fantastyczne formacje zajmują powierzchnię dwóch tysięcy kilometrów kwadratowych, ale, jak czytamy w książce *Australia: A Continent Revealed*, „aż do lat osiemdziesiątych mało kto o nich słyszał”. Wyobrażacie sobie? Jeden z cudów natury, wielkości angielskiego hrabstwa, niecałe 20 lat temu był prawie nieznan.

Nagle ogarnęła mnie ochota, żeby tam pojechać. Kto wie, kiedy znowu znajdę się tak blisko tych gór? Poza tym miałbym pretekst, żeby pojechać do Pilbara i odwiedzić Marble Town, znane jako miasto, w którym zanotowano rekordowe jak na Australię temperatury. Mógłbym zobaczyć region, w którym Stan Awramik znalazł i zgubił skamieniałości stromatolitów. Stamtąd zostałyby mi tylko jeden skok do Darwin drogą Victoria Highway. Pora deszczowa niebawem miała się skończyć, więc mógłbym zobaczyć Park Narodowy Kakadu — podobno przepiękny, ale kiedy przejeżdżałem w jego pobliżu, przypominał jedno wielkie

jezioro — a może nawet zahaczyć o Queensland i nareszcie zobaczyć Cooktown. Miałem poczucie, że zwiedzanie Australii nigdy mi się nie znudzi.

Ale oczywiście były to mrzonki, może zrodzone z nadmiaru słońca, zrozumiałej niechęci do ponownego pokonywania ponad siedmusetkilometrowego odcinka pustej drogi do Perth i podświadomego pragnienia przedłużenia australijskiej przygody. Za pomocą palców zmierzyłem odległość i z przerażeniem, chociaż bez zbytniego zdziwienia, stwierdziłem, że do skrętu na Bungle Bungles zostało mi 2500 kilometrów — a potem jeszcze sto kilkadziesiąt wyboistymi drogami gruntowymi, na których nie byłbym ani ubezpieczony, ani bezpieczny. Co za niedorzecznie wielki kraj!

Na tym właśnie polega problem z Australią — mnóstwo ciekawych rzeczy do obejrzenia, ale za bardzo porozrzucanych. Zadałem sobie pytanie, jak by zareagowała moja żona, gdybym do niej zadzwonił i zakomunikował: „Skarbie, sprzedajemy dom, kupujemy australijski wóz kempingowy i jedziemy zobaczyć Bungle Bungles!”. Wątpiłem, by ten pomysł chwycił, więc pozamykałem drzwi samochodu, usiadłem za kierownicą i rozpocząłem długą podróż do Perth.

Jechałem w posępnym nastroju, który zawsze mnie ogarnia pod koniec każdej wielkiej wyprawy. Za parę dni będę z powrotem w New Hampshire i wszystkie te przeżycia, jak w kreskówce Disneya, pomaszerają na zakurzony strych mojego mózgu, próbując znaleźć dla siebie miejsce pośród wszystkich tych idiotycznych gratów nagromadzonych przez pół stulecia chaotycznego życia. Niedługo zacznę wypowiadać zdania w stylu: „Jak się nazywała miejscowość, w której widziałem Wielkiego Homara?”, potem: „Nie byłem na Tasmanii? Jesteś pewna? Sprawdzę w książce”, i wreszcie: „Jak się nazywa premier Australii? Przykro mi, ale nie mam pojęcia”.

Najbardziej zasmuciła mnie świadomość, że życie w Australii będzie toczyło się dalej beze mnie, a ja nie będę miał o nim prawie żadnych informacji. Nie dowiem się, kto ostatecznie położył łapę na majątku Hancocka. Nie dowiem się, czy ustalono losy amerykańskiego małżeństwa pozostawionego na Wielkiej Rafie Koralowej. Nie usłyszę o Chińczykach, którzy dopłyną do brzegu Australii

i zamówię konwój taksówek. Nie dotrą do mnie żadne wiadomości o atakach krokodyli, pożarach buszu, dymisjach skompromitowanych ministrów i niezwykłych rzeczach znalezionych, a później być może zgubionych, na pustyni. Życie w Australii będzie toczyło się dalej poza moją wiedzę, ponieważ kiedy wyjeżdżasz z Australii, Australia przestaje istnieć. Co za dziwna i smutna konstatacja!

Potrafię to oczywiście zrozumieć. Australia jest w większości pusta i leży bardzo daleko. Mieszka tam stosunkowo mało ludzi, a rola tego kraju w sprawach świata jest marginalna. Australia nie organizuje zamachów stanu, nie trzebi zasobów ryb, nie uzbraja niesympatycznych despotów, nie uprawia koki w prowokacyjnych ilościach i nie rozpycha się beczelnie łokciami. Jest stabilna, pokojowa i poczciwa. Nie trzeba jej obserwować, więc tego nie robimy.

Ale zdradzę wam jedno: to jest nasza strata. Bo Australia to bardzo ciekawy kraj. Naprawdę. I właśnie to chciałem wam powiedzieć.

¹ Wiele tygodni później, po powrocie do Londynu, zajrzałem do książki Keegana: jest tam wiele fragmentów poświęconych armii australijskiej. Wyciągam z tego następujący wniosek — Australijczycy tak bardzo przywykli do tego, że się ich nie zauważa, że nie zauważają, kiedy się ich zauważa.

Bibliografia

- Attenborough, David, *The Private Life of Plants*, Princeton, Princeton University Press, 1995.
- Bates, Daisy, *The Passing of the Aborigines*, New York, Pocket Books, 1973.
- Bernt, R. M. i C. H., *The World of the First Australians*, Sydney, Lansdown Press, 1981.
- Berra, Tim, *A Natural History of Australia*, Sydney, University of New South Wales Press, 1998.
- Blainey, Geoffrey, *Triumph of the Nomads: A History of Ancient Australia*, Sydney, Pan Macmillan Australia, 1982.
- Blainey, Geoffrey, *A Land Half Won*, Melbourne, Sun Books, 1983.
- Blainey, Geoffrey, *A Shorter History of Australia*, Sydney, Random House Australia, 1997.
- Bowden, Tim, *Penelope Goes West: On the Road from Sydney to Margaret River and Back*, Sydney, Allen & Unwin, 1999.
- Boyd, Robin, *The Australian Ugliness*, Melbourne, Penguin Books, 1980.
- Charles-Picard, Gilbert (red.), *Larousse Encyclopaedia of Archaeology*, London, Hamlyn, 1972.
- Clark, Manning (wersja skrócona przez Michaela Cathcarta), *Manning Clark's History of Australia*, Ringwood, Victoria, Penguin Books, 1995.
- Diamond, Jared, *Guns, Germs, and Steel: The Fates of Human Societies*, New York, W. W. Norton, 1997.
- Edwards, Hugh, *Crocodile Attack in Australia*, Marlestone, South Australia, J.B. Books, 1998.
- Fagan, Brian M. (red.), *The Oxford Companion to Archaeology*, New York, Oxford University Press, 1996.
- Flannery, Tim, *The Future Eaters: An Ecological History of the Australasian Lands and People*, Sydney, Reed New Holland, 1997.
- Flannery, Tim (red.), *1788: Comprising a Narrative of the Expedition to Botany Bay and a Complete Account of the Settlement at Port Jackson by Watkin Tench*, Melbourne, Text Publishing, 1996.
- Flannery, Tim (red.), *The Explorers*, Melbourne, Text Publishing, 1998.
- Fortey, Richard, *Life: An Unauthorised Biography*, London, HarperCollins, 1997.
- Gould, Stephen J., *Bully for Brontosaurus: Reflections in Natural History*, London, Hutchinson Radius, 1991.
- Gunn, John, *The Defeat of Distance: Qantas 1919-1939*, St Lucia, Queensland, University of Queensland Press, 1985.
- Gunther, John, i William H. Forbis, *Inside Australia*, New York, Harper and Row, 1972.
- Hall, Timothy, *Flying High: The Story of Hudson Fysh. Qantas and the Trail-Blazing Days of Early Aviation*, Melbourne, Methuen of Australia, 1979.
- Hermes, Neil, i Anne Matthews, *Australia: A Continent Revealed*, London, New Holland (Publishers) Ltd., 1996.
- Hiddins, Les, *Bush Tucker Man: Stories of Exploration and Survival*, Sydney, ABC Books, 1996.
- Hornadge, Bill, *The Australian Slanguage: A Look at What We Say and How We Say It*, Melbourne, Mandarin Books, 1986.
- Hough, Richard, *Captain James Cook: A Biography*, New York, W. W. Norton, 1995.

- Hughes, Robert, *The Fatal Shore: A History of the Transportation of Convicts to Australia, 1787-1868*, London, Pan Books, 1988.
- James, Clive, *Flying Visits: Postcards from the Observer 1976-1983*, London, Picador, 1984.
- Keneally, Thomas, *Outback*, Sydney, Hodder and Stoughton, 1983.
- Lacour-Gayet, Robert, *A Concise History of Australia*, London, Penguin Books, 1976.
- Laseron, Charles Francis, *The Face of Australia: The Shaping of a Continent*. Sydney, Angus and Robertson, 1953.
- Lewin, Roger, *Principles of Evolution*, Oxford, Blackwell Science, 1997.
- Lines, William J., *Taming the Great South Land: A History of the Conquest of Nature in Australia*. Sydney, Allen and Unwin, 1991.
- Lines, William J., *A Long Walk in the Australian Bush*, Athens, Georgia, The University of Georgia Press, 1998.
- Low, Tim, *Feral Future: The Untold Story of Australia's Exotic Invaders*. Sydney, Viking, 1999.
- Luck, Peter, *Australian Icons: Things That Make Us What We Are*, Melbourne, William Heinemann Australia, 1992.
- McGregor, Craig, *Profile of Australia*, London, Penguin Books, 1968.
- McIntyre, K. G., *The Secret Discovery of Australia*, London, Souvenir Press, 1977.
- MacKenzie, Jeanne, *Australian Paradox*, Melbourne, F. W. Cheshire, 1961.
- Mackersey, Ian, *Smithy: The Life of Sir Charles Kingsford Smith*, Sydney, Little, Brown and Co., 1998.
- McLaren, Glen, *Beyond Leichhardt: Bushcraft and the Exploration of Australia*. Fremantle, Fremantle Arts Centre Press, 1996.
- Malouf, David, *A Spirit of Play: The Making of Australian Consciousness*, Sydney, ABC Books, 1998.
- Marshall, Sam, *Luna Park: Just for Fun*, Sydney, Luna Park Reserve Trust, 1995.
- Moorehead, Alan, *Hum Jungle*, New York, Charles Scribner's Sons, 1954.
- Moorehead, Alan, *Cooper's Creek*, London, Hamish Hamilton, 1963.
- Moorehead, Alan, *The Fatal Impact: An Account of the Invasion of the South Pacific, 1767-1840*, New York, Harper and Row, 1966.
- Moorhouse, Geoffrey, *Sydney*, Sydney, Allen and Unwin, 1999.
- Morris, Jan, *Sydney*, London, Viking, 1992.
- Morrison, Reg, *Australia: The Four Billion Year Journey of a Continent*, Sydney, Weldon Publishing, 1988.
- Mulvaney, John, i Johan Kamminga, *Prehistory of Australia*, Sydney, Allen and Unwin, 1999.
- Nile, Richard, i Christian Clerk, *Cultural Atlas of Australia, New Zealand and the South Pacific*. Oxford, Andromeda Books, 1996.
- O'Connor, Siobhan (red.), *The Book of Australia*, Sydney, Watermark Press, 1997.
- Pilger, John, *A Secret Country: The Hidden Australia*, New York, Alfred A. Knopf, 1991.
- Powell, Alan, *Far Country: A Short History of the Northern Territory*, Melbourne, Melbourne University Press, 1982.
- Rich, P. Vickers, *Wildlife of Gondwana*, London, Reed, 1993.
- Ritvo, Harriet, *The Platypus and the Mermaid and Other Figments of the Classifying Imagination*. Cambridge, Massachusetts, Harvard University Press, 1998.
- Rolls, Eric, *They All Ran Wild: The Animals and Plants That Plague Australia*. Sydney, Angus and Robertson,

1969.

Sampson, Anthony, *Empires of the Sky*, London, Hodder and Stoughton, 1985.

Seal, Graham, *The Lingo: Listening to Australian English*, Sydney, University of New South Wales Press, 1999.

Sheehan, Paul, *Among the Barbarians*, Sydney, Random House Australia, 1998.

Spearritt, Peter, *Sydney's Century: A History*, Sydney, University of New South Wales Press, 2000.

Terrill, Ross, *The Australians*, New York, Simon and Schuster, 1987.

Vizard, Steve, *Two Weeks in Lilliput: Bear-Baiting and Backbiting at the Constitutional Convention*. Sydney, Penguin Books, 1998.

Ward, Russell, *The History of Australia: The Twentieth Century*, New York, Harper and Row, 1977.

White, Mary E., *Australia's Prehistoric Plants*, Sydney, Methuen, 1984.

White, Mary E., *The Greening of Gondwana: The 400 Million Year Story of Australia's Plants*, Sydney, Reed Australia, 1994.